



**THOMAS  
HARRIS**

**Milczenie owiec**

MIĘDZY NASZYMIENIE SZYCH THRILLERÓW WSZEDŁ CZASÓW

**THOMAS HARRIS**

# **MILCZENIE OWIEC**

Przekład: Andrzej Szulc

## *Pamięci mego ojca*

*Jesli tylko ze względu na ludzi*

*walczyłem z dzikimi zwierzetami*

*w Efezie, jaki z tego dla mnie pozytek?*

*Skoro umarli nie zmartwychwstaja...*

*sw. Pawel, Pierwszy list do Koryntian 15,31*

*Czyz musze patrzec na czaszke*

*w pierscieniu, majac te sama w obreczy mej twarzy?*

John Donne, Devotions

## **ROZDZIAŁ 1**

Sekcja Behawioralna, zajmujaca sie w FBI morderstwami wielokrotnymi, miesci sie na najnizszej, do polowy ukrytej w ziemi, kondygnacji Akademii FBI w Quantico. Clarice Starling dotarla tam zaczerwieniona od szybkiego marszu ze strzelnicy przy Hogan's Alley. Miala zdzbla trawy we wlosach i utytlana wiatrowke - efekt czolgania sie pod obstrzałem podczas cwiczen praktycznych z techniki unieszkodliwiania przestepcow.

W sekretariacie nie bylo nikogo. Przejrzala sie w szklanych drzwiach i szybko poprawila wlosy. Wiedziala, ze wyglada dobrze, nie musi nic zmieniac. Rece jej czuc bylo prochem strzelniczym, ale nie miala czasu ich umyc. Wezwanie do szefa dzialu Crawforda brzmialo: natychmiast.

Odnalazla Jacka Crawforda w zagraconej sali ogolnej.

Stal samotnie przy cudzym biurku i rozmawial przez telefon. Miala sposobnosc przyjrzec mu sie po raz pierwszy od roku. To, co zobaczyla, zaniepokoilo ja.

Normalnie Crawford wygladal na zdrowego inzyniera w srednim wieku, ktory przeszedl gladko przez college dzieki temu, ze dobrze gral w baseball - sprytny napastnik, twardy, kiedy trzeba blokowac pole. Teraz wychudl, kolnierzyk koszuli byl na niego o wiele za luzny, pod zaczerwienionymi oczyma pojawily sie ciemne since. Dla kazdego, kto czyta gazety, nie bylo tajemnica, ze Sekcja Behawioralna znalazla sie w oku cyklonu. Clarice miala nadzieje, ze Crawford niczym sie nie szprycuje. W tej instytucji wydawalo sie to malo prawdopodobne.

Crawford ucial rozmowe telefoniczna krotkim „nie”. Wyjal spod pachy jej akta personalne i

otworzył je na pierwszej stronie.

- Starling Clarice M., dzień dobry - powiedział.
- Dzień dobry. - To, że się usmiechnęła, wynikało wyłącznie z uprzejmości.
- Nic się złego nie stało. Mam nadzieję, że wezwanie cie nie przestraszyło.
- Skądże znowu. - Niezupełnie prawda, dodała w myślach.
- Twoi instruktorzy twierdzą, że dobrze sobie radzisz, na twoim roku jesteś w grupie najlepszych.
- Mam taką nadzieję. Do tej pory nic mi o tym nie wspomnieli.
- Pytam ich od czasu do czasu.

To zdziwiło dziewczynę; dawno już spisała Crawforda na straty, uważając go za dwulicowego sukinsyna, kaprala, który interesuje się rekrutem tylko dopóki nie złapie go na haczyk.

Z federalnym agentem specjalnym Crawfordem zetknęła się po raz pierwszy, kiedy prowadził gościnne wykłady na Uniwersytecie Wirginia. Wysoki poziom jego seminarium z kryminologii był jednym z motywów jej decyzji przejścia do FBI. Kiedy dostała się do Akademii, napisała do niego kartkę, ale nie odpowiedział i podczas trzech miesięcy, które spędziła w Quantico, całkowicie ją ignorował.

Clarice Starling nie należała do ludzi, którzy narzucają się ze swoją przyjaznią i proszą o czyjąś łaskę, ale zachowanie Crawforda zdziwiło ją i trochę zabolalo. Teraz, w jego obecności, z przykrością uswiadomiła sobie, że znowu czuje do niego sympatię.

Najwyraźniej coś było z nim nie w porządku. Crawford posiadał jakieś szczególne, niezależne od inteligencji, umiejętności. Clarice dostrzegła to w sposobie, w jaki dobierał kolory i gatunek tkanin swoich ubrań, w tym, że umiał zaznaczyć swoją indywidualność, mimo obowiązujących w FBI kanonów. Teraz był schludny, ale bezbarwny, tak jakby wszedł w okres linienia.

- Jest robota i pomyślałem o tobie - powiedział. - Właściwie nie robota, raczej interesujące ćwiczenie praktyczne. Zabierz rzeczy Berry'ego z tego krzesła i usiądź. W swoim podaniu napisałaś, że po ukończeniu Akademii chcesz przejść bezpośrednio do Sekcji Behawioralnej.

- Tak.
- Masz dobre przygotowanie kryminologiczne, ale brak ci praktycznej znajomości prawa karnego. Szukamy ludzi z minimum sześcioletnim stażem.
- Mój ojciec był szeryfem. Znam życie. Crawford lekko się usmiechnął.
- Twoimi atutami są bardzo dobre oceny z psychologii i kryminologii... Ile wakacji

przepracowałaś w ośrodku dla psychicznie chorych? Dwa kolejne lata?

- Tak.

- Czy ważna jest twoja licencja doradcy prawnego?

- Jeszcze przez dwa lata. Dostałam ją, zanim rozpoczął pan swoje seminarium na Uniwersytecie Wirginia... Zanim zdecydowałam się tu przyjść.

- Utknęłaś w kolejce do egzaminów? Kiwnęła głową.

- Ale miałam szczęście i zdałam się zakwalifikować na kurs kryminalistyki. Dzięki temu popracowałam trochę w laboratorium, jeszcze zanim zaczął się semestr.

- Kiedy się tu dostałaś, napisałaś do mnie list, ale nie wydaje mi się, żebyś odpowiedział, to znaczy wiem, że nie odpowiedziałem. Powinienem być to zrobić.

- Ma pan tyle innych spraw na głowie.

- Słyszałaś coś o programie VI-CAP?

- Wiem, że to program badawczy, którego przedmiotem są przestępstwa popełnione z użyciem przemocy. W Law Enforcement Bulletin pisali, że pracuje pan nad stworzeniem banku danych, ale że nie jest jeszcze gotowy.

Crawford kiwnął głową.

- Sporządziliśmy kwestionariusz. Można go zastosować wobec wszystkich znanych w dzisiejszych czasach wielokrotnych morderców. - Wreczył jej gruby plik papierów w cienkiej okładce. - Te części wypełnia prowadzący śledztwo, te ofiary, jeśli ocalały. Kwestionariusz niebieski wypełnia, jeśli chce, morderca. Rozowy zawiera pytania, które ma mu zadać prowadzący śledztwo, notując zarówno jego odpowiedzi, jak i reakcje. Mnóstwo papierkowej roboty.

Papierkowa robota. W głowie Clarice Starling zabrzmiał dzwonek alarmowy. Czuli, że za chwilę Crawford złoży jej ofertę pracy - polegającej prawdopodobnie na znużającym wprowadzaniu danych do komputera. Kusilo ją, żeby dostać się do Sekcji Behawioralnej na jakiegokolwiek wolne stanowisko, ale wiedziała, co czeka kobietę, która choć raz zaprzęgnie się do pracy sekretarki - do końca życia nie przestanie stukac na maszynie. Zbliżała się chwila wyboru, a ona chciała wybrać dobrze.

Crawford czekał na coś; najwyraźniej zadał jej jakieś pytanie. Starling musiała pogrzebac w pamięci, żeby je sobie przypomnieć.

- Jakie testy stosowałaś? Minnesota Multiphasic? Rorschacha?

- Minnesota Multiphasic tak, Rorschacha nie - odparła. - Poza tym test apercpcji tematycznej, a z dziećmi - Bender-Gestalt.

- Czy łatwo cie przestraszyć, Starling?

- Nie sadze.

- Widzisz, staramy się przesłuchać i zbadać wszystkich trzydziestu dwóch wielokrotnych morderców, których trzymamy aktualnie pod kluczem. Pomoże to nam stworzyć bank danych, na podstawie którego będzie można sporządzać portrety psychologiczne przestępców w nie rozwiązanych sprawach. Większość skazanych poszła nam na rękę. Sadzę, że wielu chce się po prostu popisac. Na współpracę zgodziło się dwudziestu siedmiu. W tym czterech przebywających w celach śmierci, pod warunkiem, co zrozumiałe, że załatwi się im wnioski o apelacje. Nie jesteśmy jednak w stanie niczego uzyskać od człowieka, na którym najbardziej nam zależy. Chce, żeby odwiedziła go jutro w szpitalu dla psychicznie chorych.

Clarice poczuła, że szybciej bije jej serce. Była zadowolona, ale jednocześnie trochę się obawiała.

- Kim on jest?

- To psychiatra, doktor Hannibal Lecter - powiedział Crawford.

Wśród ludzi z branży po wymienieniu tego nazwiska zapada zawsze krótkie milczenie.

Starling wpatrywała się nadal spokojnie w Crawforda, trochę tylko znieruchomiała.

- Hannibal-Kanibal? - upewniła się jeszcze.

- Tak.

- No cóż, w porządku. Ciesze się, że otwiera się przede mną szansa. Zastanawiam się tylko, dlaczego właśnie ja?

- Głównie dlatego, że jesteś akurat pod ręką - odparł Crawford. - Nie spodziewam się, żeby chciał z nami współpracować. Właściwie już odmówił, ale zrobił to przez pośrednika, dyrektora szpitala. Chce z czystym sumieniem powiedzieć, że był tam nasz wykwalifikowany pracownik i osobiście go zapytał. To, że idziesz tam ty, jest czystym przypadkiem. W sekcji nie został po prostu nikt, komu mogłoby to zlecić.

- Jesteście zawałeni robotą. Buffalo Bill i ta afera w Nowadzie...

- Zgadłś. Powtarza się stara historia: ciała dawno już wystygły.

- Powiedział pan: jutro. To znaczy sprawa jest pilna. Czy to ma związek z bieżącym dochodzeniem?

- Nie. Chciałbym, żeby tak było.

- Czy mam sporządzić diagnozę psychologiczną, jeśli stanie okoniem?

- Nie. Mam pełne biurko diagnoz psychologicznych na temat doktora Lectera. Wszystkie stwierdzają, że nie daje się zbadać, i w każdej zawarte są inne wnioski.

Crawford wytrzasnął na dłoń dwie tabletki witaminy C i wrzucił pastylkę alka-seltzer do szklanki z wodą, żeby je popić.

- To zabawne. Lecter jest psychiatrą i sam pisze do czasopism psychiatrycznych - notabene niezwykle artykuły - ale nigdy nie dotyczy one jego własnych, małych anomalii. Kiedyś udało się przystąpić do pewnych testów razem z dyrektorem szpitala, Chiltonem... Polegało to na wspólnym przesiadywaniu z wstrzymującą odpływ krwi obrączką na penisie, na oglądaniu zdjęć pornograficznych... A potem Lecter pierwszy opublikował wyniki swoich badań na temat Chiltona i zrobił z niego idiotę. Odpisuje na poważne listy, które wysyłają do niego studenci psychiatrii, a które dotyczą dziedzin nie związanych z jego sprawą - i to wszystko. Jeśli odmówi, chce otrzymać prosty raport: jak wygląda on sam, jak wygląda jego cela, co robi. Trochę lokalnego kolorytu, że tak się wyrażę. Wchodzić i wychodzić uważaj na ludzi z prasy. Nie tej poważnej, ale ze szmatławców. Uwielbiają Lectera bardziej jeszcze niż księcia Andrzeja.

- Czy któraś z brukowych gazet nie zaproponowała mu przypadkiem pięćdziesięciu tysięcy za ujawnienie jakichś przepisów kulinarnych? Wydaje mi się, że coś na ten temat słyszałam.

Crawford kiwnął głową.

- Jestem całkiem pewien, że National Tattler opłaca kogoś w szpitalu i że kiedy umowie cię telefonicznie na spotkanie, natychmiast beda o tym wiedzieli.

Crawford pochylał się ku niej i popatrzył z bliska w oczy. W soczewkach dwuogniskowych okularów rozmazywały mu się worki pod oczyma. Musiał plukac sobie niedawno usta listerina.

- Teraz chce, żebyś wysłuchała mnie uważnie.

- Tak, sir.

- Bądź bardzo ostrożna z Hannibalem Lecterem. Szef szpitala, doktor Chilton, zapozna cię z procedurą, której będziesz musiała przestrzegać. Nie naruszaj jej. Pod żadnym pozorem ani na jotę jej nie naruszaj. Jeżeli Lecter w ogóle będzie z tobą rozmawiał, to po to, żeby się czegoś o tobie dowiedzieć. To ten sam rodzaj ciekawości, która skłania weza do wpatrywania się w ptasie gniazdo. Wiemy oboje, że w czasie rozmowy trzeba się trochę odsłonić, ale nie zdradz mu żadnych szczegółów na swój temat. Nie powinien znać żadnych faktów z twego prywatnego życia. Wiesz chyba, co się przytrafiło Willowi Grahamowi?

- Czytałam o tym w swoim czasie.

- Kiedy Will go zdemaskował, Lecter wypruł z niego flaki nożem do linoleum. To cud, że Will przeżył. Pamiętasz Czerwonego Smoka? Lecter napuścił Francisę Dolarhyde'a na Willa i jego rodzinę. To przez Lectera twarz Willa wygląda teraz, jakby namalował ją ten cholerny Picasso. W szpitalu poharatał ciężko pielęgniarkę. Rob, co do ciebie należy, i ani na moment nie zapominaj, kim

on jest.

- A kim on jest? Pan wie?

- Wiem, że jest potworem. Poza tym, nikt nie może powiedzieć o nim nic pewnego. Może ty się dowiesz. Nie jesteś tu przez przypadek, Starling. Zadałaś mi kilka interesujących pytań, kiedy wykladałem na Uniwersytecie Wirginia. Dyrektor dostanie do ręki raport podpisany twoim własnym nazwiskiem, jeśli będzie klarowny, zwięzły i dobrze napisany. Ja o tym zadecyduje. Chce go mieć na godzinę dziewiątą zero zero w niedzielę. W porządku, Starling, postępuj zgodnie z procedurą. Crawford uśmiechnął się do niej, ale oczy pozostały martwe.

## ROZDZIAŁ 2

Doktor Frederick Chilton, lat pięćdziesiąt osiem, dyrektor Stanowego Szpitala dla Psychiatrycznie Chorych Przestępców w Baltimore, ma długie szerokie biurko, na którym nie widac ani jednego ostrego albo twardego przedmiotu. Część personelu nazywa je „fosa”, część nie rozumie dlaczego właśnie tak. Kiedy do gabinetu weszła Clarice Starling, doktor Chilton nie ruszył się z miejsca.

- Mielismy tutaj mnóstwo detektywów, ale nie przypominam sobie, żeby był wśród nich ktoś tak przystojny - powiedział siedząc dalej za biurkiem.

Jego wyciągnięta ręka błyszczała od brylantyny, którą wklepywał przed chwilą we włosy. Uprzytomniła to sobie, zanim zdążyła pomyśleć. Pierwsza puściła jego dłoń.

- Panna Sterling, nieprawdaz?

- Starling, doktorze, przez „a”. Dziękuję, że zechciał pan poświęcić mi trochę czasu.

- Zatem i w FBI przerzucają się na dziewczęta, jak wszędzie, cha, cha. - Dorzucił do tego kwasny uśmiezek, którym zwykł przedzielać zdania.

- Biuro idzie z duchem czasu, doktorze Chilton, nie da się ukryć.

- Czy zatrzyma się pani w Baltimore kilka dni? Można tu spędzić czas równie przyjemnie jak w Waszyngtonie czy Nowym Jorku, oczywiście, jeśli zna się miasto.

Spojrzała w bok, żeby oszczędzić sobie kolejnego uśmiešku, i od razu zorientowała się, że dostrzegł na jej twarzy niesmak.

- Jestem pewna, że to wielkie miasto, ale polecono mi zobaczyć się z doktorem Lecterem i zameldować się z powrotem jeszcze dzisiaj po południu.

- Czy jest pani uchwytna pod jakimś numerem w Waszyngtonie, gdybym chciał się z panią później skontaktować?



- Oczywiście. Miło, że pan o tym pomyślał. Nadzor nad tą sprawą prowadzi agent specjalny Jack Crawford i zawsze może pan się ze mną skontaktować przez niego.

- Rozumiem - powiedział Chilton. Jego upstrzone różowymi zyłkami policzki toczyły boj z niewiarygodnie czerwono-brązowym kolorem czupryny. - Poproszę o pani legitymację. - Przyglądał się uważnie plastikowej karcie, pozwalając, by dziewczyna stała. W końcu oddał ją z powrotem i wstał z krzesła. - To nie zabierze nam dużo czasu. Proszę za mną.

- Powiedziano mi, doktorze, że zapozna mnie pan z procedurą - odezwała się.

- Mogę to zrobić w drodze. - Okrzyknął biurko i spojrzał na zegarek. - Za pół godziny mam lunch.

Cholera, powinna być lepiej go rozgryźć, lepiej i szybciej. Facet nie musi być wcale kompletnym kretyńcem. Może wie coś, co mogłoby się jej przydać. Od jednego uśmiechu korona by jej z głowy nie spadła, nawet jeśli nie jest w tym najlepsza.

- Doktorze Chilton, rozmawiam z panem teraz. Spotkanie wyznaczono w porze dogodnej dla pana, by mógł mi pan poświęcić kilka chwil. Podczas przesłuchania mogą wyniknąć jakieś problemy; może będę musiała przejrzeć razem z panem niektóre jego odpowiedzi.

- Naprawdę, bardzo w to wątpię. Aha, zanim wyjdziemy, muszę jeszcze gdzieś zatelefonować. Dołącz do pani w sekretariacie.

- Chciałabym zostawić tu płaszcz i parasolkę.

- Nie tutaj. Niech je pani da Alanowi w sekretariacie, schowa je do szafy.

Alan nosił podobny do pizamy strój przydzielany pacjentom. Wycierał właśnie popielniczki ręką koszuli.

Biorąc płaszcz z rąk Starling, obracał językiem w ustach.

- Dziękuję - powiedziała.

- Witamy panią bardzo, bardzo serdecznie. Jak często robi pani kupę? - zapytał.

- Słucham?

- Czy wychodzi z pani taka dłu-u-u-uga?

- Powiesz to sobie gdzieś sama.

- Nic nie stoi na przeszkodzie. Może się pani pochylić i patrzeć, jak ona z pani wychodzi, zobaczyć, czy zmienia kolor, kiedy styka się z powietrzem. Robi to pani? Czy nie wygląda to tak, jakby miała pani duży brązowy ogon? - Nie chciał oddać jej płaszcza.

- Doktor Chilton wzywa cię do gabinetu, natychmiast - powiedziała.

- Nie, wcale cie nie wzywam - oznajmil Chilton. - Wloz plaszcz do szafy, Alan, i nie wyjmuj go, kiedy nas nie bedzie. Zrob to. Mialem sekretarke na pelnym etacie, ale zabraly mija ciecia budzetowe. Dziewczyna, ktora pania wpuscila, pisze tutaj na maszynie przez trzy godziny dziennie, a potem mam do dyspozycji tylko Alana. Gdzie sie podzialy te wszystkie sekretarki, panno Starling? - Lypnal na nia okiem spod okularow. - Czy ma pani bron?

- Nie, nie mam.

- Czy moglbym obejrzec pani torebke i teczke?

- Widzial pan moja legitymacje.

- I jest w niej napisane, ze jest pani studentka. Prosze mi pokazac swoje rzeczy.

Wzdrygnela sie mimowolnie, kiedy zatrzasnely sie za nia pierwsze stalowe wrota i zasunal rygiel. Chilton nieco ja wyprzedzal. W korytarzu pomalowanym na zielony, szpitalny kolor unosil sie zapach lizolu. Gdzies daleko trzasnely drzwi. Clarice byla zla na siebie, ze pozwolila Chiltonowi grzebac lapa w torebce i teczce. Zdusila w sobie gniew, aby moc sie skoncentrowac. W porzadku. Czula, ze znowu w pelni panuje nad sytuacja, cala zlosc splynela po niej jak woda.

- Z Lecterem mamy wyjatkowe klopoty - mowil przez ramie Chilton. - Samo tylko usuniecie zszywek z czasopism, ktore mu przysylaja, zajmuje pielegniarzowi co najmniej dziesiec minut dziennie. Staralismy sie ograniczyc prenumerowane przez niego pisma, ale zlozyl skarge i sad nakazal nam przywrocic wszystkie tytuly. Rozmiary jego osobistej korespondencji sa olbrzymie. Na szczescie, troche sie zmniejszyla od czasu, kiedy jego miejsce w mass mediach zajeli inni osobnicy. Byl taki moment, ze byle studencina piszacy prace magisterska z psychologii mial do niego bardzo wazny interes. Pisma medyczne wciaz go publikuja, ale glownie z powodu wrazenia, jakie wywoluje na okladce jego nazwisko.

- Sadzilam, ze jego artykul na temat uzaleznienia chirurgicznego w Journal of Clinical Psychiatry jest calkiem interesujacy - odezwała sie Starling.

- Naprawde? Sadzila pani? Probowalismy studiowac Lectera. Oto wylania sie, myslalismy, szansa, aby dokonac rzeczywise przelomowego odkrycia. Tak rzadko spotyka sie zywy egzemplarz.

- Zywy egzemplarz czego?

- Czystego socjopaty, bo tym wlasnie jest, z cala pewnoscia. Ale nie sposob go przeniknac. Jest zbyt skomplikowany, by mozna bylo zastosowac wobec niego standardowe testy. A poza tym, jakze on nas nienawidzi. Wydaje mu sie, ze jestem jego Nemezis. Crawford ma leb na karku, prawda? Wiedzial, kogo wyslac do Lectera.

- Co pan przez to rozumie, doktorze Chilton?

- Mlodej kobiecie latwiej uda sie go, jak by to pani ujela, „przekabacic”. Sadze, ze Lecter nie widzial kobiety od dobrych paru lat... chyba ze przypadkiem udalo mu sie zerknac na ktoras ze sprzataczek. Normalnie nie trzymamy tutaj kobiet. W miejscach odosobnienia jest z nimi tylko klopot.

No dobrze, odpieprz się, Chilton.

- Ukończyłam z wyróżnieniem Uniwersytet Wirginia, doktorze. To nie jest pensja dla panienek z dobrego domu.

- W takim razie nie powinna mieć pani trudności z zapamiętaniem regulaminu. Nie sięgać przez kraty ani ich nie dotykać. Nie podawać mu niczego oprócz miękkiego papieru. Żadnych długopisów, żadnych ołówków. Od jakiegoś czasu ma swoje własne flamastry. W dokumentach, które pani mu przekazuje, nie może być żadnych spinaczy ani szpilek. Wszystko ma wrócić do pani na ruchomej tacy, na której dostarcza mu się pożywienia. Pod żadnym pozorem nie wolno niczego brać od niego przez kraty. Czy pani mnie rozumie?

- Rozumiem.

Mineli kolejnych dwoje stalowych drzwi. Oświetlenie było sztuczne. Za sobą pozostawili oddziały, których pacjenci mogli się ze sobą kontaktować. Teraz znaleźli się na dole, w miejscu gdzie nie było okien i zabronione były kontakty. Lampy na korytarzu osłonięto grubymi kratami jak w maszynowni statku. Doktor Chilton przystanął pod korytarzem z nich. Kiedy przebrzmiało echo ich kroków, Clarice usłyszała gdzieś za ścianą ochryply od ciągłego krzyku głos.

- Lecter nigdy nie opuszcza swojej celi bez krepującego go kaftana i knebla - wyjaśnił Chilton. - Chcę pani pokazać dlaczego. Przez pierwszy rok był wzorowym pacjentem. Złagodzone nieco środki bezpieczeństwa - było to za poprzedniego kierownictwa, rozumie pani. Po południu, osiemego lipca siedemdziesiątego szóstego roku zaczął uskarżać się na ból w piersiach i został zabrany do ambulatorium. Zdjęto kaftan, aby łatwiej było zrobić EKG. Oto co zrobił pielęgniarce, kiedy się nad nim pochylała. - Chilton wręczył Clarice fotografię z pozaginanymi rogami. - Lekarzom udało się ocalić jej jedno oko. Lecter cały czas podłączony był do monitorów. Złamał jej szczękę, żeby dostać się do języka. Nawet kiedy go polykał, puls ani na moment nie przekroczył osiemdziesięciu pięciu uderzeń na minutę.

Clarice nie wiedziała, co gorsze, fotografia czy zachłanne, przedkie, przesywające jej twarz spojrzenie Chiltona. Przypominał spragnionego kurczaka wydziubującego lzy z jej policzków.

- Trzymam go tutaj - powiedział Chilton i nacisnął przycisk tkwiący w ścianie obok ciężkich, podwójnych drzwi z pancernego szkła. Na oddział wprowadził ich wysoki pielęgniarz.

Clarice powziela twarde decyzje i zatrzymała się w progu.

- Doktorze, naprawdę zależy nam na wynikach tego testu. Jeżeli doktor Lecter uważa pana za swojego wroga, ma na pana punkcie obsesje, jak sam pan to ujął, więcej szans powodzenia mamy w przypadku, jeśli spotkam się z nim sama. Co pan o tym myśli?

Policzek Chiltona drgnął.

- Jeśli chodzi o mnie, nie widzę żadnych przeszkód. Szkoda tylko, że nie powiedziała pani tego w moim gabinecie. Mogłem wysłać z panią pielęgniarza i nie tracić czasu.

- Powiedziałabym, gdyby zechciał pan tam ze mną rozmawiać.

- Nie sądzę, żebyśmy się jeszcze zobaczyli, panno Starling. Barney, zadzwonił na kogoś, żeby ją wyprowadził, kiedy skończy z Lecterem.

Chilton wyszedł nie rzuciwszy na nią więcej okiem.

Pozostała z potężnym i nieruchawym pielęgniarzem, za nim widziała bezgłośny zegar i szafkę z drucianej siatki, w niej spray z gazem, pas z uchwytami, knebel i pistolet ze środkiem uspokajającym. Przy ścianie stał w stojaku długi pret ze specjalnym zakończeniem w kształcie litery U do „przyszpilania” więźnia do ściany.

Pielęgniarz przyglądał się jej z uwagą.

- Czy doktor Chilton powiedział pani, żeby nie dotykać krat? - Głos miał jednocześnie wysoki i ochrypły.

- Tak - odrzekła.

- Świetnie. Jego cela jest na samym końcu, ostatnia z prawej. Idąc niech pani trzyma się środka korytarza i nie zwraca na nic uwagi. Może pani zabrać dla niego pocztę, będzie w lepszym humorze. - Pielęgniarz robił wrażenie rozbawionego. - Trzeba ją tylko położyć na wózku i pchnąć do środka. Jeśli wózek jest w celi, może go pani przyciągnąć do siebie sznurkiem. On też może go pani odesłać. Na zewnątrz, tam gdzie zatrzymuje się wózek, jest pani całkowicie bezpieczna.

Dal jej dwa czasopisma z rozsypującymi się po wyjeciu zszywek stronami, trzy gazety i dwa rozpieczętowane listy.

Korytarz miał około trzydziestu metrów, cele znajdowały się po obu stronach. Niektóre z nich były murowane, z wysokim i wąskim niczym otwór strzelniczy judaszem pośrodku drzwi. Inne wyglądały jak normalne cele więzienne, ściany miały z metalowych pretów. Clarice Starling zdawała sobie sprawę, że siedzą w nich więźniowie, starała się jednak nie rozglądać na boki. Miała za sobą już więcej niż połowę korytarza, gdy ktoś zasyczał: „Czuje twoją cipkę”. Nie pokazała po sobie, że słyszy, i poszła dalej.

W ostatniej celi paliło się światło. Przeszła na lewą stronę korytarza, żeby móc wcześniej zajrzeć do środka. Wiedziała, że i tak zdradza ją stukanie obcasów.

## ROZDZIAŁ 3

Cela doktora Lectera znajdowała się w znacznej odległości od innych. Po jej przeciwnej stronie stała tylko szafka. Cela była wyjątkowa i z innych powodów. Jej ściany frontowe, jak w innych celach, tworzyły metalowe prety, za nimi jednak, w odległości większej niż zasięg ludzkiego ramienia, między ścianami, sufitem a podłogą rozpięta była gruba nylonowa siatka. Za siatką Starling

zobaczyła przysrubowany do podłogi stol, na nim wysoki stos papierow i ksiazek w miekkich okladkach, a obok proste krzeslo, takze przymocowane do podłogi.

Doktor Hannibal Lecter we własnej osobie lezał na pryczy, przeglądając włoskie wydanie magazynu Vogue. W prawej ręce trzymał luzne kartki, lewa odkładał je po kolei na bok. Doktor Lecter miał sześć palców u lewej dłoni.

Clarice zatrzymała się w niewielkiej odległości od pretów.

- Doktorze Lecter. - Uznała, że jej głos brzmi całkiem pewnie. Uniosł oczy znad magazynu.

Przez jedną niesamowitą sekundę zdawało jej się, że czuje, jak przeszywa ją jego badawcze spojrzenie.

- Nazywam się Clarice Starling. Czy mogłabym z panem porozmawiać? - Ton i dystans, jaki przyjęła, pełne były kurtuazji.

Doktor Lecter namyślał się z przytkniętym do zacisniętych ust palcem. Potem powoli wstał i miękko zbliżył się do wyjścia ze swojej klatki. Zatrzymał się tuż przed nylonową siatką, w ogóle na nią nie patrząc, tak jakby sam wybrał tę odległość.

Zobaczyła teraz, że jest niski i sympatyczny. W jego wątych dłoniach i ramionach wyczuła podobną do własnej stalową siłę.

- Dzień dobry - odezwał się, jakby właśnie otworzył drzwi. Miał nienaganny akcent, w głosie słychać było metaliczny ton; może dlatego, że tak rzadko się odzywał.

Doktor Lecter miał oczy piwne. Odbijające się w nich światło zapalało w zrenicach małe, czerwone punkciki, które wydawały się czasami ulatywać do środka niczym gasnące iskry. Objął wzrokiem jej postać.

Starannie odmierzając odległość, podeszła trochę bliżej krat. Ręce pokryły się gęsią skórką, poczuła, że cisną ją rekawy.

- Doktorze, mamy poważny problem psychologiczny. Chciałam zwrócić się do pana o pomoc.

- My, to znaczy Sekcja Behawioralna z Quantico. Rozumiem, że należy pani do drużyny Jacka Crawforda.

- Tak, należy.

- Czy mogłabym zobaczyć pani pełnomocnictwa?

Nie spodziewała się tego.

- Pokazałam je w... biurze.

- Ma pani na myśli, że pokazała je doktorowi filozofii, Frederickowi Chiltonowi?

- Tak.

- Czy pokazał pani swoje?

- Nie.

- Nie ma tam zbyt dużo do czytania, zareczam pani. Spotkała się pani z Alanem? Jest czarujący, prawda? Z którym z nich przyjemniej się pani rozmawiało?

- Ogólnie rzecz biorąc, raczej z Alanem.

- Może pani być reporterka, która Chilton wpuszczał tutaj za odpowiedniej wysokości łapówkę. Uważam, że mam prawo przyrzec się pani pełnomocnictwom.

- W porządku. - Podniosła do góry swoją plastikową kartę identyfikacyjną.

- Nie mogę nic odczytać z tej odległości. Proszę ją tu przysłać.

- Nie mogę.

- Bo jest zrobiona z twardego materiału?

- Tak.

- Niech pani poprosi Barneya.

Zbliżył się pielęgniarz. Namyslał się przez chwilę.

- Dobrze, doktorze Lecter, zgadzam się. Ale jeśli nie zwróci pan legitymacji, kiedy o to poproszę, jeśli będziemy musieli zwracać tu wszystkim głowy i związać pana, żeby ją odzyskać, wprowadzi mnie pan w zły humor. Kiedy wpadnę w zły humor, będzie pan musiał tkwić związany jak biała, aż z powrotem poczuje do pana sympatię. Odżywianie przez tube, pieluszki zmieniane dwa razy dziennie. Przez cały tydzień przetrzymam także pańską pocztę. Jasne?

- Oczywiście, Barney.

Karta pojechała na wozku. Doktor Lecter zbliżył ją do światła.

- Kursant? Tu jest napisane „kursant”. Jack Crawford przysyła do mnie na rozmowę kursantkę?  
- scisnął kartę swymi drobnymi białymi zębami i powachał, jak pachnie.

- Doktorze Lecter - upomniał go Barney.

- Oczywiście. - Położył kartę z powrotem na tacy i Barney wyciągnął ją na zewnątrz.

- Wciąż jestem studentką Akademii, zgadza się - wyjaśniła Starling - jednak tematem naszej

rozmowy nie jest FBI, ale problemy psychologiczne. Moze pan sam zdecydowac, czy mam wystarczajace kwalifikacje w tej dziedzinie.

- Hmm... - mruknal doktor Lecter. - Wlasciwie, chytrze to sobie pani wymyslila. Nie sadzisz, Barney, ze inspektor Starling przydaloby sie krzeslo?

- Doktor Chilton nic nie mowil na temat krzesla.

- A co mowia ci twoje dobre maniery, Barney?

- Zyczy sobie pani, zebym przyniosl krzeslo? - spytal Barney. - Moglibysmy je tu postawic, ale on nigdy... to znaczy nikt nie musi stac tutaj tak dlugo.

- Tak, prosze - powiedziala Starling.

Barney wyjal skladane krzeslo z zamykanej na klucz szafki w korytarzu, rozlozyl je i zostawil ich samych.

- Teraz - odezwal sie Lecter siadajac bokiem przy stole i patrzac jej prosto w twarz - chcialbym sie dowiedziec, co takiego powiedzial pani Miggs?

- Kto?

- Miggs, czlowiek o wielu jazniach, lokator celi w polowie korytarza. Cos do pani syknal. Co to bylo?

- Powiedzial: „Czuje twoja cipke”.

- Rozumiem. Ja nie czuje. Uzywa pani kremu „Evyan” i czasami skrapla sie pani „L’Air du Temps”, ale nie dzisiaj. Dzisiaj specjalnie sie pani nie uperfumowala. Co pani czuje w zwiazku z tym, co powiedzial Miggs?

- Odczuwa wrogosc z przyczyn, ktore nie sa mi znane. To niedobrze. Uwaza innych ludzi za wrogow i oni takze zywia wobec niego nieprzyjazne uczucia. Prawdziwe bledne kolo.

- Czy zywi pani wobec niego nieprzyjazne uczucia?

- Przykro mi, ze odczuwa niepokoj. Poza tym jest dokuczliwy. Skad pan wie, jakich perfum uzywam?

- Zalecial mnie zapach z pani torebki, kiedy wyjmowala pani legitymacje. Torebka jest urocza.

- Dziekuje.

- Wziela dzis pani swoja najlepsza torebke, prawda?

- Tak. - Mial racje. Z zaoszczedzonych pieniedzy kupila sobie elegancka, klasyczna torebke.

Była to najlepsza rzecz, jaka miała.

- Jest o wiele lepszej jakości niż pani buty.

- Może zarobie kiedyś na lepsze.

- Nie wątpię.

- Sam malował pan rysunki na ścianach swojej celi, doktorze?

- Sądzi pani, że wezwalem w tym celu dekoratora wnetrz?

- Ten nad zlewem przedstawia jakies europejskie miasto?

- To Florencja. Palazzo Vecchio i katedra widziana z Belvedere.

- Rysuje pan z pamięci, wszystkie te detale?

- Pamięć, pani inspektor, jest tym, co zastępuje mi widok.

- Następny rysunek to ukrzyżowanie? Środkowy krzyż jest pusty.

- To Golgota po zdjęciu z krzyża. Miałem do dyspozycji węgiel, flamaster i papier do pakowania. Widzimy tu, co spotkało w rzeczywistości złodzieja, któremu obiecano królestwo niebieskie, już po usunięciu stamtąd paschalnego baranka.

- A co go spotkało?

- Polamano mu nogi, oczywiście, tak samo jak jego koledze, który uragał Chrystusowi. Czy zupełnie nie zna pani Ewangelii świętego Jana? Proszę przyjrzec się w takim razie obrazom Duccia. Jego ukrzyżowania są doskonałe. Jak czuje się Will Graham? Jak wygląda?

- Nie znam Willa Grahama.

- Wie pani, kim jest. Protegowanym Jacka Crawforda. Poprzednim protegowanym, przed pania. Jak wygląda jego twarz?

- Nigdy go nie widziałam.

- Chyba nie ma mi pani za złe tego żartu, pani inspektor? To się nazywa „wyciac komus niezły numer”.

W ciszy, która zapadła, słyszała bicie własnego serca. Zaryzykowała.

- Może lepiej zajmijmy się innymi pana numerami. Mam ze sobą kwestionariusz...

- Nie. Nie, to było głupie i niewłaściwe. Nigdy nie można się odgryzać, kiedy chce się kogoś podejść. To, że rozumiała pani dowcip i odcięła się, sprawia, że rozmowca na chwilę wytracony



zostaje z równowagi. To z kolei ma negatywny wpływ na jego nastrój. Wszystko opiera się na nastroju. Szło pani bardzo dobrze, pani zachowanie nacechowane było uprzejmością, we właściwy sposób reagowała pani na moją uprzejmość, zdobyła sobie pani moje zaufanie, powtarzając wiernie to, co powiedział Miggs, choć z pewnością było to kłopotliwe. A potem jak piescia między oczy wali mnie pani swoim kwestionariuszem. Tak się nie robi.

- Doktorze Lecter, jest pan doświadczonym psychiatrą, klinicystą. Sądzi pan, że jestem na tyle głupia, żeby próbować wytracać pana z równowagi? Proszę o trochę więcej zaufania. Zwracam się do pana, żeby odpowiedział pan na pytania kwestionariusza, a pan albo to robi, albo nie. Czy stanie się panu coś złego, jeśli rzuci pan na to okiem?

- Czytała pani ostatnio jakieś materiały opublikowane przez Sekcję Behavioralną, inspektor Starling?

- Tak.

- Ja również. FBI postąpiło głupio odmawiając mi prenumeraty Law Enforcement Bulletin, ale i tak otrzymuje go z drugiej ręki. Mam również News od Johna Jaya, a także czasopisma psychiatryczne.

Ludzi, którzy dokonali wielokrotnych morderstw, dzieli się tam na dwie kategorie: zorganizowanych i niezorganizowanych. Co pani myśli o tym podziale?

- No cóż... myślę, że jest zasadniczy. Oczywiście, że...

- Jest symplifyczny, tego słowa chciała pani chyba użyć. Fakt, że większość psychologii to dziecinada, a ta uprawiana w Sekcji Behavioralnej niczym nie różni się od frenologii. Zacząć trzeba od tego, że ta dyscyplina nie dysponuje odpowiednim materiałem ludzkim. Proszę iść na jakikolwiek wydział psychologii i popatrzeć, kim są studenci i wykładowcy. Spotka pani albo zwariowanych amatorów krótkofalowców, albo innych zapalcenców z wyraźnymi zaburzeniami osobowości. A i tak są to akurat ci najzdolniejsi. Zorganizowani i niezorganizowani - wymyślił to kompletny dupiek.

- A jak pan by zmienił te klasyfikacje?

- W ogóle bym nic nie zmieniał.

- A propos publikacji, przeczytałam pańskie artykuły o uzależnieniu chirurgicznym i o mięśniach mimicznych prawej i lewej strony twarzy.

- Istotnie, są pierwszorzędne - stwierdził doktor Lecter.

- Takie jest też moje zdanie i zdanie Jacka Crawforda. To on mi je wskazał. Jest jeden powód, w związku z którym się o pana niepokoi...

- Stary stoik Crawford się niepokoi? Musi być bardzo zajęty, jeśli szuka pomocy u studentek.

- Jest zajęty i pragnie...

- Zajety Buffalo Billem.

- Tak sadze.

- Nie. Nie „tak sadze”, pani inspektor. Wie pani swietnie, ze chodzi o Buffalo Billa. Myslalem, ze moze Jack Crawford przyslal pania, zeby mnie o niego zapytac.

- Nie.

- Wiec nie pracuje pani przy tej sprawie?

- Nie. Przyszlam do pana, poniewaz potrzebujemy...

- Co pani wie o Buffalo Billu?

- Nikt nie wie o nim zbyt duzo.

- Czy w gazetach bylo wszystko, co wiecie?

- Tak mysle. Doktorze, nie ogladalam zadnych zastrzezonych materialow na ten temat, moim zadaniem jest...

- Ilu kobiet uzyl Buffalo Bill?

- Policja odnalazla piec.

- Wszystkie obdarte ze skory?

- Tak, czesciowo.

- Gazety ani razu nie wyjasnily, dlaczego tak go nazwano. Wie pani, dlaczego mowia na niego Buffalo Bill?

- Tak.

- Prosze mi powiedziec.

- Powiem panu, jesli rzuci pan okiem na kwestionariusz.

- Dobrze, rzuca i na tym koniec. A wiec dlaczego?

- Ktos w wydziale zabojstw Kansas City glupio sobie zazartowal i stad sie to wzelo.

- Tak...?

- Nazwali go Buffalo Billem, poniewaz zdiera skore z torsow. Clarice pomyslala, ze ma do wyboru: okazac przerazenie albo potraktowac to, co powiedziala, zartobliwie. Wybrala przerazenie.

- Proszę mi przesłać kwestionariusz.

Położyła na wozku niebieski formularz. Siedziała nieruchomo, podczas gdy Lecter szybko przerzucał kartki. Położył je z powrotem na wózek.

- Och, pani inspektor, czy naprawdę sądzi pani, że podda mnie sekcji za pomocą tego błękitnego małego instrumentu?

- Nie. Sądzę, że może pan wniknąć w samego siebie i posunąć do przodu nasze badania.

- A z jakiego powodu miałbym to zrobić?

- Z powodu ciekawości.

- Ciekawości czego?

- Dlaczego jest pan tutaj. Co się panu przydarzyło.

- Nic mi się nie przydarzyło, pani inspektor. Sam stanowią o swoim losie. Nie możecie ograniczyć moich możliwości. Zrezygnowaliście z kryteriów dobra i zła dla behawioryzmu. Założyliście wszystkim moralne pieluszki. Nic nie jest nigdy, według was, czyjakolwiek wina. Niech pani spojrzy na mnie, pani inspektor. Czy osmieleli się pani powiedzieć, że jestem zły? Czy jestem zły?

- Sądzę, że jest pan destruktywny. To dla mnie to samo.

- A zatem zło jest tylko destrukcja? W takim razie, jeśli to takie proste, sztormy są także złem. Pożary, gradobicia. Towarzystwa ubezpieczeniowe podciągają to wszystko pod kategorie klęski żywiołowej. Taka była wola Boga.

- Niech pan pomyśli o...

- Dla zabicia czasu kolekcjonuje zdjęcia zniszczonych kościołów. Czy oglądała pani fotografie kościoła, który zawalił się ostatnio na Sycylii? Wspaniale! Fasada runęła na sześćdziesiąt pięć staruszek zgromadzonych na specjalnej mszy. Czy był to przejaw zła? Jeśli tak, kto był jego autorem? Jeżeli On jest tam na gorze, to wprost uwielbia takie rzeczy. Tecza i powódź... wszystko bierze się z tej samej przyczyny.

- Nie wytłumaczę tego panu, doktorze, ale znam kogoś, kto potrafi.

Powstrzymał ją wyciągnięta reka. Dłoń miał foremna. Zauważyła, że środkowy palec był idealnie zdublowany. To najrzadsza forma tej anomalii.

Kiedy odezwał się ponownie, głos miał przyjemny i miękki.

- Chciałaby mnie pani jakos zaklasyfikować, pani inspektor. Ma pani takie ambicje, nieprawdaz? Wie pani, kogo mi przypomina swoją elegancką torebką i tanimi pantoflami? Prosta babę ze wsi. Wyszorowane mydłem, pozbawione smaku wiejskie popychadło. Pani oczy są jak tanie

szkielka: świeca się, kiedy wycygnani pani ode mnie jakas marna odpowiedz. W tych oczach kryje się spryt, prawda? Za wszelka cene nie chce pani być taka sama jak jej matka. Dobre odżywianie wydłużyło trochę pani kości, ale nadal tylko jedno pokolenie dzieli panią od tych, co ryli węgiel w kopalniach. Z jakich Starlingów się pani wywodzi: tych z zachodniej Wirginii czy z Ohio? Trudno się było zdecydować pomiędzy college'em a ułatwieniami, które oferowano w Kobiecej Służbie Pomocniczej, nieprawdaz? Pozwolisz, że powiem o tobie coś szczególnego, studentko Starling. W swoim małym pokoiku masz rozaniec nanizany z małych, złocistych paciorków i kiedy patrzysz na niego, widzisz, jaki jest wyslizgany, jaki wyrobiony, robi ci się niedobrze. I te wszystkie beznadziejnie nudne formuły, te dziękuję, przepraszam, proszę, całe to żalodne obmacywanie, paciorek po paciorku, flaki się od tego przewracają. Nuda. Straszna nuda. Trzeźwe spojrzenie zabija wiele złudzeń, nieprawdaz? Zmienia się gust, już nie wystarczają te słodkości. A kiedy wspomnisz, o czym sobie tutaj gawędziliśmy, przyjdzie ci na myśl, że trzeba się tego wszystkiego pozbyć, jak niepotrzebnego zwierzątko.

Jeśli paciorki do reszty się wyslizgają, co innego ci w życiu zostanie? Martwisz się o to w łóżku, jak nie możesz zasnąć? - najuprzejmiejszym z tonów spytał doktor Lecter.

Starling podniosła głowę i spojrzała mu prosto w twarz.

- Dużo pan widzi, doktorze. Nie będę zaprzeczała niczemu, co pan powiedział. Ale jest pytanie, na które odpowie mi pan, chce pan czy nie, właśnie w tej chwili: czy ma pan w sobie dość siły, żeby skierować ten przenikliwy intelekt na samego siebie? Nie jest łatwo zniesć taki zabieg. Sama tego przed chwilą doświadczyłam. Co pan na to? Niech pan spojrzy w głąb i napisze o sobie całą prawdę. Gdzie pan znajdzie bardziej godny siebie, bardziej interesujący przedmiot badań? A może pan się boi samego siebie?

- Jest pani twarda, prawda, inspektor Starling?

- W rozsądnych granicach, tak.

- I nie znosi pani myśli, że może okazać się osoba pospolita. Czy to nie to panią tak boli? No dobrze, daleka jest pani od pospolitości. Została z niej pani tylko sama obawa, że ktoś może tak pomyśleć. Jak grube są paciorki pani rozanca, siedem milimetrów?

- Siedem.

- Pozwoli pani, że coś jej zaproponuję. Niech pani weźmie trochę szklanych koralików zwanych tygrysiami oczkami i naniza je pomiędzy złote paciorki. Można to zrobić na przykład tak: dwa paciorki, trzy oczka, albo jeden paciorek, jedno oczko, jak pani chce. Będzie pani bardziej do twarzy. Tygrysie oczka podkreślą kolor oczu i lśnienie pani włosów. Czy ktoś wysłał pani kiedyś kartkę na dzień świętego Walentego?

- Tak.

- Zaczął się Wielki Post. Do dnia świętego Walentego pozostał tylko tydzień. Hmm... Czy spodziewa się pani od kogoś kartki?

- Nigdy nic nie wiadomo.

- Tak, nigdy nie wiadomo... Pomyslałem o tym dniu, bo przypomina mi coś zabawnego. Teraz, kiedy przyszło mi to na myśl, dochodzę do wniosku, że w dniu świętego Walentego mogę uczynić cię bardzo szczęśliwą, Clarice Starling.

- W jaki sposób, doktorze?

- Wysyłając ci przesłaną kartkę. Będzie musiał o tym pomyśleć. A teraz proszę mi wybaczyć. Do widzenia, pani inspektor.

- A kwestionariusz?

- Kiedyś chciał mnie pomieścić w jakiejś swojej rubryce rachmistrz ze spisu powszechnego. Zjadłem jego wątroby z fasolą i dużą ilością przypraw. Wracam do szkoły, mała Starling.

Hannibal Lecter, grzeczny do samego końca, nie odwrócił się do niej plecami. Idąc tyłem cofnął się w głąb klatki, a potem ułożył na swojej pryczy i pozostał tam bez ruchu, niczym kamienny krzyżowiec na płycie grobowca.

Starling poczuła się nagle całkiem rozbita, jak po pobraniu krwi. Dłużej, niż to było konieczne, układała papiery w teczkę. Nie ufala własnym nogom. Niepowodzenie wypruło z niej wszystkie siły. Nie znosiła przegrywać. Złożyła krzesło i oparła je o drzwiczki szafki.

Musiała znowu przejść obok celi Miggsa. Barney w końcu korytarza udawał, że czyta. Mogła go zawołać, żeby tu po nią przyszedł. Niech diabli wezmą Miggsa. Nie był gorszy od robotników budowlanych albo tragarzy, na których można się natknąć każdego dnia w mieście. Ruszyła z powrotem korytarzem.

Tuż obok siebie usłyszała syk Miggsa:

- Przegryzłem sobie żyły w przegubach i mogę umrzeć! Chcesz zobaczyć, jak krwawie?

Mogła zawołać Barneya, ale zaskoczona, spojrzała w głąb celi. Zobaczyła, jak Miggs pstryka palcami, i zanim zdążyła się odwrócić, na policzku i ramieniu poczuła coś ciepłego.

Uciekła stamtąd. To była sperma, nie krew. Z tyłu wołał ją Lecter, słyszała go dobrze. Metaliczny zgrzyt w jego głosie był teraz o wiele wyraźniejszy.

- Pani inspektor!

Wstał z pryczy i wołał ją. Szła dalej w kierunku Barneya. W torebce znalazła papierowe serwetki.

- Inspektor Starling! - zabrzmiało z tyłu. Odzyskała teraz w pełni panowanie nad sobą. Zbliżała się do żelaznych drzwi bloku.

- Inspektor Starling! - W głosie Lectera pojawił się nowy ton.

Zatrzymała się. Czego ja, na miłość boską, od niego chce? Miggs syknął coś, ale nie słuchała.

Znowu stała przed ciałem Lectera. Miała przed sobą rzadki widok - doktor był wyraźnie poruszony. Wiedziała, że potrafi to na niej wyczuć wechem. Potrafił wyczuć wszystko.

- Wolalbym, żeby się to pani nie przydarzyło. Do wszelkich przejawów braku szacunku odnosi się z niewymownym wstętem.

Tak jakby popełniając morderstwa wyżył się całkowicie pospolitego grubianstwa. Albo raczej, pomyślała Clarice, podniecało go, że widział ją naznaczoną w ten szczególny sposób. Trudno powiedzieć. Iskierki w jego oczach odpływały w ciemność jak robaczki świętojanki w głąb jaskini.

Cokolwiek to jest, obrotów to na moją korzyść, Jezus! Podniosła teczkę.

- Proszę, niech pan to dla mnie zrobi.

Chyba było już za późno; z powrotem odzyskał spokój.

- Nie. Ale ponieważ wróciłaś, sprawię, że będziesz szczęśliwa. Dam ci coś innego. Dam ci coś, co kochasz najbardziej, Clarice Starling.

- Co to jest, doktorze?

- Awans, oczywiście. Ze nastąpi, to pewnie jak amen w pacierzu.

Bardzo mnie to cieszy. Ta rzecz przyszła mi na myśl, kiedy pomyślałem o dniu świętego Walentego. - Nie wiadomo, dlaczego uśmiechnął się pokazując drobne, białe zęby. Mówił tak cicho, że ledwo go słyszała. - Zjrzyj do samochodu Raspaila, żeby odebrać stamtąd swój upominek. Słyszysz mnie? Zjrzyj do samochodu Raspaila, żeby odebrać swój upominek. A teraz idź już lepiej. Nie sądzę, żeby Miggsowi udało się tak szybko powtórzyć swój numer, nawet jeśli jest rzeczywiście szalony.

## **ROZDZIAŁ 4**

Clarice Starling czuła się wyczerpana i podniecona. Gonila resztkami sił. Pewne rzeczy, o których opowiedział jej Lecter, były prawdziwe, niektóre tylko otarły się o prawdę. Przez kilka sekund miała wrażenie, jakby do jej umysłu wdarła się cudza świadomość i rozrabiała tam niczym słoń w składzie porcelany.

Wściekało ją to, co powiedział o jej matce. Musiała się uspokoić. W końcu to tylko sprawy zawodowe.

Siedziała w swoim starym fordzie pinto, zaparkowanym naprzeciwko szpitala, i oddychała głęboko. Kiedy szyby pokryły się mgielką, zyskała przynajmniej nikle poczucie odosobnienia.

Raspail. Pamiętała to nazwisko. Raspail był pacjentem Lectera i jedna z jego ofiar. Na zapoznanie się z aktami Lectera miała tylko jeden wieczor. Teczka była opasła, a Raspail jednym z wielu zamordowanych. Musi jeszcze raz zajrzeć do akt.

Miała ochotę już teraz wypatroszyć samochód Raspaila, ale wiedziała, że poza nią nikomu się nie spieszy. Sprawa zamknięta została przed wieloma laty, nikomu nie groziło niebezpieczeństwo. Miała dużo czasu. Zanim zrobi następny krok, powinna się kogoś poradzić i zebrać więcej informacji.

Crawford mógł odebrać jej sprawę i powierzyć komu innemu. Musiała wykorzystać szansę.

Próbowała dozwonić się do niego z budki telefonicznej, ale powiedziano jej, że właśnie zebrze teraz o dodatkowe fundusze dla Departamentu Sprawiedliwości przed komisją budżetową Izby Reprezentantów.

Mogła uzyskać dokładne informacje w wydziale zabójstw policji w Baltimore, ale zabójstwo nie podlega jurysdykcji federalnej i spostrzegła, że mogą zabrać jej sprawę, nim się obejrzy.

Pojechala z powrotem do Quantico, do Sekcji Behawioralnej, z jej zasłonami w brązowy rzucik i szarymi teczkami, w których skatalogowane było piekło. Siedziała tam, przesuując klatki mikrofilmów sprawy Lectera aż do późnego wieczora, kiedy dawno wyszła ostatnia sekretarka. Stary rzutnik jarzył się w zaciemnionym pokoju niczym oświetlona od środka, wydrazona dynia. Na jej przejętej twarzy odbijały się czarnymi cętkami litery i negatywy zdjęć.

Raspail, Benjamin Rene, mężczyzna rasy białej, lat 46, był pierwszym flecistą orkiestry symfonicznej w Baltimore. Leczył się u psychiatry, doktora Hannibala Lectera.

22 marca 1975 roku nie przyszedł na koncert w Baltimore. 25 marca odnaleziono jego ciało. Spoczywał w pozycji siedzącej na ławce w małym wiejskim kościełku niedaleko Falls Church, w stanie Wirginia, odziane wyłącznie w biały krawat i frak. Podczas sekcji stwierdzono, że miał przebite serce i wycięta trzustkę oraz grasice.

Clarice Starling, która od dzieciństwa wiedziała o przyrządzaniu posiłków znacznie więcej, niż było to jej potrzebne do szczęścia, zorientowała się, że brakujące organy wchodzi w skład tak zwanej nerkowki.

Wydział zabójstw z Baltimore uważał, że organy te stanowiły część menu obiadu wydanego przez Lectera na część dyrektora i dyrygenta orkiestry symfonicznej z Baltimore, następnego wieczoru po zniknięciu Raspaila.

Doktor Hannibal Lecter zeznał, że nic mu nie wiadomo w tej kwestii. Dyrektor i dyrygent orkiestry zgodnie zeznali, że nie przypominają sobie żadnych podanych podczas obiadu potraw, mimo że dom Lectera słynął z doskonałej kuchni, a on sam był autorem licznych artykułów, zamieszczanych

w specjalistycznych pismach kulinarnych.

W związku z całkowitą utratą łaknienia i uzależnieniem od alkoholu, dyrektor leczył się potem w Bazylei, w prowadzonym przez duchownych sanatorium dla nerwowo chorych.

Zdaniem policji z Baltimore Raspail był dziewiąta znana ofiara Lectera.

Raspail zmarł nie pozostawiając testamentu i przez kilka miesięcy, dopóki nie opadło zainteresowanie opinii publicznej, głośno było w prasie o procesach, które toczyli ze sobą o spadek jego krewni.

Krewnym Raspaila udało się również, wspólnie z rodzinami innych pacjentów i ofiar Lectera, wygrać proces, w którym domagali się zniszczenia całej kartoteki i taśm zgromadzonych przez zbrodniczego psychiatrę. Ich głównym argumentem było to, iż nie wiadomo, jak wiele kłopotliwych tajemnic poznał i włączył do swojej dokumentacji Lecter.

Na egzekutora majątku sąd wyznaczył Everetta Yow, adwokata Raspaila.

Żeby uzyskać dostęp do samochodu, Clarice Starling powinna zwrócić się najpierw do adwokata. On zaś, powodowany troską o dobre imię Raspaila i odpowiednio wcześnie uprzedzony, mógł zniszczyć wszelkie dowody obciążające jego zmarłego klienta.

Clarice wolała uderzyć znięca. Do tego potrzebna jej była dobra rada i pozwolenie z góry. Była w Sekcji Behawioralnej sama i mogła zaglądać, gdzie tylko chciała. Znalazła domowy numer Crawforda w notesie przy telefonie.

Trzymając przy uchu słuchawkę nie usłyszała ani razu sygnału z tamtej strony. Nagle odezwał się jego głos, bardzo cichy i spokojny.

- Jack Crawford.

- Tu Clarice Starling. Mam nadzieję, że nie oderwałam pana od kolacji... - Odpowiedziała jej cisza, mówiła więc dalej. - Lecter powiedział mi dziś coś na temat sprawy Raspaila. Jestem właśnie w biurze i staram się iść śladem tej informacji. Powiedział, że coś jest w samochodzie Raspaila. Mogę to załatwić za pośrednictwem jego adwokata i ponieważ jutro jest sobota... nie mamy zajęć... chciałam pana zapytać, czy...

- Starling, czy przypominasz sobie, co kazałem ci zrobić z informacjami uzyskanymi od Lectera? - Głos Crawforda był piekielnie spokojny.

- Dostarczyć panu raport na godzinę dziewiąta zero zero w niedzielę.

- Zrób to, Starling. Zrób dokładnie to, o co cię prosilem.

- Tak, sir.

W uchu zadzwieczał sygnał centrali. Poczula, jak twarz staje jej w ogniu i pieka oczy.



- Pieprze cie w dupe - powiedziala. - Ty stary, oblesny sukinsynie. Szkoda, ze Miggs nie spuscil sie na ciebie, zobaczylbys, jakie to przyjemne.

Wypucowana, ubrana w nalezaca do Akademii nocna koszule, Clarice sleczala wlasnie nad druga wersja swego raportu, kiedy z biblioteki wrocila jej wspollokatorka, Ardelia Mapp. Widok jej szerokiej, brazowej, ponad wszelka watpliwosc zdrowej psychicznie fizjonomii byl tym, czego Clarice potrzebowała tego dnia najbardziej.

Ardelia Mapp dostrzegła w jej twarzy zmeczenie.

- Cos ty dzisiaj robila, dziewczyno? - Mapp zawsze zadawala pytania, tak jakby nie sprawialo jej wiekszej roznicy, czy otrzyma na nie odpowiedz.

- Wdzieczylam sie do wariata, ktory zalatwil mnie na szaro.

- Chcialabym miec tyle czasu co ty na zycie towarzyskie. Nie wiem, jak ty to godzisz z uczelnia.

Clarice uprzytomnila sobie, ze sie smieje. Ardelia Mapp smiala sie rowniez, na ile mogła sie smiac z tak mizernego dowcipu. Clarice Starling nie mogła przestac i wciaz slyszala jak z oddali swoj smiech. Przez lzy widziala dziwnie postarzala Mapp i smutny usmiech na jej twarzy.

## ROZDZIAŁ 5

Jack Crawford, lat piecdziesiat trzy, siedzi w fotelu w sypialni swego domu i czyta ksiazke przy swietle nocnej lampki. Przed soba ma dwa podwojne lozka, oba podniesione na wysokosc, ktora maja lozka szpitalne. Jedno jest jego wlasne, na drugim lezy jego zona, Bella. Crawford slyszy, jak Bella oddycha przez usta. Minely dwa dni od chwili, kiedy ostatnio zdolala sie poruszyc i odezwała do niego.

Oddech zatrzymuje sie na chwile. Crawford podnosi wzrok znad ksiazki, patrzy ponad szklami okularow. Odklada ksiazke na bok. Przez chwile Bella lapie kurczowo powietrze, potem oddycha pelna piersia. Crawford wstaje, zeby polozyc jej reke na czole, zbadac puls i cisnienie krwi. W ciagu ostatnich miesiecy nauczyl sie bezblednie mierzyc cisnienie.

Poniewaz noce spedza przy niej, ustawil swoje lozko tuż obok lozka Belli. Stoi ono na tej samej wysokosci, aby mogl w ciemnosci dosiegnac zony reka.

Pomijajac wysokosc lozek i zalozone dla wygody Belli nieliczne instalacje, Crawfordowi udalo sie utrzymac normalny charakter sypialni, nie zamienic jej w szpitalna sale. Sa tu kwiaty, ale niewiele. W zasiegu wzroku nie ma zadnych tabletek. Przed przywiezieniem jej ze szpitala Crawford oproznil plocienna szafke w przedpokoju i umiescil tam lekarstwa i aparature medyczna. (Po raz drugi wtedy przeniosl ja przez prog i ta mysl prawie kompletnie odebrala mu sily).

Z poludnia nadciaga cieply powiew. Okna sa otwarte, powietrze w Wirginii jest lagodne i

świeże. W ciemności kumkaja małe zębki.

W pokoju panuje nieskazitelna czystość, ale dywan zaczął się trochę mechacic. Crawford nie używa w pokoju hałasliwego odkurzacza, lecz specjalnej szczotki do dywanów, która jednak nie jest tak dokładna. Podchodzi do szafy i zapala światło. Na drzwiach wiszą dwie tabliczki. Na pierwszej z nich notuje puls i ciśnienie krwi Belli. Kolumny cyfr stawianych przez niego i pełniacza dzienny dyżur pielęgniarkę biegną przez wiele złotych kartek, przez wiele dni i nocy. Na drugiej tabliczce pielęgniarka zapisuje rodzaj i dawkowanie leków.

Crawford jest w stanie podać jej w nocy każdy lek, który może okazać się potrzebny. Zanim przywiózł Belle do domu, ćwiczył pod nadzorem pielęgniarki robienie zastrzyków - najpierw na cytrynie, potem na własnych udach.

Może przez trzy minuty Crawford stoi obok żony i przygląda się jej twarzy. Włosy Belli okrywa niczym turban uroczy szal z jedwabnej mory. Nalegała, żeby go zostawić, dopóki była w stanie o cokolwiek prosić. Teraz nalega na to on. Zwilża jej wargi gliceryną i szeroka opuszka kciuka usuwa wyciek z oka. Bella pozostaje nieruchoma. Nie pora jeszcze, by ją obrócić.

Przed lustrem Crawford upewnia się, że nie jest chory, że nie musi iść do piachu razem z nią, że on sam czuje się dobrze. Łapie się na tym i jest mu wstyd.

Kiedy siada z powrotem na krześle, nie potrafi sobie przypomnieć, którą książkę czytał. Dotyka ich po kolei, żeby odnaleźć tę, która jest ciepła.

## ROZDZIAŁ 6

W poniedziałek rano Clarice Starling znalazła w swojej skrzynce wiadomość od Crawforda:

C.S.:

Prowadź dalej sprawę samochodu Raspaila. W czasie wolnym od zajęć. W sekretariacie otrzymasz kartę kredytową na rozmowy międzymiastowe. Uzgadniaj ze mną uprzednio każde wyjście w teren i kontakt z notariuszem. Raport w środę 16.00. Dyrektor otrzymał raport na temat Lectera podpisany twoim nazwiskiem. Dobrze się spisalas.

J.C.

SAIC/Sekcja 8

Clarice poczuła się całkiem niezłe. Zdawała sobie sprawę, że Crawford powierza jej tę sprawę wyłącznie po to, żeby nabrała trochę wprawy. Chciał ją jednak czegoś nauczyć. Chciał, żeby dobrze się spisała. Jakkolwiek by na to patrzeć, przekraczało to ramy zwykłej uprzejmości.

Raspail nie żył od osmiu lat. Jaki dowód rzeczowy mógł zachować się w samochodzie przez

tyle czasu?

Wiedziała z doświadczenia, że ponieważ samochody tak szybko się starzeją, w sprawach o spadek sąd apelacyjny pozwala na ich sprzedaż przed uprawomocnieniem się wyroku. Pieniądze przechowywane są na specjalnym koncie. Wydawało się mało prawdopodobne, by samochód wchodził jeszcze w skład majątku pozostawionego przez Raspaila, mimo że jego podział okazał się kwestią tak powikłaną.

Istotny był również problem jej wolnego czasu. Wliczając przerwę na lunch, Clarice Starling miała siedemdziesiąt pięć minut dziennie na korzystanie z telefonu w godzinach urzędowania. Raport miała złożyć Crawfordowi w środę po południu. Na odnalezienie samochodu miała zatem w ciągu tych trzech dni łącznie trzy godziny i czterdzieści pięć minut, przy założeniu, że poświęci na to popołudnia, a uczyć się będzie w nocy.

Miała dobre notatki z zajęć na temat procedury śledczej. Mogła także zawsze zapytać o to i owo swoich wykładowców.

W czasie poniedziałkowej przerwy na lunch pracownicy okręgowego sądu w Baltimore trzy razy kazali jej czekać przy telefonie i trzy razy o niej zapomnieli. W czasie wykładów udało się jej zadzwonić do znajomego urzędnika sądowego, który wydział dla niej akta dotyczące podziału majątku Raspaila.

Urzędnik potwierdził, że wydano zezwolenie na sprzedaż auta i korzystając z odpisu umowy podał jego markę, typ, numer fabryczny oraz nazwisko następnego właściciela.

We wtorek straciła połowę przerwy na lunch, żeby dowiedzieć się czegoś więcej o właścicielu. Pozostała połowa zajęła jej ustalenie, że Wydział Komunikacji stanu Maryland nie może zlokalizować samochodu wyłącznie na podstawie jego marki i numeru fabrycznego. Potrzebny jest jeszcze numer rejestracyjny albo numer aktualnej polisy ubezpieczeniowej.

Po południu ulewa przegnała studentów ze strzelnicy. W parującej od mokrych ubrań i potu sali konferencyjnej, instruktor strzelecki, były sierżant piechoty morskiej, John Brigham, postanowił sprawdzić przed całą klasą siłę reki Starling. Chodziło o to, ile razy w ciągu sześćdziesięciu sekund uda się jej pociągnąć za spust rewolweru Smith & Wesson model 19. Lewa ręka udało jej się to siedemdziesiąt cztery razy. Zdmuchnęła opadający jej na oczy kosmyk włosów i przerzuciła rewolwer do prawej. Stojący obok student liczył pociągnięcia. Stała z wyciągniętą dłoń, w lekkim rozkroku, muszkę widziała ostro, szczerbinka i pozorny cel były prawidłowo zamglone. W połowie próby, żeby odsunąć od siebie wzbierający ból, zaczęła myśleć o czymś innym. Zawieszony na ścianie cel nabral ostrości. Celem był list dziękczynny, który wystosowało biuro ochrony handlu międzystanowego do jej instruktora, Johna Brighama.

Podczas gdy stojący obok student liczył trzaski spustu, Starling wypytywała półgłosem Brighama.

- Jak można odkryć aktualny numer rejestracyjny...

- ...szescdziesiatpiedziescdziescdziescdzie...
- ...samochodu, kiedy zna sie tylko jego numer fabryczny...
- ... siedemdziesiat siedemdziesiat osiem...
- ...i marke. Brak takze numeru aktualnej polisy ubezpieczeniowej.
- ...osiemdziesiatdziewiecdziewiecdziesiat. Koniec.

- W porzadku, kochani - oznajmil instruktor. - Chce, zebyscie wzieni to sobie do serca. Podczas dlugiej strzelaniny liczy sie przede wszystkim sila reki. Niektorzy z was, panowie, obawiaja sie, ze nastepnym razem to oni poddani zostana probie. Obawy te sa w pelni uzasadnione. Wyniki Starling sytuuja ja grubo powyzej sredniej i to zarowno jesli chodzi o lewa, jak i prawa reke. Dlaczego? Poniewaz duzo cwiczy. Cwiczy na tych malych przyjemnych przyrzadach do wyciskania, do ktorych wszyscy przeciez macie latwy dostep. Wiekszosci z was nie zdarzylo sie jednak wycisnac w zyciu niczego oprócz... - zawsze czujny, zeby nie uzyc bliskiej jego sercu terminologii marines, pogmeral w pamieci szukajac jakiegos przyzwoitego substytutu - ...wlasnej krosty - oznajmil w koncu. - Mowiac powaznie, Starling, i ty nie jestes jeszcze dostatecznie dobra. Zanim dostaniesz dyplom, chce, zebys doszla do dziewiecdziesieciu. Lewa reka naturalnie. Teraz dobierzcie sie parami i mierzcie sobie czas. Zwawo, kochani, zwawo! Ty nie, Starling, ty podejdz tutaj. Co jeszcze masz na temat samochodu?

- Tylko numer fabryczny i marke. I bylego wlasciciela sprzed pieciu lat.

- W porzadku, posluchaj. Wiekszosc ludzi wpie... wpiernicza sie w slepa uliczke, starajac sie isc tropem numerow rejestracyjnych - od jednego wlasciciela do drugiego. Na dodatek, kazdy zyje w innym stanie. Mozna dostac krecka. Mowie ci, nawet gliny popelniaja czasem ten blad. Numer rejestracyjny i numer polisy to wszystko, co mozesz wydobyć z komputera. Wszyscy przyzwyczailismy sie poslugiwac tymi dwoma numerami, a nie numerem fabrycznym.

Cwiczebne rewolwery, z pomalowana na niebiesko rekojescia, trzaskaly tak glosno, ze musial jej krzyczec prosto do ucha.

- Jest jeden latwy sposob. Firma, R.L. Polk & Company - ta sama, co publikuje ksiegi adresowe, uklada listy aktualnych numerow rejestracyjnych wedlug marek i kolejnosci numerow fabrycznych. To jedyne zrodlo. To na nim opieraja sie sprzedawcy samochodow, zamieszczajac ogloszenia. Skad wiedzialas, zeby sie z tym do mnie zwrocic?

- Byl pan w biurze ochrony handlu miedzystanowego. Pomyslalam, ze musial pan wysledzic mnostwo samochodow. Dzieki.

- Mozesz mi sie odwiedzic poprawiajac wyniki lewej reki, zeby nie byla gorsza od prawej. Narobimy wstydu tym maminsynkom.

Kiedy znalazla sie znowu w budce telefonicznej, rece drzaly jej tak, ze z trudnoscia odcyfrowywala wlasne notatki. Raspail mial forda. Niedaleko Uniwersytetu Wirginia znajdowal sie

warsztat naprawiający samochody tej marki. Jego właściciel od lat cierpliwie walczył o utrzymanie przy życiu jej starego pinto. Teraz, z podobną cierpliwością, strona po stronie przerywał katalog R.L. Polka. Wroczył do telefonu z nazwiskiem i adresem ostatniej osoby, która zarejestrowała samochód należący niegdyś do Raspaila.

Clarice jest na fali, Clarice kontroluje sytuację. Nie bądź głupia, zadzwoń do faceta do domu, spojrzmy na numer, kierunkowy dziewięć, to Arkansas. Jack Crawford nigdy mnie tam nie puści, ale przynajmniej ustal, kto ma ten wóz.

Dzwoniła raz i drugi. Bez odpowiedzi. Odległy podwójny sygnał brzmiał niepoważnie, jak w dziecięcym telefonie. Spróbowała jeszcze raz wieczorem. Bez rezultatu.

W środę podczas przerwy na lunch ktoś podniósł słuchawkę.

- Rozgłoszają WPOQ, „Niezapomniane przeboje”.

- Halo, chciałabym mówić...

- Nie potrzebuję blachy falistej do ocieplania domu ani nie zamierzam zamieszkać w przyczepie na Florydzie, jaki jeszcze ktoś chce mi wcisnąć?

W głosie swojego rozmowcy Clarice rozpoznała znajomy akcent mieszkańców gorzystych okolic stanu Arkansas. Przystawienie się nie zabrało jej więcej niż sekundy, czasu było niewiele.

- Gdyby mi pomógł, byłabym serdecznie zobowiązana. Próbuje złapać pana Lomaxa Bardwella. Nazywam się Clarice Starling.

- To Clarice Jakastam - wrzasnął mężczyzna do swoich domowników. - Czego chce od Bardwella?

- Jestem z biura reklamacji Forda, oddział południowy. Mamy dokonać w jego modelu LTD bezpłatnej naprawy gwarancyjnej.

- To ja jestem Bardwell. Myślałem, że chce mi sprzedać jakąś tandetę na odległość. Nie ma już co naprawiać, trzeba dać nowy. Byłem z żoną w Little Rock, tam jak się wyjeżdża z Southland Mall...  
- I co?

- Wal korbowy przebił mi miskę. Olej zapaskudził całą drogę. Akurat zasuwał tamtędy swoją ciężarówką ten wazniak Orkin. Najechał na płomień i zniósł go z drogi.

- Boże, zlituj się.

- Siedział budkę automatu do robienia zdjęć. Całe szkło z niej wypadło. Wyleciał z niej facet, który siedział w środku. Zataczał się jak pijany. Nie powinien robić zdjęć przy samej szosie.

- Ja w każdym razie nie będę. Co się z nim dalej stało?

- Z kim?

- Z samochodem.

- Powiedziałem Buddy'emu Sipperowi ze złomowiska, że może go sobie zabrać za pięćdziesiąt dolarów. Na pewno już go sprasował.

- Panie Bardwell, czy może mi pan powiedzieć, jaki jest numer jego telefonu?

- Czego chce od Sippera? Jeśli ktoś ma tu dostać szmal, to przede wszystkim ja.

- Rozumiem, sir. Robię po prostu to, co mi kazali. Do piątej mam odnaleźć samochód. Ma ten numer?

- Nie mogę znaleźć notesu. Zawieruszył się jakiś czas temu. Wie, jak to jest z wnukami. Powinna jej dać centrala, niech zapyta o skład złomu Sippera.

- Serdeczne dzięki, panie Bardwell.

U Sippera potwierdzili, że samochód został rozmontowany, sprasowany i wywieziony do huty. Kierownik odczytał jej tylko zachowany w dokumentach numer fabryczny.

Dupa mokra, pomyślała Clarice. Nie zapomniała jeszcze wyrażen z rodzinnych stron. Słepa uliczka. Był prezent, nie ma prezentu.

Oparła głowę o chłodny pojemnik na monety. Drzwi budki uchyliły się, do środka zajrzała Ardelia Mapp. Jedną ręką przytrzymała oparte o biodro książki, drugą podawała jej sok pomarańczowy.

- Serdeczne dzięki, Ardelia. Muszę jeszcze zadryndac w jedno miejsce. Jak się wyrobie, spotkamy się w kafejce, dobra?

- Taka miałam nadzieję, że wyzbedziesz się wreszcie tego twojego upiornego akcentu - odparła Ardelia. - Sa przecież książki, które uczą cie, jak mówić poprawnie. Spojrz na mnie. Odkąd tu jestem, ani razu nie odezwałam się w uroczym żargonie mojego podwoka. A ty belkoczesz, jakbyś polknęła zabe. Ludzie pomyśla, że masz zatwardzenie. - Mapp przymknęła drzwi budki.

Clarice czuła, że musi wydobyć więcej informacji od Lectera. Gdyby umówiła się z nim w szpitalu, uzyskanie zgody od Crawforda nie powinno być takie trudne. Wykreśliła numer Chiltona, ale nie udało jej się sforsować oporu jego sekretarki.

- Doktor Chilton jest teraz razem z koronerem i zastępcą prokuratora okręgowego - oznajmiła jej. - Rozmawiał już z pani zwierzchnikiem i nie ma pani nic więcej do powiedzenia. Zegnam pania.

## ROZDZIAŁ 7

- Twój przyjaciel Miggs nie żyje - oznajmił Crawford. - Czy powiedziałaś mi wszystko, Starling? - Wpatrywał się w nią podkrążonymi, zmęczonymi oczyma. Przypominał sobie, spojrzenie miał tak samo czujne i bezlitosne.

- Jak to się stało? - Na moment ją sparaliżowało, starała się dojść do siebie.

- Polknął własny język na krótko przed switem. Chilton uważa, że namówił go do tego Lecter. Nocny pielęgniarz słyszał, jak Lecter mówi coś cicho do Miggsa. Lecter dużo o nim wiedział. Przemawiał do niego przez krótką chwilę, pielęgniarz nie słyszał dobrze, co mówił. Miggs płakał trochę, a potem przestał. Czy powiedziałaś mi wszystko, Starling?

- Tak, sir. W raporcie napisałam wszystko, co zapamiętałam, prawie dosłownie.

- Chilton zadzwonił tu, żeby złożyć na ciebie skargę... - Crawford odczekał chwilę. Wydawał się zadowolony, że o nic nie zapytała. - Powiedziałem mu, że moim zdaniem zachowałaś się właściwie. Chilton stara się o wszczęcie postępowania w sprawie naruszenia praw obywatelskich.

- Czy mu się uda?

- Oczywiście, jeśli będzie tego chciała rodzina Miggsa. Liczba spraw, które wpłynęły w tym roku do wydziału praw obywatelskich, przekroczy prawdopodobnie osiem tysięcy. Z przyjemnością wciągną Miggsa na swoją listę. - Przyjrzał się jej uważnie. - Nic ci nie jest?

- Nie wiem, co o tym myśleć.

- Nie musisz o tym specjalnie myśleć. Lecter zrobił to, żeby się rozerwać. Wie, że tak naprawdę nic nie mogą mu zrobić, więc dlaczego nie spróbować? Chilton zabierze mu na jakiś czas książki i sedes, nie będzie też dostawał swojej ulubionej galaretki. - Crawford skrzyżował ręce na brzuchu i z zainteresowaniem przyglądał się swoim kciukom. - Lecter pytał cie o mnie, prawda?

- Zapytał, czy jest pan zajęty. Powiedziałam, że tak.

- To wszystko? Nie pominęłaś w raporcie czegoś osobistego, czego nie chciałbym tam widzieć?

- Nie. Powiedział, że jest pan stoikiem, ale pusiłam to mimo uszu.

- Tak, wiem. Nic więcej?

- Niczego nie pominęłam. Nie myśli pan chyba, że popełniłam jakąś niedyskrecję i dlatego tylko zgodził się ze mną rozmawiać?

- Nie.

- Nic nie wiem na temat pana spraw osobistych, a nawet gdyby, nigdy bym na ich temat nie

dyskutowała. Jeśli mi pan nie wierzy, niech pan powie konkretnie, o co chodzi.

- Wierze. Przejdźmy do tego, czego się dowiedziałas.

- Pan coś podejrzewa...

- Powiedz, czego się dowiedziałas.

- Wzmianka Lectera na temat samochodu Raspaila okazała się ślepa uliczka. Samochód sprasowany został cztery miesiące temu, złom sprzedano do huty. Być może, gdybym poszła jeszcze raz do Lectera, powiedziałby mi coś więcej.

- Wyczerpałaś trop?

- Tak.

- Skąd wiesz, że Ford, którym jeździł Raspail, był jego jedynym samochodem?

- Bo tylko jeden był zarejestrowany, poza tym Raspail był kawalerem, więc założyłam...

- Założyłaś... - Crawford podniósł palec wskazujący. - Kiedy zlecam ci jakieś zadanie, Starling, możesz co najwyżej założyć się ze mną, że do niczego nie dojdiesz, jeśli będziesz opierać się na czystej fantazji. - Kilku wykładowców zapożyczyło od Crawforda te gre słowa, ale Clarice nie zdradziła się, że już ją słyszała.

Crawford oparł się zadowolony o krzesło.

- Raspail kolekcjonował samochody, nie wiedziałas o tym?

- Nie. Czy wciąż wchodzi w skład zarządzanego przez notariusza majątku?

- Tego nie wiem. Uważasz, że uda ci się załatwić tę sprawę?

- Tak.

- Od czego zaczniesz?

- Od notariusza.

- Mieszka w Baltimore, zdaje się, że to Chinczyk - powiedział Crawford.

- Nazywa się Everett Yow - uzupełniła Clarice. - Jego numer jest w książce telefonicznej.

- Czy pomyślałaś przez chwilę o tym, że do przeszukania samochodu potrzebny ci będzie nakaz rewizji?

Czasami ton Crawforda przywołał dziewczynie na myśl wszystkowiedzącego Pana Gasienice z Alicji w Krainie Czarów.



Zabrakło jej odwagi, żeby się odciąć.

- Ponieważ Raspail nie żyje i nie podejrzewa się go o popełnienie żadnego przestępstwa, przeszukanie można przeprowadzić na podstawie zgody notariusza sprawującego pieczę nad majątkiem. Uzyskane wówczas dowody rzeczowe mogą zostać wykorzystane w innym śledztwie - wyrecytowała.

- Dokładnie - stwierdził Crawford. - A teraz posłuchaj: zawiadamiam nasze biuro w Baltimore, że się u nich zjawisz. W sobotę, Starling, w czasie wolnym od zajęć. Wydobądź te dowody choćby spod ziemi, jeżeli tylko istnieją.

Kiedy wychodziła, Crawfordowi udało się za nią nie spojrzeć. Kosztowało go to trochę wysiłku. Z kosza na śmieci wydobył dwoma palcami zwinięty arkusz grubego, fioletoworozowego papieru listowego. Rozprostował go na biurku. List był ujmujący i dotyczył jego żony:

O, medrze srodzy, którzy czas trwonicie

Szukając ognia, co ten świat pozera;

Czemuz to prawdy, medrze, nie widzicie,

Ze to gorączka, na którą umiera?

Tak mi przykro z powodu Belli, Jack.

Hannibal Lecter

## ROZDZIAŁ 8

Everett Yow prowadził czarnego Buick'a z nalepką De Paul University na tylnej szybie. Pod ciężarem notariusza samochód przechylił się lekko na lewą stronę. W ślad za nim, prowadząca z Baltimore droga nr 301, jechała Clarice Starling. Padał deszcz, robiło się ciemno. Dzień, w którym studentka Starling wystąpiła w roli oficera śledczego, zbliżał się do końca, a nie miała następnego w zapasie. Samochody przed nią wlokły się niemilosierdzie wolno. Z niecierpliwością stukala w kierownicę w takt wycieraczek.

Yow był inteligentny, gruby i miał kłopoty z oddychaniem. Jego wiek Clarice oceniała na szesćdziesiąt lat. Jak na razie starała się jej pomóc; po powrocie z trwającej tygodni podróży służbowej do Chicago, prosto z lotniska udał się do swego biura, gdzie już czekała na niego.

- Stary Packard umieszczony został w magazynie na długo przed śmiercią swego właściciela - wyjaśnił Yow. Nie był zarejestrowany i nikt nim nie jeździł. Yow oglądał go raz w magazynie, pod pokrowcem, aby potwierdzić jego istnienie podczas inwentaryzacji majątku, której dokonał krótko po śmierci swego klienta. Zgodził się pokazać samochód pod warunkiem, że pani inspektor Starling z

gory zobowiazal sie „bezzwlocznie ujawnic” mu wszystko, co moze zaszkodzic interesom jego zmarlego klienta. Nakaz i swiadek nie byli konieczni.

Z garazu FBI wypożyczono Clarice na jeden dzien sluzbowego plymoutha zaopatrzonego w telefon komorkowy. Crawford zalatwil jej rowniez nowa legitymacje. Widnialo na niej: Federalny Agent Sledczy, bez zadnych blizszych danych. Spostrzegla, ze waznosc dokumentu wygasa za tydzien.

Jechali w kierunku magazynow Split City, polozonych w odleglosci okolo szesciu kilometrow od granic miasta. Uwieziona w wolno poruszajacym sie sznurze samochodow, dziewczyna skorzystala z telefonu, zeby dowiedziec sie czegos blizszego o prowadzacej ten interes firmie. Zanim dostrzegla pomaranczowy neon MAGAZYNY DO WYNAJECIA - SPLIT CITY, poznala juz kilka faktow.

Split City miało licencje na magazynowanie i przewoz towarow wydana przez Komisje Handlu Miedzystanowego na nazwisko Bernarda Gary'ego. Przed trzema laty sadowi federalnemu o mały wlos nie udalo sie przytknac Gary'ego pod zarzutem przemycania ze stanu do stanu kradzionych towarow. Zawieszono mu wtedy licencje.

Yow zatrzymal sie pod neonem i pokazal klucze stojacemu przy bramie pryszczatemu mlodziencowi w mundurze. Ten zapisal ich numery rejestracyjne, otworzyl brame i niecierpliwie machnal reka, jakby mial wazniejsze sprawy na glowie.

Miejsce bylo ponure, hulal po nim wiatr. Sens jego istnienia, podobnie jak niedzielnych lotow po rozwod z nowojorskiego lotniska La Guardia na lotnisko Juareza w Mexico City, sprowadzal sie do obslugi tego nieustannego procesu przyciagania i odpychania, owych spolecznych ruchow Browna, ktore maja miejsce w kazdej populacji. W wiekszosci skladowane tu bylo podzielone mienie porozwodowe. Wynajete magazyny zawalone byly glownie meblami wypoczynkowymi i kuchennymi, poplamionymi materacami, zabawkami i fotografiami, ktore nie budzily juz dobrych wspomnien. Wsrod funkcjonariuszy miejscowego biura szeryfa panowalo przekonanie, ze mozna tu takze odnalezc wiele wartosciowych przedmiotow, ktore uniknely licytacji w sprawach o bankructwo.

Caly kompleks przypominal tereny wojskowe: trzy hektary niskich, dlugich barakow, poprzedzielanych scianami przeciwpozarowymi na pomieszczenia wielkoscí obszernego garazu, kazde z zaluzjowymi, otwieranymi do gory drzwiami. Oplaty nie byly wygorowane i niektorzy przechowywali tu rzeczy przez cale lata. Magazynow dobrze strzezono.

Teren otoczony byl dwoma ogrodzeniami z wysokiej siatki, pomiedzy nimi przez dwadziescia cztery godziny na dobe biegaly psy.

Pod drzwiami boksu numer 31, w ktorym przechowywano rzeczy Raspaila, pietrzyła sie dwudziestocentymetrowa sterta mokrych lisci, papierowych kubkow i innych smieci. Po obu stronach drzwi zamocowane byly potezne kłodki. Skobel z lewej strony byl opieczetowany. Everett Yow pochylil sie nad nim z wyraznym wysilkiem. Clarice trzymala parasol i latarke w zapadajacych wczesnie ciemnosciach.

- Nie wydaje mi się, żeby ktoś to otwierał od czasu, kiedy byłem tutaj pięć lat temu - stwierdził Yow. - Na plastiku widac odcisk mojej pieczęci notarialnej. Nie miałem wtedy pojęcia, że krewni okaza się tak nieprzejednani i że sprawa będzie się wlokła tyle lat.

Teraz Yow przytrzymał parasol i latarkę, a dziewczyna zrobiła zdjęcie klodki i pieczęci.

- Raspail wynajmował kawalerkę w centrum. Zlikwidowałem ją, żeby zaoszczędzić na komornym. Kazalem przewieźć tutaj umeblowanie i umieściłem je razem z samochodem i innymi rzeczami, które już tu się znajdowały. Przywieźliśmy pianino, książki, nuty, łóżko, chyba nic więcej.

Yow próbował obrócić klucz w klodce.

- Zamek mógł zamarznąć. Ten w każdym razie w ogóle się nie obraca. - Pochylony z trudem oddychał. Kiedy chciał przykucnąć, coś chrupnęło mu w kolanach.

Clarice stwierdziła z satysfakcją, że duże chromowane klodki są typu American Standard. Wyglądały imponująco, ale wiedziała, że można z nich łatwo usunąć miedziany korpus zamka za pomocą młotka i srubokretu. Kiedy była dzieckiem, ojciec pokazywał jej, jak robia to włamywacze. Problem polegał na tym, skąd wziąć młotek i srubokret; nie miała nawet narzędzi samochodowych, które zostały w jej starym pinto.

Pogrzebała w torebce i wyciągnęła spray do rozmrażania zamków.

- Może odpocznie pan chwile w swoim samochodzie, panie Yow. Zagrzeje się pan, a ja tymczasem spróbuję coś z tym zrobić. Proszę zabrać parasol, prawie nie pada.

Clarice podjechała służbowym plymouthem pod same drzwi i oświetliła je reflektorami. Wyciągnęła bagnet do mierzenia poziomu oleju i wpuściła parę kropli do dziurek od klucza, a potem przysnęła w nie sprayem, żeby rozcieńczyć olej. Yow uśmiechał się do niej i kiwał z samochodu. Cieszyła się, że Yow okazał się człowiekiem inteligentnym: mogła spokojnie wykonywać to, co do niej należało, a on nie czuł się wyalienowany.

Zapadł zmrok. W świetle reflektorów plymoutha czuła się jak na tarczy strzelniczej. Samochód był na chodzie, koło ucha pisał jej pasek klinowy. Nie gasząc silnika zamknęła plymoutha na klucz. Pan Yow wydawał się co prawda nieszkodliwy, ale nie widziała powodu, żeby wystawiać się na niebezpieczeństwo rozplaszczenia o drzwi garażu.

Klodka odskoczyła jej w reku niczym zaba. Była ciężka i powalana olejem. Z druga poszło łatwiej, olej miał czas spłynąć.

Drzwi nie dawały się podnieść. Clarice ciągnęła uchwyt do góry, aż zaswieciły jej w oczach gwiazdy. Yow chciał jej pomóc, ale jego przepuklina i mały nieporeczny uchwyt drzwi uniemożliwiły to.

- Moglibyśmy przyjechać tu w przyszłym tygodniu z moim synem albo jakimiś robotnikami - zasugerował pan Yow. - Chciałbym wrócić wcześniej do domu.

Clarice nie była wcale pewna, czy kiedykolwiek znajdzie się jeszcze w tym miejscu. Zamiast wysłać ją ponownie, Crawford podniósł po prostu słuchawkę telefonu i przysłał tu kogoś z biura terenowego w Baltimore.

- Postaram się szybko z tym uporać, proszę pana. Czy ma pan podnosnik w samochodzie?

Wsunawszy podnosnik pod drzwi, dziewczyna stanęła na jego drugim końcu. Za dzwignię posłużył jej uchwyt podnosnika. Drzwi zaskrzypiały potwornie i podniosły się o centymetr. W środku wyginały się lekko ku górze. Centymetr po centymetrze podnosiły się, aż w końcu mogła wepchnąć pod nie koło zapasowe, żeby nie opadły. Tuż przy pionowych szynach, w których drzwi były osadzone, podstawiła pod nie oba podnosniki: notariusza i swój.

Podciągając je na zmianę, raz z jednej, raz z drugiej strony, uniosła drzwi na wysokość czterdziestu centymetrów. Tam ostatecznie się zaklinowały i nawet kiedy całym ciężarem uwiesiła się na korbce, nie chciały drgnąć ani o milimetr.

Pan Yow podszedł, żeby razem z nią zerknąć do środka. Mogł się pochylić tylko na kilka sekund.

- Śmierdzi myszami - stwierdził. - Zapewniano mnie, że stosuje się tu trucizny przeciw gryzoniom. Jest o tym mowa w kontrakcie. Twierdzili, że gryzoni się tutaj nie spotyka. Ale ja je wyraźnie słyszę, pani chyba także?

- Słysze - odparła. W świetle latarki widziała ustawione w stosy kartony i szeroka opona samochodowa z dużym białym pasem z boku. Opona była nie napompowana.

Cofnęła trochę plymoutha, jego reflektory oświetliły teraz dolną część boksu. Wyjechała z samochodu gumowy dywanik.

- Chce pani tam wejść do środka, pani inspektor? - Muszę rzucić na to okiem, mecenasie. Wyjął z kieszeni chusteczkę.

- Proszę obwiązać sobie ręce ściśle przy mankietach, żeby nie wślizgnęły się pani do rękawów myszy.

- Dziękuję panu, to świetny pomysł. Gdyby drzwi przypadkiem opadły, cha cha, albo zdarzyło się coś innego, niech pan będzie tak dobry i zadzwoni pod ten numer. To nasze biuro w Baltimore. Wiedza, że jestem tutaj z panem, i będa się niepokoić, jeśli za jakiś czas się nie odezwę. Czy wszystko jasne?

- Ależ oczywiście. Gdyby coś się stało, zadzwonie.

Dal jej kluczyki od Packarda.

Clarice Starling rzuciła gumowy dywanik na wilgotną ziemię przed drzwiami i położyła się na nim na wznak. Dłonia, w której trzymała foliowe torebki na dowody rzeczowe, osłaniała obiektyw aparatu fotograficznego. Nadgarstki miała ciasno obwiązane, jeden chusteczką swoją, drugi -

darowana przez notariusza. Na twarz spadło jej kilka kropel deszczu, w nozdrza uderzył silny odor myszy zmieszany z pleśnią. Całkiem absurdalnie stanęła jej przed oczyma łacińska maksyma.

Pierwszego dnia zajęć instruktor kryminalistyki zapisał na tablicy maksymę rzymskiego lekarza: *Primum non nocere*. Po pierwsze nie szkodzić.

Nie powiedziałby tego w garażu pełnym pieprzonych myszy.

Potem usłyszała nagle głos swego ojca, mówiącego do niej z dłonią opartą na ramieniu brata: „Jeśli nie przestaniesz piszczeć, Clarice, możesz wracać do domu, nie będziemy się dalej bawić”.

Zapięła pod samą szyją guzik bluzki, skuliła ramiona i przeslizgnęła się pod drzwiami.

Znajdowała się pod tylną częścią packarda. Stał po lewej stronie magazynu, prawie dotykając ściany. Po prawej stronie jedne na drugich, wysoko, poustawiane były kartonowe pudła. Wypełniały całą przestrzeń koło samochodu. Clarice doczołgała się na plecach aż do miejsca, w którym udało jej się wystawić głowę. Między samochodem i pudłami znajdowała się tu wąska szczelina. Puscila snop światła na ścianę z tektury. W skrawku wolnej przestrzeni gęsto było od pajęczyn. Większość utkwały krzyżaki, w pajęczynach tkwiły małe, wyschnięte, owinięte oprzędem zwłoki owadów.

Jedynym gatunkiem, który może ci zrobić krzywdę, jest czarna wdowa, a ona nie tkła sieci w otwartej przestrzeni - uspokajała się Clarice. Od ukaszenia pozostałych wyskoczy ci co najwyżej bąbel.

Obok tylnego błotnika było trochę miejsca, żeby stanąć. Wypelzła spod samochodu, twarzą tuż obok opony z szerokim białym pasem. Guma była popekana i zwiędziała, zachował się na niej napis *GOODYEAR DOUBLE EAGLE*. Wyprostowała się, uważając cały czas na głowę. Trzymana przy twarzy ręka rozrywała pajęczyny. Czy tak będzie się czuła w ślubnym welonie?

Z zewnątrz doszedł ją głos notariusza:

- Wszystko w porządku, panno Starling?

- W porządku. - Głos miała cięszy niż normalnie i w tym samym momencie kilkoma wysokimi tonami odezwało się pianino. Światła plymoutha wydobywały z ciemności jej łydki.

- Znalazła pani pianino, pani inspektor?! - zawołał Yow.

- Nie, to nie ja.

- Ach!

Samochód był wielki, długi i wysoki. Limuzyna Packard, rocznik 1938, zgodnie ze sporządzonym przez Yowa inwentarzem. Przykryty był dywanem, wierzchem do środka. Omiotła go światłem latarki.

- Czy to pan przykrył samochód dywanem, panie Yow?

- Nie, kiedy go tu znalazłem, był już przykryty, a ja nigdy nie zdejmowałem dywanu! - krzyknął schylony pod drzwiami Yow. - Zakurzony dywan to dla mnie śmierć. Tak go tutaj zostawił Raspail. Upewniłem się tylko, czy samochód tu stoi. Robotnicy oparli pianino o ściane, przykryli je, ustawili więcej pudeł obok samochodu i odjechali. Placiłem im od godziny. W pudełach są przeważnie nuty i książki.

Dywan był gruby i ciężki. Kiedy ciągnęła go do góry, w świetle latarki zatoczył tuman kurzu. Dwa razy kichnęła. Wspinając się na palce zdołała zwinąć go do połowy. Za tylnymi szybami samochodu były zasunięte firanki. Zakurzona klamka. Musiała pochylić się nad kartonami, żeby się do niej dostać. Dotykając końca klamki, próbowała pchnąć ją w dół. Bez skutku. Zamknięte. W tylnych drzwiach nie było dziurki od klucza. Musiała przesunąć mnóstwo pudeł, żeby dostać się do przodu. Miejsca było wściekle mało. Dostrzegła małą szparę między firanką a skrajem szyby.

Pochyliła się nad kartonami i przystawiła oko do szpary, oświetlając wewnątrz latarką. Widziała tylko własne odbicie. Musiała osłonić dłoń źródło światła. Rozproszony nieco przez zakurzoną szybę promień myszkował po siedzeniu. Leżał tam otwarty album. W słabym świetle nie widać było dobrze kolorów, dostrzegła jednak na jego stronach kartki z okazji dnia świętego Walentego. Stare, koronkowe kartki nalepione na mechatym papierze.

- Dziękuję, doktorze Lecter. - Kiedy otworzyła usta, jej oddech unosił kurz z szyby i pokrył ją mgiełką. Nie chciała jej wycierać, poczekała, aż sama zejdzie. Promień latarki poruszał się dalej omiatając skraj leżącego krzywo na podłodze dywanika. Pokryte grubą warstwą kurzu błysnęły niewyraźnie czarne, meskie lakierki. Nad nimi były czarne skarpetki, a jeszcze wyżej spodnie od smokingu. W ich środku najwyraźniej tkwiły czyjeś nogi.

Nikt nie był tutaj przez ostatnie pięć lat - spokojnie, mała, nie wpadaj tylko w panikę.

- Och, panie Yow. Jest pan tam?

- Tak, pani inspektor?

- Wygląda na to, mecenasie, że ktoś siedzi w środku samochodu.

- O, do licha. Może lepiej będzie, jak pani stamtąd wyjdzie, panno Starling?

- Jeszcze nie teraz. Po prostu niech pan będzie taki dobry i chwilę na mnie zaczeka.

Teraz właśnie jest moment, kiedy trzeba ruszyć głową. To, jak się teraz zachowasz, jest sto razy ważniejsze od wszystkich bzdur, które będziesz przepowiadała sobie do poduszki do końca życia. Weź się w garść i nie popełnij żadnego błędu. Nie mogę zniszczyć dowodów rzeczowych. Potrzebuję pomocy. Ale przede wszystkim nie chcę wywołać fałszywego alarmu. Jeżeli sprowadzę tutaj gliniarzy i ludzi z naszego biura w Baltimore, i okaże się, że nic tutaj nie ma, jestem ugotowana. Yow nie przyjechałby tu ze mną, gdyby wiedział, że w samochodzie jest sztywniak. Uśmiechnęła się słabo sama do siebie. Z tym „sztywnakiem” wyraźnie przeszarżowała. Nikogo tu nie było od czasu ostatniej wizyty Yowa. W porządku, to oznacza, że pudeła zostały tutaj poustawiane już po umieszczeniu tego (czymkolwiek to jest), co znajduje się na tylnym siedzeniu. A więc mogę spokojnie

je przesuwać, bez obawy, że zatre jakieś ślady.

- W porządku, panie Yow.
- Tak? Może powinniśmy wezwać policję? Sądzi pani, że poradzi sobie z tym sama?
- Muszę zobaczyć, co to jest. Proszę, niech pan tam po prostu poczeka.

Łatwiej by było chyba prawidłowo ułożyć kostkę Rubika, niż ustawić te pudła. Starła się je przenosić z latarka wetknięta pod pachę. Kiedy po raz drugi jej wypadła, położyła ją na dachu samochodu. Musiała usunąć kartony stojące z tyłu, niektóre z mniejszych paczek wepchnęła pod samochód. Od drzazgi albo ukaszenia bolała ją opuszka kciuka.

Teraz mogła zajrzeć przez zakurzoną szybę do przedziału kierowcy.

Między dużym kołem kierownicy a dźwignią zmiany biegów wisiała pajeczyna. Ścianka między przednim a tylnym przedziałem była zasunięta.

Zalowała teraz, że nie naoliwiła wcześniej kluczyka do packarda. Kiedy jednak wsadziła go do zamka, obrócił się bez trudu.

W wąskim przejściu można było odsunąć drzwi zaledwie do jednej trzeciej. Uderzyły w kartonowe pudła z głuchym odgłosem. Za-chrobotyły myszy, w pianinie odezwały się kolejne struny. Z samochodu wydobył się stechły zapach zgnilizny i chemikaliów. Przypominał jej jakieś miejsce, którego nie potrafiła nazwać.

Wsunęła się do środka, odsunęła ściankę za siedzeniem kierowcy i oświetliła latarka przedział dla pasażerów. Pierwszą rzeczą, która wyłoniła się z ciemności, była jasna elegancka koszula ze spinkami. Clarice podniosła latarkę, żeby zobaczyć twarz, ale jej nie dostrzegła. Opuściła więc szybko światło w dół, wzdłuż połyskujących spinek i błyszczącej satyny aż do pofalowanych spodni i otwartego rozporka, z powrotem w górę, do eleganckiej muszki i kołnierzyka. Wystawała z niego biała, sztywna szyja manekina. Wyżej było coś jeszcze, coś, co prawie wcale nie odbijało światła. To była tkanina, czarny kaptur. W miejscu, w którym powinna znajdować się głowa, widniał duży kaptur, tak duży, że w środku mogła pomieścić się klatka na ptaki. Welwet, pomyślała. Okryty nim przedmiot spoczywał na kawałku dykty, który opierał się o tylną polkę i szyję manekina.

Mrużąc oczy od flesza zrobiła kilka zdjęć z przedniego siedzenia. Potem wysunęła się z samochodu i wyprostowała. Stojąc w ciemności, przemoczona, oblepiona pajeczyna, zastanawiała się, co robić dalej.

To, czego z całą pewnością nie zamierzała, to wzywać tutaj specjalnego agenta z biura w Baltimore, żeby przyjrzał się kartkom z okazji dnia świętego Walentego i manekinowi z otwartym rozporkiem.

Kiedy zdecydowała się już dostać na tylne siedzenie i zdjąć kaptur z tej rzeczy, zaczęła działać bezzwłocznie. Sięgnęła ręką z przedziału kierowcy i odblokowała tylne drzwi. Przesunęła z powrotem kilka paczek i pociągnęła za klamkę. Wszystko to zdawało się trwać bardzo długo. Odor

wydobywający się z tyłu był znacznie bardziej intensywny. Siegnęła do środka i ujmując ostrożnie za brzegi album z wklejonymi kartkami podniosła go i wsunęła do foliowej torby na dachu samochodu. Inne torby na dowody rzeczowe rzuciła na tylne siedzenie.

Pod jej ciężarem zaskrzypiały resory. Kiedy siadła obok manekina, ten unosił się nieco do góry. Prawa dłoń w białej rękawiczce zśliznęła się z uda i opadła na siedzenie. Starling dotknęła rękawiczki palcem.

Dłoń w środku była twarda. Ostrożnie zsunęła rękawiczkę z nadgarstka. Był zrobiony z jakiegoś sztucznego tworzywa. W spodniach widac było zgrubienie, które na krótką chwilę przypomniało jej głupie zarty ze szkoły średniej. Spod siedzenia dochodziło ciche chrobotanie.

Delikatnie, jak w piśszczocie, dotknęła reka kaptura. Materiał poruszał się łatwo po czymś twardym i śliskim. Kiedy wymacała okrągłą wypukłość na gorze, domyśliła się. Wiedziała, że ma przed sobą duży laboratoryjny słoik do przechowywania preparatów, wiedziała też, co zobaczy w nim w środku. Ze strachem, ale nie wahając się długo, ściągnęła zasłone.

Głowa w słoju ucieta była elegancko tuż pod dolną szczęką. Spoglądała wprost na dziewczynę oczami pobielalymi od konserwującego ją alkoholu. Usta były otwarte, wystawał z nich poszarzały język. Przez wszystkie te lata alkohol częściowo wyparował. Głowa opadła na dno słoja, a jej znajdujący się w stanie rozkładu czubek wystawał niczym czapka nad powierzchnią cieczy. Przekrzywiona lekko, jak u sowy, w stosunku do znajdującego się pod spodem manekina, głowa gapiała się bezmyślnie na Clarice. Nie przywróciło jej życia nawet ruchliwe światło latarki.

Clarice Starling analizowała swoją reakcję. Była zadowolona i podniecona. Zastanawiała się przez chwilę, czy są to uczucia właściwe. Siedząc w tym starym samochodzie obok ucietej głowy i biegających wokół myszy, była w stanie rozumować jasno i logicznie. Napawało ją to dumą.

- No coż, Tato - odezwała się. - Nie jesteśmy już w Kansas. - Zawsze chciała powiedzieć te własne słowa w chwili stresu, ale teraz, kiedy to uczyniła, poczuła się głupio i zadowolona była, że nikt ich nie słyszał. Trzeba się zabierać do roboty.

Ostrożnie oparła się o fotel i rozejrzała wokół.

Znajdowała się w czyimś małym, intymnym świecie, o tysiące lat świetlnych od zatłoczonej drogi nr 301.

W kryształowych wazonach tkwiły opadłe, wysuszone kwiaty. Wazony stały na podstawkach. Rozłożony stół nakryty był lnianym obrusem. Stojąca na nim zakurzona karafka lśniła niewyraźnie w świetle latarki. Między karafką a stojącym obok niskim lichtarzem wisiała pajęczyna.

Próbowała wyobrazić sobie Lectera albo kogoś innego, siedzącego tutaj obok jej towarzysza, częstującego go alkoholem albo pokazującego mu obrazki w albumie. Co jeszcze powinna zrobić? Ostrożnie, żeby nie poruszyć manekina, przeszukała go, czy nie ma jakiegoś dowodu tożsamości. Nie było żadnego. W kieszeni marynarki znalazła kawałki materiału pozostałe po przycięciu do odpowiedniej długości nogawek spodni: wizytowe ubranie było prawdopodobnie nowe, kiedy



zalożono je na manekin.

Obmacala zgrubienie na spodniach. Było twarde, zbyt twarde jak na szczeniacki kawal. Rozszerzyła rozporek i zaswieciła do środka latarka. Tkwił tam polerowany, drewniany penis, całkiem potężnych rozmiarów. Zastanawiała się, czy ja ten widok zgorszył.

Ostrożnie obrocila słoje wokół, szukając śladów ran z boków i z tyłu głowy. Nie znalazła niczego. Na szkle odbita była nazwa firmy produkującej sprzęt laboratoryjny.

Przyglądając się ponownie głowie stwierdziła, że dowiedziała się o sobie czegoś, co przyda jej się na całe życie. Wpatrywanie się w tę twarz, w język, który zmienił kolor w miejscach, które stykały się ze szkłem, nie było tak straszne jak pojawiający się w jej snach, polykający własny język Miggs. Poczula, że jest w stanie popatrzeć na wszystko, jeśli tylko ten fakt czemuś służy. Była jeszcze młoda.

W ciągu dziesięciu sekund, które upłynęły od zatrzymania się wozu transmisyjnego sieci WPIK-TV, Jonetta Johnson zdążyła założyć klipsy, przypudrować swe piękne brązowe oblicze i ocenić sytuację. Korzystając z podsłuchu miejscowej policyjnej łączności radiowej, przybyła do Split City razem ze swą ekipą jeszcze przed wozami patrolowymi.

W światłach wozu zobaczyli stojącą przed drzwiami boksu Clarice Starling, z latarką w jednej i laminowana karta identyfikacyjna w drugiej ręce. Głowe oblepiały jej przemoczone włosy.

Jonetta Johnson na pierwszy rzut oka rozpoznawała nowicjuszy. Zeskoczyła na ziemię i zbliżyła się do dziewczyny. Za nią szła ekipa z kamerą. Pojasniało od telewizyjnych reflektorów.

Pan Yow schował się w swoim buicku tak głęboko, że przez szybę widac było tylko kapelusz.

- Jonetta Johnson, wiadomości sieci WPIK, czy to pani złożyła meldunek o zabójstwie?

Clarice Starling nie wyglądała na przedstawicielkę prawa i dobrze o tym wiedziała.

- Jestem agentem federalnym, to jest miejsce, w którym popełniono przestępstwo. Moim obowiązkiem jest zabezpieczenie go, dopóki władze Baltimore...

Asystent kamerzysty złapał za drzwi magazynu i próbował je podnieść.

- Niech pan to puści - poleciła Clarice. - Mówię do pana. Niech pan to zostawi. Proszę się cofnąć. Ja wcale nie żartuję. Proszę mi nie utrudniać. - Dalaby wszystko za odznakę policyjną, za mundur, cokolwiek.

- W porządku, Harry - powstrzymała koleżankę reporterka. - Pani inspektor, my chcemy tylko pomoc. Szczerze mówiąc, taka ekipa kosztuje kupę forsy i chce po prostu wiedzieć, czy mam ich tutaj trzymać do czasu, kiedy przyjadą inni. Tam w środku są zwłoki, prawda? Kamera jest wyłączona, proszę mi powiedzieć, tak między nami. Pani mi powie i wtedy zaczekamy. Będziemy grzeczni, obiecuję. No więc jak?

- Na pani miejscu bym zaczekała - odpowiedziała Starling.

- Dziękuję, nie będzie pani załować - uśmiechnęła się Jonetta Johnson. - Proszę spojrzeć, mam tu kilka informacji na temat minimagazynów Split City, mogą się pani przydać. Może pani poświęcić mi w notes? Spojrzmy, co tutaj mamy.

- Wóz transmisyjny WEYE skręca właśnie w kierunku bramy, Joney - oznajmił facet o imieniu Harry.

- Spojrzmy, gdzie my to mamy, pani inspektor. O, znalazłam. Dwa lata temu wybuchł tutaj skandal. Podobno przywozono tu i przechowywano... co to było, czy przypadkiem nie sztuczne ognie? - Jonetta Johnson zerknęła przez ramię Clarice o jeden raz za dużo.

Dziewczyna odwróciła się i zobaczyła kamerzystę leżącego na plecach, z głową i ramionami wsuniętymi do środka garażu. Kucnął przy nim asystent, gotów podać mu pod drzwiami minikamerę.

- Hej! - zawołała. Ukłękła na mokrej ziemi przy kamerzysty i pociągnęła go za koszulę. - Nie możesz tam wchodzić. Hej! Mówiłam ci, żebyś tego nie robił.

Obaj mężczyźni przez cały ten czas łagodnie do niej przemawiali.

- Niczego nie będziemy dotykać. Jesteśmy zawodowcami, nie musi się pani niczego obawiać. Gliniarze i tak nas tu wpuszczają. Wszystko jest w porządku, kochanie.

Kpiący ton tych słów wyprowadził ją z równowagi.

Podbiegła do podnośnika i przekreśliła w dół korbe. Skrzypiac niemilosiernie drzwi opadły o pięć centymetrów. Przekreśliła jeszcze raz. Teraz dotykały klatki piersiowej leżącego mężczyzny. Kiedy nadal nie wychodził, wyjęła korbe z uchwytu i podeszła do niego bliżej. Zapaliły się następne telewizyjne światła. W ich blasku walnęła mocno korba w drzwi. Na gorliwego kamerzystę posypały się kurz i rdza.

- Niech pan teraz słucha, co powiem! - wrzasnęła. - Pan mnie nie słucha, prawda? Wylaz pan stamtąd. Już! Za sekunde zostanie pan aresztowany za utrudnianie śledztwa.

- Spokojnie - powiedział asystent. Położył jej rękę na ramieniu. Odwróciła się do niego. Z tyłu, zza oslepiającego światła, usłyszała policyjne syreny i zadawane głośno pytania.

- Rece przy sobie i cofnij się, palancie.

Stała przydeptując kostkę kamerzysty, odwrócona w stronę jego asystenta. W rękę trzymała korbe od podnośnika. Nie podniosła jej do góry, to nie było potrzebne. I tak wystarczająco źle wypadła w telewizji.

Won, która przesiaknięty był oddział pod specjalnym nadzorem, wydawała się w półmroku jeszcze bardziej intensywna. Stojący na korytarzu telewizor - fonia była wyłączona - rzucał cień Clarice na prety klatki doktora Lectera.

Nie widziała, co dzieje się za pretami, ale nie chciała prosić pielęgniarza, żeby włączył światło. Zapalały się wtedy wszystkie lampy na oddziale. Wiedziała, że policjanci z Baltimore przez kilka długich godzin przesłuchiwali Lectera, zdzierając sobie gardła od krzyku - wszystko w pełnym oświetleniu. Nie odpowiedział na żadne pytanie, zamiast tego złożył dla nich z papieru małego kurczaczka, który dziobał, kiedy podnosiło mu się kuper. Najstarszy ranga oficer, w napadzie złości, zmiął kurczaczka i wyrzucił go do stojącej w poczekalni popielniczki. Druga dłoń zapraszał Starling do środka.

- Doktorze Lecter? - Słyszała swój własny oddech, słyszała oddech wszystkich rozlokowanych wzdłuż korytarza pacjentów, wszystkich oprócz Miggsa. Cella Miggsa była przeraźliwie pusta. Od panującego w niej milczenia wiało autentycznym chłodem.

Starling wiedziała, że Lecter przygląda się jej w ciemności. Minęły dwie minuty. Od walki z drzwiami magazynu bolały ją nogi i kark, ubranie miała mokre. Usiadła na płaszczu na podłodze, w przyzwyczajonej odległości od pretów klatki, podkulila pod siebie nogi i wyciągnęła mokre, zmierzwiłone włosy spod kołnierzyka, żeby nie lepiły się do szyi.

Z tyłu, na ekranie telewizora, kaznodzieja pozdrawiał tłumy uniesionymi rękoma.

- Doktorze Lecter, oboje wiemy, co jest grane. Oni sądzą, że będzie pan ze mną rozmawiał.

Cisza. Na drugim końcu korytarza ktoś zagwizdał „Over the Sea to Skye”.

Odezwała się znowu po pięciu minutach.

- Dziwna to była wyprawa, do tego magazynu. Chciałabym o tym kiedyś z panem porozmawiać.

Mimo woli podskoczyła, kiedy z celi Lectera wytoczył się wózek. Leżał na nim czysty, złożony w czworo ręcznik. Nie słyszała, kiedy się poruszył.

Spojrzała na wózek i mając wrażenie, że się zapada, wzięła ręcznik i wytarła sobie włosy.

- Dziękuję - powiedziała.

- Dlaczego nie zapyta mnie pani o Buffalo Billa? - głos Lectera zabrzmiał blisko, na jej wysokości. On także musiał siedzieć na podłodze.

- Czy wie pan coś na jego temat?

- Dowiedziałbym się, gdybym zobaczył akta sprawy.

- Nie mam do niej dostępu - odparła.

- Nie będzie pani miała dostępu i do tej dzisiejszej, kiedy przestana pani potrzebować.

- Wiem.

- Może pani wydobyć akta na temat Buffalo Billa? Raporty i fotografie. Chciałbym je zobaczyć. Pewnie, że chciałbys.

- Doktorze, pan zaczął te gry. Proszę powiedzieć mi coś o osobie, którą znalazłam w packardzie.

- Znalazła pani całą osobę? Dziwne. Ja widziałem tam tylko głowę. Skąd, pani zdaniem, wzięła się reszta?

- W porządku. Czyja to głowa?

- A co wykazało śledztwo?

- Przeprowadzono na razie wstępne badania. Biały mężczyzna, wiek około dwudziestu siedmiu lat, leczył sobie zęby w Europie i w Ameryce. Kim był?

- Kochankiem Raspaila. Raspaila, tego oblesnego fleta.

- Jakie były okoliczności... w jaki sposób zmarł?

- Nie pyta pani wprost, pani inspektor?

- Nie. Zapytam o to później.

- Pozwoli pani, że zaoszczędzę jej trochę czasu. Ja tego nie zrobiłem. Zrobił to Raspail. Raspail lubił marynarzy. Ten był Skandynawem, nazywał się Klaus Jakistam. Raspail nigdy nie wymienił przy mnie jego nazwiska.

Głos doktora Lectera dochodził teraz z niższej wysokości. Może leży na podłodze, pomyślała.

- Klaus zszedł ze szwedzkiego statku w San Diego. Raspail prowadził w tym mieście wakacyjne kursy w konserwatorium. Oszałał na punkcie tego młodzieńca. Szwed zwiertzył dobry interes i rzucił swoją łajbę. Kupili jakąś okropną przyczepę samochodową i włożyli się nadzy po lasach. Raspail powiedział mi, że młodzieniec nie był mu wierny i że zadusił go własnymi rękami.

- Powiedział to panu?

- Oczywiście, w ścisłej tajemnicy, podczas sesji terapeutycznej. Sądziłem, że to kłamstwo. Raspail zawsze koloryzował. Chciał sprawić wrażenie groźnego romantyka. Szwed zmarł prawdopodobnie w wyniku jakiejś banalnej erotycznej zabawy. Raspail był zbyt słaby i słomazarny, żeby zadusić go własnymi rękoma. Zauważyła pani, jak wysoko, prawie pod samą brodą, został

przycięty Klaus? Prawdopodobnie dlatego, żeby nie widac było śladów sznura, na którym go powieszono.

- Rozumiem.

- Sen o szczęściu legł w gruzach. Raspail włożył głowę Klausea do torby z kregłami i wrócił na Wschodnie Wybrzeże.

- A co zrobił z resztą?

- Zakopał ją gdzieś na wzgórzach.

- Pokazywał panu głowę w samochodzie?

- O tak, w miarę trwania terapii doszedł do przekonania, że może mi pokazać wszystko. Często odwiedzał Klausea, żeby z nim posiedzieć i pogłądać razem kartki z okazji dnia świętego Walentego.

- A potem Raspail sam też... stracił życie. Dlaczego?

- Szczerze mówiąc, byłem nim zmęczony, niedobrze mi się robiło od jego jęków. To było dla niego najlepsze rozwiązanie, naprawdę. Terapia nie prowadziła do żadnych pozytywnych rezultatów. Sądzę, że większość psychiatrów ma jednego albo dwóch pacjentów, których chcieliby mi podrzucić. Nigdy nie mówiłem przedtem o tej sprawie, a już zaczyna mnie nudzić.

- A obiad, na który zaprosił pan kierownictwo orkiestry?

- Czy nigdy nie zdarzyło się pani, że ktoś przyszedł z wizytą, a nie było czasu zrobić zakupów? Trzeba upitrasic coś z tego, co ma się akurat w lodowce, Clarice. Czy mogę mówić do pani Clarice?

- Tak. Sądzę, że mogę się do pana zwracać...

- Doktorze Lecter. Tak będzie najstosowniej, biorąc pod uwagę twój wiek i stanowisko.

- Zgoda.

- Co czułaś, wchodząc do garażu?

- Byłam przestraszona.

- Czego się bałaś?

- Myszy i robaków.

- Czy jest coś takiego, co pomaga ci wziąć się w garść? - zapytał doktor Lecter.

- Nic z tego, co znam, nie pomaga, oprócz przeswiadczenia, że muszę wykonać to, co sobie zamierzałam.

- Czy przywołujesz wtedy jakies wspomnienia, jakies obrazy z przeszlosci? A moze pojawiaja sie mimowolnie?

- Nie wiem. Nie zastanawialam sie nad tym.

- Jakies sceny z dzieciinstwa?

- Bede musiala sie obserwowac.

- Co czulas, kiedy dowiedzialas sie, ze zmarl moj sasiad, Miggs? Nie zapytalas mnie o niego.

- Nie zdazylam.

- Czy nie bylas zadowolona, kiedy o tym uslyszalas?

- Nie.

- Moze smutna?

- Nie. Czy namowil go pan, zeby to zrobil? Doktor Lecter zasmial sie cicho.

- Pyta mnie pani, pani inspektor, czy w przestepczy sposob naklonilem pana Miggsa do popelnienia samobojstwa? Nie badz glupia, Clarice. Swoja droga, w tym, ze polknal swoj nikczemny jezyk, kryje sie jakas zabawna zbieznosc. Chyba sie ze mna zgodzisz?

- Nie.

- Tym razem pani sklamala, pani inspektor. Pierwsze klamstwo, ktorego sie pani wobec mnie dopuscila. En peu triste, jak powiedzialby Truman.

- Prezydent Truman?

- Niewazne. Dlaczego ci, twoim zdaniem, pomagam?

- Nie wiem.

- Jack Crawford cie lubi, prawda?

- Nie wiem.

- Nie wiesz? Chyba nie mowisz prawdy. Czy chcialabys, zeby cie lubil? Powiedz, czy nie czujesz potrzeby sprawienia mu przyjemnosci i czy to cie nie niepokoi? Czy starasz sie odsunac od siebie to pragnienie?

- Wszyscy chca byc lubiani, doktorze.

- Nie wszyscy. Czy nie sadzisz, ze Jack Crawford pozada cie seksualnie? Jestem pewien, ze jest teraz bardzo sfrustrowany. Czy nie sadzisz, ze wyobraza sobie... jakies scenariusze, jakies

zabawy... w trakcie których się oblapiacie?

- Takie rzeczy mnie nie interesują, doktorze. Uważam, że to pytanie bardziej pasowałoby do Miggsa.

- To się więcej nie powtórzy.

- Czy zasugerował mu pan, żeby polknął własny język?

- Żeby, żeby... Ten oskarżycielski spójnik zbyt często pojawia się w twoich pytaniach. Z twoim akcentem na dodatek, na miłe śmierdzi to jakimś podstępem. Oczywiście, że Crawford cie lubi i uważa, że nadajesz się do tej roboty. Nie uniknelas dziwnego zbiegu okoliczności, Clarice... pomaga ci Crawford i pomagam ci ja. Mówisz, że nie wiesz, dlaczego to robi Crawford. A czy wiesz, dlaczego ja to robię?

- Nie, proszę mi powiedzieć.

- Czy myślisz, że robię to, ponieważ lubię na ciebie patrzeć i wyobrazić sobie, jak cie będę zjadał - kasek po kasku - i jak będziesz mi wtedy smakować?

- Dlatego?

- Nie. Chcę czegoś, co może mi zaofiarować Crawford, i chcę dać mu coś w zamian. Ale on nie przyjdzie tutaj, żeby się ze mną zobaczyć. Nie poprosi mnie o pomoc w sprawie Buffalo Billa, chociaż wie, że pociągnie to za sobą śmierć kolejnych młodych kobiet.

- Nie mogę w to uwierzyć, doktorze.

- Chcę od niego bardzo prostej rzeczy i on jest w stanie mi ją załatwić.

Lecter rozjaśnił powoli światło w swojej celi. Wnętrze wyłoniło się z ciemności. Książki i rysunki zniknęły. Zniknął również sedes. Chilton ogolocił cele ze wszystkiego, żeby ukarać go za Miggsa.

- Przebywam w tym pomieszczeniu od osmiu lat, Clarice. Wiem, że dopóki żyje, nikt nigdy nie pozwoli mi wyjść na wolność. To, czego chcę, to widok. Chcę okna, za którym mogłbym zobaczyć drzewo... może nawet wodę.

- Czy pański adwokat złożył podanie...

- Chilton postawił na korytarzu telewizor. Przełączony jest na kanał religijny. Zaraz po twoim wyjściu pielęgniarka włączy z powrotem fonie. Moja adwokatka nie może nic na to poradzić, tak źle stoją obecnie moje akcje w sądzie. Chcę znaleźć się w instytucji zarządzanej przez władzę federalną. Chcę dostać z powrotem moje książki, chcę mieć widok. Mam za to. coś wartościowego do zaofiarowania. Crawford może to załatwić. Popros go.

- Mogę powtórzyć mu po prostu to, co pan powiedział.

- Zignoruje to. A Buffalo Bill będzie działał dalej. Poczekajcie, aż któregoś oskalpuje. Ciekawe, czy to się wam spodoba. Hmm... Powiem ci jedną rzecz o Buffalo Billu, bez zaglądania do jego akt. Za kilka lat, kiedy go złapia... jeśli kiedykolwiek im się to uda, zobaczysz, że miałem rację i mogłem pomóc. Mogłem uratować niejedno ludzkie życie. Clarice?

- Tak?

- Buffalo Bill ma piętrowy dom - powiedział doktor Lecter i wyłączył światło.

Nie odezwał się już ani słowem.

## ROZDZIAŁ 10

Clarice Starling oparła się o stół do gry w kosci w kasynie FBI i starała się skoncentrować uwagę na wykładzie na temat „prania brudnych pieniędzy” w grach hazardowych. Minęło już trzydzieści sześć godzin od czasu, kiedy policja miejska z Baltimore przyjechała jej zeznania (za pośrednictwem palacej jak komin i stukającej dwoma palcami maszynistki: „Niech pani spróbuje, czy uda się otworzyć to okno, skoro dym tak pani przeszkadza”) i odsunęła od sprawy, ponieważ morderstwo nie podlega jurysdykcji federalnej.

W niedzielę, w wieczornych wiadomościach pokazano migawkę z Clarice i kamerzystą. Nabrala pewności, że ugrzesła po szyję. Na dodatek żadnej wiadomości od Crawforda ani z biura terenowego w Baltimore. Tak jakby wrzuciła swój raport do studni.

Kasyno, w którym się obecnie znajdowała, nie było duże. Kiedyś urządzono je w przyczepie samochodowej, potem skonfiskowało je FBI i przekazało Akademii Policyjnej w charakterze pomocy naukowej. Wąskie pomieszczenie wypełnione było policjantami z różnych stron świata; Clarice uprzejmie odmówiła ustępującym jej miejsca dwóm Rangersom z Teksasu i jednemu detektywowi ze Scotland Yardu.

Jej grupa była teraz w hallu Akademii. Szukali włosów na autentycznym motelowym dywanie umieszczonym w „sypialni przestępstw seksualnych” i posypywali proszkiem „bank w małym miasteczku” w poszukiwaniu odcisków palców. Clarice spędziła już tyle godzin na kursie identyfikacji przestępców, że dziś wysłano ją na ten wykład. Wchodził w skład uzupełniającego kursu z kryminalistyki dla prawników.

Zastanawiała się, czy istnieje jakaś inna przyczyna, dla której izoluje się ja od reszty grupy. Być może jest to przygrywka do ostatecznego rozstania.

Oparła łokcie na namalowanej na stole linii i starała się skupić na sposobach prania brudnych pieniędzy w grach hazardowych.

Naprawdę zaś myślała o tym, jak bardzo w FBI nie lubią oglądać własnych ludzi w telewizji,



za wyjątkiem, oczywiście, oficjalnych konferencji prasowych.

Doktor Hannibal Lecter był ulubieńcem środków masowego przekazu, a policja w Baltimore, ku pełnemu szczęściu reporterów, ujawniła nazwisko Clarice Starling. W niedzielę oglądała się bez przerwy w wieczornych wiadomościach. Jedną ze stacji TV w Baltimore pokazała film pt. „Starling z FBI”. Dziewczyna walila w nim korbą podnosnika w drzwi magazynu, spod których usiłował wydostać się nieszczęsny kamerzysta. Gdzie indziej „Federalna Agentka Starling” występowała zamierzając się korbą na asystenta.

Konkurencyjna stacja, nie będąc w posiadaniu własnego filmu, obwieszczyła, iż wystąpiła z oskarżeniem z powodztwa cywilnego przeciwko „Starling z FBI” i w ogóle całemu Federalnemu Biuru Śledczemu, ponieważ w wyniku uderzenia w drzwi kamerzysta pobrudził się, a oczy zanieczyszczyły mu brud i rdza.

Jonetta Johnson z WPIK występowała w programie ogólnokrajowym ogłaszając wszem i wobec, że inspektor Starling udało się odnaleźć resztki zwłok w garażu dzięki „tajemniczemu stosunkom, które wiązała ją z osobnikiem określanym przez władze mianem... potwora”. Sieć WPIK najwyraźniej miała swoją wtyczkę w szpitalu.

NARZECZONA FRANKENSTEINAH - głosił National Tattler ze stojaków w supermarketach.

Nie było żadnego publicznego komentarza ze strony FBI, ale nie brakowało ich wewnątrz Biura, co do tego Clarice mogła być pewna.

Przy śniadaniu jej kolega z grupy, młodzieniec, który nadużywał płynu po goleniu firmy „Canoe”, zwrócił się do niej per Melvin Penis (głupia gra słów nawiązująca do nazwiska Melvina Purvisa, szarej eminencji Hoovera w latach trzydziestych). To, co usłyszał w odpowiedzi od Ardelii Mapp, sprawiło, że śmiertelnie pobladł i opuścił stolówkę nie tknawszy śniadania.

Clarice Starling znajdowała się w dziwnym stanie, w którym nic nie mogło jej już zaszokować. Przez cały dzień i noc dzwoniła jej w uszach cisza podobna do tej, w której zanurza się pletwonurek. Miała zamiar się bronić, ale jak dotąd nie było ku temu okazji.

Podczas wykładu instruktor bez przerwy krecił kołem ruletki, ani razu jednak nie puścił kulki. Patrząc na niego, Clarice nabrała przekonania, że nie robił tego nigdy w życiu. Teraz wypowiada słowa: „Clarice Starling”. Dlaczego mówi „Clarice Starling”. Przecież to ja.

- Tak - odezwiała się.

Wykładowca kiwnął brodą w kierunku drzwi z tyłu. Obejrzała się z duszą na ramieniu. Ale to był tylko jej instruktor strzelecki, Brigham. Pochylił się ku niej przez tłum. Kiedy na niego spojrzała, kiwnął palcem.

Przez moment myślała, że wywalają ją z uczelni, ale nie angażowałiby przecież do tego Brighama.

- Wyruszasz na zwiad, Starling. Gdzie twój ekwipunek? - powiedział, kiedy znaleźli się w

hallu.

- W moim pokoju, w skrzydle C.

Musiała szybko przebierać nogami, żeby dotrzymać mu kroku.

- Wyjeżdżasz dzisiaj z Jackiem Crawfordem. Zabierz pizame i szczoteczkę do zębów. Może wrócisz jeszcze dzisiaj, ale na wszelki wypadek weź.

- Dokąd?

- Jacyś myśliwi polujący na kaczki w Wirginii Zachodniej znaleźli zwłoki w Elk River dzisiaj o świcie. Okoliczności typowe dla Buffalo Billa. Zajęli się tym pomocnicy miejscowego szeryfa. To dla nas prawdziwa gratka i Jack nie zamierza czekać, aż ci faceci dostarczą nam dane normalnymi kanałami. - Brigham zatrzymał się przy drzwiach prowadzących do skrzydła C. - Potrzebuje kogoś do pomocy, kogoś, kto umie, na przykład, zdjąć odciski z topielca. Byłaś asystentką w laboratorium, potrafisz to robić, prawda?

- Tak, niech mi pan pokaze zestaw.

Brigham otworzył podreczny zestaw do zdejmowania odcisków. Starling uniosła tacki. W środku były strzykawki i ampulki, ale brakowało aparatu fotograficznego.

- Potrzebuje polaroida jeden na jeden, model CU-5, panie Brigham, z kompletem filmów i baterii.

- Z magazynu? W porządku, masz go.

Wreczył jej małą płocienną torbę. Kiedy poczuła, ile waży, domyśliła się, dlaczego wysłano po nią Brighama.

- Nie masz jeszcze broni służbowej, prawda?

- Nie.

- Mam dla ciebie pełne wyposażenie. Tu jest pas, który nosiłaś na strzelnicy. Pistolet jest mój własny. To taki sam Smith jak ten, na którym ćwiczyłaś, tyle że z dokładnie wyczyszczonym mechanizmem. Dzisiaj wieczorem, kiedy będziesz miała okazję, pocwicz na nim na sucho w pokoju. Dokładnie za dziesięć minut będę czekał w samochodzie za skrzydłem C. W „Blue Canoe” nie ma ubikacji. Póki możesz, skorzystaj z toalety, dobrze ci radzę. Z życiem, Starling, z życiem!

Chciała go o coś zapytać, ale zniknął.

To musi być Buffalo Bill, skoro jedzie tam sam Crawford. Co to, u diabła, jest „Blue Canoe”? Ale na razie, kiedy się pakujesz, myśl o pakowaniu. Spakowała się szybko i sprawnie.

- Czy to...

- W porządku - przerwał jej Brigham, kiedy wsiadła do samochodu. - Odnacza ci się trochę kłoba pod kurtką, gdyby ktoś był zbyt drobiazgowy, ale poza tym wyglądasz niezłe.

Rewolwer z zadartą lufą trzymała pod kurtką, we wbitym pod zebro, płaskim jak naleśnik futerał. Magazynek wsunęła pod pas z drugiej strony.

Brigham kierował się w stronę lotniska polowego w Quantico. Nie przekraczał dozwolonej w bazie szybkości.

Odchrząknął.

- To jedno jest dobre na strzelnicę, Starling, że człowiek trzyma się z dala od polityki.

- Tak?

- Miałas rację, że zabezpieczyłaś ten garaż w Baltimore. Martwisz się tym, co wygadują w telewizji?

- A powinnam?

- To co powiem, zostanie między nami, dobrze?

- W porządku.

Brigham odsalutował regulującemu ruch żołnierzowi piechoty morskiej.

- Zabierając cię dzisiaj ze sobą, Jack daje do zrozumienia, że ma do ciebie zaufanie i nikt nie może udawać, że tego nie widzi - powiedział. - To na wypadek, gdyby jakiś wazniak z biura kontroli zawodowej chrząknął coś na twój temat. Rozumiesz, co mam na myśli?

- Uhm.

- Crawford nie jest facetem, który daje sobie w kaszę dmuchać. Postawił sprawę jasno: musiałas zabezpieczyć to miejsce. Pozwolił ci tam jechać bez niczego, to znaczy bez żadnych widocznych oznak władzy. Zaznaczył to bardzo wyraźnie. Gliniarze z Baltimore też się zbytnio nie spieszyli. Poza tym Crawford chce wszystko załatwić dzisiaj, a na sprowadzenie kogoś z laboratorium Jimmy'ego Price'a musiałby czekać ponad godzinę. Tak więc padło na ciebie, Starling. Swoją drogą badanie topielca to całkiem średnia przyjemność. Oczywiście to nie kara, ale jeśli ktoś chce patrzeć na to w ten sposób, proszę bardzo. Widzisz, Crawford jest bardzo subtelnym facetem, ale nie należy do rozmownych i dlatego chce ci powiedzieć... Jeśli z nim pracujesz, powinnas wiedzieć, co w trawie piszczy... A może wiesz?

- Nie, naprawdę, nic nie wiem.

- Ma porządny zgryz całkiem niezależnie od Buffalo Billa. Jego żona, Bella, jest poważnie chora. Jest... w stanie krytycznym. Trzymają ją w domu. Gdyby nie Buffalo Bill, powinien wziąć urlop okolicznościowy.

- Nie wiedzialam o tym.

- Bo sie o tym nie mowi. Tylko nie mow mu przypadkiem, ze ci przykro, i tak dalej, bo to mu i tak nie pomoze... Bylo im ze soba calkiem dobrze.

- Dziekuje, ze mi pan powiedzial.

Brigham rozpromienil sie, kiedy dojechali do lotniska.

- Mam kilka waznych wykladow pod koniec kursu strzeleckiego. Postaraj sie o nich nie zapomniec. - Wybral droge na skroty miedzy hangarami.

- Postaram sie.

- Posluchaj: tego, czego ucze, prawdopodobnie nigdy w zyciu nie bedziesz musiala robic. Taka mam nadzieje. Ale jestes w tym dobra, Starling. Jesli bedziesz musiala strzelac, strzelaj. Cwicz regularnie.

- Dobrze.

- Nigdy nie wkladaj broni do torebki.

- Dobrze.

- Pociagnij kilka razy za spust wieczorem w swoim pokoju. Trzymaj bron zawsze pod reka.

- W porzadku.

Wysluzony dwusilnikowy beechcraft stal na krotkim pasie lotniska w Quantico. Swiatla mial zapalone, drzwi otwarte. Podmuch jednego wirujacego smigla gial do ziemi rosnaca obok betonu trawe.

- To nie moze byc „Blue Canoe” - powiedziala Starling.

- A jednak.

- Jest maly i stary.

- Jest stary - dodal jej otuchy Brigham. - Bardzo dawno temu zarekwirowala go na Florydzie brygada do zwalczania narkotykow. Przymusowo wodowal gdzieś na bagnach Everglades. Ale silniki graja jak nowe. Mam nadzieje, ze Gramm i Rudman nie dowiedza sie, ze go uzywamy. Teoretycznie przysluguje nam autobus. - Wspial sie do kabiny i wrzucil bagaze Starling za tylne siedzenie. Poplataly im sie troche rece, kiedy jednoczesnie podawal jej zestaw z przyborami i usilowal uscisc nac dlon.

A potem, zupełnie nieoczekiwanie dla samego siebie, Brigham powiedzial:

- Niech cie Bog błogosławi, Starling.

W ustach żołnierza piechoty morskiej zabrzmiało to bardzo dziwnie. Nie wiedział, skąd mu się wzięły te słowa, i zaczerwienił się.

- Dzięki... dziękuję panu, panie Brigham.

Crawford siedział obok pilota, bez marynarki, na nosie miał słoneczne okulary. Kiedy usłyszał, że pilot zatrząskuje drzwiami, odwrócił się do Clarice.

Nie widziała wyrazu jego oczu za ciemnymi szklami. Nagle uswiadomiła sobie, że zupełnie go nie zna. Był blady i zeszywniały, jak korzen wyciągnięty z ziemi przez buldozer.

- Siadaj i czytaj - to było wszystko, co powiedział.

Z tyłu, na siedzeniu, leżał gruby tom akt. Na okładce napisane było BUFFALO BILL. Clarice przycisnęła akta mocno do piersi, a „Blue Canoe” zatrzeszczał, zadygotał i zaczął toczyć się po pasie startowym.

## ROZDZIAŁ 11

Skraj pasa startowego zatarł się i odpłynął do tyłu. Kiedy niewielki samolot wszedł na swój kurs, na wschodzie, nad zatoką Chesapeake, zajaśniało poranne słońce.

Clarice Starling widziała pod sobą zabudowania uczelni i sąsiadująca z nimi baza piechoty morskiej w Quantico. Po torze przeszkód pelzały i biegły małe figurki marines.

Tak wyglądało to z góry.

Kiedys, po nocnych ćwiczeniach na strzelnicy, idąc zadumana opustoszała i ciemna Hogan Alley, słyszała przelatujące nad głową samoloty, a potem, kiedy odpływał warkot ich silników, głosy nawołujące się tam w górze - głosy opadających w dół w kompletnych ciemnościach żołnierzy oddziałów desantowych. Zastanawiała się, jak czuje się człowiek czekający na swoją kolejkę w drzwiach samolotu, jak to jest, kiedy trzeba zanurzyć się w mrok.

Może było to podobne do tego, co czuła teraz.

Otworzyła akta.

Zrobił to pięć razy, pięć razy, o których było wiadomo. W ciągu minionych dziesięciu miesięcy Bill wprowadził co najmniej pięć kobiet, a prawdopodobnie więcej, zabił je i zdarł z nich skóre. (Oczywiście Clarice szybko przebiegały protokoły autopsji w poszukiwaniu wyników prób histaminowych. Chciała upewnić się, że zabijał je, zanim zabrał się do reszty).

Kiedy nie były mu już potrzebne, zatapiał zwłoki w rzekach. Wszystkie ofiary znalezione zostały nieopodal skrzyżowań autostrad międzystanowych, każda w dolnym biegu rzeki w stosunku do skrzyżowania, każda w innym stanie USA. Wszyscy wiedzieli, że Buffalo Bill dużo podróżuje. I to było wszystko, co wiedzieli o nim przedstawiciele prawa, absolutnie wszystko, jeśli nie liczyć faktu, że miał co najmniej jeden pistolet. Szesciokomorowy, bijący lekko w lewo - prawdopodobnie Colt albo na licencji Colta. Ślady na odzyskanych pociskach wskazywały, że używał kalibru 38 special w długich łuskach typu 357.

Rzeki zmyły wszelkie odciski palców, nie odnaleziono żadnego włosa, żadnych substancji organicznych.

Prawie na pewno był białym mężczyzną: białym, ponieważ wielokrotni mordercy zabijają na ogół w obrębie własnej grupy etnicznej, a tu wszystkie ofiary należały do rasy białej; mężczyzną, ponieważ w naszych czasach wśród wielokrotnych morderców prawie nie spotyka się kobiet.

Dwaj felietonisci wielkich gazet, jeden niezależnie od drugiego, natknęli się na fragment niezwykle krótkiego wiersza E.E. Cummingsa pt. Buffalo Bill: „...jak się panu podoba ten blekitnooki chłopiec, Panie Śmierć”

Ktoś, może Crawford, przykleił wycinek z cytatem na wewnętrznej stronie okładki.

Nie było żadnego przejrzystego związku między miejscem, gdzie Bill porwał młode kobiety, a miejscem, gdzie je topił.

Tam gdzie ciała odnaleziono zostały na tyle szybko, by można było określić czas śmierci, policja dokonała kolejnego odkrycia: Bill trzymał je przez jakiś czas żywe. Ofiary ginęły dopiero siedem do dziesięciu dni po porwaniu. To oznaczało, że musi mieć miejsce, w którym je trzyma, i miejsce, w którym, nie niepokojony przez nikogo, nad nimi się pastwi. To oznaczało, że nie działa w amoku. Przypominał raczej pracownika tkającego swą sieć pajaka. Z własną jama. Nie wiadomo gdzie.

To właśnie najbardziej przerażało opinię publiczną: fakt, że trzymał je przez cały tydzień albo dłużej, z góry wiedząc, że je zabije.

Dwie zostały powieszono, trzy zastrzelono. Nie było śladów gwałtu ani fizycznego znęcania się przed śmiercią. Protokoły autopsji nic nie wspominały o specyficznych zniekształceniach miejsc erogennych, choć patologowie nie kryli, że ciała są tak zdeformowane, iż prawie niemożliwe jest stwierdzenie tego z całą pewnością.

Wszystkie ciała były nagie. W dwu przypadkach, niedaleko miejsc zamieszkania ofiar, odnaleziona została przy drodze ich odzież, przecięta na plecach jak ubrania szyte dla nieboszczyków.

Clarice przebrnęła jakos przez fotografie. Ze wszystkich zwłok najtrudniej jest podać badaniom topielca. Jest w nim poza tym coś strasznie przynębiającego, jak zawsze, kiedy ofiary zbrodni odnajduje się gdzieś na otwartej przestrzeni. Upokorzenia, na które narazone jest ciało

wystawione na widok publiczny i działanie sił przyrody, wywołują mimowolne oburzenie, jeśli w tej pracy w ogóle można sobie na nie pozwolić.

Kiedy zbrodnia popełniona jest w domowym zaciszu, za zamkniętymi drzwiami, często można się natknąć na dowody nagannych praktyk samej ofiary, często widzi się osoby, które zostały przez nią pokrzywdzone: pobita żona, znęcani dzieci. Mówi się wtedy, że denat sam sięgnął na siebie nieszczęście.

W tej sprawie ofiary nie sięgnęły na siebie nieszczęścia, nie zasłużyły na nie. Wyrzucone na brzeg, obdarte ze skóry ciała leżały wśród pustych butelek po oleju i papierowych torebek po hamburgerach: sponiewierane na śmietniku naszej codzienności. Te odnalezione w zimniejszej porze roku miały z reguły zachowaną twarz. Starling mówiła sobie, że ich zacisnięte zęby nie świadczą wcale o doznanym bólu, że to zerujące w środku żółwie i ryby nadały im taki wyraz. Bill obdzierał ze skóry tułów, nogi na ogół zostawiał w spokoju.

Może łatwiej byłoby patrzeć na to wszystko, myślała Clarice, gdyby w kabinie nie było tak gorąco i gdyby ten przeklęty samolot nie miał przechyłu spowodowanego tym, że jedno śmigło lepiej cięło powietrze; i gdyby to cholerne słońce nie zalamywało się na podrapanych szybach i nie klęło w oczy, tak że pekała głowa.

Mozna go złapać. Uczepiła się tej myśli, żeby jakos wytrzymać w kurczącej się wciąż kabinie, z pełną okropności teczką na kolanach. Potrafi unieszkodliwić go raz na zawsze. A potem będzie można wsadzić te klejące się do rąk, pokryte gładkim plastikiem akta do szuflady i przekreślić w niej klucz.

Wpatrywała się w kark Crawforda. Jeśli chciała unieszkodliwić Buffalo Billa, znajdowała się we właściwym towarzystwie. Crawford zorganizował udane łowy na trzech wielokrotnych morderców. Nie obyło się, co prawda, bez ofiar. Najlepszy dochodzeniowiec w grupie Crawforda, Will Graham, był kiedyś chodzącą legendą Akademii; teraz pil na umór na Florydzie, z twarzą, na którą strach było patrzeć, jak mówiono.

Crawford poczuł chyba jej wzrok na ciemieniu. Podniósł się z fotela i przeszedł do tyłu. Kiedy siedząc obok dziewczyny zapinał pasy, pilot dotknął sterów, żeby poprawić przechył. Crawford zdjął ciemne szkła i założył swoje dwuogniskowe okulary. Z powrotem poczuła, że są starymi znajomymi.

Spojrzał na jej twarz, potem na raport, potem z powrotem na nią. Coś przebiegło mu przez twarz i szybko się ulotniło. Mniej flegmatyczny facet okazałby jej może trochę współczucia.

- Gorąco mi. Tobie też? - zapytał. - Bobby, tu jest piekielnie gorąco! - krzyknął do pilota. Bobby poprawił coś i do kabiny wtargnął strumień zimnego powietrza. We włosach Clarice osiadło kilka płatów śniegu.

Jack Crawford zamienił się już w myśliwego. Jego oczy nabrały jasnego, zimnego blasku.

Otworzył akta tam, gdzie znajdowała się mapa środkowej i wschodniej części Stanów Zjednoczonych. Zaznaczone na niej były miejsca, w których odnaleziono ciała: kilka kropek tak samo

niemych i obcych jak gwiazdozbiór Oriona.

Crawford wyjął z kieszeni pióro i zaznaczył najnowsze miejsce: tam, dokąd lecieli.

- Elk River, około dziesięciu kilometrów poniżej drogi federalnej numer 79 - powiedział. - Mielismy szczęście. Ciało zaczepiło się o klusowniczą linę na wegorze. Nie sadza, żeby długo przebywało w wodzie. Zabrali je do Potter, siedziby władz okręgu. Chca się szybko dowiedzieć, kim jest ofiara, po to, żebyśmy mogli rozpocząć poszukiwania świadków uprowadzenia. Przesłaliśmy im odciski palców telefaksem, jak tylko je zdejmiemy. - Crawford unosił głowę, żeby przyjrzec się Clarice przez dolną część swoich okularów. - Jimmy Price twierdził, że poradzi sobie z topielcem.

- Właściwie nigdy nie miałam do czynienia z całym topielcem - odparła. - Zdejmowałam tylko odciski z dłoni, które pan Price dostawał pocztą każdego dnia. Dużo ich część rzeczywiście należała do topielców.

Ci, którzy nigdy nie pracowali pod kierownictwem Jimmy'ego Price'a, wyobrażają sobie, że jest on uroczym starym zrzęda. Jak większość starych zrzęd, na dłuższą metę okazuje się jednak raczej meczacy. Kieruje w Waszyngtonie sekcja daktyloskopii. Clarice miała z nim zajęcia na kursie kryminalistyki.

- Ten Jimmy... - odezwał się przyjaźnie Crawford. - Jak to się u was mówi na tych, którzy pierwszy raz...

- „Prawiczek z prosektorium” albo po prostu „Igor”. Taki jest napis na gumowym fartuchu, który tam dają człowiekowi.

- Zgadza się.

- Mówią mu: rob to tak, jakby to była sekcja zaby.

- Rozumiem...

- A potem dają paczuszkę, dopiero co dostarczona przez kuriera.

Wszyscy biegną to zobaczyć, nie dopijają nawet kawy w kantine. Czekają, że facet pusci pawia. Potrafię bardzo dobrze zdejmować odciski z topielca. W rzeczywistości...

- Dobrze, spojrz teraz tutaj. Pierwsza z jego ofiar, o których wiemy, została odnaleziona w Blackwater River w stanie Missouri, niedaleko miasteczka Long Jack, w czerwcu zeszłego roku. Nazywała się Bimmel, jej zaginięcie zgłoszono dwa miesiące wcześniej, piętnastego kwietnia. Nie możemy dużo na jej temat powiedzieć. Trzy miesiące trwało, zanim ją zidentyfikowaliśmy. Następna ofiara porwał w Chicago, w trzecim tygodniu kwietnia. Znalaziono ją w rzece Wabash w mieście Lafayette, w stanie Indiana, już dziesięć dni po porwaniu. Dzięki temu mogliśmy powiedzieć, co się z nią działo. Później odnaleźliśmy białą kobietę w wieku lat około dwudziestu. Została wrzucona do Rolling Fork obok drogi numer 65, jakieś siedemdziesiąt dwa kilometry na południe od Louisville, stan Kentucky. Nie udało się, jak dotąd, ustalić jej tożsamości. Następna kobieta o nazwisku Varner, porwana w Evansville, stan Indiana, ciało wrzucone do rzeki Embarras poniżej drogi numer 70, we



wschodniej czesci Illinois.

Potem przeniosl sie na poludnie i utopil kolejna dziewczyne w rzece Conasauga, za miastem Damascus w Georgii, niedaleko drogi numer 75. Nazywala sie Kittridge, mieszкала w Pittsburghu. Tutaj jest jej zdjecie maturalne. Facet ma niebywale szczescie, nikt nie widzial go dotad w chwili, kiedy dokonuje porwania. Nie dostrzegliśmy w jego dzialaniach zadnej konsekwencji, za wyjatkiem faktu, ze topi zwloki w poblizu drog miedzy stanowych.

- A gdybysmy przesledzili od tylu najbardziej uczeszczone trasy, prowadzace z miejsc, w ktorych porzuca ciala? Czy przecinaja sie w jakim punkcie?

- Nie.

- No, a gdyby... przyjac, ze pozbywa sie ciala i uprowadza nowa ofiare podczas tej samej podrozy? - pytala Clarice przezornie unikajac zakazanego slowa „zalozyc”. - Najpierw porzuca cialo, na wypadek, gdyby popadl w klopoty podczas kolejnego porwania. Zlapany na probie uprowadzenia, zawsze zdola sie jakos wykrecic, jesli nie ma zwlok w samochodzie. Moze nalezaloby polaczyc miejsca kazdego nowego uprowadzenia z miejscami porzucenia poprzednich zwlok i poprowadzic wektory do tylu? Probowal pan tego?

- To dobry pomysl, ale juz go sprawdzilismy. Jesli rzeczywiscie robi obie rzeczy naraz, podczas jednej podrozy, to musi bardzo kluczyc. Przeprowadzilismy szereg symulacji komputerowych, najpierw patrzac na zachod, potem na wschod od drog miedzystanowych, nastepnie ukladajac w najrozniejszy sposob wszelkie dane, ktore udalo nam sie uzyskac na temat miejsc porzucen i uprowadzen. Dalismy to wszystko do komputera i tylko dym z niego poszedl. Mieszka we wschodniej czesci Stanow, powiedzial nam. Nie popelnia zbrodni w cyklu miesiecznym. W pobliskich miastach nie odbywaly sie w tym czasie zadne kongresy. Same tego rodzaju bzdety. Nie, Starling, na razie to on patrzy nam na rece, a nie my jemu.

- Sadzi pan, ze za bardzo mu na zyciu zalezy, zeby popelnic samobojstwo?

Crawford kiwnal glowa.

- Zdecydowanie tak. Odkryl teraz nowy, bardzo dla niego wazny rodzaj doznanc i pragnie je jak najczesciej powtarzac. Nie pokladalbym wiekszych nadziei w samobojstwie.

Crawford podal pilotowi kubek wody z termosu. Poczestowal takze Clarice, w swoim kubku rozpuscil tabletkę alka-seltzer.

Czula, jak podchodzi jej do gardla zoladek. Samolot zaczal schodzic do ladowania.

- Kilka spraw, Starling. Oczekuje, ze dasz sobie swietnie rade w sprawach technicznych, ale chce takze czegos wiecej. Nie mowisz za wiele, to swietnie, ja tez nie naleze do rozmownych. Ale nie powinnaś w związku z tym uwazac, ze aby sie do mnie odezwac, musisz miec koniecznie jakis nowy fakt w zanadrzu. Nie ma glupich pytan. Widzisz pewne rzeczy, ktorych ja nie widze, i chce, zebyś mi o nich mowila. Moze masz jakis szosty zmysl. Wylonila sie sposobnosc, zeby to sprawdzic.

Sluchajac go, z podchodzacych do gardla zoladkiem i wyrazem twarzy swiadczacych o nalezytym zainteresowaniu, Clarice zastanawiala sie, od jak dawna Crawford wiedzial, ze wykorzystaja ja w tej sprawie, i jak bardzo zalezalo mu, by wylonila sie taka „sposobnosc”. W porzadku, byl szefem i jako szef mogl pozwolic sobie na wszystkie te dyrdymale pod haslem „pomowmy szczerze”.

- Bedziesz o nim myslala, zobaczysz miejsca, w ktorych przebywal, zaczniesz go wyczuwac - mowil dalej Crawford. - Nie bedziesz go nawet caly czas nienawidzic tak mocno, jakby wypadalo. I w koncu, jesli bedziesz miala szczescie, cos z tego, czego sie dowiedzialas, uderzy we wlasciwa strune, cos zwroci twoja uwage. Kiedy cos uderzy we wlasciwa strune, nie zapomnij mi o tym powiedziec.

Posluchaj, juz sama zbrodnia w wystarczajacym stopniu moze wyprowadzic z rownowagi, nie trzeba do tego dodawac jeszcze sledztwa. Nie daj sie wyprowadzic z rownowagi zgrai policjantow.

Przymknij oczy, patrz do wewnatrz, Starling. Sluchaj samej siebie. Oddziel zbrodnie od tego, co wlasnie dzieje sie wokol ciebie. Nie staraj sie z gory narzucac temu facetowi jakiegos wzoru postepowania czy symetrii. Pozostan otwarta, poczekaj, az sie sam odsloni.

Jeszcze jedna sprawa: sledztwo takie jak to jest niczym teatr objazdowy. Prowadzone jest w wielu stanach, przez wielu ludzi, a nie brak wsrod nich nieudacznikow. Musimy z kazdym z nich znalezc wspolny jezyk, zeby sie przypadkiem na nas nie wypieli. Jedziemy do Potter w Wirginii Zachodniej. Nie wiem nic o ludziach, do ktorych sie wybieramy. Moga byc rozsadni, ale moga tez uwazac nas za takich, co to wtykaja nos w nie swoje sprawy.

Pilot zdjal na chwile sluchawki z glowy i odezwal sie przez ramie.

- Podchodzimy do ladowania, Jack. Zostajesz z tylu?

- Tak - odparl Crawford. - Koniec szkolenia, Starling.

## **ROZDZIAI 12**

Dom Pogrzebowy Potter, z pomalowanymi na bialo drewnianymi belkami, najwiekszy budynek przy Potter Street w Potter, w Wirginii Zachodniej, pelni w okregu Rankin rowniez role kostnicy. Koronerem jest lekarz domowy doktor Akin. Jesli przyczyny smierci budza jego watpliwosci, wysyla zwloki do Regionalnego Centrum Medycznego w Claxton, w sasiednim okregu, gdzie zatrudniony jest patolog z prawdziwego zdarzenia.

Z lotniska do Potter Clarice Starling jechala na tylnym siedzeniu policyjnego samochodu. Zeby uslyszec, co siedzacy za kierownica zastepca szeryfa ma do powiedzenia Jackowi Crawfordowi, musiala przytknac glowe do siatki oddzielajacej miejsce dla wieznia.

W domu pogrzebowym własnie miało zacząć się nabożeństwo. Żalobnicy w swoich najlepszych niedzielnych ubraniach zapelnili chodnik między krzakami bukszpanu i tłoczyli się na stopniach, czekając na otwarcie drzwi. Świeżo pomalowany dom i schody odchyłaly się lekko od pionu, każde w swoją stronę.

Na prywatnym parkingu z tyłu budynku, gdzie czekały karawany, pod pozbawionym, liści wiałem stało dwóch funkcjonariuszy rezerwy stanowej oraz trzech pomocników szeryfa, dwóch młodych i jeden starszy. Oddechy mężczyzn nie tworzyły obłoczków pary: ocieplilo się.

Starling rzuciła na nich okiem, kiedy samochód zajeżdżał na parking, i miała wrażenie, że zna ich od dawna. Wiedziała, że wychowywali się w domach, w których zamiast szaf były przepastne komody, a ona świetnie знаła ich zawartość. Wiedziała, że ich krewni wieszają odzież w specjalnych torbach na ścianach swoich przyczep campingowych. Wiedziała, że starszy pomocnik szeryfa wychowywał się w domu, w którym po wodę chodziło się do pompy, i że do drogi, która przejeżdżał szkolny autobus, musiał brodzić przez wiosenne roztopy z butami zawieszonymi na szyi za sznurowadła, tak jak to robił jej ojciec. Wiedziała, że drugie śniadanie nosili do szkoły w poplamionych tłuszczem od wielokrotnego użytku papierowych torbach i że potem składali je starannie i wsuwali do tylnych kieszeni dzinsów.

Zastanawiała się, co wie o nich Crawford.

W tylnych drzwiach samochodu nie było w środku klamki, co Starling dostrzegła dopiero w chwili, gdy kierowca z Crawfordem byli już na zewnątrz i zbliżali się do budynku. Musiała puknąć w szybę, aż zwrócił na nią uwagę jeden ze stojących pod drzewem pomocników szeryfa. Kierowca, czerwony jak burak, wrócił, żeby ją wypuścić.

Kiedy przechodziła, policjanci popatrzyli na nią z ukosa.

- Dzień dobry pani - powiedział jeden z nich.

Skinęła im głową i obdarzyła odpowiednim dla ich rangi skromnym uśmiechem. Na tylnym ganku dołączyła do Crawforda.

Kiedy była już dosyć daleko, jeden z młodszych policjantów, świeży żonkos, podrapał się pod brodę i stwierdził:

- Nie wygląda nawet w połowie tak dobrze, jak przypuszcza.

- No coż, jeśli myśli po prostu, że wygląda pierunsko dobrze, to ja gotów jestem się z nią zgodzić - oświadczył drugi młodzieniec. - Wbilbym się w nią gładko, jak w maszkę przeciwgazową Mark Five.

- Zaraz bym miał takiego melona, nawet na mrozie - powiedział starszy, nie wiadomo czy do siebie samego, czy do kolegów.

Crawford rozmawiał już z pierwszym zastępcą szeryfa, niskim, schludnym facetem w okularach w drucianej oprawce i miękkich skorzanych butach, które w katalogach znaleźć można pod nazwą

„Romeo”.

Stali w ciemnym korytarzu na tyłach budynku. Przy scianie brzezał automat z coca-cola, obok znajdowały się najprzeróżniejsze dziwaczne przedmioty: pedalowa maszyna do szycia, trójkołowy rowerek, rolka sztucznej trawy, nawinięta na stelaż płocienna markiza. Na scianie wisiała wykonana sepia kopia wizerunku świętej Cecylii przy klawikordzie. Miała splecione wokół głowy włosy. Na klawiaturze opadały lekko róże z rozjaśnionego nieba.

- Wdzieczny jestem, że powiadomił nas pan tak szybko, szeryfie - powiedział Crawford,

Pierwszy zastępca natychmiast dał do zrozumienia, że nie ma za co dziękować.

- Zadzwoił do was ktoś z biura prokuratora okręgowego - stwierdził. - Wiem, że nie zrobił tego szeryf. Szeryf Perkins jest właśnie na wycieczce na Hawajach razem z żoną. Rozmawiałem z nim dziś przez telefon o osmej rano, tam była wtedy trzecia w nocy. Odezwię się jeszcze później, w ciągu dnia. Na razie, i to jest najważniejsze, kazał mi ustalić, czy to nie któraś z naszych miejscowych dziewcząt. Może podrzucą nam coś z zewnątrz. Musimy to stwierdzić, zanim się do czegośkolwiek zabierzemy. Podrzucają nam czasem trupy aż z Phoenix City w Alabamie.

- W tym właśnie możemy pomóc, szeryfie. Jeśli...

- Rozmawiałem z dowódcą rezerw stanowych w Charleston. Przysyła nam kilku specjalistów z sekcji dochodzeniowej. W zupełności nam wystarczą. - Korytarz wypełnił się pomocnikami szeryfa i ludźmi z rezerwy stanowej; pierwszy zastępca miał zdecydowanie zbyt liczną switę. - Będziemy do waszej dyspozycji, jak tylko to będzie możliwe, możecie na nas liczyć, ale na razie...

- Szeryfie, ten rodzaj przestępstwa seksualnego charakteryzuje się pewnymi aspektami, które wolalbym omówić tylko w męskim towarzystwie, rozumie pan, o co mi chodzi? - powiedział Crawford, wskazując brodą Clarice. Wepchnął małego zastępcę do sąsiadującego z korytarzem zagraconego pokoju i zamknął za sobą drzwi. Starling została sama, starając się ukryć irytację przed zachowującymi się hałasliwie mężczyznami. Zaciśnęła mocno zęby i wlepiała oczy w świętą Cecylię odwzajemniając jej eteryczny uśmiech i podsłuchując jednocześnie pod drzwiami. Słyszała podniesione głosy, potem strzępy rozmowy telefonicznej. Przed upływem czterech minut Crawford z zastępcą pojawili się z powrotem na korytarzu. Zastępca miał zacisnięte usta.

- Oscar, wejdz od frontu i sprowadz tu doktora Akina. Ma, zdaje się, brać udział w nabożeństwie, ale nie sadzę, żeby już zaczęli. Powiedz mu, że mamy na linii Claxton.

W małym pokoiku zjawił się koroner, doktor Akin. W trakcie krótkiej telefonicznej konferencji z patologiem z Claxton opierał nogę o krzesło postukując się w zęby wachlarzem z Armii Zbawienia. Potem zgodził się na wszystko.

W wytapetowanej w herbaciane róże sali, gdzie przygotowuje się do pochówku zwłoki, pod rzeźbionymi wysoko gzymsami, w domu z pomalowanymi w znajomy sposób na białe belkami, właśnie tam Clarice Starling po raz pierwszy zetknęła się z dowodem istnienia Buffalo Billa.

Jaskrawozielony, zamknięty szczelnie na suwak pokrowiec na zwłoki był w tym miejscu jedynym współczesnym przedmiotem. Spoczywał na staromodnym porcelanowym stole do balsamowania. Zielen odbijała się w szklanych drzwiczkach szafek, w ich wnętrzu ustawione były trojgrance i opakowania z szybko krzepnacym płynem do wypełniania zwłok.

Crawford poszedł z powrotem do samochodu po nadajnik, Clarice tymczasem rozpakowywała swój zestaw na blacie obok dużego podwójnego zlewu przy ścianie.

W pokoju było za dużo ludzi. Kilku pomocników, pierwszy zastępca, wszyscy wcisnęli się do środka i nie zamierzali wcale wyjść. To nie było w porządku. Dlaczego nie przyjdzie tu Crawford i nie wyrzuci ich za drzwi?

Doktor włączył duży zakurzony wentylator. Uniesiona podmuchem, zatrzepotała odstająca od ścian tapeta.

Stojącej przy zlewie Clarice Starling potrzebny był teraz ktoś, kto natchnąłby ją odwagą większą niż skaczący na spadochronie żołnierz piechoty morskiej. Przed oczyma stanął jej obraz, który pomógł, ale zarazem przeszył dotkliwym bólem.

Jej matka stoi przy zlewie i zmywa krew z kapelusza ojca, puszcza nad strumień zimnej wody. Mówi: „Wszystko będzie dobrze, Clarice. Powiedz siostrze i braciom, żeby umyli ręce i siedli do stołu. Musimy porozmawiać, a potem zrobimy kolację”.

Starling zdjęła z szyi chustkę i obwiązała sobie nią włosy, niczym wiejska gospodyni. Ze swego zestawu wyjęła parę chirurgicznych rękawic. Kiedy po raz pierwszy w Potter otworzyła usta, jej głos zabrzmiał z większą niż normalna siłą. Ta siła sprawiła, że Crawford zatrzymał się w progu i słuchał.

- Panowie! Panowie! Mówię do panów. Proszę poświęcić mi chwilę uwagi. Chciałabym się teraz nią zająć. - Trzymała dłonie na wysokości ich twarzy i naciągała rękawice. - Winniśmy jej jeszcze kilka rzeczy. Panowie dostarczyliście ją aż do tego miejsca i wiem, że jej bliscy podziękowałiby wam za to, gdyby mogli. Teraz proszę wyjść i pozwolić mi się nią zaopiekować.

Crawford ujrzał, jak nagle cichną i nabierają szacunku, jak poganiają się wzajemnie szepcząc: „Szybciej, Jess. Wychodzimy na dwór”. Zobaczył, jak zmienia się ich stosunek do zmarłej. Skądkolwiek do nich dotarła, kimkolwiek była, rzeka przyniosła ją właśnie tutaj, w to miejsce, i kiedy tak leżała bezbronna na stole, w tym pokoju, obecność przy niej Clarice Starling nabierała specjalnego znaczenia. Ujrzał, że Starling jest w tym miejscu spadkobierczynią starych mądrych wiejskich kobiet, zielarek i znachorek, które zawsze czynią to, co jest konieczne, które pilnują, żeby wszystko obracało się jak w zegarku, a kiedy dla niektórych czas dobiega kresu, myją ich i ubierają przed pochówkiem.

W pokoju razem z ofiarą zostali Crawford, Clarice i lekarz. Doktor Akin i dziewczyna przyglądali się sobie, odkrywając jakby łączące ich pokrewieństwo. Oboje byli dziwnie zmieszani i zarazem dziwnie zadowoleni.

Crawford wyjął fiolkę z wkładkami zapachowymi Vicksa i zaoferował je pozostałym. Starling przyglądała się, co należy z nimi zrobić, a kiedy doktor i Crawford założyli je na nozdrza, zrobiła to samo.

Obrocona tyłem szukała aparatu leżacego na samym spodzie torby z ekwipunkiem. Za sobą usłyszała zgrzyt otwieranego suwaka.

Zamrugła szybko patrząc na herbaciane róże na ścianie. Nabrała powietrza i wypuściła je z płuc. A potem odwróciła się i spojrzała na ciało leżące na stole.

- Powinni założyć jej na ręce papierowe torby - powiedziała. - Zrobię to, kiedy skończymy. - Wyciągnęła automat w aparacie i ustawiając ręcznie ekspozycję, dokładnie sfotografowała ciało.

Ofiara miała szerokie biodra, mierzyła, według taśmy Starling, sto siedemdziesiąt centymetrów. W miejscach pozbawionych skóry jej ciało przybrało pod wpływem wody szary kolor. Ciało przebywało w zimnej wodzie nie dłużej niż kilka dni. Skóre zdjęto poczynając od prostej linii tuż pod piersiami aż do kolan, w miejscu, które u toreadora okrywają spodnie i szarfa.

Miała małe piersi. Pomiedzy nimi, nad mostkiem, widniała szeroka na dłoń rana o postrzępionych brzegach w kształcie gwiazdy - oczywista przyczyna śmierci.

Okragła czaszka pozbawiona była skóry, poczynając od brwi i uszu aż do samego karku.

- Doktor Lecter mówił, że on zaczął skalpować - stwierdziła Clarice.

Crawford stał ze skrzyżowanymi rękoma i przyglądał się, jak robi zdjęcia.

- Sfotografuj jej uszy - powiedział tylko.

Obchodząc stół, zacisnął gniewnie wargi. Clarice sięgnęła z dłoni rękawiczkę i dotknęła palcem łydki zmarłej. Kawalek linki na węgorze z potrójnymi hakami, o które zaczepiło się i zatrzymało ciało w bystrym prądzie rzeki, wciąż owinięty był wokół nogi.

- Co widzisz, Starling?

- Na pewno nie jest stad. Ma przedziurawione w trzech miejscach uszy i lakier na paznokciach. Wygląda na dziewczynę z miasta. Włosy na nogach, sadząc po długości, były usuwane depilatorem mniej więcej dwa tygodnie temu. Niech pan spojrzy, jakie są miękkie. Myślałam, że smarowała je kremem. To samo pod pachami. Proszę popatrzeć, jak rozjaśniła sobie włoski nad górną wargą. Bardzo o siebie dbała, nie zdołała zatroszczyć się o siebie tylko w tym jednym krótkim momencie.

- Co powiesz na temat rany?

- Nie wiem. Określiłabym ją jako wyjściową ranę postrzałową, gdyby nie to, że w niektórych miejscach widoczne są otarcia charakterystyczne dla kołnierza wyjściowego, a na gorze widac odcisk lufy.

- Dobrze. To jest kontaktowa rana wejściowa nad mostkiem. Gazy powstałe w wyniku eksplozji gromadzą się pomiędzy kością a skórą i wybuchając tworzą wokół rany gwiazde.

Po drugiej stronie ściany rozległo się sapanie organowych piszczałek. W domu pogrzebowym trwało nabożeństwo.

- Śmierć nie oszczędza nikogo - odezwał się doktor Akin kiwając głową. - Muszę być obecny przynajmniej na części nabożeństwa. Rodzina zawsze oczekuje, że będę razem z nią podczas ostatniej posługi. Przyjdzie wam tutaj pomoc Lamar, organista, jak tylko skończy grać. Trzymam pana za słowo, że przekazę pan dowody rzeczowe patologowi z Claxton, panie Crawford.

- Ma złamane dwa paznokcie u lewej ręki - powiedziała Starling po wyjściu doktora. - Wylamane do tyłu. Pod innymi paznokciami jest coś, co wygląda na brud albo kawałki czegoś twardego. Czy możemy to pobrać?

- Weź próbki brudu, weź także kilka lusek lakieru do paznokci - powiedział Crawford. - Przekazemy im, jak będziemy mieli wyniki.

Pracownik domu pogrzebowego, Lamar, niepozorny człowieczek z czerwonym od whisky nosem, wszedł do środka, kiedy zajmowała się paznokciami.

- Musiała pani być kiedyś manikiurzystką - zauważył.

Z ulgą stwierdzili, że młoda kobieta nie ma śladów od paznokci na wewnętrznej stronie dłoni - znak, że, podobnie jak poprzednie ofiary, zginęła, zanim zaczął się nad nią pastwić.

- Chcesz zdejmować odciski, kiedy będzie leżała na brzuchu? - spytał Crawford.

- Tak będzie łatwiej.

- Wobec tego zbadajmy najpierw zęby. Potem Lamar pomoże nam przewrócić ją na brzuch.

- Tylko zdjęcia czy pełna karta stomatologiczna? - Starling zamocowała do aparatu przystawkę do robienia zdjęć uzębienia. Z ulgą stwierdziła, że ma w torbie wszystkie potrzebne przybory.

- Tylko zdjęcia - odparł Crawford. - Precyzyjnej karty i tak nie damy rady zrobić bez rentgena. Kilka zaginionych kobiet możemy wyeliminować na podstawie samych zdjęć.

Swymi palcami organisty Lamar otworzył z wielką delikatnością usta młodej kobiety. Odwinał wargi, a Starling przystawiła jej tuż do twarzy polaroid, żeby zrobić zdjęcie przednich zębów. Ta część była łatwa, teraz jednak musiała sfotografować zęby trzonowe. Po nateżeniu przeswitującego przez policzek światła należało poznać, czy właściwie skierowana jest lampa w aparacie. Nigdy tego nie robiła, przyglądała się tylko raz na zajęciach z kryminalistyki.

Obejrzała pierwszą odbitkę, poprawiła światło i spróbowała jeszcze raz. Ta odbitka była lepsza. Była bardzo dobra.

- Ona ma cos w gardle - oznajmila.

Crawford popatrzył na zdjecie. Tuz pod miekkim podniebieniem widnial ciemny cylindryczny ksztalt.

- Daj mi latarke.

- Kiedy cialo przebywa w wodzie, czesto ma w ustach liscie i inne rzeczy - zauwazyl Lamar pomagajac Crawfordowi zajrzec do gardla ofiary.

Clarice wyjela ze swojej torby szczypczyki. Stojac po drugiej stronie ciala spojrzala na Crawforda. Kiwnal glowa. Wydobycie przedmiotu zabralo jej tylko sekunde.

- Co to jest, strak z nasionami? - zapytal Crawford.

- Nie, prosze pana, to kokon jakiegos owada - stwierdzil Lamar. Mial racje.

Clarice wlozyla to do sloika.

- Moze chcecie, zeby rzucil na to okiem facet z biura okregowego? - spytal Lamar.

Po obroceniu ciala na brzuch nietrudno bylo zdjac odciski palcow. Clarice przygotowala sie na najgorsze - ale nie musiala stosowac zadnej ze zrudnych i precyzyjnych metod polegajacych na wstrzykiwaniu w opuszke substancji utwardzajacych albo usztywnianiu palca w specjalnym stelazu. Zdjela odciski korzystajac z urzadzenia podobnego do lyzki do butow, w ktore wkladalo sie karte daktyloskopijna. Zrobila rowniez serie odciskow dloni, na wypadek, gdyby do ewentualnych porownan dysponowali jedynie szpitalnymi odciskami stop noworodka.

Wysoko na ramionach brakowalo dwoch trojkatnych kawalkow skory. Clarice zrobila zdjecia.

- Zmierz je - polecil Crawford. - Skaleczyl takze te dziewczynne z Akron, kiedy sciagal z niej ubranie. Skaleczenie nie bylo duze, pasowalo do naciecia z tylu bluzki, ktora odnalezlismy przy drodze. To tutaj to cos nowego. Nigdy czegos takiego nie widzialem.

- Z tylu na lydce jest cos, co wyglada jak slad po oparzeniu - powiedziala Clarice.

- U starych ludzi czesto mozna cos takiego spotkac - odezwal sie Lamar.

- Co? - spytal Crawford.

- Powiedzialem, ze u starych ludzi czesto mozna cos takiego spotkac.

- Slyszałem, co pan powiedzial. Chce, zeby pan to wyjasnil. O co chodzi z tymi starymi ludzmi?

- Starzy ludzie czesto nosza na piersi termofor i po smierci robi sie od niego oparzenie, nawet jezeli wcale nie jest taki goracy. Termofor parzy umarlego. Pod skora nie ma juz krazenia.



- Poprosimy patologa z Claxton, żeby to sprawdził. Niech ustalą, czy oparzenie miało miejsce przed śmiercią - powiedział Crawford do dziewczyny.

- To chyba od tłumika - odezwał się Lamar.

- Od czego?

- Od tłumika w samochodzie. Faceci, którzy zakatrupili kiedyś Billy'ego Petrie, zapakowali go potem do bagażnika jego własnego samochodu. Zona biedaka jeździła tym samochodem dwa albo trzy dni, wszędzie go szukała. Kiedy go tu w końcu przywieźli, miał wypalone miejsce na udzie, zupełnie takie samo jak tutaj. Pod bagażnikiem był gorący tłumik - stwierdził Lamar. - W moim wozie nie mogę wkładać zakupów do bagażnika, rozpuszczają się lody.

- Sprytnie to pan wymyślił, Lamar, załuje, że pan dla nas nie pracuje - stwierdził Crawford. - Czy zna pan tych facetów, którzy znaleźli ją w rzece?

- To Jabbo Franklin i jego brat Bubba.

- Czym się zajmują?

- Rozrabiają cały czas w barze „Moose'a”. Zaczepiają ludzi, którzy nie zamierzają im wcale wchodzić w drogę. Człowiek wpada na przykład do „Moose'a” na jednego głębszego, żeby przez chwilę chociaż nie oglądać zalawionych twarzy zalobników, i od razu słyszy: „Siadaj, Lamar, i graj >>Filipino Baby

- Musimy mieć testy serotoninowe miejsc, gdzie zaczepiły się haczyki - powiedział Crawford. - Wyśle notatkę patologowi.

- Za gesty zahaczają - oznajmił Lamar.

- Co pan powiedział?

- Franklinowie zarzucają linke na węgorze z hakami umocowanymi zbyt blisko siebie. To niezgodne z przepisami. Dlatego pewnie nie zawiadamiali policji, aż do dzisiejszego ranka.

- Szeryf twierdzi, że to byli myśliwi polujący na kaczki.

- Bo mu wcisnęli ten kit. To starzy kanciarze - stwierdził Lamar. - Opowiadają, że na turnieju zapasów w Honolulu położyli na macie samego Duke'a Keomuke i że występowali tam razem z Satellite Monroe. Może pan w to wierzyć, jak pan chce. Kiedy przyjdzie komus ochota zapolować na bekasy, proszę bardzo, zabierają go ze sobą i w odpowiedniej chwili wypuszczają wrony z worka.

- Jak to, według ciebie, było, Lamar?

- Linke zarzucili Franklinowie, to jest ich klusownicza linka z nieprzepisowymi haczykami. Potem podciągnęli ją do góry, żeby zobaczyć, czy coś się nie złapało.

- Dlaczego tak uważasz?

- Ta pani nie dojrzała jeszcze do tego, żeby popłynąć.

- Nie.

- Więc gdyby nie podciągali linki, nigdy by jej nie znaleźli. W pierwszej chwili obleciał ich strach i uciekli, dopiero potem zawiadomili policję. Sądzę, że będzie pan chciał poinformować o tym urząd łowiecki.

- Z pewnością - odparł Crawford.

- Za tylnym siedzeniem swojego ramczargera ciągle woza telefon na korbe, a za to grozi duża grzywna albo idzie się do paki. Crawford unosił brwi.

- Telefon na korbe - wyjaśniła Clarice - to urządzenie do ogluszania ryb prądem elektrycznym. Wrzuca się gołe druty do wody i przekreca korbe. Ryby wypływają na powierzchnię i można je wygarnąć podbierakiem.

- Dokładnie tak - potwierdził Lamar. - Czy pani pochodzi z tych stron?

- Nie tylko tutaj to robią - odparła.

Clarice czuła potrzebę powiedzenia czegoś, zanim zasuna suwak z powrotem, potrzebę uczynienia jakiegoś gestu, wyrażenia w jakiś sposób wypełniających ją uczuć. Zamiast tego potrzaskała tylko głową i zabrała się do pakowania rzeczy.

Kiedy ciało i problem zniknęły z zasięgu wzroku, poczuła się inaczej. W tym krótkim momencie, kiedy nie miała się czym zająć, wróciło do niej wszystko, co przed chwilą robiła. Ściągnęła rękawiczki i odkreśliła kran. Odwrocona plecami do pokoju polewała nadgarstki. Ale woda w rurach nie była wcale taka zimna. Lamar obserwował ją przez chwilę i zniknął w korytarzu. Powrócił z zimną nieotwartą puszką coli z automatu. Podał ją dziewczynie.

- Nie, dziękuję - odparła. - Nie chce mi się pic.

- Proszę tylko potrzymać puszkę, o tutaj, pod szyją - powiedział Lamar - i przy tym małym wypukłym miejscu z tyłu głowy. Chłód przyniesie pani ulgę. Ja sam zawsze to robię.

Kiedy Clarice nalepiła na suwak torby gotową notatkę dla patologa, na blacie biurka brzęczał już przenośny telefaks Crawforda.

To, że odnaleźli ciało tak szybko, stanowiło szczęśliwy traf. Crawford zdecydowany był szybko je zidentyfikować i rozpocząć przeszukiwanie okolic domu ofiary w poszukiwaniu świadków wprowadzenia. Jego metoda przysparzała wszystkim wiele kłopotów, ale należała do najszybszych.

Crawford miał nadajnik typu Litton Policefax. W przeciwieństwie do telefaksów używanych na ogół przez służby federalne, Policefax współpracuje z większością systemów, którymi posługuje się

policja w dużych metropoliach. Karta ze zdjętymi przez Clarice odciskami prawie już wyszła.

- Załaduj ją ty, Starling, masz zgrabniejsze palce.

Nie pobrudz jej paluchami, to było to, co naprawdę miał na myśli. Udało się, choć nie było wcale łatwo, nałożyć sklejoną, składającą się z dwóch warstw kartę na specjalny beben. Na przekaz oczekiwano jednocześnie w sześciu ośrodkach łącznościowych w różnych częściach kraju.

Crawford połączył się z telefoniczną centralą FBI i centrum telefaksowym w Waszyngtonie.

- Dorothy, czy wszyscy nas słuchają? Świetnie, panowie, proszę dostroić częstotliwość na sto dwadzieścia, żeby obraz był ostry i wyraźny. Czy wszyscy mają sto dwadzieścia? Atlanta, co z tobą? Świetnie, zaczynamy przekaz... start.

Beben zaczął się obracać z niską, zapewniającą lepszą jakość obrazu szybkością. Odciski zmarłej kobiety docierały jednocześnie do centrów telekomunikacyjnych FBI i policji w większych miastach Wybrzeża Wschodniego. Jeśli w Chicago, Detroit albo Atlancie komputer trafi na te odciski w swoim banku danych, poszukiwania mogą się zacząć w ciągu kilku minut.

Potem Crawford przekazał fotografie uzebienia ofiary i zdjęcia jej twarzy, owiniętej przez Clarice ręcznikiem, na wypadek gdyby dostały się w ręce brukowej prasy.

Kiedy wychodzili, przybyło właśnie trzech funkcjonariuszy sekcji dochodzeniowej z Wirginii Zachodniej. Crawford ścisnął wszystkim wylewnie dłonie i wręczał wizytówki z numerem państwowego centrum informacji kryminalnej. Clarice z zainteresowaniem obserwowała, jak szybko nawiązywał z nimi oparte na męskiej solidarności, przyjazne stosunki. Na pewno przedzwonia i przekaza wszystko, czego się dowiedza, może być o to spokojny. Wymieniali zobowiązania i wyrazy wdzięczności. A może nie była to tylko męska solidarność, pomyślała; na nią to również działało.

Stojący na ganku Lamar pomachał dłonią Crawfordowi i Clarice, odjeżdżającym w kierunku Elk River. Coca-cola była nadal wspaniale oziebiona. Lamar zabrał ją do składziku i zrobił sobie orzezwiający koktajl.

## ROZDZIAŁ 13

- Podrzuc mnie do laboratorium, Jeff - powiedział kierowcy Crawford. - Potem chciałbym, żebyś poczekał na inspektora Starling przy muzeum Smithsonian. Stamtąd zawieziesz ją do Quantico.

- Tak jest, sir.

Przejeżdżali właśnie Potomac w drodze z lotniska krajowego do centrum Waszyngtonu, naprzeciw wieczornej fali opuszczających miasto samochodów.

Młody człowiek za kierownicą miał, zdaje się, lekkiego pietra przed Crawfordem i prowadził

wyjątkowo ostrożnie. Trudno mu się dziwić, pomyślała Clarice. W Akademii powszechnie znany był los agenta, który zblamował się ostatnio pod komendą Crawforda: tropił teraz kieszonkowców wzdłuż linii wczesnego ostrzeżenia, za kołem podbiegunowym.

Crawford nie był w dobrym humorze. Już dziewięć godzin minęło, jak przesłał odciski palców i fotografie ofiary, wciąż jednak nie odkryto jej tożsamości. Wspólnie z Clarice i ludźmi z rezerwy stanowej przeszukiwał aż do zmroku most i brzeg rzeki. Niestety, bez rezultatu.

Dziewczyna słyszała w samolocie, jak przez telefon załatwiał nocną wizytę pielęgniarki.

W porównaniu z kabiną „Blue Canoe”, w limuzynie FBI z cywilną rejestracją zdawała się panować niczym nie zmacona cisza. Łatwiej było rozmawiać.

- Kiedy oddam odciski do sekcji identyfikacyjnej, uruchomcie gorącą linię i Katalog Cech Utajonych - oświadczył Crawford. - Naszkicuj mi wkładkę do katalogu. Wkładkę, nie pełny raport. Wiesz, jak to się robi?

- Tak, wiem.

- Załóżmy, że masz przed sobą komputer, powiedz, co masz nowego.

Zastanawiała się przez chwilę. Wdzieczna była, że Crawford zainteresował się nagle rusztowaniem wokół mijanego pomnika Jeffersona.

Katalog Cech Utajonych w banku danych sekcji identyfikacyjnej porównuje charakterystyczne cechy zbrodni, będącej przedmiotem śledztwa, ze znanymi inklinacjami zarejestrowanych przestępców. Kiedy odnajduje znaczące podobieństwa, prezentuje podejrzanych razem z ich odciskami palców. Następnie obsługujący komputer operator porównuje zarejestrowane odciski z odciskami odnalezionymi w miejscu przestępstwa. Nie posiadano dotychczas odcisków Buffalo Billa, ale Crawford chciał być gotowy.

System wymaga krótkich, zwięzłych sformułowań. Clarice starała się odnaleźć te właściwe.

- Biała kobieta, lat około dwudziestu, śmiertelny postrzał, zdarła skóra z dolnej części tułowia i ud...

- Starling, komputer już wie, że on zabija młode białe kobiety i że zdejmuje skórę z ich tułowia, a propos, użyj zwrotu „zdjęta”, „zdarła” jest rzadszy, inny funkcjonariusz może go nie użyć. Poza tym nigdy nie wiadomo, czy ta piekielna maszyna rozumie synonimy. Wie już także, że on topi je w rzekach. Nie wie, co nowego odkryliśmy właśnie tutaj. Jakie są nowe fakty, Starling?

- To szósta z kolei ofiara, pierwsza oskarpowana, pierwsza z wyciętymi trójkątnymi fragmentami skóry na łopatkach, pierwsza postrzelona w klatkę piersiową, pierwsza z kokonem w gardle.

- Zapomniałaś o złamanych paznokciach.

- Nie, sir, to już druga ze złamanymi paznokciami.

- Masz racje. Sluchaj, wpisujac dane zaznacz, ze informacja o kokonie jest zastrzezona. Bedziemy sie nia poslugiwac do wyeliminowania falszywych sprawcow.

- Zastanawiam sie, czy nie robil tego juz wczesniej... to znaczy, czy nie wkladal kokonu albo owada - powiedziala Clarice. - Latwo jest nie zauwazyc takiej rzeczy podczas autopsji, zwlaszcza jesli sie ma do czynienia z topielcem. Wie pan, lekarz widzi oczywista przyczynie smierci, jest goraco i chce sie z tym wszystkim szybko uporac... Czy mozemy sprawdzic poprzednie zwloki?

- Jesli bedziemy musieli. Na patologach mozesz polegac, zawsze przysiegna ci, ze niczego nie pomineli. Ta dziewczyna z Cincinnati, Jane Doe, wciaz lezy w lodowce. Poprosze, zeby na nia spojrzeli, ale cztery pozostale sa juz pochowane. Ekshumacja denerwuje ludzi. Musielismy to zrobic w przypadku czterech pacjentow, ktorzy zmarli podczas kuracji, zaaplikowanej im przez doktora Lectera, po to tylko, zeby upewnic sie, jaka byla rzeczywista przyczyna smierci. Powiem ci: jest z tym zawsze masa klopotow. Bardzo zle znosza to krewni. Zrobie to, jesli bede musial, ale najpierw zobaczmy, co uda ci sie zwojowac w muzeum.

- Skalpowanie... to cos rzadkiego, prawda?

- Tak, to niezwykle - potwierdzil Crawford.

- Ale doktor Lecter przewidzial, ze do tego dojdzie. Skad wiedzial?

- Wcale tego nie wiedzial.

- A jednak mowil o tym.

- Nie zdziwilo mnie to tak bardzo. Wlasciwie powinienem powiedziec, ze to bylo niezwykle az do sprawy Mengela, pamietasz? Skalpowal kobiety. Malpowano go potem dwa albo trzy razy. Szmatalwce, rozpisujac sie na temat przezwiska Buffalo Billa, podkreslaly wielokrotnie, ze ten morderca nie zdejmuje skalpow. Po tym wszystkim nie jest to zadna niespodzianka - prawdopodobnie idzie za podszeptem mass mediow. Lecter po prostu zgadywal. Nie powiedzial, kiedy dokladnie zacznie skalpowac, wiec nie bal sie, ze sie pomyli. Jesli zlapalibysmy Billa i zadna z jego ofiar nie zostalaby oskalpowana, Lecter zawsze mogl powiedziec, ze wpadl w nasze rece, zanim zaczal to robic.

- Doktor Lecter powiedzial rowniez, ze Buffalo Bill mieszka w pietrowym domu. Nigdy o tym nie mowilismy. Dlaczego, wedlug pana, tak twierdzi?

- Tym razem to nie zgadywanka. Najprawdopodobniej ma racje i moglby ci to wyjasnic, ale wolal sie z toba podroczyć. To jedyny slaby punkt, jaki w nim widze. Chce uchodzic za wielkiego spryciarza. Stara sie o to od lat.

- Powiedzial pan, zebym pytala, jesli czegos nie rozumiem. Wiec dobrze, niech pan to wyjasni.

- W porzadku, dwie ofiary zostaly powieszzone, prawda? Wyrazne slady od sznura, przemieszczenia tkanki na karku, nie ma zadnych watpliwosci. A doktor Lecter z wlasnego doswiadczenia wie, jak trudno jest powiesic ofiare wbrew jej woli. Od niepamietnych czasow ludzie

wieszają się sami nawet na klamkach od drzwi. Wieszają się siadając, to łatwe. Ale nadzwyczaj trudno jest powiesić kogoś innego, nawet związanego. Ofiara zawsze zdola oprzeć się o coś stopami, jeśli tylko ma pod sobą jakieś oparcie. Nie zmusisz jej do wejścia na drabinę. Nie wdrapie się na nic z zawiązanymi oczami, a już na pewno nie, jeśli czuje na szyi petle. Całą sprawę załatwia się na schodach. Schody to rzecz dobrze znana. Można powiedzieć ofierze, że zabiera się ją do łazienki, czy gdziekolwiek, wprowadzić na górę z kapturem zarzuconym na głowę, zarzucić petle i stracić z najwyższego stopnia, ze sznurem przywiązanym do balustrady na piętrze. To jedyny sposób, żeby powiesić kogoś w domu. Spopularyzował go pewien facet w Kalifornii. Gdyby Bill nie miał w domu schodów, zabijałby je w inny sposób. A teraz podaj mi nazwiska pierwszego zastępcy w Potter i najwyższego ranga oficera z policji stanowej.

Clarice odnalazła nazwiska w notatniku przyswiecając sobie trzymana w zębach minilatarka.

- Dobrze - stwierdził Crawford. - Kiedy rzucasz coś na gorącą linię, nie zapomnij wymienić z nazwiska każdego gliniarza. Słysza to i od razu robi im się cieplej na sercu, zaczynają mieć przyjazny stosunek do tego wynalazku. Nadzieja przyszłej sławy kaze im zawiadomić nas, kiedy przypadkiem coś odkryją. Skąd wzięło się, według ciebie, oparzenie na nodze?

- To zależy, czy powstało już po śmierci.

- A jeżeli tak?

- W takim razie facet ma furgonetkę albo mikrobus, w każdym razie coś długiego.

- Dlaczego?

- Bo ślad biegnie z tyłu lydki.

Znajdowali się na rogu Dziesiątej Ulicy i Pennsylvania Avenue, przed wejściem do nowej siedziby FBI, której chyba nikt z dobrej woli nie nazywa J. Edgar Hoover Building.

- Jeff, możesz mnie tu zostawić - odezwał się Crawford. - W tym miejscu, nie musisz zjeżdżać na dół. Zostan w samochodzie, otwórz tylko bagażnik. Chodź, Starling, pokaz, o co chodzi z tą oparzeliną.

Wysiadła razem z Crawfordem. Przeszedł do tyłu, żeby wyjść z bagażnika telefaks i swoją walizeczkę.

- Przewoził ciało w czymś na tyle długim, żeby mogło leżeć wyciągnięte na plecach - powiedziała. - Tylko w ten sposób tylna część lydki mogła leżeć na podłodze nad rurą wydechową. W bagażniku takim jak ten musiałby ją ułożyć na boku i...

- Tak, wiem, o co chodzi - przerwał jej Crawford. Zdążyła sobie sprawę, że kazał jej wyjść z samochodu, żeby porozmawiać na osobności.

- Kiedy powiedziałem pierwszemu zastępcy, że nie będę mówić o pewnych sprawach w obecności kobiety, wściekłaś się, prawda?

- Pewnie.

- To był tylko wybieg. Chciałem rozmówić się z nim w cztery oczy.

- Wiem.

- To dobrze. - Crawford zatrzasnął bagażnik i odwrócił się do niej tyłem.

Clarice nie mogła przepuścić takiej okazji.

- To ważne, panie Crawford.

Obracał się do niej z powrotem, obciążony telefaksem i walizką, zaintrygowany tym, co może od niej usłyszeć.

- Ci gliniarze wiedzą, kim pan jest - powiedziała. - Patrzą na pana i uczą się odpowiednio postępować. - Wzruszyła ramionami i rozłożyła dłonie. Trudno było odmówić jej racji.

Crawford przestawił swoją wewnętrzną podziałkę na trochę cieplej.

- Słusznie to zauważyłaś. A teraz idź i zajmij się tym owadem.

Patrzyła, jak odchodzi: obciążony bagażem i skołowany po długim locie facet w średnim wieku, z ubraniem naderzeczonym błotem mankietami spodni. Wracał do domu, gdzie czekało go to, co czekało.

W tym momencie dalaby się za niego zabić. Na tym właśnie polegał jeden z wielkich talentów Jacka Crawforda.

## **ROZDZIAŁ 14**

Muzeum Historii Naturalnej im. Smithsona było już zamknięte, ale Crawford telefonował wcześniej i przy wejściu od Constitution Avenue czekał na Clarice strażnik.

W budynku panował półmrok, powietrze było nieruchome. Tylko zwrócona ku wejściu twarz olbrzymiego posagu korsarza nad południowych błyszczała w świetle słabej, zawieszanej u sufitu lampy.

Przewodnikiem Clarice Starling był wysoki Murzyn w eleganckim mundurze strażnika muzeum. Kiedy unosił w windzie głowę do góry, pomyślała, że kubek w kubek przypomina posąg korsarza. Ta bezsensowna myśl przyniosła jej chwilę ulgi, tak jakby rozmasowała bolące miejsce.

Na drugiej kondygnacji, powyżej wielkiego wypchanego słonia, rozciągał się obszar zamknięty dla publiczności. Dzielił go między siebie dział antropologiczny i entomologiczny. Antropologowie

stoja na stanowisku, że pietro jest czwarte, entomolodzy - że trzecie. Kilku naukowców z działu rolnictwa twierdzi, że w rzeczywistości pietro jest szeste i że mają na to niezbita dowody. W starym, pełnym przybudówek i antresoli budynku każda ze stron ma argumenty na poparcie swoich racji.

Straznik prowadził Starling przez mroczny labirynt korytarzy. Przy ścianach stały drewniane skrzynki z okazami. Ich zawartość zdradzały jedynie małe tabliczki.

- Tysiące ludzi leży w tych skrzyniach - oznajmił. - Czterdzieści tysięcy eksponatów.

Przechodząc oświetlał latarką numery pokoi i tabliczki na skrzynkach.

Rytualne czaszki przodków i używane przez Dajaków nosidła dla dzieci ustąpiły miejsca mszycom. Opuszcili królestwo człowieka i zagłębił się w o wiele starszy i bardziej uporządkowany świat owadów. Teraz przy ścianach stały metalowe pudła pomalowane na jasnozielony kolor.

- Trzydzieści milionów owadów - a na samej górze pajaki. Niech pani tylko nie zalicza przypadkiem pajaków do owadów - doradził jej zyczliwie strażnik. - Faceci od pajaków nie zostawiliby na pani suchej nitki. To tutaj, w tym pokoju, gdzie pali się światło. Niech pani nie próbuje wracać sama. Jeśli nie będzie chciała pani odprowadzić, proszę do mnie zadzwonić z tego korytarza, tam jest posterunek strażnika. Przyjść po panią.

Zostawił jej kartkę z numerem telefonu i poszedł.

Była w samym sercu entomologii, na okrągłej galerii zawieszony wysoko nad wypchanym słoniem. W pokoju paliło się światło, drzwi były otwarte.

- Twój ruch, Pilch! - męski głos, drżący z podniecenia. - No, dalej. Twój ruch.

Clarice stanęła w progu. Przy laboratoryjnym stoliku siedziało grając w szachy dwóch mężczyzn. Obaj mieli koło trzydziestki, jeden był chudy i czarnowłosy, drugi pełniejszy, z kręconymi rudymi włosami. Przy szachownicy wydawali się wieksi niż w rzeczywistości. Nawet jeśli zauwazyli dziewczynę, nie dali tego po sobie poznać. Nawet jeśli widzieli posuwającego się powoli po szachownicy, bladzącego między figurami i pionkami olbrzymiego zuka, to też nie zdradzali nim zainteresowania.

Nagle zuk przekroczył skraj pola.

- Twój ruch, Roden - odezwał się natychmiast chudy. Grubas przesunął lafra i natychmiast obrócił zuka o sto osiemdziesiąt stopni skłaniając go do podjęcia z powrotem trudnej wędrowki.

- Jeżeli zuk zejdzie z szachownicy z tej samej strony, czy wtedy też skończy się czas na zrobienie ruchu? - spytała Clarice.

- Oczywiście, że się kończy - odparł głośno grubas nie podnosząc wzroku. - Oczywiście, że tak. A ty, jak grasz? Zmuszasz go do przejścia całego pola? Kogo masz za przeciwnika, leniwca?

- Mam ze sobą okaz, w sprawie którego telefonował agent specjalny Crawford.



- Nie wiem, dlaczego nie usłyszeliśmy policyjnych syren - z przekasem zauważył grubas. - Czekamy tu całą noc, żeby zidentyfikować robaka dla FBI. Robacie to wszystko, czym się zajmujemy. Nikt nic nie mówił na temat okazji agenta specjalnego Crawforda. Swoją okaz powinien pokazać swojemu lekarzowi domowemu, na osobności. Twój ruch, Pilch!

- Z przyjemnością zapoznam się z całą waszą procedurą innym razem - powiedziała Clarice - ale sprawa jest pilna i zajmiemy się nią już teraz. Twój ruch, Pilch!

Brunet obrócił się w jej kierunku. Stała z walizką w ręku opierając się o framugę drzwi. Umieścił żuk w pudełku, na jakimś sprochniałym kawałku drzewa i przykrył go liściem salaty.

Kiedy wstał, był całkiem wysoki.

- Jestem Noble Pilcher - przedstawił się - a to Albert Roden. Życzy sobie pani zidentyfikować insekta? Będziemy szczęśliwi, mogąc pani pomóc.

Pilcher miał pociągłą, przyjazną twarz, ale jego czarne oczy były osadzone zbyt blisko siebie i trochę niesamowite. W jednym z nich, lekko zezującym, odbijało się światło. Nie podał jej ręki.

- Pani...?

- Clarice Starling.

- Spójrzmy, co nam pani przyniosła. Pilcher przybliżył słoik do lampy. Roden podszedł, żeby rzucić okiem.

- Gdzie go pani znalazła? Zastrzeliła go pani ze swojego dużego pistoletu? Widziała pani jego mamusię?

Clarice zastanawiała się, jak bardzo przydałby się Rodenowi krotki sierpowy wymierzony łokciem w spojenie szczeki.

- Cicho - odezwał się Pilcher. - Proszę nam powiedzieć, gdzie go pani znalazła. Czy był przymocowany do gałązki, czy do liścia - a może tkwił w ziemi?

- Rozumiem - stwierdziła. - Nikt z wami nie rozmawiał.

- Prezes poprosił, żebyśmy zostali po godzinach i zidentyfikowali robaka dla FBI - powiedział Pilcher.

- Kazał nam - wtracił Roden - kazał nam zostać po godzinach.

- Robimy to zawsze dla urzędu celnego i ministerstwa rolnictwa - odparł Pilcher.

- Ale nie w środku nocy - zaprotestował Roden.

- Będzie musiała zaznajomić was z kilkoma detalami dotyczącymi sprawy, w której toczy się

sledztwo - oswiadczyła Clarice. - Wolno mi to zrobic pod warunkiem, ze nie wyjawicie nic nikomu do czasu zakonczenia sprawy. To wazne. Od tego zalezy zycie paru osob i nie mowie tego tylko tak sobie. Doktorze Roden, czy obiecuje pan zachowac to, co tu powiem, w tajemnicy?

- Nie jestem doktorem. Czy bede musial cos podpisac?

- Nie, jezeli warte jest cos panskie slowo. Bedzie pan musial podpisac protokol odbioru tego okazu, jesli pozostawienie go tutaj okaze sie konieczne, to wszystko.

- Oczywiscie, ze pani pomoze. Nie jestem taki nieuzyty.

- Doktorze Pilcher?

- To prawda - potwierdzil Pilcher. - On nie jest taki nieuzyty.

- Zachowa pan dyskrecje?

- Nie powiem nikomu.

- Pilch takze nie jest doktorem - wtracil Roden. - Mamy identyczne kwalifikacje naukowe. Ale prosze zauwazyc, z jakim spokojem pozwolil sie tytulowac. - Przystawil sobie do podbrodka palec wskazujacy, jakby chcial zwrocic uwage na to, ze przybiera wlasnie powazny wyraz twarzy. - Prosze nam podac wszystkie szczegoly. To co, wedlug pani, nie odgrywa zadnej roli, dla specjalisty moze sie okazac bezcenna informacja.

- Owad zostal odnaleziony w gardle ofiary morderstwa nieco ponizej miemkiego podniebienia. Nie wiem, jak sie tam znalazl. Ciało odnaleziono w Elk River w Wirginii Zachodniej. Smierc nastapila przed kilkoma dniami.

- To Buffalo Bill, slyszalem o tym przez radio - powiedzial Roden.

- Nic tam nie mowili o owadzie, prawda? - zapytala Clarice.

- Nie, ale wymienili nazwe rzeki: Elk River. Przyjezdza pani wlasnie stamtad, dlatego tak pozno?

- Tak - odpowiedziala.

- Musi pani byc zmeczona, moze zrobie kawy? - zaproponowal Roden.

- Nie, dziekuje.

- Wody?

- Nie.

- Coca-coli?

- Nie, nie mam ochoty. Chcemy dowiedzieć się, gdzie ta kobieta została uwieczniona i gdzie ją zabito. Mamy nadzieję, że ten owad występuje na jakimś określonym obszarze albo że jest bardzo rzadki, rozumiecie, albo że zeruje wyłącznie na jakimś jednym gatunku drzewa. Chcemy wiedzieć, skąd się wziął. Proszę o dyskrecję, ponieważ jeżeli zbrojca umieścił go tam rozmyślnie, wie o tym tylko on i dzięki temu będziemy mogli wyeliminować fałszywych sprawców i zaoszczędzić trochę czasu. Zabił już co najmniej sześć kobiet. Nie mamy ani chwili do stracenia.

- Czy myśli pani, że trzyma gdzieś następną kobietę, właśnie w tej chwili, kiedy przyglądamy się temu robakowi? - spytał Roden. Patrzył jej w twarz rozszerzonymi oczami, usta miał uchylone, widział jego język. Uciekła wzrokiem gdzieś indziej.

- Nie wiem. - Lekki dreszcz, że może jednak. - Nie wiem - powtórzyła, odsuwając od siebie te myśli. - Zrobi to tak szybko, jak tylko będzie mogł.

- W takim razie i my musimy zrobić to tak szybko, jak tylko możemy - stwierdził Pilcher. - Proszę się nie martwić, znamy się na swojej robocie. Nie mogła pani trafić w lepsze ręce. - Cienkimi szczypczykami wyjął ciemny przedmiot ze słoika i położył pod lampą na kartce białego papieru. Przysunął zamontowane na ruchomym ramieniu szkło powiększające.

Owad był długi i wyglądał jak mumia. Tkwił w półprzezroczystej osłonie, dopasowanej do jego kształtów niczym sarkofag. Odnoża i czułki przylegały ściśle do ciała, wyglądały jak wyryte na płaskorzeźbie. Mała twarzyczka spoglądała rozumnie.

- Po pierwsze, nie jest to gatunek, który samodzielnie wtargnąłby do wnętrza organizmu, w normalnych okolicznościach nie przebywa również w wodzie - powiedział Pilcher. - Nie wiem, ile pani wie o owadach i ile chce się dowiedzieć.

- Powiedzmy, że jestem zupełnie ignorantka. Chcę, żeby powiedział mi pan wszystko.

- Dobrze, więc to jest poczwarka, stadium przejściowe owada. Poczwarka otoczona jest oprzędem, czyli kokonem, w którym spoczywa, aż do momentu przeobrażenia się w dorosłego osobnika - objaśniał Pilcher.

- Typ poczwarki? - Roden zmarszczył nos, żeby przytrzymać zsuwające się okulary.

- Zamknięta. Chcesz zdjąć kokon z niedojrzałego osobnika? Dobrze, mamy tu zatem poczwarkę dużego owada. To stadium przechodzi większość bardziej rozwiniętych gatunków. Wiele z nich spędza w ten sposób zime.

- Książka czy szkiełko, Pilch? - pytał Roden.

- Rzuce na to w pierw okiem. - Pilcher położył okaz na szkiełku mikroskopu i pochylił się nad tubusem. W rękę trzymał dentystyczny szpikulec. - Jedziemy: brak wykształconego układu oddechowego na obszarze grzbietowym, pojedyncze przetchniki na tułowiu i odwłoku. Na razie tyle.

- Hmm - odparł Roden przewracając kartki małego podręcznika. - Zauważki?

- Brak.

- Para szczek w pancerzach przy wardze dolnej?

- Tak, ma.

- Czulki?

- Przymocowane przy pierwszej parze skrzydel. Druga para skrzydel całkowicie zaslonieta. Oswobodzone sa tylko trzy dolne segmenty odwloku. Odwlok stozkowaty, ostro zakonczony... sadze, ze to luskoskrzydla, Lepidopterae.

- To samo pisza tutaj - powiedzial Roden.

- W sklad tego rzedu wchodzi motyle i cmy. Mozna je znalezc prawie wszedzie - dodal Pilcher.

- Trudno bedzie cos powiedziec, jesli ma zmoczone skrzydla. Ide poszukac wiecej literatury - oznajmil Roden. - Domyslalam sie, ze kiedy mnie nie bedzie, nie odmowisz sobie przyjemnosci poplotkowania na moj temat.

- Masz racje jak zwykle - oswiadczył Pilcher. - Z Rodena jest rowny gosc - oznajmil, kiedy tylko tamten wyszedl z pokoju.

- Tez tak uwazam.

- Naprawde? - Pilcher wydawal sie ubawiony. - Studiowalismy razem, pracowalismy, razem staralismy sie o wszystkie mozliwe stypendia. Jedno z nich udalo mu sie dostac dzieki temu, ze zgodzil sie zjechac do kopalni i poczekać tam na rozpad protonu. Troche za duzo czasu spedzil wtedy w ciemnosciach. Poza tym jest calkiem w porzadku. O ile nie wspomina sie przy nim o rozpadzie protonu.

- Dobrze, sprobuj jakos ominac ten temat.

Pilcher odsunal sie od swiatla.

- To olbrzymia rodzina, Lepidopterae. Okolo trzydziestu tysiecy gatunkow motyli i sto trzydziesti tysiecy ciem. Chcialbym wyjac go z kokonu, a bede musial to zrobic, jesli chcemy zawezic pole poszukiwan.

- Zgoda. Czy moze pan go wyjac w jednym kawalku?

- Tak sadze. Proszę spojrzec, nasz okaz, zanim zginął, probowal wyzwolic sie z kokonu o wlasnych silach. Zaczal to robic tutaj, w miejscu, gdzie widac nieregularne pekniecia. To moze nam zabrac troche czasu.

Pilcher poszerzyl naturalna szczeline w kokonie i wydobyl owada na zewnatrz. Zwiniete

skrzydła były wilgotne. Rozkładanie ich przypominało oddzielanie od siebie mokrych, zlepionych bibulek. Na skrzydłach i grzbiecie nie było widac żadnego rysunku.

Wrocil Roden z książkami.

- Gotow? - spytal Pilcher. - Jedziemy. Nie wykształcona gorna czesc przednich odnozy.

- Boczne platy przy gornej wardze?

- Brak - stwierdzil Pilcher. - Czy moglaby pani zgasic swiatlo, pani inspektor?

Stala przy scianie z reka na kontakcie czekajac, az Pilcher zapali swoja minilatarke. Wstal od stolu i rzucil snop swiatla na eksponat. Oczy owada zalsnily w ciemnosci.

- Sowka - stwierdzil Roden.

- Najprawdopodobniej, ale jaki gatunek? - spytal Pilcher. - Prosze o swiatlo. To nocnicowka z rodziny motyli nocnych. Noctuida. Ile ich tu mamy, Roden?

- Dwa tysiace szescset gatunkow... okolo dwoch tysiecy szesciuset zostalo w kazdym razie opisanych.

- A wiec wcale nie tak duzo. Dobra, stary, teraz mozesz zablysnac.

Rude loki Rodena zakryly mikroskop.

- Teraz musimy przejsc do badania szczecinek, czyli wloskow. Dzieki temu moze uda sie okreslic, do jakiego konkretnego gatunku nalezy nasz okaz - wyjasnil Pilcher. - Roden jest w tym najlepszy.

Clarice zauwazyla, ze nagle skonczyly sie wzajemne uprzejmosci.

Roden zaczal sie gwaltownie spierac z Pilcherem o to, czy narosla larwalne okazy sa zgrupowane w kregi. Kiedy trzeba bylo ustalic, jakiego rodzaju sa wloski czuciowe na odwloku, skakali sobie niemal do oczu.

- Erebus odora - stwierdzil w koncu Roden.

- Chodźmy obejrzec - zaproponowal Pilcher.

Zabrali okaz ze soba, zjechali winda pietro nizej, tuż nad wielkim wypchanym sloniem, i przeszli do olbrzymiej kwadratowej sali wypelnionej od podlogi do sufitu zielonymi pojemnikami. Pomieszczenie, ktore bylo kiedys wielkim hallem, podzielono teraz na dwa poziomy, dobudowujac antresole, tak aby moglo sie tu pomiescic wiecej eksponatow. Byli teraz w krolestwie neotropikalnym, przechodzili do dzialu nocnicowek. Pilcher zajrzal do notesu i zatrzymal sie przy znajdujacym sie na wysokosci piersi pojemniku.

- Trzeba uważać - zauważył odsuwając ciężką metalową zasuwę i stawiając ją na podłodze - żeby nie upuścić sobie czegoś takiego na stopę.

Przesunął palcem po znajdujących się w środku szufladach, wybrał jedną z nich i wysunął.

Na tacy Clarice zobaczyła małe jajeczka, probówkę z pływającą w spirytusie gasienicą, kokon zdjęty z okazji bardzo podobnego do tego, który przyniesli ze sobą, oraz osobnika dorosłego: duża brązowo--czarna cma o rozpiętości skrzydeł prawie piętnastu centymetrów. Miała pokryty futrem odwłok i cienkie czułki.

- Erebus odora - powiedział Pilcher. - Czarna wiedźma. Roden znalazł już właściwą stronę.

- Gatunek tropikalny, jesienią można go spotkać nawet w Kanadzie - przeczytał. - Larwa odżywia się liśćmi akacji. Powszechnie występuje w Indiach Zachodnich i południowych stanach USA. Na Hawajach uznawana za szkodnika.

Erebus pierdola, pomyślała Clarice.

- Pełna kłapa - powiedziała na głos. - Te cmy są wszędzie.

- Ale nie wszędzie przez cały czas. - Pilcher pochylał głowę i pomasował podbródek. - Czy nie rozmnażają się czasem dwa razy do roku, Roden?

- Poczekaj chwilę... Tak, na samym czubku Florydy i w południowym Teksasie.

- Kiedy?

- W maju i sierpniu.

- Zastanawiam się nad czymś - powiedział Pilcher. - Pani okaz jest trochę lepiej rozwinięty niż ten, który tutaj mamy. Jest poza tym świeży. Kokon zaczął już pękać, niedługo wydobędzie się na zewnątrz. Byłoby to zrozumiałe na Karaibach albo Hawajach, ale nie tutaj, w zimie. W tym klimacie powinien poczekać z oswoobodzeniem się jeszcze trzy miesiące. O ile nie dostał się przez przypadek do oranżerii albo ktoś go specjalnie nie wyhodował.

- W jaki sposób?

- W klatce, w ciepłym miejscu, dając gasienicy do jedzenia liście akacji aż do chwili, kiedy owinie się kokonem. To wcale nie jest takie trudne.

- Czy to popularne hobby? Nie licząc profesjonalistów, czy dużo ludzi się w to bawi?

- Nie, przede wszystkim zajmują się tym entomologowie, kiedy chcą wyhodować odpowiedni okaz, poza tym może kilku kolekcjonerów. Istnieje również przemysł jedwabniczy, oni też hodują larwy, ale innego rodzaju.

- Entomologowie muszą mieć swoje periodyki, pisma specjalistyczne, firmy, które sprzedają

im sprzet - zastanawiala sie glosno Clarice.

- Oczywiscie, wiekszosc z tych publikacji dociera do nas.

- Pozwoli pani, ze zrobie jej mala paczuszke - oswiadczył Roden. - Kilka osob prenumeruje u nas takie niskonakladowe biuletyny... trzymaja je pod kluczem, zeby pokazywac sobie czasem za pare centow rozne dziwactwa. Moge je skompletowac dopiero rano.

- Dopilnuje, zeby ktos je zabral, dziekuje panu. Pilcher zrobil kserokopie stron ksiazki poswieconych Erebus odora i wreczyl je dziewczynie razem z okazem.

- Odprowadze pania na dol - powiedzial. Musieli poczekac na winde.

- Wiekszosc ludzi kocha motyle i nie znosi ciem - powiedzial. - Ale cmy sa bardziej... ciekawe, zajmujace.

- Sa destruktywne.

- Niektore tak, nawet bardzo wiele, ale kazda z nich zyje na swoj sposob. Tak jak my. - Cisza, mineli jedno pietro. - Istnieje cma, wlasciwie nawet kilka gatunkow, ktora zywi sie wylacznie lzami. Nic innego nie je ani nie pije.

- Jakimi lzami? Czyimi?

- Lzami duzych ssakow ladowych, naszej mniej wiecej wielkosci. Stara definicja cmy glosi, ze jest to „cos, co stopniowo i w milczeniu zjada, pochlania albo niszczy jakas inna rzecz". Slowo „cma" oznacza rowniez ciemnosc, mrok, destrukcje... Czy polowanie na Buffalo Billa zajmuje caly pani czas?

- Staram sie, jak moge.

Pilcher oblizal zeby. Jego jezyk przesunal sie za wargami jak kot za zasloną.

- Czy nie zdarza sie pani wyskoczyc czasem dla relaksu na hamburgera i piwo albo domowe wino?

- Ostatnio nie.

- Czy nie wybralaby sie pani teraz ze mna? To niedaleko.

- Nie, ale przyjmuje zaproszenie, kiedy to sie skonczy. Pan Roden moze, naturalnie, pojsc razem z nami.

- Nie widze nic naturalnego w tym, zeby mial isc razem z nami - stwierdzil Pilcher. - Mam nadzieje, ze wktotce bedzie pani miala to za soba, pani inspektor - dodal przy drzwiach.

Zbiegla szybko do czekajacego samochodu.

Ardelia Mapp zostawila dla niej na lozku poczte i pol bardzo slodkiego batonu. Pograzona byla we snie.

Clarice zabrala na dol, do pralni, swoja walizkowa maszyne do pisania, postawila na stole do ukladania bielizny i zalozyla papier i kalke. Ulozyla sobie w glowie informacje na temat Erebus odora juz w drodze powrotnej do Quantico i spisanie ich nie zabralo duzo czasu.

Potem pozywila sie batonem i napisala notatke dla Crawforda. Proponowala, aby porownano komputerowe listy subskrybentow pism entomologicznych z federalnym rejestrem skazanych, z rejestrem przestepcow seksualnych w miastach polozonych niedaleko miejsc uprowadzen oraz danymi posiadanyimi na ten temat przez policje miejska Dade City, San Antonio i Houston, terenow, na ktorzych najczesciej wystepuje Erebus odora.

Byla rowniez inna sprawa, ktora zamierzala ponownie poruszyc: Trzeba zapytac doktora Lectera, skad wiedzial, ze sprawca zacznie skalpowac?

Przekazala notatke oficerowi dyzurnemu i wskoczyla do wytesknionego lozka, w uszach wciaz majac zapamietane w ciagu dnia glosy, cichsze jednak od rozlegajacego sie w pokoju oddechu Ardellii. W zalegajacych ciemnosciach ujrzala mala, madra twarzyczke cmy. Jej plonace oczy wpatrywaly sie w Buffalo Billa.

Z kosmicznego zametu, ktory pozostawia zazwyczaj zetkniecie sie ze zbiorami Instytutu im. Smithsona, wylonila sie jej ostatnia mysl, stanowiacca motto dnia: W tym dziwnym swiecie, w tej pograzonej teraz w ciemnosci polowce globu, musze upolowac cos, co zywi sie lzami.

## ROZDZIAI 15

Catherine Baker Martin i jej chlopak siedzieli w jego apartamencie w East Memphis, w stanie Tennessee, i ogladali nocny film w telewizji pociagajac raz po raz z fajeczki naladowanej haszyszem. Przerwy na reklamy byly coraz dluzsze i czestsze.

- Ide po chrupki, chcesz troche prazonej kukurydzy? - zapytala.

- Ja pojde, daj klucze.

- Posiedz sobie. I tak musze zobaczyc, czy nie dzwonila mama.

Wstala z kanapy. Wysoka mloda kobieta, dobrze zbudowana, ktos moglby powiedziec, ze ciezka. Miala ladna buzie i swiezo umyte bujne wlosy. Znalazla pod stolikiem buty i wyszla na dwor.

Lutowy wieczor byl bardziej mokry niz zimny. Nad rozleglym parkingiem zawisla na wysokosci piersi lekka mgielka znad Missisipi. Wprost nad glowa widziala ksiezyc w nowiu, blady i cienki niczym kosciany haczyk na ryby. Spojrzenie w gore sprawilo, ze zakrecilo jej sie w glowie. Ruszyla prosto przed siebie, sterujac wytrwale w kierunku oddalonych o sto metrow drzwi wlasnego



domu.

Naprzeciw jej mieszkania, obok kilku samochodów campingowych i łodzi na przyczepach, stała zaparkowana mała brązowa ciężarówka. Zwrociła na nią uwagę, bo przypominała jej samochód pocztowy, który przywoził jej często prezenty od matki.

Kiedy przechodziła obok niej, z mgły wylonila się lampa. Była to niska lampa z kloszem, stała na asfalcie z tyłu ciężarówki. Obok niej widac było potężny fotel obity tkaniną w czerwone kwiaty. We mgle zakwitły wielkie czerwone płatki róż. Przypominało to wystawę sklepu meblowego.

Catherine Baker Martin zamrugala parę razy i szła dalej. W głowie zabrzmiało jej słowo surrealizm. Wina za to, co widziała, złożyła na karb fajki z haszyszem. Wszystko to istniało jednak w rzeczywistości. Ktoś się wprowadzał albo wyprowadzał. Wprowadzał. Wyprowadzał. W Stonehenge Villas panował wieczny ruch. W oknie jej domu poruszyła się zasłona. Zobaczyła wyginającego się w luk i ocierającego o szybę kota.

W ręku trzymała klucz. Zanim włożyła go do zamka, obejrzała się do tyłu. Z tylnej platformy ciężarówki wyskoczył mężczyzna. W świetle stojącej lampy widziała, że ma rękę w gipsie i na temblaku. Weszła do środka i zamknęła drzwi na klucz.

Catherine Baker Martin rzuciła okiem zza zasłony i zobaczyła, że mężczyzna stara się wepchnąć fotel na platformę ciężarówki. Chwycił go swoją zdrową ręką i próbował podsadzić kolanem. Fotel przewrócił się na bok. Postawił go prosto, polizal palec i starł nim plamę na obiciu.

Wyszła na dwór.

- Pomogę panu. - Uznała, że użyła właściwego tonu: zwykła uprzejmość, nic więcej.

- Zechce pani? Dziękuję. - Dziwny, napięty głos. Obcy akcent.

Stojąca lampa oświetliła od spodu jego twarz, zamazując rysy. Cała postać widziała jednak wyraźnie. Miał na sobie świeżo wyprasowane spodnie koloru khaki i irchowa, nie zapięta na pęgi piersi koszula. Policzki i podbródek pozbawione miał włosów, gładkie jak u kobiety. Nad kośćmi policzkowymi widziała tylko dwa błyszczące w świetle lampy punkty.

On też się jej przyglądał, była na to wyczulona. Kiedy podchodziła bliżej, mężczyźni często zaskoczeni byli jej rozmiarami. Jedni potrafili ukryć swoje zaskoczenie, inni nie.

- Dobra - powiedział.

Mężczyzna roztaczał wokół siebie jakiś nieprzyjemny zapach. Pod pachami i na ramionach jego irchowej koszuli zauważyła z niesmakiem nie wygarbowane włoski.

Wtaszczenie fotela na platformę nie sprawiło żadnych trudności.

- Przesunmy go dalej do przodu, jeśli można.

Wdrapał się do środka i poprzesuwał leżące tam graty: mały ręczny wyciąg nazywany niekiedy trumienna winda i duże, płaskie kuwety, które można wsunąć pod samochód i spuścić do nich zużyty olej.

Dosuneli fotel aż do przednich siedzeń w szoferce.

- Masz około czternastu lat? - zapytał.

- Co?

- Możesz podać mi sznur? Leży tuż przy twoich nogach.

Kiedy pochylała się, żeby spojrzeć na podłogę, opuścił gipsowy pancierz na jej głowę. Pomyślała, że nabił jej guza, podniosła rękę, żeby pomacać i wtedy gips opadł ponownie, miażdżąc jej palce o czaszkę. Uderzył trzeci raz, tym razem za uchem. Uderzał raz po raz, nigdy jednak zbyt mocno. Osunęła się na fotel, a stamtąd bokiem na podłogę.

Mężczyzna przyglądał się jej przez krótką chwilę, potem ściągnął z ręki gips i temblak. Szybko wrzucił lampę do środka i zamknął tylne drzwi ciężarówki.

Odwinał jej kołnierzyk i latarka oświetliła metkę z rozmiarami bluzki.

- Dobra - powiedział.

Chirurgicznymi nożyczkami rozciął jej bluzkę na plecach, ściągnął ją i wyginając ręce do tyłu założył kajdanki. Rozciągnął na podłodze dywanik i położył ją na nim na plecach.

Nie nosiła stanika. Szturchnął palcami duże piersi badając, ile waga i czy są elastyczne.

- Dobra - powtórzył.

Na lewej piersi był różowy ślad po pocalunku. Poliział palec i roztrął ślad, podobnie jak plamę na fotelu. Kiedy pod lekkim naciskiem zaczerwienienie ustąpiło, pokiwał głową. Przewrócił dziewczynę na twarz i sprawdził skalp, odsuwając palcami do góry bujne włosy. Gipsowy pancierz nie skaleczył jej.

Dwoma palcami sprawdził puls na szyi i stwierdził, że jest regularny.

- Dooooobra. - Miał przed sobą długą drogę do swego piętrowego domu i wcale nie usmiechało mu się „sprawiać” jej tutaj, w warunkach polowych.

Kot Catherine Baker Martin przyglądał się przez okno odjeżdżającej ciężarówki aż do momentu, kiedy jej dwa tylne światła zlały się w jedno.

Za kotem dzwonił telefon. Odpowiedziała automatyczna sekretarka w sypialni. Na aparacie zapalało się i gasło w ciemnościach czerwone światelko.

Telefonowała matka Catherine, senator stanu Tennessee w amerykańskim Kongresie.

## ROZDZIAŁ 16

W latach osiemdziesiątych, w złotym wieku terroryzmu, ustalono specjalną procedurę postępowania na wypadek, gdyby uprowadzenie dotyczyło członka Kongresu.

O godzinie 2.45 w nocy kierownik biura terenowego FBI w Memphis zameldował centrali w Waszyngtonie, że zaginęła jedyna córka senator Ruth Martin.

O godzinie 3.00 z podziemnych garaży biura terenowego FBI przy Buzzard's Point w Waszyngtonie wyjechały dwie furgonetki. Jedna z nich skierowała się ku budynkowi biur senatu. Technicy zamontowali tam podsłuch na liniach telefonicznych prowadzących do biura senator Ruth Martin. Złożyli go także w najbliższych automatach telefonicznych. Ktoś z ministerstwa sprawiedliwości obudził najmłodszego członka senackiego komitetu ds. wywiadu i ochrony, aby otrzymać od niego niezbędne upoważnienia.

Druga furgonetka, zwana „zrenica oka”, z lustrzanymi na zewnątrz, a przezroczystymi od środka szybami, zaparkowała przy Virginia Avenue, aby obserwować Watergate West, gdzie mieściła się waszyngtońska rezydencja senator Ruth Martin. Dwoch pasażerów furgonetki wyszło na zewnątrz, aby zainstalować podsłuch w domowych telefonach pani senator.

Towarzystwo telefoniczne Bella oceniało, że przeciętny okres zlokalizowania rozmowcy, korzystającego z krajowej sieci central cyfrowych, wynosić będzie siedemdziesiąt sekund.

Sily szybkiego reagowania przy Buzzard's Point podwoiły swoją obsadę na wypadek, gdyby okup trzeba było dostarczyć w rejonie Waszyngtonu. Łączność radiowa poddano obowiązkowemu kodowaniu, aby uchronić się przed możliwością niezależnego dostarczenia okupu przez helikopter któregoś z sieci telewizyjnych. Przykłady takiego braku odpowiedzialności ze strony mass mediów nie były częste, ale już się zdarzały.

Postawiona została w stan ostrego pogotowia specjalna grupa do ratowania zakładników. W ciągu kilku sekund mogli znaleźć się na pokładzie samolotu.

Wszyscy żyli nadzieją, że Catherine Baker Martin została porwana przez zawodowca, który zżąda okupu; ta możliwość dawała jej najwięcej szans na przetrwanie.

Nikt nie wspominał o najgorszej ze wszystkich ewentualności.

I wtedy, tuż przed świtem, w Memphis, policjant patrolujący Winchester Avenue w związku ze skargą na nocne hałasy zatrzymał starszego mężczyznę zbierającego na poboczu drogi puszki i inne odpadki. W jego wozku znalazł nie rozpiętą z przodu damską bluzkę. Była przecięta na plecach niczym odzież, w którą ubiera się do pogrzebu nieboszczyków. Na plakietce z pralni widniały inicjały Catherine Baker Martin.

Jack Crawford wyjechał rano z domu w Arlington kierując się na południe. O 6.30 telefon w jego samochodzie zabrzmiał po raz drugi w ciągu dwóch minut.

- Dziewięćset dwadzieścia dwa czterdzięci.
- Uwaga czterdzięci. Zgłasza się Alfa 4.

Crawford spojrzął w lusterko, zwolnił i zatrzymał samochód, żeby nic nie przeszkadzało mu w rozmowie. Kryptonim Alfa 4 oznacza dyrektora FBI.

- Jack. Wiesz już o Catherine Martin?
- Przed chwilą zadzwonił do mnie nocny oficer dyżurny.
- Więc wiesz już o bluzce. Powiedz, co myślisz?

- W Buzzard's Point ogłosili pogotowie - powiedział Crawford. - Wolalbym, żeby go na razie nie odwoływali. Kiedy odwołają, chciałbym, żeby kontynuowano kontrole telefonów. Mimo przeciętej bluzki nie mamy wcale pewności, że to Bill. Jeśli to ktoś, kto go malpuje, zawsze może jeszcze zadać okupu. Kto zakłada podsłuch i zabezpiecza miejsce porwania w Tennessee, my czy oni?

- Oni. Policja stanowa. Są całkiem dobrzy. Z Białego Domu zadzwonił do mnie Phil Adler, żeby zakomunikować mi o „szczególnej trosce” prezydenta. Możemy coś tutaj wygrać, Jack.

- Ja też o tym pomyślałem. Gdzie jest pani senator?
- W drodze do Memphis. Zadzwoniła do mnie do domu przed chwilą. Możesz sobie wyobrazić.
- Tak. - Crawford znalazł senatora Martina z przesłuchań budżetowych.
- Jedź tam gotowa użyć wszystkich swoich wpływów.
- Nie dziwię się jej.

- Ja też - odparł dyrektor. - Powiedziałem jej, że rzucamy do poszukiwania wszystkie siły, zgodnie z prawdą. Ona wie... wie, jaka jest twoja osobista sytuacja, i zaproponowała, żebyś korzystał z samolotu jej firmy, typu Lear. Nie odmawiaj. Jeśli możesz, wracaj na noc do domu.

- Dobrze. Pani senator to twarda sztuka, Tommy. Jeśli będzie chciała poprowadzić to po swojemu, nic na to nie poradzimy.

- Wiem. Jeśli będziesz musiał, zwał wszystko na mnie. Ile mamy czasu w najlepszym przypadku: sześć, siedem dni?

- Nie wiem. Jeśli Bill wpadnie w panikę, kiedy dowie się, kogo złapał, może równie dobrze załatwić ją i utopić od razu.

- Gdzie teraz jesteś?
- Przeszło trzy kilometry od Quantico.
- Czy lotnisko w Quantico może przyjąć learnera?
- Tak.
- Za dwadzieścia minut.
- Tak, sir.

Crawford odwiesił słuchawkę i włączył się z powrotem do ruchu na autostradzie.

## ROZDZIAŁ 17

Wymęczona przez złe sny, Clarice Starling stała w płaszczu kąpielowym i bamboszach, z ręcznikiem przewieszonym przez ramię czekając na swoją kolej w łazience, która razem z Mapp dzieliła ze studentkami z sąsiedniego pokoju. Nadane przez radio wiadomości z Memphis sprawiły, że straciła na chwilę oddech.

- O Boże - odezwała się. - O rany. Hej tam w środku! Przejmuje te łazienki. Wychodź z podciągniętymi majtkami. To nie jest próbny alarm! - Wskoczyła pod prysznic odprowadzana zdumionym spojrzeniem koleżanki z sąsiedniego pokoju.

- Och, Gracie, kochana, możesz mi jeszcze podać mydło?

Z uchem nastawionym na dzwonek telefonu spakowała się i postawiła przy drzwiach swój połowy zestaw do badania. Upewniła się, czy w centrali wiedza, że jest w swoim pokoju i zrezygnowała ze śniadania, żeby nie przegapić telefonu. Na dziesięć minut przed rozpoczęciem zajęć, nie otrzymawszy żadnej wiadomości, pognęła z całym bagażem do Sekcji Behavioralnej.

- Pan Crawford wyjechał do Memphis trzy kwadransy temu - słodko oznajmiła jej sekretarka. - Burroughs wyszedł, a Stafford z laboratorium wyjechał na lotnisko krajowe.

- Zeszłej nocy zostawiłam dla pana Crawforda raport. Czy jest dla mnie od niego jakaś wiadomość? Nazywam się Clarice Starling.

- Tak, wiem, jak się nazywasz. Mam tutaj trzy razy zapisany twój numer telefonu, sądzę, że na biurku jest ich jeszcze więcej. Nie, nie zostawił dla ciebie niczego, Clarice. - Kobieta rzuciła okiem na trzymane przez Starling bagaże. - Czy chciałabys, żebyś coś mu przekazała, kiedy zadzwoni?

- Czy zostawił może numer w Memphis, pod którym będzie go można złapać?

- Nie. Poda go, jak zadzwoni. Czy nie masz dzisiaj zajęć, Clarice? Wciąż jesteś chyba w Akademii?

- Tak, tak, jestem.

Spoźnionej Clarice nie ułatwiła wejścia na zajęcia Gracie Pitman, dziewczyna, która przepędziła spod prysznic. Gracie Pitman siedziała dokładnie za jej plecami. Droga na miejsce wydawała się bardzo długa. Zanim usiadła, Gracie, widząc jej zwieszony na kwintę nos, zdążyła poczynić dwie kasliwe uwagi.

Dwie godziny przesiedziała bez śniadania na wykładzie na temat „popelnionych w dobrej wierze odstępstw od treści nakazu przeszukania i aresztowania”. Dopiero potem mogła lyknać kupionej w automacie na korytarzu coli.

W południe sprawdziła swoją skrzynkę na listy. Nie było w niej nic. Przyszło jej wtedy do głowy, drugi czy trzeci raz w życiu, że intensywna frustracja ma smak bardzo podobny do leku, który musiała zazywać jako dziecko.

Są dni, kiedy budzimy się innym człowiekiem. To właśnie przydarzyło się Clarice, czuła to wyraźnie. To, co zobaczyła poprzedniego dnia w domu pogrzebowym w Potter, spowodowało w niej małe tektoniczne pęknięcie.

Clarice Starling studiowała psychologię i kryminologię na dobrej uczelni. Widziała niejedno. Widziała, w jak bezceremonialny sposób potrafi się obejść świat z tymi, którzy nieopatrznie staną mu na drodze. Ale tak naprawdę to nie wiedziała jeszcze nic. Dowiedziała się dopiero teraz: czasami, pod osłoną ludzkiej twarzy, nasz gatunek potrafi stworzyć mózg, któremu przyjemność sprawia to, co leżało na porcelanowym stole w Potter, w Wirginii Zachodniej, w pokoju wytapetowanym herbacianymi różami. Pierwsze zetknięcie się dziewczyny z tym umysłem było gorsze niż wszystko, co miała zobaczyć podczas oględzin zwłok. Ta wiedza weszła jej głęboko pod skórę i nie miała opuścić już nigdy. Wiedziała, że musi stwardnieć, w przeciwnym razie ta świadomość ją zniszczy.

Szkolna rutyna wcale jej nie pomagała. Przez cały dzień miała poczucie, że naprawdę ważne sprawy toczą się gdzieś za horyzontem. Wydawało jej się, że słyszy potężny pomruk wydarzeń, niczym zgłębki dobiegający z odległego stadionu. Wytracał ją z równowagi każdy ruch: studenci przechadzający się po korytarzu, przesuwające się cienie chmur, warkot samolotu.

Po zajęciach przebiegła o wiele więcej okrażeń niż zazwyczaj, potem pływala. Pływala aż do chwili, gdy pomyślała o topielcach i wtedy nie chciała już przebywać w wodzie ani chwili dłużej.

O siódmej razem z Mapp i kilkunastu innymi studentami obejrzała w świetlicy wiadomości. Porwanie córki senatora Martina nie było, co prawda, główną wiadomością dnia, ale druga w kolejności, po genewskich rozmowach rozbrojeniowych.

Z Memphis nadesłano materiał filmowy. Pierwsze ujęcie przedstawiało duży napis Stonehinge Villas na tle obracającego się światła policyjnego wozu. Mass media dokonały prawdziwej inwazji parkingu w Stonehinge. W braku nowych wiadomości wywiady przeprowadzali ze sobą wzajemnie

reporterzy. Przedstawiciele władz miejskich Memphis i okregu Shelby pochylali glowy ku poteznym bateriom mikrofonow i w piekielnej feerii blyskajacych fleszy i szumie aparatury nagrywajacej wyliczali dluga liste rzeczy, ktorych nie wiedzieli. Fotoreporterzy szukali goraczkowo najlepszego ujecia, galopujac z powrotem do telewizyjnych minikamer za kazdym razem, kiedy do mieszkania Catherine Baker Martin wchodzil lub wychodzil ktorys z oficerow sledczych.

Krotki, ironiczny smieszek przetoczyl sie przez swietlice Akademii, kiedy na moment w oknie apartamentu pojawila sie twarz Crawforda. Clarice usmiechnela sie kacikiem ust.

Zastanawiala sie, czy wiadomosci oglada Buffalo Bill. Zastanawiala sie, co pomyslal widzac te twarz i czy w ogole wie, kim jest Crawford.

Inni tez byli zdania, ze Bill moze ogladac wiadomosci.

W telewizorze pokazala sie senator Ruth Martin. Program szedl na zywo, prowadzil Peter Jennings. Stala w sypialni swej corki, na scianie za soba miala proporzec Southwestern University i plakaty popierajace Wile'a E. Coyote'a oraz poprawke do konstytucji o rownosci praw.

Byla wysoka kobieta, jej twarz miala w sobie prostote i sile.

- Mowie teraz do osoby, ktora wiezi moja corke - powiedziala. Podeszla blizej do kamery, powodujac nieprzewidziana zmiane ostrosci. Mowila w sposob, w jaki nigdy nie zwrocilaby sie do terrorysty. - Od pana tylko zalezy, czy wypusci pan moja corke cala. Ma na imie Catherine. Jest bardzo lagodna i rozsadna. Prosze, niech pan wypusci moja corke, niech pan jej nie robi nic zlego. Kontroluje pan sytuacje. Ma pan wladze. Wszystko zalezy od pana. Wiem, ze potrafi pan kochac i wspolczuc. Moze pan ochronic ja przed wszystkim, co jej grozi. Ma pan teraz wspaniala szanse pokazac calemu swiatu, ze jest pan zdolny do wielkiej dobroci, ze jest pan wielkoduszny, ze stac pana na to, by potraktowac innych lepiej, niz swiat potraktowal pana. Ona ma na imie Catherine.

Twarz pani senator zniknela z ekranu. Wypelnil go teraz amatorski film, pokazujacy stawiajacego pierwsze kroki bobasa, ktory trzyma sie siersci duzego owczarka szkockiego, collie.

Ruth Martin mowila dalej zza kadru:

- Film, ktory pan oglada, przedstawia Catherine, kiedy byla malym dzieckiem. Niech pan uwolni Catherine. Niech pan wypusci ja cala i zdrowa gdziekolwiek. Bedzie pan mogl liczyc na moja pomoc i przyjazn.

Teraz nastapila seria fotografii: Catherine Martin w wieku osmiu lat za sterem zaglowki. Lodz stala na blokach, wciagnieta na brzeg, jej ojciec malowal kadlub. Dwie ostatnie fotografie przedstawialy mloda kobiete, jedna obejmowala cala postac, druga tylko twarz.

I z powrotem zblizenie na pania senator.

- W obliczu calego kraju obiecuje panu, ze moze pan liczyc na moja nieograniczona pomoc, kiedy tylko bedzie pan jej potrzebowal. Posiadam odpowiednie srodki, by panu pomoc. Jestem senatorem Stanow Zjednoczonych i czlonkiem komitetu sil zbrojnych. Biore aktywny udzial w



pracach nad Strategiczna Inicjatywa Obronna, systemem broni kosmicznej, powszechnie znanym pod nazwa „wojen gwiazdnych”. Jesli ma pan wrogow, pokonam ich. Jesli ktos walczy z panem, jestem w stanie go powstrzymac. Moze pan zadzwonic do mnie o kazdej porze dnia i nocy. Moja corka ma na imie Catherine. Prosze, niech pan pokaze nam swoja sile. - Jej twarz wypelniala caly ekran. - Prosze, niech pan ja uwolni i nie robi jej krzywdy.

- Rany, ale to jest sprytne - stwierdzila Clarice. Trzesla sie cala jak terier. - Jezu, ale to jest sprytne.

- Co, te gwiazdne wojny? - spytala Mapp. - Jesli ktos z innej planety probuje owladnac umyslem Buffalo Billa, pani senator Martin moze go obronic. Czy o to tutaj chodzi?

Clarice kiwnela glowa.

- Mnostwo schizofrenikow cierpi na tego rodzaju halucynacje. Wydaje im sie, ze ich mysli sa kontrolowane przez kosmitow. Jesli Bill ma podobnego swira, takie podejscie moze sprawic, ze zmieni swoje zamiary. To piekielnie celny strzal i ona go wykonala. W najgorszym razie kupila dla Catherine kilka dodatkowych dni. Beda mieli troche wiecej czasu, zeby rozpracowac Billa. Albo i nie. Crawford uwaza, ze jego okres aktywnosci moze ulec skroceniu. Probuja w ten sposob, moga tez probowac inaczej.

- Ja bym tez wszystkiego probowala, gdyby mial w reku kogos z mojej rodziny. Po co ona mowi caly czas „Catherine”, po co powtarza to imie?

- Probuje sprawic, zeby Buffalo Bill zobaczyl w Catherine zywa istote. Uwazaja, ze aby moc ja pokroic, on musi ja najpierw zdepersonalizowac, Catherine musi stac sie dla niego tylko przedmiotem. Wielokrotni mordercy mowia o tym w skladanych w wiezieniu zeznaniach, przynajmniej niektorzy. Mowia, ze traktuja swoje ofiary jak cos w rodzaju lalki.

- Czy uwazasz, ze za oswiadczeniem pani senator stoi Crawford?

- Moze Crawford, a moze doktor Bloom. A oto i on - spostrzegla Clarice. W telewizji pokazywali teraz zarejestrowany kilka tygodni wczesniej wywiad z doktorem Alanem Bloomem z uniwersytetu w Chicago na temat wielokrotnych morderstw.

Doktor Bloom nie sadzil, by mozna bylo porownac Buffalo Billa z Francisem Dolarhyde'em, Garrettem Hobbsem, ani ktorymkolwiek ze znanych mu mordercow. Nie sadzil, by mozna bylo go nazywac „Buffalo Billem”. Wlasciwie malo co powiedzial w tej konkretnej sprawie, ale uwazany byl za eksperta, najprawdopodobniej jedyne w tej dziedzinie, i w telewizji chcieli pokazac jego twarz.

Ostatnie zdanie stanowilo pointe calego programu.

- Nie mozemy go niczym przestraszyc - mowil Bloom. - Niczym, co byloby gorsze od niebezpieczenstw, na ktore narazony jest kazdego dnia. Jedyne, co mozemy, to poprosic go, zeby do nas przyszedl. Mozemy obiecac, ze potraktujemy go lagodnie, przyniesiemy mu ulge i musimy

traktowac nasza obietnice absolutnie szczerze.

- Czy nie moglibysmy wszyscy przyniesc mu troche ulgi? - odezwala sie Mapp. - Niech mnie diabli, jesli nie potrafilabym sama sprawic mu odpowiedniej ulgi. Uwielbiam takie robienie wody z mozgu, cala te gladka mowe-trawe. Nie powiedzial im nic konkretnego, choc z drugiej strony nie wytracil chyba tez specjalnie z rownowagi Billa.

- Nie moze przestac myslec o tej dziewczynie z Wirginii Zachodniej - powiedziala Clarice. - Zapominam o niej, powiedzmy, na pol godziny, a potem to wszystko znowu lapie mnie za gardlo. Ten lakier na jej paznokciach... Musze sie jakos otrzasnac.

Przy kolacji Mapp przeskakiwala od jednej zabawnej historyjki do drugiej, starajac sie rozchmurzyc kolezanke. Przeprowadzona przez nia analiza porownawcza asonansow stosowanych przez Stevie Wondera i Emily Dickinson doslownie zafascynowala przypadkowych sluchaczy.

W drodze do pokoju Clarice wyjela ze skrzynki adresowany do niej liscik i przeczytala: Proszę zadzwonic do Alberta Rodena. Nizej podany byl numer telefonu.

- To kolejny dowod na slusznosc mojej teorii - powiedziala Ardelii, kiedy obie wskoczyly do lozek z ksiazkami.

- Co to za teoria?

- Spotykasz dwoch facetow, prawda? Ten niewlasciwy bedzie potem wydzwanial do ciebie co pare godzin.

- Znam ten bol.

Zadzwonil telefon.

Mapp dotknela olowkiem czubka nosa.

- Jesli to Ognisty Bobby Lowrance, mozesz mu powiedziec, ze jestem w bibliotece - powiedziala. - Powiedz, ze zadzwonie jutro.

To byl Crawford. Dzwonil z samolotu, jego glos skrzypial nieprzyjemnie w sluchawce.

- Starling, spakuj sie na dwie noce. Czekam na ciebie za godzine.

Pomyslala, ze rozmowa skonczona, w sluchawce slychac bylo tylko monotonny szum. Nagle uslyszala go ponownie. - Nie bierz zestawu do badan, tylko rzeczy osobiste.

- Gdzie sie spotykamy?

- W Smithsonian. - Zanim odlozyl sluchawke, rozmawial juz z kims innym.

- Jack Crawford - oznajmila Clarice, rzucajac na lozko pusta torbe.

Mapp wychyliła głowę zza Federalnego Kodeksu Postępowania Karnego. Przymknęła jedno oko i obserwowała pakującą się koleżankę.

- Nie chce zawracać ci teraz niczym głowy - powiedziała.

- Ale zawrocisz - odparła Clarice. Wiedziała, o co chodzi.

Mapp skończyła prawo na Uniwersytecie Maryland pracując zarobkowo w nocy. W Akademii, pod względem wyników nauczania, zajmowała drugie miejsce na kursie, książki pochłaniała jak nawiedzona.

- Jutro jesteś zapisana na egzamin z kodeksu, za dwa dni masz sprawdzian z wychowania fizycznego. Musisz się upewnić, czy wielki boss Crawford wie, że będziesz musiała powtarzać semestr, jeśli się za toba nie wstawi. Kiedy oznajmi ci: „Dobra robota, studentko Starling”, nie odpowiadaj przypadkiem: „Cała przyjemność po mojej stronie”. Masz świetne prawo powiedzieć mu prosto w oczy: „Liczę, że dopilnuje pan osobiście, żeby mnie nie cofnęli”. Rozumiesz, co do ciebie mówię?

- Kodeks mogę zdawać w terminie poprawkowym - mruknęła Clarice otwierając zębami suwak.

- Wspaniale! I oblejesz go nie mając czasu się przygotować. Myślisz, że cie nie cofną? Robisz sobie ze mnie żarty? Dziewczyno, dadzą ci kopa w tyłek przedziej, niż się spodziewasz. Wdzięczność ma krótką pamięć, Clarice. Zmus go, żeby powiedział: „Nie będzie powtarzania semestru”. Masz dobre oceny, zmus go, żeby to powiedział. Nigdy już nie znajdzie sobie współlokatorki, która potrafi wyprasować bluzkę na minutę przed rozpoczęciem zajęć.

Na czteropasmowej autostradzie Clarice udało się rozpedzić starego pinto do szybkości zaledwie o półtora kilometra niższej od tej, przy której zaczyna się taniec na lodzie. Zapach rozgrzanego oleju i plesni, grzechot silnika i pisk paska klinowego - wszystko to przywoływało jej z pamięci niewyraźny obraz furgonetki ojca, czasy, kiedy jeździła wspólnie z nim, mając obok siebie wiercących się braci i siostry.

Teraz ona siedziała za kierownicą, była noc, opony mlaskały po białych pasach. Miała czas na zastanowienie. Na karku czuła gorący oddech dreczących ją koszarowców; nie dawały jej spokoju także świeże wspomnienia.

Bala się bardzo, że Crawford wzywa ją, bo odnalazły się zwłoki Catherine Baker Martin. Buffalo Bill zorientował się, kim jest porwana przez niego dziewczyna, i wpadł w panikę. Zabił ją i utopił ciało z wetkniętym do gardła owadem.

Może Crawford przywiózł ze sobą owada do identyfikacji? Co innego mogło go sprowadzić do muzeum? Z drugiej strony każdy agent mógł przecież przywieźć tam kokon, mógł to zrobić nawet zwykły goniec z FBI. A Crawford powiedział jej, żeby spakowała się na dwa dni.

Rozumiała, że nie mógł jej tego wszystkiego wyjaśnić na nie zakodowanej linii, ale można

było oszalec od tej niepewności.

Odszukała w radiu program nadający non stop serwis informacyjny i poczekala, aż skończy się prognoza pogody. Ale wiadomości wcale nie rozwiały jej obaw. Raport z Memphis nie przyniósł niczego nowego w stosunku do dziennika z godziny siódmej. Zaginela córka senatora Ruth Martin. Znalaziono jej bluzkę z plecami przeciętymi z tyłu w stylu Buffalo Billa. Żadnych świadków. Ofiara odnaleziona w Wirginii Zachodniej nadal pozostaje nie zidentyfikowana.

Wirginia Zachodnia. Wśród rzeczy, które zapamiętała z domu pogrzebowego w Potter, było coś istotnego i wartościowego. Coś trwałego, coś, co jasniało wyraźnie na tle mrocznych rewelacji. Coś, co należało zatrzymać. Umyslnie przywołała teraz to wspomnienie i odkryła, że jest ono dla niej czymś w rodzaju talizmanu. Stojąc przy zlewie w domu pogrzebowym w Potter poczuła, jak czerpie siłę ze wspomnienia, które zdziwiło ją zarazem i nappełniło zadowoleniem: wspomnienia o matce.

Clarice nie była rozpieszczanym dzieckiem. Z polmiska, który przeznaczony był przede wszystkim dla zmarłego ojca i braci, dostawały jej się na ogół okruszki uczuć; tym bardziej zdziwił ją i wzruszył dar, który w sobie odnalazła.

Zaparkowała pinto w podziemiach kwatery głównej FBI na rogu Dziesiątej Ulicy i Pennsylvania Avenue. Na chodniku koczowały ekipy stacji telewizyjnych, reporterzy szykowali się do swojej wielkiej chwili w światłach jupiterów. Na razie wyspiewywali na stojąco kolejne relacje, za tło służyła im potężna bryła gmachu Edgara Hoovera. Clarice ominęła bokiem zalany światłem chodnik i przeszła dwa bloki dalej, tam gdzie mieściło się Muzeum Smithsona.

W starym budynku dostrzegła kilka jasnych okien. Na polkolistym podjeździe zaparkowana była furgonetka policji z Baltimore. W stojącym tuż za nią nowym mikrobusie obserwacyjnym czekał za kierownicą kierowca Crawforda, Jeff. Kiedy zobaczył dziewczynę, powiedział coś do trzymanego w ręku radiotelefonu.

## ROZDZIAŁ 18

Straznik zawioził Clarice na drugą kondygnację powyżej wielkiego wypchanego słonia. Drzwi windy otworzyły się na rozległy, pogrążony w półmroku hall. Czekal tu Crawford, sam jeden, z rękami w kieszeniach płaszcza.

- Dobry wieczór, Starling.

- Cześć - odpowiedziała.

Crawford obrócił się przez ramię do straznika.

- Dalej trafimy już sami, dziękuję panu.

Szli ramię w ramię korytarzem zastawionym po obu stronach okazami działu antropologii. Pod

sufitem palily sie nieliczne zarowki. Teraz, kiedy nawiazala z Crawfordem bardziej przyjazne, prawie kolezenskie stosunki, miala wrazenie, ze chcialby oprzec reke na jej ramieniu, ze zrobilby to, gdyby w ogole byl w stanie jej dotknac.

Czekala, az cos powie. W koncu zatrzymala sie i takze wsadzila rece do kieszeni. Stali naprzeciw siebie w milczeniu. Obok, na tacy, lezaly ludzkie kosci.

Crawford odchytil glowe do tyłu i odetchnal gleboko.

- Catherine Martin prawdopodobnie wciaz zyje - powiedzial.

Kiwnela glowa i spuscila wzrok. Moze latwiej bedzie mu mowic, kiedy nie bedzie patrzyła mu w oczy. Był spokojny, ale cos trzymalo go za gardlo. Przez chwile zastanawiala sie, czy nie zmarla mu zona. A moze sprawil to dzien spedzony z rozpaczajaca matka Catherine.

- W Memphis jakby zapadla sie pod ziemie - mowil. - Sadze, ze zlupal ja na parkingu. Nikt tego nie widzial. Poszla do swojego domku i potem z jakiegos powodu z niego wyszla. Nie zamierzala dlugo przebywac na dworze: zostawila drzwi uchylone i zablokowala zamek, zeby sie nie zatrzasnely. Polozyła klucze na telewizorze. W mieszkaniu wszystko w porzadku. Nie sadze, zeby spedzila tam duzo czasu. Nie doszla nawet do automatycznej sekretarki w sypialni. Sygnal swietlny wciaz dzialal, kiedy jej niezbyt rozgarniety chlopak wezwal wreszcie policje.

Crawford mimowolnie dotknal dlonia tacy z koscmi i szybko ja cofnal.

- Tak wiec ma ja w swoich rekach, Starling. Stacje telewizyjne zgodzily sie nie prowadzic „odliczania” w wiadomosciach wieczornych. Doktor Bloom uwaza, ze to go dodatkowo zacheci. Ale i tak beda to robic szmatlawce.

Podczas jednego z poprzednich uprowadzen przeciete z tyłu ubranie znaleziono na tyle szybko, ze udalo sie ustalic tozsamosc kolejnej ofiary, jeszcze kiedy zyła. Clarice pamietala wielkie czarne cyfry, ktorymi brukowa prasa odliczala na swoich okladkach kolejne mijajace dni. Zanim cialo wyplynelo, doliczyli sie osiemnastu.

- Catherine Baker Martin czeka zatem w garderobie Billa, a my mamy przed soba moze tydzien. To wersja na uzytek zewnetrzny. Bloom uwaza, ze w rzeczywistosci jego okres sie skraca.

Jak na Crawforda bylo to dlugie przemowienie. Okreslenie miejsca, w ktorym Bill trzyma swoje ofiary, teatralnym mianem „garderoby”, nie bylo zbyt trafne. Clarice wiedziala, ze jeszcze nie doszedl do sedna. Miala racje.

- Ale tym razem, Starling, tym razem moze czekac nas maly przelom.

Spojrzala na niego spod oka, z nadzieja, ale i z rezerwa.

- Mamy kolejnego owada. Twoi koledzy, Pilcher i... ten drugi...

- Roden.

- ...wlasnie nad nim pracuja.
- Gdzie go znalezi? W Cincinnati, u tej dziewczyny w lodowce?
- Nie. Chodz, pokaze ci. Zobaczymy, co o tym sadzisz.
- Dzial entomologii jest z drugiej strony, panie Crawford.
- Wiem - odpowiedzial.

Skrecili ku drzwiom prowadzacych do dzialu antropologii.

Za matowa szyba palilo sie swiatlo. Slychac bylo glosy. Weszla do srodka.

Pod jaskrawa lampa pracowalo przy stole trzech mezczyzn w laboratoryjnych fartuchach. Clarice nie widziala dobrze, co robia. Zagladal im przez ramie i robil notatki Jerry Burroughs z Sekcji Behawioralnej. W pokoju unosil sie znajomy odor.

Jeden z ubranych na bialo mezczyzn odszedl na chwile, zeby wlozyc cos do zlewu i ujrzala wszystko jak na dloni.

Na nierdzewnej, stalowej tacy lezal „Klaus”, glowa, ktora odnalazla w magazynach Split City.

- To Klaus mial w gardle owada - wyjasnil Crawford. - Poczekaj chwile, Starling. Jerry, czy rozmawiasz z centrum lacznosciowym?

Burroughs odczytywal dane z notesu do telefonu. Zakryl reka mikrofon.

- Tak, Jack, wlasnie wpisuja dane na temat Klaususa. Crawford wzial od niego sluchawke.

- Bobby, nie czekaj, az odezwie sie Interpol. Wez telefaks i przekaz fotografie teraz, razem z danymi medycznymi. Kraje skandynawskie, Niemcy Zachodnie, Holandia. Nie zapomnij dodac, ze Klaus mogl byc marynarzem floty handlowej, ktory zszedl ze swojego statku. Wspomnij, ze ich sluzba zdrowia moze miec cos na temat jego zlamanej kosci policzkowej. Fachowo nazywa sie to kosc jarzmowa. Upewnij sie, czy wyslales dwa typy karty stomatologicznej, uniwersalny i z Federation Dentaire. Z wiekiem obraz sie zmienia, ale podkresl, ze to przyblizona rekonstrukcja: nie mozna polegac w tym wzgledzie na szwach czaszki.

Oddal z powrotem telefon Burroughsowi.

- Gdzie twoje ubranie, Starling?

- Na dole, w portierni.

- Owada znaleziono w szpitalu Johnsa Hopkinsa - powiedzial Crawford, kiedy czekali na winde. - Badali glowe na zlecenie policji z Baltimore. Tkwil w gardle dokladnie tak samo jak u dziewczyny z Wirginii Zachodniej.

- Dokładnie jak w Wirginii Zachodniej?

- Jak byś zgadła. Znaleziono go dzisiaj o siódmej wieczorem. Prokurator okręgowy złapał mnie telefonicznie na pokładzie samolotu. Przesłali całą rzecz tutaj, Klausa i resztę, tak żebyśmy mogli przyjrzec się temu na miejscu. Chca również zasięgnąć opinii doktora Angela na temat wieku Klausa i tego, ile miał lat, kiedy złamał kość policzkową. Konsultują się ze Smithsonian tak samo jak my.

- Muszę się chwilę zastanowić. Twierdzi pan, że to może Buffalo Bill zabił Klausa? Dawno temu?

- Według ciebie za bardzo się tu wszystko zgadza?

- Tak, w tej chwili tak mi się właśnie wydaje.

- Zastanów się trochę.

- Doktor Lecter powiedział mi, gdzie odnaleźć Klausa.

- Zgadza się.

- Powiedział, że jego pacjent, Benjamin Raspail, przyznał się, iż zadusił Klausa własnymi rękami. Doktor Lecter twierdził jednak, że według niego zgon nastąpił prawdopodobnie przypadkowo, podczas „banalnej erotycznej zabawy”.

- Tak powiedział...

- Sądzi pan, że doktor Lecter zna dokładnie przyczynę śmierci Klausa i że sprawca nie był Raspail, i że to nie była banalna erotyczna zabawa?

- Kokon w gardle miał Klaus, kokon w gardle miała dziewczyna z Wirginii Zachodniej. Nigdy wcześniej czegoś takiego nie widziałem. Nigdy nie czytałem i nie słyszałem. Co o tym myślisz?

- Myślę, że kazał mi pan się spać na dwa dni. Chce pan, żebym zapytała doktora Lectera, prawda?

- Jesteś jedyną osobą, z którą on rozmawia, Starling - Crawford wydawał się taki smutny, kiedy to mówił. - Spodziewam się, że jesteś gotowa?

Kiwnęła głową.

- Porozmawiamy w drodze do szpitala - powiedział.

## ROZDZIAŁ 19

- Doktor Lecter ma długoletnią i bogatą praktykę psychiatryczną - mówił Crawford - Zanim

ujelismy go za popelnione morderstwa, wielokrotnie pelnil funkcje bieglego psychiatry w sadach stanu Maryland, Wirginia i gdzie indziej na calym Wybrzezu Wschodnim. Mial do czynienia z dziesiatkami chorych psychicznie przestepcow. Kto wie, ile zatail, ot tak, dla czystej zabawy? To tylko jeden ze sposobow, w jaki mogl zdobyc te informacje. Poza tym utrzymywal stosunki towarzyskie z Raspaiem, a ten opowiadal mu rozne rzeczy podczas terapii. Moze to Raspail powiedzial mu, kto zabil Klausa.

Crawford i Clarice siedzieli naprzeciwko siebie na obrotowych fotelach w tylnej czesci mikrobusu obserwacyjnego. Suneli droga U.S. 95 w kierunku oddalonego o szescdziesiat kilometrow Baltimore. Oddzielony od nich szyba Jeff mial wyrazne polecenie cisnac gaz do dechy.

- Lecter narzuca sie ze swoja pomoca, ale ja nie jestem nia zainteresowany. Pomagal nam juz wczesniej. Nie uzyskalismy niczego konkretnego, walnie dopomogl za to poharatac nozem twarz Willa Grahama.

Ale majac kokon w gardle Klausa i kokon w gardle dziewczyny z Wirginii Zachodniej, nie moze tego tak po prostu zostawic. Alan Bloom nigdy dotad nie slyszal o czyms takim, ja tez nie. Moze ty gdzies sie na to natknelas, Starling? Czytalas ostatnio duzo literatury.

- Nigdy. Umieszczano czasem inne przedmioty, ale nigdy owada.

- Zaczniemy od dwoch rzeczy. Po pierwsze, opieramy sie na zalozeniu, ze doktor Lecter naprawde wie cos konkretnego. Po drugie, pamietamy, ze doktorowi Lecterowi zalezy glownie na tym, zeby sie rozerwac. Nigdy nie wolno nam o tym zapomniec. Musi zalezec mu, zeby Buffalo Bill zostal zlapany, zanim usmierci Catherine Martin. Cala zabawa i wszelkie korzysci musza wynikac wlasnie z tego. Nie mamy go czym przestraszyc, bo i tak zabrano mu juz sedes i ksiazki. Nie ma nic do stracenia.

- No, a gdyby po prostu przedstawic mu sytuacje i zaoferowac cos w zamian... na przyklad cele z widokiem. O to wlasnie prosil proponujac pomoc.

- Proponowal pomoc, Starling. Nie proponowal, ze bedzie donosic. Donoszac nie bedzie mial wystarczajacej satysfakcji, nie bedzie mogl sie popisac... Masz watpliwosci? Wolalabys powiedziec mu prawde. Posluchaj, Lecterowi sie nie spieszy. Dla niego to jak gra w baseball. Jesli poprosimy go, zeby zlozyl donos, bedzie wolal poczekac. Nie robi tego tak od razu.

- Nawet jesli obieca mu sie cos w nagrode? Cos, czego nie dostanie, jesli Catherine Martin umrze?

- Zalozmy, ze powiemy mu tak: wiemy, ze chowasz cos w zanadrzu, i chcemy, zebys nam to zdradzil. Najwiecej frajdy bedzie mial grajac nam na nerwach i udajac, ze stara sie sobie to cos przypomniec, dzien po dniu, tydzien po tygodniu. Bedzie rozbudzal nadzieje pani senator i pozwoli umrzec Catherine, a potem bedzie torturowal nastepna matke i jeszcze nastepna, zawsze na koncu jezyka majac to, na co wszyscy czekaja. To dla niego o wiele lepsze niz pokoj z widokiem. To jest cos, dzieki czemu on zyje. To jego pozywienie.



Nie wiem, czy z wiekiem staniesz się mądrzejsza, Starling, ale musisz nauczyć się oszukiwać zło. Czasami tylko w ten sposób można osiągnąć coś dobrego.

- Doktor Lecter powinien zatem uważać, że zwracamy się do niego tylko po to, by opowiedział nam o swoich teoriach i o tym, co podpowiada mu jego intuicja - stwierdziła.

- Dokładnie tak.

- Dlaczego mi pan to wszystko opowiada? Dlaczego po prostu nie posle mnie pan z odpowiednimi instrukcjami?

- Traktuje cię jak partnera. Będziesz robiła podobnie, kiedy któregoś dnia sama obejmiesz dowództwo. Na dłuższą metę tylko w ten sposób można dojść do jakichś wyników.

- A więc żadnej wzmianki o owadzie w gardle Klausa, żadnego powiązania między Klausem i Buffalo Billem?

- Tak. Wracasz do niego, ponieważ jesteś pod wrażeniem przenikliwości, z jaką przewidział, że Buffalo Bill zacznie skalpować swoje ofiary. Ja nie jestem nim oficjalnie zainteresowany, podobnie doktor Bloom. Ale pozwalam ci dalej się w to bawić. Możesz zaoferować mu pewne przywileje, rzeczy, które załatwić dla niego może tylko ktoś tak wysoko postawiony jak pani Martin. Musi uwierzyć, że powinien się spieszyć, oferta wygasa bowiem wraz ze śmiercią Catherine. Jeśli Catherine umrze, jej matka całkowicie się wycofuje. I jeżeli nie uda mu się zapobiec jej śmierci, to bynajmniej nie dlatego, że chciał nam zrobić na złość, ale dlatego, że nie jest dość sprytny i wie zbyt mało, żeby spełnić to, co obiecywał.

- Czy senator Martin rzeczywiście się wycofa?

- Lepiej, żebyś pod przysięgą potrafiła powiedzieć tyle tylko, że nie znasz odpowiedzi na to pytanie.

- Rozumiem. - A więc senator o niczym nie wie. To był ryzykowny strzał. Najwyraźniej Crawford obawiał się, że pani Martin może mu pomieszać szyki, popełnić błąd i zaapelować bezpośrednio do doktora Lectera.

- Czy rzeczywiście rozumiesz?

- Tak. W jaki sposób Lecter ma nas zaprowadzić prosto do Buffalo Billa, skoro nie może zdradzić, że wie coś konkretnego? Jak ma to zrobić, opierając się pozornie tylko na swoich teoriach i intuicji?

- Nie wiem, Starling. Miał mnóstwo czasu, żeby to przemyśleć. Czekal na to od dnia, kiedy odnaleziono pierwszą ofiarę Billa.

W mikrobusie zaterkotał i zamrugał jednocześnie specjalny telefon z dekoderym. Zaczęła się cała seria rozmów, które Crawford zamówił wcześniej w centrali FBI.

Przez następne dwadzieścia minut rozmawiał ze znajomymi funkcjonariuszami holenderskiej policji państwowej i Royal Marechaussee, z pamiętającym czasy studiów w Quantico Overstelojtnantem ze służby technicznej policji szwedzkiej i z przyjacielem, który pełnił funkcję asystenta Rigspolitichefa w Danii. Zdziwił Starling przechodząc gładko na francuski w rozmowie z nocnym oficerem dyżurnym belgijskiej Police Criminelle. Za każdym razem podkreślał konieczność szybkiego ustalenia tożsamości Klausa i jego współników. Europejskie organizacje policyjne i tak otrzymały już prośbę o pomoc za pośrednictwem Interpolu, ale po bezpośredniej rozmowie ze starymi kumplami można było mieć nadzieję, że depesza nie będzie tkwiła przez parę godzin w teleksie.

Clarice zdała sobie sprawę, że Crawford wybrał mikrobus, ponieważ zainstalowane tu były odpowiednie urządzenia łącznościowe, wśród nich nowy system kodujący typu Voice Privacy, pomyślała też jednocześnie, iż łatwiej byłoby mu odbyć te wszystkie rozmowy ze swojego biura. Tutaj musiał zonglować notatnikiem na małym stoliczku, przy skąpym oświetleniu, podskakując za każdym razem, kiedy opony trafiły na jakąś nierówność. Starling nie miała dużego doświadczenia w prowadzeniu akcji, wiedziała jednak, że szef sekcji nie tłucze się na ogół mikrobusem, żeby załatwić podobne sprawy. Mogł powiedzieć jej o wszystkim z pokładu samolotu. Cieszyła się, że tego nie zrobił.

Miała odczucie, że spokój i cisza panujące w mikrobusie i cały ten czas przeznaczony na odpowiednie przygotowanie czekającej ją misji okupione zostały wysoką ceną. Przysłuchując się kolejnym telefonicznym rozmowom Crawforda, utwierdzała się w tym przekonaniu.

Teraz rozmawiał z dyrektorem w jego domu.

- Nie, sir... Czy kładą na to taki nacisk? Jak długo? Nie, sir. Nie. Żadnego mikrofonu. Tommy, takie jest moje zdanie i będę się przy tym upierał. Nie chce, żeby miała przy sobie mikrofon. Doktor Bloom twierdzi to samo. Utknął we mgle na lotnisku O'Hare. Przyleci, jak tylko się przejasni. Dobrze.

Następnie odbył przyciszonym głosem rozmowę z pełniacą nocny dyżur w jego domu pielęgniarką. Kiedy skończył, spoglądał może minutę przez przezroczystą od tej strony szybę mikrobusu. Zdjął okulary i oparł je o kolano przytrzymując palcem. W przesuwających się światłach jego twarz wydawała się dziwnie bez wyrazu. Potem założył z powrotem okulary i odwrócił się do Clarice.

- Mamy trzy dni na Lectera. Jeśli nie uda nam się nic od niego wydobyć, policja z Baltimore wycisnie z niego siódme poty. Bada go obrabiać tak długo, jak długo pozwoli na to sąd.

- Wyciskanie z niego potów nic ostatnio nie dało. Doktor Lecter nie jest zbyt potliwy.

- Co dal im po tym wszystkim, papierowego kurczaka?

- A tak, kurczaka. - Zgnieciony kurczak był wciąż w torebce Starling. Wyprostowała go na małym stoliczku i pokazała, jak dziobie.

- Trudno mi winić gliniarzy z Baltimore. To ich wiezien. Jeśli Catherine wypłynie, będą musieli udowodnić pani senator Martin, że próbowali wszystkiego.

- A jak czuje się pani Martin?

- Cierpi, ale stara się być dzielna. To mądra i twarda kobieta, ma dużo zdrowego rozsądku. Chyba ją polubisz.

- Czy w szpitalu Hopkinsa i w wydziale zabójstw w Baltimore nie puszcza pary na temat kokonu w gardle Klausa? Czy uda nam się zachować to w tajemnicy przed prasą?

- Co najmniej przez trzy dni.

- Przez ten czas możemy coś zrobić.

- Nie możemy ufać Frederickowi Chiltonowi i w ogóle nikomu w szpitalu - stwierdził Crawford. - Jeżeli wie Chilton, wie cały świat. Chilton musi zostać poinformowany, że tam będziesz, ale powie mu się, że po prostu wyświadczasz przysługę chłopcom z wydziału zabójstw w Baltimore, że starasz się zamknąć sprawę Klausa. Nie ma to nic wspólnego z Buffalo Billem.

- I robie to w środku nocy?

- To jedyny czas, który ci dałem do dyspozycji. Muszę ci powiedzieć, że historia o kokonie, tym z Wirginii Zachodniej, znajdzie się w jutrzejszych gazetach. Puscili farbę w biurze koronera w Cincinnati, sprawa nie jest już tajemnicą. To jest szczegół, o którym Lecter może się dowiedzieć od ciebie i niczego to naprawdę nie zmieni tak długo, dopóki on nie wie, że znaleźliśmy kokon także w gardle Klausa.

- Co mamy mu do zaoferowania?

- Właśnie nad tym pracuje - odrzekł Crawford biorąc do ręki telefon.

## **ROZDZIAŁ 20**

Duża łazienka, cała w białych kafkach, nad głową świetliki, niżej błyszczące włoskie wyposażenie na tle starej, ceglanej podłogi. Załadowana kosmetykami elegancka polka, po jej bokach pna się rośliny doniczkowe. Zasnutą parą lustro. Spod prysznicza dobiega niskie, melodyjne mruczenie. Melodia wzięta jest o jedną nutę za wysoko. Pochodzi z musicalu Fatsa Wallera „Złe zachowanie” i nosi tytuł „Cash for Your Trash”. Mruczenie przechodzi czasami w słowa:

Gazety stare na makuLA-TURE

Składaj, az zbierzesz ich ogromna FU-RE...

DA DADADA DA DA D AD A

DA DA...

Za kazdym razem, kiedy slychac slowa, o drzwi lazienki skrobie maly piesek.

Pod prysznicem stoi Jame Gumb, bialy mezczyzna, trzydziesci cztery lata, wzrost 185 centymetrow, waga 93 kilogramy, wlosy brazowe, oczy niebieskie, znakow szczegolnych brak. Swoje imie wymawia jak James, tyle ze bez koncowego „s”: Jame. Jest na tym punkcie bardzo czuly.

Po pierwszym tuszu Gumb aplikuje sobie emulsje po kapieli, rozcieraja dlonmi na piersiach i posladkach. W miejscach, ktorzych nie lubi dotykac, uzywa gabki. Nogi i stopy sa nieco szorstkie, ale stwierdza, ze nie wygladaja najgorzej.

Naciera sie mocno recznikiem, az rozowieje mu skora, i caly smaruje sie dobrym kremem nawilzajacym. Za prysznicowa kotara ma wysokie, obejmujace cala postac lustro.

Wpycha szczotka penisa i jadra miedzy nogi. Odsuwa kotare na bok i staje przed lustrem. Zaciska mocno uda i wypina biodra nie zwazajac na bol, jaki odczuwa przy tym w genitaliach.

- Zrob cos dla mnie, kochanie. Zrob cos dla mnie juz zaraz. - Uzywa gornego rejestru swego niskiego z natury glosu i stwierdza, ze jest w tym coraz lepszy. Hormony, ktore bral - przez jakis czas premarin, a potem doustnie diethylstilbestrol - nie byly w stanie zmienic mu glosu, ale przerzedzily troche wlosy na lekko paczkujacych piersiach. Dzieki licznym zabiegom elektrolitycznym Gumb pozbyl sie brody i zmienil linie wlosow na czole, ale nadal nie jest podobny do kobiety. Wyglada jak mezczyzna, ktory w walce rownie dobrze moze uzyc paznokci, jak piesci i nog.

Czy jego zachowanie wynika ze szczerej, choc nieudolnej, checi odmiany, czy jest tylko ponurym szyderstwem - trudno stwierdzic po krotkiej znajomosci. A tylko takie zawiera.

- Co mii zrobiiiiisz?

Na dzwiek jego glosu jeszcze raz odezwalo sie skrobanie. Gumb zalozyl plaszcz kapielowy i wpuscil psa do srodka. Byla to mala pudliczka w kolorze szampana. Wzial ja na rece i pocalowal w pulchny grzbiet.

- Ta-a-a-ak. Czy jestes wyglodzona, Skarbuniu? Ja tez. Przelozyl suczke z jednej reki do drugiej, zeby otworzyc drzwi sypialni. Wyprezyla sie, chcac zeskoczyc na podloge.

- Chwileczke, najdrozsza. - Wolna reka podniosl lezacy na podlodze karabin typu Mini-14 i polozyl go na poduszkach. - Juz zaraz. Za chwileczke zjemy kolacje. - Postawil suczke na podlodze i zalozyl pizame i szlafrok. Kiedy schodzil na dol, do kuchni, pobiegla za nim ochoczo.

Jame Gumb wyjal z kuchenki mikrofalowej trzy szybkie, gotowe dania. Dwa zestawy obiadowe z serii „Glodomor” mial zamiar zjesc sam, jeden z serii „Smukla sylwetka” przeznaczony byl dla psa.

Suczka lappczywie polknela entree i deser. Nie ruszyla jarzyn. Na obu tackach Jame Gumba

zostały tylko kosci.

Wypuścił suczkę przez tylne drzwi na dwór i otuliwszy się szczelniej szlafrokiem przed chłodem patrzył, jak kuca w wąskiej smudze światła padającej z uchylonych drzwi.

- Nie zrobiłaś jeszcze wszystkiego. No dobrze, nie będę patrzył. - Zasłonił ręką oczy, zerkając jednak chytrze spod palców. - Och, wspaniale, ty mała trzpiotko, spisałaś się na medal. Chodź z powrotem, kładziemy się do łózka.

Pan Gumb uwielbiał klaskać się do łózka. Robił to kilka razy w ciągu nocy. Lubił też wstawać i siedzieć w którymś ze swych licznych pokoi przy zgaszonym świetle albo trochę popracować, szczególnie gdy zajmowało go coś naprawdę twórczego.

Chciał zgasić światło w kuchni, ale wstrzymał się na chwilę. Wydał wargi i zastanawiał się nad resztkami, które pozostały z kolacji. Wziął tacki do ręki i wytarł stół.

Przełącznikiem u szczytu schodów zapalił światło w piwnicy i zabrał ze sobą tacki. Suczka skomlała w kuchni, próbując otworzyć pyskiem przyknięte przez niego drzwi.

- No dobrze, Silly Billy. - Podniósł suczkę i zniósł ją na dół. Wierciła się i starała dosięgnąć pyskiem tacek, które trzymał w drugiej ręce.

- Nie, to nie dla ciebie, ty masz już dosyć.

Postawił ją na podłodze. W kretę jak labirynt, wielopoziomowej piwnicy nie odstępowała go ani na krok.

W pomieszczeniu położonym dokładnie pod kuchnią znajdowała się od dawna wyschnięta studnia. Jej kamienna, wzmocniona nowoczesnymi obrotami i cementem cembrowina wznosiła się na wysokość pół metra od wysypanej piaskiem podłogi. Spoczywała na niej oryginalna, drewniana pokrywa, zbyt ciężka, by mogło ją podnieść dziecko. W pokrywie znajdowały się drzwiczki, przez które można było spuścić wiadro. Były otwarte. Jame Gumb zrzucił tam resztki z dwóch swoich i jednej psiej tacki.

Kosci i kawałki jarzyn zniknęły w absolutnych ciemnościach, w których pograzone było wnętrze studni. Mała suczka siadła na tylnych łapach i domagała się pokarmu.

- Nie, nie. Wszystko wyrzucone - powiedział Gumb. - I tak jesteś już wystarczająco gruba. Tłuscioch, tłuscioch - szeptał pieszczotliwie do pudliczki, wchodząc po schodach na górę. Nie dał po sobie poznać, czy słyszy krzyk, wciąż silny i czysty, który niesłownie echem po ścianach studni:

- Proooszee!

## ROZDZIAŁ 21

Clarice Starling przekroczyła prog Stanowego Szpitala dla Psychicznie Chorych Przestępców w Baltimore kilka minut po godzinie dziesiątej wieczor. Była sama. Miała nadzieje, że nie spotka doktora Fredericka Chiltona. Niestety, czekał już na nią w swoim gabinecie.

Miał na sobie angielski w stylu sportowym płaszcz w kratę. Krata była wielkości wystaw sklepowych, podwójne otwory wentylacyjne i klapy dopełniały piorunującego efektu. Clarice miała nadzieje, że nie ubrał się tak specjalnie dla niej.

Przed biurkiem stało przysrubowane do podłogi krzesło. Dziewczyna przystanęła za nim, jej powitanie zawisło w powietrzu. Z umieszczonych w stojaku na polce fajek zalaływał ją ostry zapach.

Doktor Chilton skończył przyglądać się swojej kolekcji lokomotyw Franklina Minta i odwrócił w jej stronę.

- Napije się pani może nieszki?

- Nie, dziękuję. Przykro mi, że niepokoję pana o tak późnej porze.

- Wciąż stara się pani czegoś dowiedzieć na temat tej odnalezionej głowy? - pytał dalej doktor.

- Tak. W biurze prokuratora okręgowego w Baltimore powiedziano mi, że sprawa jest z panem uzgodniona.

- O tak. Współpracuje z tutejszymi władzami bardzo ściśle, panno Starling. Swoją drogą, czy pisze pani jakiś artykuł, może prace magisterską?

- Nie.

- Czy publikowała pani już coś w czasopiśmie naukowych?

- Nie, nigdy. Robię to po prostu na zlecenie biura prokuratora generalnego dla wydziału zabójstw tutejszej policji. Przekazaliśmy im nie rozstrzygniętą sprawę i pomagamy teraz doprowadzić do końca. - Clarice odkryła, że niesmak, jakim napelniał ją Chilton, sprawiał, iż znacznie łatwiej było go okłamywać.

- Czy jest pani odpowiednio wyposażona?

- Czy co?

- Czy ma pani mikrofon podłączony do urządzenia, które będzie nagrywać wszystko, co powie doktor Lecter?

- Nie.

Chilton wyjął mały magnetofon typu „Pearlorder” i włożył do niego kasetę.

- W takim razie niech pani to włoży do torebki. Sporządze z tego zapis i przesła pani kopie.

Moze pani jej uzyc, zeby wesprzec swoje notatki.

- Nie, nie moge tego zrobic, doktorze.

- Dlaczego, u licha? Wladze Baltimore bez przerwy prosza mnie o analize wszystkiego, co ma do powiedzenia Lecter na temat tej sprawy z Klausem.

Spróbuj sobie jakos poradzić z Chiltonem, jeśli potrafisz, powiedział jej Crawford. Możemy tu wejść w ciągu minuty na mocy nakazu sądowego, ale Lecter natychmiast to wywacha. On potrafi przejrzeć Chiltona na wylot jak ultrasonograf.

- Prokurator generalny uważa, że powinniśmy najpierw spróbować porozmawiać z nim nieoficjalnie. Jeśli nagram rozmowę z doktorem Lecterem bez jego wiedzy, oznaczać to będzie koniec naszych kontaktów w tej formie, w jakiej się one rozwinęły. Jestem pewna, że pan się ze mną zgodzi.

- Jakim cudem on może się o tym dowiedzieć?

Przeczyta o tym w gazecie następnego dnia, razem ze wszystkim innym, co udało ci się wyniuchać, ty stary durniu! Nie odpowiedziała głośno na jego pytanie.

- Jeśli do czegoś nas to wszystko doprowadzi i doktor Lecter będzie musiał zeznawać, pan będzie pierwszą osobą, która zapozna się z całym materiałem. Jestem również pewna, że zostanie pan poproszony o złożenie zeznań w charakterze biegłego. Teraz staramy się po prostu wyciągnąć od niego jakąś wskazówkę.

- Czy wie pani, dlaczego on z pania rozmawia, panno Starling?

- Nie, doktorze.

Przyjrzał się po kolei wszystkim swoim dyplomom wiszącym na ścianie za biurkiem. Stanowiły one jego najwierniejszą publiczność, z nimi mogłoby startować w wyborach. Powoli odwrócił się.

- Czy naprawdę zdaje sobie pani sprawę z tego, co pani robi?

- Z pewnością. - Za dużo tych pytań. Od zbyt wielu okrażeń toru drżały jej kolana. Nie chciała walczyć z Chiltonem. Chciała zostawić sobie trochę sił na Lectera.

- Przychodzi pani do mojego szpitala, żeby przeprowadzić rozmowę z moim podopiecznym, i odmawia mi pani przekazania uzyskanych w jej trakcie informacji.

- Postępuje zgodnie z otrzymanymi instrukcjami, doktorze. Mam przy sobie nocny numer prokuratury generalnej. A teraz proszę, albo niech pan pozwoli mi zrobić to, co zamierzam, albo przedyskutuje to z nimi.

- Nie jestem dozorca wieziennym. Nie przybiegam tutaj w nocy tylko po to, żeby kogoś wpuszczać albo wypuszczać. Miałem na dzisiejszy wieczór bilet na „Holiday on Ice”.

Uprzytomniła sobie, że powiedział „bilet”. W tej krótkiej chwili ujrzała całe jego życie, a on zdał sobie z tego sprawę.

Zobaczyła jego pusta lodowkę, okruszki na tacy po szybkim gotowym daniu, które zjadał przy pustym stole; ujrzała pokryte kurzem stopy ubran, które miesiącami leżały na podłodze, zanim ich sam nie uprzątnie; poczuła, jak bolała ją szczeka od przyklepionego kwaśnego uśmiechu, którym pokrywa swoją nędzną egzystencję - i w błyskawicznym oświeceniu uswiadomiła sobie, że nie będzie go teraz oszczędzać, że nie odwróci wzroku i nie przeskoczy na inny temat. Popatrzyła mu prosto w twarz, przechyliła lekko głowę, żeby mógł się jej lepiej przyjrzeć, i przewiercała, przeszywała go na wylot swoją wiedzą. Wiedziała, że Chilton nie wykrztusi z siebie ani słowa więcej.

Wysłał z nią pielęgniarza o imieniu Alonzo.

## ROZDZIAŁ 22

Przechodząc z Alonzem przez kolejne bloki szpitala, Clarice zdołała odgrodzić się od huków zatrząskiwanych drzwi i przeraźliwych krzyków, chociaż przez skórę czuła, jak drzy od nich powietrze. Presja psychiczna, której podlegała, obudowała ją cisza, miała wrażenie, że zapada się w coraz głębszą topiel.

Otoczona szalencami, pomyślała o zdanej na łaskę jednego z nich, skrepowanej i bezbronnej Catherine Martin. Ta myśl mobilizowała ją do działania. Ale potrzebna jej była nie tylko determinacja. Musiała być spokojna i uważna, musiała reagować jak najczulszy instrument. Musiała być cierpliwa w momencie, gdy potrzebny był najwyższy pośpiech. Jeśli doktor Lecter zna właściwą odpowiedź, musiała wydobyc ją z zakamarków jego umysłu.

Odkryła, że wyobraza sobie Catherine jako małe dziecko, które widziała na filmie w telewizji, małą dziewczynkę w zagłowiec.

Alonzo nacisnął brzozyk ostatnich, masywnych drzwi.

- Naucz nas dbać i nie dbać, naucz nas milczeć.

- Słucham? - spytał Alonzo i Clarice zdała sobie sprawę, że ostatnia myśl wypowiedziała na głos.

Odszedł, zostawiając ją z potężnym pielęgniarzem, który otworzył drzwi. Zanim się odwrócił, zobaczyła, że się przeżegnał.

- Witamy z powrotem - powiedział pielęgniarz i zamknął za nią zasuwę.

- Cześć, Barney!

W ręku trzymał książki w miękkich okładkach, zaznaczając wskazującym palcem miejsce, w



którym przerwał lekturę. To była powieść Rozważna i romantyczna Jane Austen; umysł dziewczyny rejestrował wszystko.

- Jakże chce pani mieć oświetlenie? - spytał. Korytarz między celami był ciemny. U jego końca, przy ostatniej celi, widac było na podłodze jasna smuga.

- Doktor Lecter nie śpi.

- W nocy nigdy... nawet, jeśli ma zgaszone światło.

- Proszę nie zmieniać oświetlenia.

- Niech pani idzie środkiem i nie dotyka prętów, dobrze?

- Chciałabym wyłączyć telewizor. - Telewizor był teraz przeniesiony, stał na samym końcu korytarza. Niektórzy więźniowie mogli oglądać program przyciskając głowy do krat.

- Jeśli nie zrobi to pani różnicy, proszę zostawić wizję. Niektórzy z nich lubią sobie popatrzeć. Krzesło już tam stoi, na wypadek, gdyby było potrzebne.

Clarice ruszyła ciemnym korytarzem. Nie rozglądała się na boki. Wydawało jej się, że stapa bardzo głośno. Poza odgłosem jej kroków słychać było tylko donosne chrapanie z jednej i cichy chichot z innej celi.

Cela nieboszczyka Miggsa miała nowego lokatora. Idąc dostrzegła długie, wyciągnięte na podłodze nogi i oparta o kraty głowę. Minęła cele i jeszcze raz spojrzała do środka. Na podłodze, wśród sterty podartej tektury, siedział mężczyzna. Miał bezmyślną twarz. W oczach odbijało się światło kineskopu, z kącika ust saczała się aż do ramienia cienka strużka sliny.

Nie chciała spoglądać w głąb celi doktora Lectera, zanim nie upewniła się, że ją zauważył. Czując mrowienie w plecach, minęła cele, podeszła do telewizora i wyłączyła fonie.

Doktor Lecter miał na sobie białą szpitalną piżamę. W pomalowanym na białe pomieszczeniu jedynymi kolorami były jego włosy, oczy i czerwone usta. Tkwiły w twarzy tak długo pozbawionej słońca, że zlała się z otaczającą bielą; jej rysy zdawały się wyrastać z kołnierzyka koszuli. Siedział przy stole za nylonową, oddzielającą go od krat siatką i rysował na papierze pakowym. Za model służyła mu własna ręka. Podczas gdy go obserwowała, obrócił dłoń i zginając mocno palce zaczął szkicować wewnątrz przedramienia. Małym palcem poprawiał i cieniował nakreślony węglem kontur.

Podeszła trochę bliżej krat i wtedy podniósł wzrok. Clarice miała wrażenie, że w jego oczach i we włosach nad czołem zbiegły się wszystkie, rozproszone po zakamarkach celi cienie.

- Dobry wieczór, doktorze Lecter.

Wysunął czubek języka, tego samego dokładnie koloru co usta, i dotknął nim górnej wargi.

- Clarice.

Usłyszała w jego głosie lekki metaliczny zgrzyt i zastanawiała się, ile czasu minęło od chwili, gdy się ostatnio odezwał.

- Pozno masz dzisiaj zajęcia w tej twojej szkole - powiedział.

- To szkoła wieczorowa - odparła załujac, że jej głos nie brzmi trochę mocniej. - Byłam wczoraj w Wirginii Zachodniej...

- Czy gdzieś się skaleczyłaś?

- Nie...

- Masz założony świeży plaster opatrunkowy, Clarice. Dopiero teraz sobie przypomniała.

- Zadrapałam się dzisiaj o skraj basenu, pływając. - Plaster był niewidoczny, na łydce, pod spodniami. Musiał odkryć go powonieniem. - Byłam wczoraj w Wirginii Zachodniej. Odnaleziono tam ciało ostatniej ofiary Buffalo Billa.

- Niezupełnie ostatniej, Clarice.

- Dobrze, przedostatniej.

- Tak.

- Była oskalpowana. Dokładnie tak, jak to pan przewidział.

- Czy nie będzie ci przeszkadzało, jeśli będę rysował w trakcie rozmowy?

- Nie, bardzo proszę.

- Oglądałaś resztki?

- Tak.

- Widziałaś jego wcześniejsze prace?

- Nie. Tylko zdjęcia.

- Co odczuwałaś?

- Balam się. Potem skoncentrowałam się na tym, co miałam do zrobienia.

- A jeszcze potem?

- Byłam wstrząsnęta.

- Czy jesteś w stanie dobrze funkcjonować? - Doktor Lecter potarł węgiel o skraj papieru, żeby zaostrzyć jego czubek.

- Bardzo dobrze. Funkcjonuje bardzo dobrze.

- Dla Jacka Crawforda? Czy może nadal komenderuje wszystkim z domu przez telefon?

- Był tam.

- Wybacz mi na moment, Clarice. Czy możesz opuścić głowę na piersi, tak jakbys spała? Jeszcze sekundkę. Dziękuję. Teraz to uchwyciłem. Usiądź, jeśli masz ochotę. Czy to, co powiedziałem, powtórzyłaś Jackowi Crawfordowi, zanim ja odnaleziono?

- Tak. Nie przejął się tym zbyt.

- A potem, kiedy przyjrzał się zwłokom w Wirginii Zachodniej?

- Rozmawiał ze swoim głównym konsultantem z uniwersytetu w...

- Alanem Bloomem.

- Właśnie. Doktor Bloom stwierdził, że Buffalo Bill dopasowuje się do portretu, jaki stworzyły mu mass media. Szmatławce przebakiwały już coś wcześniej o możliwości skalpowania. Doktor Bloom stwierdził, że każdy mógł to przewidzieć.

- Czy doktor Bloom to przewidział?

- Mówi, że tak.

- Przewidział to, ale nikomu o tym nie mówił. Rozumiem. A co ty o tym sądzisz, Clarice?

- Dokładnie nie wiem.

- Studiowałaś trochę psychologii, trochę kryminalistyki. Potrafisz chyba łowić ryby w metnej wodzie, prawda? Udalo ci się coś złapać, Clarice?

- Niewiele, jak na razie.

- Co podpowiadają ci twoje dwie dyscypliny naukowe na temat Buffalona Billa?

- Z książki wynika, że jest sadysta.

- Życie jest bogatsze i bardziej podstępne od książek, Clarice. Gniew udaje pozadanie, tocen ma objawy pokrzywki. - Doktor Lecter skończył rysować swoją lewą ręką, przelożył węgiel i zabrał się, z identyczną precyzją, do szkicowania prawej ręki lewą. - Masz na myśli książkę doktora Blooma?

- Tak.

- Szukałaś tam czegoś na mój temat, prawda?

- Tak.

- Jak mnie opisuje?

- Jako czystego socjopate.

- Czy uważasz, że doktor Bloom ma zawsze racje?

- Wciąż czekam na przejawy płytkości uczuć. Doktor Lecter odsłonił w uśmiechu białe zęby.

- Mamy ekspertów na każdą okazję, Clarice. Doktor Chilton uważa, że Sammie, ten za toba, jest hebefrenicznym schizoidem i że jest bezpowrotnie stracony. Umieścił Sammiego w dawnej celi Miggsa, bo myśli, że też powie nam kiedyś dzień do widzenia. Wiesz może, jak zachowują się na ogół hebefrenicy? Nie martw się, on cie i tak nie słyszy.

- Należy do najcięższych przypadków - powiedziała. - Zwykle charakteryzują się całkowitym wyobcowaniem i dezintegracją osobowości.

Doktor Lecter wyjął coś spodzieży arkuszy papieru pakowego i położył na ruchomym wózku. Clarice przyciągnęła wózek do siebie.

- Nie dalej jak wczoraj Sammie przysłał mi to razem z moją kolacją.

Był to kawałek tektury, na którym zapisane coś było ołówkiem. Czytała:

CHCE PUDZ DO JEZUSA

CHCE PUDZ Z CHRYSYSEM

MOGE PUDZ Z JEZUSEM

JESLI BEDE CZYNIDZ PRAWDZIWE DOBRO

SAMMIE

Clarice obejrzała się do tyłu przez ramię. Sammie siedział opierając się o ścianę swojej celi, głowę przytknął do krat, twarz miał bez wyrazu.

- Czy możesz przeczytać to na głos? On cie nie usłyszy.

- „Chce pojsc do Jezusa, chce pojsc z Chrystusem, moze pojsc z Jezusem, jesli bede czynic prawdziwe dobro”.

- Nie, nie tak. Nadaj temu bardziej zdecydowany ton, niech ci to zagra w gardle. Rytm trochę się załamuje, ale nie zmienia się siła wyrazu. - Lecter zaczął lekko klaskać. - Intensywnie, rozumiesz? Z ikra. „Chce pudz do Jezusa, chce pudz z Chrystusem”.

- Rozumiem - odparła Starling i polozyła kawalek tektury z powrotem na wozku.

- Nie, ty nic z tego nie rozumiesz. - Doktor Lecter poderwał się na nogi, jego ciało przybrało nagle groteskowe kształty, przygięte ku ziemi jak u gнома. Skakał po celi, klaszcząc w dłonie, jego głos brzmiał niczym gong. - Chce pudz do Jezusa...

Głos Sammiego rozległ się za nią gwałtowny jak ryk leoparda, głośniejszy niż krzyk wyjca. Sammie stał i przyciskał z całych sił twarz do krat, gniewny i napięty, z rozedrganymi w gardle strunami:

CHCE PUDZ DO JEZUSA

CHCE PUDZ Z CHRYSTUSEM

MOGE PUDZ Z JEZUSEM JESLI BEDE CZYNIDZ

PRAWDZIWE DOBRO

Cisza. Clarice uprzytomniła sobie, że stoi i że jej składane krzesło przewróciło się do tyłu. Na podłodze leżały rozsypane papiery.

- Proszę. - Doktor Lecter wyprostował się. Gestem odprowadzającego partnerkę tancerza zapraszał, żeby usiadła. Miętko spoczał na swoim miejscu i oparł podbródek na dloni. - Ty nic z tego nie rozumiesz - powtórzył. - Sammie jest wyjątkowo religijny. Jest po prostu rozczarowany tym, że Jezus tak bardzo się spóźnia. Sammie, czy mogę powiedzieć Clarice, dlaczego tutaj jesteś?

Sammie zakrył dłońmi usta i zastygł w bezruchu.

- Słucham? - nalegał doktor Lecter.

- Taaa - mruknął Sammie spomiędzy palców.

- Sammie położył głowę swojej matki na tacy podczas zbierania datków w kościele baptystów w Trune. Śpiewali właśnie „Oddaj Panu, co masz najlepszego”, a to była najwspanialsza rzecz, jaką posiadał. - Lecter spojrzał jej przez ramię. - Dziękuję, Sammie. To było znakomite. Pooglądaj sobie teraz telewizję.

Wysoki mężczyzna osunął się na podłogę, głowę przytulił, jak przedtem, do krat, a w jego zrenicach odbijały się obrazki z telewizora. Na twarzy błyszczwały mu trzy srebrne nitki: sliny i lez.

- No. Zobaczmy, czy zdołasz poradzić coś na jego kłopoty i być może wtedy ja poradzę coś na twoje. Coś za coś. On nie słucha. Starling walczyła ze zniecierpliwieniem.

- Słowa „pojsc do Jezusa” zmieniają się na „pojsc z Chrystusem” - powiedziała. - Ta kolejność nie jest przypadkowa. Najpierw idzie się do kogoś, potem przybywa, a na koniec idzie razem, wspólnie.

- Tak. To jest progresja linearna. Szczegolnie cieszy mnie, ze on zdaje sobie sprawe, ze Jezus i Chrystus to jedna i ta sama osoba. Idea jedyne Boga bedacego zarazem Trojca jest trudna do przyjecia, szczegolnie dla Sammiego, ktory nie w pelni pojmuje, z ilu osob sam sie sklada.

- Sammie widzi zwiazek przyczynowo-skutkowy pomiedzy swoim zachowaniem a celami, do ktorych zmierza. To przejaw racjonalnego myslenia - mowila dalej Starling. - O tym samym swiadczy uklad rytmiczny. Nie ma wcale przytepionych uczuc, on plache. Uwaza pan, ze to katatonik?

- Tak. Czujesz jego pot? Ten specyficzny kozli odor to kwas trojmetyloheksynowy. Zapamietaj go, to zapach schizofrenii.

- Sadzi pan, ze kwalifikuje sie do leczenia?

- Szczegolnie teraz, gdy wychodzi z fazy otepienia. Spojrz, jak mu blyszcza policzki!

- Doktorze, dlaczego twierdzi pan, ze Buffalo Bill nie jest sadysta?

- Poniewaz gazety doniosly, ze ciala nosza slady wiezow tylko na nadgarstkach, nie na kostkach nog. Czy dostrzeglas cos na kostkach u tej osoby z Wirginii Zachodniej?

- Nie.

- Sadystycznego sciagania skory, Clarice, dokonuje sie zawsze z ofiary zawieszanej do gory nogami, tak aby w glowie i piersiach utrzymywane bylo odpowiednie cisnienie krwi i aby podmiot zabiegu ciesyl sie maksymalnie dlugo pelna swiadomoscia. Nie wiedzialas o tym?

- Nie.

- Kiedy bedziesz znowu w Waszyngtonie, idz do National Gallery i rzuc okiem na „Apolla i Marsjasza” Tycjana, zanim wysla go z powrotem do Czechoslowacji. Tycjan jest niezrownany, jesli chodzi o szczegoly. Zwroc uwage na uczynnego, taszczacego kubel wody Pana.

- Doktorze Lecter, sytuacja jest wyjatkowa i wylonily sie w zwiazku z tym pewne nowe mozliwosci.

- Dla kogo?

- Dla pana, jesli tym razem uda nam sie uratowac ofiare Buffalo Billa. Czy widzial pan w telewizji senator Ruth Martin?

- Tak, ogladalem wiadomosci.

- Co sadzi pan o jej oswiadczeniu?

- Mylace, ale nieszkodliwe. Ktos jej zle doradzil.

- Jest bardzo ustosunkowana. I zdecydowana na wszystko.

- W takim razie slucham.

- Uwazam, ze ma pan wyjatkowa intuicje. Pani senator dala do zrozumienia, ze jesli pomoze nam pan uwolnic cala i zdrowa Catherine Baker Martin, ona pomoze panu w przeniesieniu do instytucji pozostajacej pod jurysdykcja federalna. Jesli znajdzie sie tam cela z widokiem, zamieszka pan w niej. Istnieje rowniez mozliwosc zasiegniecia pana opinii o nowych pacjentach, innymi slowy - jakies zajecie. Nie bedzie zlagodzenia srodkow bezpieczenstwa.

- Nie wierze w to, Clarice.

- Powinien pan.

- Och, nie chodzi o to, ze nie wierze tobie. Ale istnieje wiecej rzeczy, na ktorych sie nie znasz, nie tylko to, jak porzadnie sciaga sie skore. Czy nie sadzisz, ze jak na oferte od senatora Stanow Zjednoczonych, jestes dosc dziwnym poslancem?

- To pan mnie wybral, doktorze. Jestem jedyna osoba, z ktora pan rozmawia. Czy teraz woli pan kogos innego? A moze nie czuje sie pan na silach pomoc?

- To, co mowisz, jest w rownym stopniu obrazliwe, jak nieprawdziwe, Clarice. Nie wierze, zeby Jack Crawford zezwolil w stosunku do mnie na jakiegokolwiek zlagodzenie rygorow... Byc moze zdradze ci jedna rzecz, ktora bedziesz mogla powtorzyc pani senator, ale bedzie to scisle handlowa wymiana. Cos za cos, z reki do reki. Byc moze powiem cos w zamian za pewna informacje, informacje na twoj temat. Tak czy nie?

- Niech pan zada pytanie.

- Tak czy nie? Tam czeka Catherine, pamietaj. Sluchajac noza zgrzytajacego o oselke. Jak myslisz, o co by cie teraz poprosila?

- Niech pan zada pytanie.

- Twoje najgorsze wspomnienie z dzieciinstwa? Starling nabrala gleboko powietrza.

- Szybciej. Nie jestem zainteresowany tym, co najgorszego uda ci sie wymyslic.

- Smierc ojca - odpowiedziala Starling.

- Opowiedz o tym.

- Byl szeryfem w miasteczku. Ktorejs nocy zaskoczyl dwoch wlamywaczy, narkomanow, wychodzacych tylnym wyjsciem ze sklepu.

Kiedy wysiadal ze swojego pickupa, zablokowala mu sie strzelba i zastrzelili go.

- W jaki sposob sie zablokowala?

- Nie dociagnal do konca zamka. To byla stara wiatrowka Remington 870, i naboje zaklinowal sie w komorze. Kiedy to sie stanie strzelba nie wypali, trzeba wyjac naboje i wlozyc go z powrotem. Sadze, ze kiedy wysiadal, musial zaczepic zamkiem o drzwi samochodu.

- Czy zginal na miejscu?

- Mial silny organizm. Umarl dopiero po miesiacu.

- Czy widzialas go w szpitalu?

- Doktorze Lecter... tak.

- Opowiedz, co utkwilo ci w pamieci z tej wizyty. Przymknela oczy.

- Przyszla sasiadka, stara panna, i recytowala mu zakonczenie „Thanatopsis”. Sadze, ze to byla jedyna rzecz, ktora pamietala. To wszystko. Teraz pana kolej.

- Tak jest. Bylas bardzo szczera, Clarice. Zawsze to poznaje. Sadze, ze znajomosc z toba w zyciu prywatnym to byloby cos naprawde interesujacego.

- Cos za cos.

- A tak nawiasem mowiac, czy dziewczyna z Wirginii Zachodniej byla, twoim zdaniem, atrakcyjna fizycznie?

- Byla zadbana.

- Nie o to chodzi.

- Byla ciezka.

- Duza?

- Tak.

- Strzelil jej w piersi?

- Tak.

- Miala plaskie piersi, prawda?

- Jak na nia, tak.

- Ale szerokie biodra. Pojemne.

- Tak.

- Co jeszcze?



- W gardle miała owada, ktoś go tam specjalnie włożył, Nie poinformowaliśmy o tym.

- Czy to był motyl?

Przez chwilę zabrakło jej oddechu. Miała nadzieję, że tego nie usłyszał.

- To była cma - powiedziała. - Proszę mi powiedzieć, jak pan do tego doszedł.

- Clarice, teraz mam zamiar powiedzieć ci, do czego potrzebna jest Buffalo Billowi Catherine Baker Martin, a potem powiemy sobie dobranoc. W obecnej sytuacji to moje ostatnie słowo. Możesz powtórzyć pani senator, czego on chce od Catherine, a ona może przyjść tutaj z bardziej interesującą ofertą... albo może czekać, żeby przekonać się, czy miałem rację, że trup Catherine wypłynie na powierzchnię.

- Do czego mu jest potrzebna Catherine, doktorze?

- Chce mieć kamizelkę z cyckami na wierzchu - odparł Lecter.

## ROZDZIAŁ 23

Catherine Baker Martin leżała pięć metrów poniżej poziomu piwnicy. W ciemności słyszała swój oddech i bicie serca. Czasami strach siadał jej na piersiach i czuła się jak złapany w sidła lis, do którego zbliża się traper. Czasami była w stanie myśleć: zdawała sobie sprawę, że jest porwana, ale nie wiedziała przez kogo. Wiedziała, że to nie sen; w absolutnej ciemności slychac było cichutki szmer, kiedy otwierały się i zamykały jej powieki.

Była teraz w lepszym stanie niż wtedy, kiedy po raz pierwszy odzyskała świadomość. W zasadzie przeszły jej potworne zawroty głowy i wiedziała, że ma dość powietrza, by oddychać. Orientowała się, gdzie jest góra, a gdzie dół, zdawała sobie sprawę z pozycji swego ciała.

Ramię, biodro i kolano bolały ją w miejscu, gdzie stykały się z cementową podłogą. Ten bok był na dole. Na gorze był szorstki materac, pod który wpadła, kiedy ostatnim razem zapaliło się nad nią ostre, oslepiające światło. Nie waliło jej już tak mocno w skroniach i jedyny, realny ból odczuwała w palcach lewej ręki. Wiedziała, że ma złamany serdeczny palec.

Miała na sobie pikowany kombinezon, czuła się w nim nieswojo. Był czysty i przesiaknięty zapachem środka do zmiekczenia tkanin. Podłoga była także czysta, jeśli nie liczyć kości kurczaka i kawalków jarzyn, które wrzucił jej porywacz. Poza tym był jeszcze materac i plastikowe wiadro z przywiązaniem do uchwytu cienkim sznurkiem. W dotyku nie różnił się od zwykłego sznurka do bielizny i biegł do góry w mrok wyżej, niż mogła sięgnąć.

Catherine Martin mogła się poruszać, ale właściwie nie miała gdzie. Podłoga, na której leżała, była owalna, miała dwa na trzy metry i w środku mały otwór odpływowy. Stanowiła dno głębokiego, zamkniętego dołu. Gładkie, cementowe ściany wznosiły się nachylając lekko do środka.

Zdawalo sie jej, ze cos slyszy. Czy to dzwieki z gory, czy tylko jej serce? Z gory. Cos dzialo sie nad jej glowa. Loch, w ktorym byla uwieziona, znajdowal sie dokladnie pod kuchnia. Ktos stapal po kuchennej podlodze, potem uslyszala szum lejacej sie wody. Drapanie psich pazurkow po linoleum. Potem nic, az do chwili, kiedy w otworze na gorze pojawil sie krag zoltego, slabego swiatla. Ktos wlaczyl lampe w piwnicy. Zaraz potem zapalilo sie ostre swiatlo w studni. Tym razem siadla wyprostowana, zdecydowana rozejrzec sie dokola, starajac sie patrzec przez palce, w miare jak przyzwyczajaly sie do swiatla oczy. Wokol niej tanczyl jej wlasny cien. Kolyszac sie zjezdzała w dol lampa. Wzdrygnela sie, kiedy wiadro poruszyl sie, unioslo i krecac wolno wokol wlasnej osi pojechalo do gory. Starala sie przelknac strach, nabrala przy tym zbyt duzo powietrza. Mimo to udalo sie jej wydobyć z siebie glos.

- Moja rodzina zaplaci - odezwala sie. - Gotowka. Moja matka zaplaci od razu, nie bedzie zadnych pytan. To jest jej prywatny... Och! - spadal na nia trzepoczacy cien, to tylko recznik. - To jest jej prywatny numer. 202...

- Umyj sie.

Ten sam niesamowity glos, ktory slyszala, kiedy przemawial do psa. Na dol, na cienkim sznurku, zjezdzało kolejne wiadro. Poczula zapach cieplej, mydlanej wody.

- Rozbierz sie i wymyj cala albo poleje cie zimna woda. - I obok, do psa, przytlumionym glosem: - Tak, poleje ja zimna woda, kochanie, nie bede dlugo czekal, zobaczysz!

Catherine uslyszala odglos oddalajacych sie krokow i psich pazurkow wyzej, nad piwnica. Nie widziala wszystkiego podwojnie, jak za pierwszym razem, kiedy zapalilo sie swiatlo. Mogla sie rozejrzec. Jak wysoko byl otwor na gorze, czy przewod, na ktorym wisiala lampa, byl mocny? Czy zdola zahaczyc o niego swoim kombinezonem, zaczepic o cos recznikiem? Rob cos, do diabla. Sciany byly takie gladkie. Gladka, biegnaca do gory rura.

Dostrzeglą jedno, jedyne pekniecie w cemencie, trzydziesci centymetrow powyzej miejsca, ktorego mogla dosiegnac. Zrolowala materac tak ciasno, jak sie dalo, i zwiazala go w poprzek recznikiem. Chwiejajac sie stanela na nim, siegnela do pekniecia i zaczepila o nie paznokciami. Zlapala rownowage i mruzac oczy spojrzala w gore. To byl reflektor ze specjalna oslona, zawieszony u samego szczytu studni, prawie trzy metry ponad jej wyciagnieta reka, rownie dobrze moglby to byc ksiezyc. Tymczasem on wracal, zwiniety materac chwial sie, Catherine drapala ryse paznokciami, zeby nie upasc. Kiedy zeskoczyla, musnela jej twarz spadajac jakas luska.

Cos zjezdzało w dol obok lampy. To byl gumowy waz. Pojedyncza struga lodowatej wody, ostrzezenie.

- Wymyj sie. Cala.

W wiadrze byla myjka, poza tym w wodzie unosila sie plastikowa butelka drogiego, zagranicznego kremu nawilzajacego.

Zrobila, co kazal z gesia skorka na ramionach i udach, z podraznionymi i stezalymi od zimna

sutkami. Przysunęła się do ściany, jak mogła najbliżej, i umyła kucając obok wiadra z wodą.

- Teraz wytrzyj się i nakremuj całe ciało. Rozetrzyj dobrze krem. Krem nagrzał się od ciepłej wody. Posmarowana nim skóra lepiała się do kombinezonu.

- Teraz pozbieraj smieci i wytrzyj podłogę.

Zrobiła to także, podniosła leżące na podłodze kości kurczaka i strączki fasolki. Wrzuciła wszystko do wiadra i starła myjką niewielkie, tłuste plamy na cementcie. Było tam coś jeszcze, tuż przy ścianie. Luska, która sfrunęła w dół, z pęknięciem, tam wyżej. To był paznokiec, pokryty błyszczącym lakierem i zdarty z żywego ciała.

Wiadro pojechało w górę.

- Moja matka zapłaci - powtórzyła Catherine Martin. - Nie będzie zadawać żadnych pytań. Zapłaci dość, żeby był pan bogaty do końca życia. Jeśli to jakaś sprawa polityczna, Iran albo Palestyna, albo Ruch Wyzwolenia Czarnych, da pieniądze i na to. Wszystko, co musi pan zrobić, to...

Światło zgasło. Nagle absolutna ciemność.

- Uuuuch! - wzdrygnęła się. Obok zjechało na sznurku jej stare wiadro na nieczystości. Siadła na materacu, myśli biegły jej po głowie jak szalone. Nabrała teraz przekonania, że porwacz działa samotnie i że jest białym Amerykaninem. Próbowала sprawić na nim wrażenie, że nie ma najmniejszego pojęcia, kim jest, jaki ma kolor skóry i czy działa w pojedynkę; że wszelka pamięć o tym, co działo się na parkingu, zaczęła uderzenia w głowę. Miała nadzieję, że on uwierzy, iż może ją spokojnie wypuścić na wolność. Jej umysł pracował gorączkowo, szukał rozwiązania zagadki, aż w końcu znalazł:

Paznokiec, czyjs paznokiec, ktoś tutaj był. Kobieta, dziewczyna? Gdzie jest teraz? Co on jej zrobił?

Gdyby nie szok i dezorientacja, odkrycie całej prawdy nie trwałoby tak długo. Właściwie tę myśl nasunął jej dopiero krem nawilżający. Skóra. Wiedziała zatem, kim on jest. Ta wiedza spadła na nią, jak spada na ludzi każda straszna rzecz na tej ziemi: przeszywając ich na wylot. Zaczęła krzyczeć. Krzyczała zwijając się pod materacem, krzyczała wspinając się i drapiąc po ścianie, krzyczała, aż zakrztusiła się czymś ciepłym i słonym, co wypełniło jej usta, krzyczała z przyłożonymi do twarzy lepiącymi się i zasychającymi dłońmi, krzyczała tak długo, aż opadła sztywno wyprezona na podłogę, z palcami wplatanymi we włosy.

## **ROZDZIAŁ 24**

Cwiercdolarówka zagrzechotała we wnętrzu automatu zainstalowanego w obdrapanej dyzurce. Clarice wykrecała numer mikrobusu.

- Crawford.

- Dzwonie z publicznego automatu obok oddzialu pod specjalnym nadzorem - powiedziala szybko. - Doktor Lecter zapytal mnie, czy owad znaleziony w Wirginii Zachodniej byl motylem. Nie podal szczegolow. Powiedzial, ze Buffalo Bill potrzebuje Catherine Martin, poniewaz, cytuje: „chce miec kamizelke z cyckami na wierzchu". Doktor Lecter pragnie wejsc w układy. Czeka, az pani senator zlozy mu „bardziej interesujaca" oferte.

- Czy nie chcial z toba dluziej mowic?

- Nie.

- Jak predko, wedlug ciebie, zdecyduje sie na nastepna rozmowe?

- Mysle, ze liczy na spotkanie w ciagu kilku nastepnych dni, ale ja wolalabym uderzyc juz teraz, w tej chwili. Do tego potrzebna jest jednak pilnie oferta pani senator.

- Pilnie to wlasciwe slowo. Rozpoznana zostala dziewczyna z Wirginii Zachodniej. Mniej wiecej pol godziny temu sekcja identyfikacyjna dostala z Detroit jej karte z odciskami palcow. Kimberly Jane Emberg, lat dwadziescia dwa, zaginela w Detroit siodmego lutego. Przeczysujemy okolice jej miejsca zamieszkania w poszukiwaniu swiadkow uprowadzenia. Lekarz sadowy z Charlottesville mowi, ze zostala zamordowana nie pozniej niz jedenastego lutego, a prawdopodobnie dzien wczesniej, dziesiatego.

- Trzymal ja zywa tylko przez trzy dni - zauwazyla Clarice.

- Jego okres sie skraca. Nie sadze, zeby stanowilo to dla kogos niespodzianke. - Glos Crawforda byl beznamietny. - Trzyma Catherine Martin okolo dwudziestu szesciu godzin. Moim zdaniem, jesli Lecter ma zamiar cos powiedziec, powinien to zrobic podczas waszej nastepnej rozmowy. Jestem w biurze terenowym w Baltimore, przelaczyli cie z mikrobusu. Wynajalem dla ciebie pokoj w hotelu, dwie przecznice od szpitala, jesli bedziesz chciala sie pozniej zdrzemnac.

- On jest nieufny, panie Crawford. Nie wierzy, ze zgodzi sie pan przyznac mu jakies ulgi. To, co powiedzial o Buffalo Billu, uzyskalam w zamian za pewna informacje dotyczaca mego zycia prywatnego. Nie sadze, zeby istnial jakis zwiazek miedzy jego pytaniami a sprawa... Czy chce pan poznac tresc pytan?

- Nie.

- To dlatego nie chcial pan, zebym miala przy sobie mikrofon, prawda? Uwazal pan, ze to ulatwi nasza rozmowe, ze latwiej bedzie mi podlizywac sie Lecterowi i opowiadac mu rozne bzdury, majac swiadomosc, ze nikt tego nie slyszy.

- Mam dla ciebie inna alternatywe: co powiesz, jesli po prostu ufam twemu osadowi, Starling? Co powiesz, jesli uwazam, ze jestes moja najlepsza karta atutowa i nie chce, zeby zagladaly ci przez ramie tabuny tych, co zawsze wiedza lepiej? Czy zaopatrzylbym cie wtedy w mikrofon?

- Nie, sir. - Znany jest pan z tego, że umie pan prowadzić swoich agentów, Mr Crawfish. - Co mamy do zaoferowania doktorowi Lecterowi?

- Kilka rzeczy, właśnie je przesyłam. Powinny do Ciebie dotrzeć za pięć minut, chyba że chcesz najpierw odpocząć.

- Wolalabym mieć to już za sobą - odparła. - Proszę powiedzieć posłancowi, żeby zapytał o Alonza. Niech Alonzo spotka się ze mną na korytarzu przy wejściu do sekcji osmej.

- Za pięć minut - powtórzył Crawford.

Inspektor Starling chodziła w kolko po obdrapanej dyzurce, ślizgając się po linoleum. Tu, głęboko w podziemiach szpitala, była jedynym jasnym promykiem.

Rzadko dane nam jest przygotowywać się do działania na słonecznych lakach czy wysypanych ziemiem ałkach; zazwyczaj robimy to w pośpiechu, w miejscach pozbawionych okien, na szpitalnych korytarzach, w pokojach takich jak ten, z wyłożoną popiekany skajem kanapą, zasłaniającymi goly beton kotarami w kolorze kawy i śliskimi popielniczkami Cinzano. W takich miejscach, mając do dyspozycji ledwie kilka chwil, planujemy nasze uczynki i wkładamy w nie własne serce, a potem przejeżdżając lekkiem powtarzamy je przed obliczem Przeznaczenia. Clarice dość już przeżyła, by o tym wiedzieć; nie dała się stłamsić otaczającej rzeczywistości.

Chodziła w kolko i wymachiwała rękami w powietrzu.

- Nie daj się, dziewczyno - odezwiała się na głos. Powiedziała to do Catherine Martin i do siebie. - Jesteśmy w lepszym miejscu niż ta nora. Zaslужujemy na lepsze miejsce niż ta pieprzona nora - powtórzyła głośno. - Jesteśmy w lepszym miejscu, gdziekolwiek Cię on trzyma. Pomóż mi. Pomóż. Pomóż.

Pomyślała przez chwilę o swoich zmarłych rodzicach. Zastanawiała się, czy wstydziłiby się za nią teraz. Pytanie przyszło jej do głowy bez żadnego związku ze sprawą, niczego nie uzależniała od odpowiedzi na nie. Często w podobnych okolicznościach wszyscy je sobie zadajemy. Odpowiedź brzmiała: nie, nie wstydziłiby się.

Umyła twarz i wyszła na korytarz.

Czekał tam na nią pielęgniarz Alonzo z zapieczętowaną przesyłką od Crawforda. W środku była mapa i instrukcje. Przeczytała je szybko przy świetle lampy na korytarzu, nacisnęła przycisk obok drzwi i czekała na Barneya, żeby ją wpuszczał.

## ROZDZIAŁ 25

Doktor Lecter siedział przy stole i przeglądał korespondencje. Clarice odkryła, że łatwiej jej zbliżyć się do klatki, kiedy na nią nie patrzy.

- Doktorze.

Podniosł palec nakazując jej milczenie. Kiedy skończył czytać list, zamyslił się. Kciuk swojej szesciopalczastej dłoni oparł o podbródek, palec wskazujący o nos.

- Co byś z tym zrobiła? - spytał kładąc dokument na tacę. Nadawca był urząd patentowy USA.

- To na temat mojego zegarka z krucyfiksem - wyjaśnił doktor Lecter. - Nie przyznali mi na niego patentu, ale radza, żebym zastrzegł sobie prawa autorskie na rysunek twarzy. Spójrz na to. - Położył nie większy od obiadowej serwetki rysunek na wozku, Clarice przeciągnęła go na swoją stronę. - Może zauważyłaś, że w większości krucyfiksów ręce wskazują, powiedzmy, za kwadrans trzecia, najwcześniej za dziesięć drugą, nogi są tymczasem na szostej. Na tym cyferblacie mamy, jak widzisz, Jezusa na krzyżu. Jego ramiona obracając się wskazują czas, podobnie jak ramiona na popularnych zegarkach z postaciami Disneya. Stopy niezmiennie pokazują szóstą, na gorze, w aureoli, obraca się mała wskazówka sekundnika. Co o tym sądzisz?

Szczegóły anatomiczne uchwycone były bardzo dobrze. Twarz miała jej rysy.

- Redukując to do wielkości zegarka, straci się mnóstwo detali - zauważyła.

- To prawda, niestety, ale pomyśl o zegarach ściennych. Czy nie sądzisz, że jeśli tego nie opatentuje, mogą mi ukraszać pomysł?

- Będzie pan kupował do tego gotowe mechanizmy kwarcowe, prawda, a one są już chronione przez patent. Nie jestem pewna, ale myślę, że patenty odnoszą się wyłącznie do nowych urządzeń mechanicznych. W stosunku do nowych wzorów stosuje się przepisy prawa autorskiego.

- Ale nie jesteś prawnikiem, prawda? Nie potrzebują ich już więcej w FBI.

- Mam dla pana propozycję - powiedziała otwierając walizeczkę.

Nadchodził Barney. Zamknęła walizeczkę z powrotem. Zazdrościła Barneyowi olbrzymiego spokoju. Omiotła ich uważnym spojrzeniem, w jego oczach kryła się spora inteligencja.

- Przepraszam - powiedział. - Jeśli ma pani dużo papierów, może pani rozłożyć je na ławce, szkolnej ławce. Mamy taką tutaj, w szafce przeznaczonej dla psychiatrów. Chce pani?

Zupełnie jak w szkole. Tak czy nie?

- Czy możemy teraz porozmawiać, doktorze? Doktor Lecter podniósł otwartą dłoń.

- Tak, Barney. Dziękuję.

Usiadła. Barney był w bezpiecznej odległości.

- Doktorze, pani senator ma dla pana interesującą ofertę.

- Ja o tym zdecyduje. Tak szybko udalo ci sie z nia skontaktowac?

- Tak. Nie trzyma niczego w zanadrzu. To, co powiem, to wszystko, co jest w stanie zaproponowac, nie ma mowy o targowaniu sie o cos wiecej. Oferta jest calosciowa, wszystko albo nic. - Uniosla wzrok znad walizki.

Doktor Lecter, morderca dziewieciu osob, podparl nos palcami i obserwowal ja. W oczach mial mroczna glebie.

- Jesli pomoze nam pan odnalezc Buffalo Billa na tyle szybko, aby udalo sie uratowac Catherine Martin, zostanie pan przeniesiony do federalnego szpitala dla weteranow w Oneida Park, w stanie Nowy Jork, do celi z widokiem na las. Zachowane zostana maksymalne srodki bezpieczenstwa. Poprosi sie pana o pomoc w ocenie pisemnych testow psychologicznych, ktorym poddawani beda inni wiezniowie, choc niekoniecznie z tego samego osrodka. Bedzie pan sporzadzal opinie w ciemno, nie znajac tozsamosci badanych. Bedzie pan mogl korzystac z ksiazek. - Podniosla wzrok.

Cisza moze byc zwodnicza.

- Najwazniejsza rzecz, szczegolnie godna uwagi: raz w roku bedzie pan mogl na tydzien opuscic szpital i pojechac tutaj. - Polozyla mape na wozku. Doktor Lecter nie przyciagnal go do siebie.

- Plum Island - kontynuowala. - Kazdego popoludnia, przez caly ten tydzien, bedzie pan mogl spacerowac po plazy albo plywac w oceanie. Nikt nie zblizy sie do pana blizej niz na siedemdziesiat metrow, ale bedzie pana pilnowac specjalna grupa antyterrorystyczna. To wszystko.

- A jezeli odmowie?

- Moze bedzie pan mogl zawiesic sobie tutaj zaslony w kolorze kawy. Nie jestesmy w stanie panu niczym zagrozic, doktorze. Dzieki temu, co proponuje, moze pan wyjsc na swiatlo dzienne.

Nie patrzyla na niego. Nie chciala teraz mierzyc sie z nim wzrokiem. To nie byla konfrontacja.

- Czy Catherine Martin przyjdzie ze mna porozmawiac... wylacznie na temat jej porywacza... jesli zdecyduje sie opublikowac cos o tej sprawie? Czy na wywiad z nia bede mial prawo wylacznosci?

- Tak. Moze pan to uwazac za uzgodnione.

- Skad wiesz? Uzgodnione przez kogo?

- Sama ja przyprowadze.

- Jesli bedzie chciala przyjsc.

- Powinno sie chyba ja najpierw o to zapytac, nie sadzi pan? Przyciagnal do siebie wozek.

- Plum Island.

- Tam gdzie konczy sie Long Island, za polnocnym cyplem.

- Plum Island. „Federalny osrodek weterynaryjny Plum Island (choroby racic i pyska)", tak tu jest napisane. Brzmi zachecajaco.

- Osrodek zajmuje tylko czesc wyspy. Jest tam mila plaza i przyzwoite kwatery. Na wiosne zakladaja tam gniazda rybolowy.

- Rybolowy - westchnal doktor Lecter. Podniosl lekko glowe i dotknal czerwonym jezykiem czubka czerwonej wargi. - Jesli juz o tym mowimy, Clarice, musze miec jakis zadatek. Quid pro quo. Ja ci cos powiem i ty mi cos powiesz.

- Zgoda - powiedziala Starling.

Musiala czekac cala minute, zanim sie odezwal:

- Gasienica przeobraza sie w poczwarke otoczona kokonem. A potem, wychodzac ze swej sekretnej przebieralni, objawia sie jako przepiekny imago. Czy wiesz, co to jest imago, Clarice?

- Dorosly, skrzydlaty owad.

- Ale co jeszcze? Potrzasznela glowa.

- To termin wziety z martwej psychoanalitycznej religii. Imago oznacza wyobrazenie ojca, utrwalone w podswiadomosci we wczesnym dzieciinstwie i zwiazane z afektem infantylnym. Slowem tym okreslano woskowe popiersia, ktore starozytni Rzymianie niesli podczas pogrzebow swoich przodkow... Nawet osobnik tak flegmatyczny jak Crawford powinien dostrzec, jak wazna jest tu sprawa kokonu.

- Ten trop nam nic nie dal, oprócz tego, ze porownalismy listy subskrybentow czasopism entomologicznych z rejestrem znanych przestepcow seksualnych.

- Po pierwsze, nie mowmy Buffalo Bill. To mylące przydomko i nie ma nic wspólnego z osoba, ktorej poszukujecie. Dla wygody nazwijmy go Billy. Powiem ci dokładnie, co mysle. Gotowa?

- Gotowa.

- Kokon jest wazny ze wzgledu na odbywajaca sie w jego wnetrzu przemiane. Poczwarka przeobraza sie w motyla albo cme. Billy uwaza, ze pragnie sie zmienic. On robi sobie dziewczecy stroj, robi go z prawdziwych dziewczat. Dlatego ofiary sa duze; musi miec rzeczy, ktore by na niego pasowaly. Liczba ofiar sugeruje, ze traktuje swa przemiane jako kolejne zrzucanie skory. Robi to w swoim pietrowym domu... Odkrylas juz, dlaczego pietrowym?

- Wiesz je na schodach, przynajmniej niektore.



- Prawidłowo.

- Doktorze, z tego, co wiem, transseksualizm nie jest związany z przemocą, transseksualisci są na ogół osobnikami pasywnymi.

- To prawda, Clarice. Czasami obserwuje się u nich tendencje do zbytnej wiary w możliwości chirurgii. Mam na myśli chirurgię plastyczną. Transseksualistów trudno zadowolic, ale na tym sprawa się kończy. Billy nie jest autentycznym transseksualistą. Teraz masz go na wyciągnięcie ręki, Clarice, czy widzisz już, w jaki sposób możesz go złapać?

- Nie.

- Dobrze. W takim razie opowiedz mi, jeśli wolno, o tym, co działo się z tobą po śmierci ojca.

Starling przyglądała się porysowanemu blatowi szkolnej ławki.

- Nie sądzę, żeby odpowiedź kryła się w twoich papierach, Clarice.

- Przez ponad dwa lata matka wychowywała nas wszystkich razem.

- Gdzie pracowała?

- W dzień jako pokojowka w motelu, w nocy jako kucharka w restauracji.

- A potem?

- Potem przeniósł się do kuzynki matki i jej męża w Montanie.

- Tylko ty?

- Byłam najstarsza.

- Władze miejskie nic wam nie pomogły?

- Dostaliśmy czek na pięćset dolarów.

- Dziwne, że nie dostaliście żadnego odszkodowania. Powiedziałaś, Clarice, że ojciec zahaczył zamkiem strzelby o drzwi swojego pickupa.

- Tak.

- Nie jeździł normalnym wozem patrolowym?

- Nie.

- To zdarzyło się w nocy?

- Tak.

- Nie miał pistoletu?

- Nie.

- Pracował w nocy, jeździł pickupem, uzbrojony tylko w strzelbę... Powiedz mi, Clarice, czy nie nosił przypadkiem przy pasie specjalnego zegara? To taki dowcipny pomysł, jeździ się po całym mieście i odbija na zegarze czas w różnych miejscach. Dzięki temu ojcowie miasta mają pewność, że nie spisz. Powiedz mi, czy nosił taki zegar, Clarice?

- Tak.

- A więc był nocnym strażnikiem, nie był wcale żadnym szeryfem. Od razu wiem, kiedy kłamiesz, Clarice.

- W rubryce zatrudnienie miał napisane: nocny szeryf.

- Co się z tym stało?

- Co się stało z czym?

- Z zegarem. Co się z nim stało, kiedy zastrzelono twojego ojca?

- Nie pamiętam.

- Powiesz mi, jak sobie przypomnisz?

- Tak. Chwileczkę... do szpitala przyszedł burmistrz i poprosił matkę, żeby zwróciła zegar i odznakę. - Nie zdawała sobie sprawy, że to pamięta. Burmistrz ubrany jak do swego ogrodka, w marynarskich butach z wyprzedzący. Stary sukinsyn. - Quid pro quo, doktorze Lecter.

- Czy przez moment nie wydawało ci się, że to sama wymyśliła? Nie, gdybyś to zrobiła, nie uklułoby cię to tak dotkliwie. Rozmawialiśmy o transseksualistach. Powiedziałaś, że statystycznie rzecz biorąc transseksualisci nie przejawiają skłonności do przemocy i odbiegających od normy zachowań agresywnych. To prawda. Pamiętasz, co powiedziałem o gniewie, który przybiera maskę zady, o toczniu, który ma objawy pokrzywki? Billy nie jest transseksualista, Clarice, ale uważa, że nim jest, stara się nim być. Sadzę, że stara się być wieloma ludźmi naraz.

- Mówił pan, że dzięki temu możemy go złapać, że jest na wyciągnięcie ręki.

- Istnieją trzy główne ośrodki chirurgii płci: szpital Johns Hopkinsa, Uniwersytet Minnesota i ośrodek medyczny Columbus. Nie zdziwiłbym się, gdyby złożył podanie o operację w którymś z tych miejsc i otrzymał odpowiedź odmowną.

- Na jakiej podstawie mielibyśmy go odrzucić, w jaki sposób mogłoby się zdradzić?

- Jesteś bardzo szybka, Clarice. Pierwsza przeszkoda mogłaby okazać się kryminalną przeszłością. To dyskwalifikuje kandydata, chyba że przestępstwo jest stosunkowo nieszkodliwe i

związane z problemami płci. Przebieranie się mężczyzny za kobietę w miejscach publicznych, coś w tym rodzaju. Jeśli natomiast udało mu się zataić jakieś poważne przestępstwo, wtedy i tak odpadnie przy badaniach osobowości.

- Jak?

- Chcesz wiedzieć, jak można go wyselekcjonować, prawda?

- Tak.

- Dlaczego nie spytasz doktora Blooma?

- Wole spytać pana.

- Co z tego będziesz miała, Clarice, dyplom i awans? Co może za to dostać taka mała, uparta policjantka?

- Klucz do frontowych drzwi, na przykład. W jaki sposób mogłby się zdradzić podczas badań?

- Jak ci się podobała Montana, Clarice?

- Podobała się.

- Jak ci się podobał mąż kuzynki twojej matki?

- Roznił się od siebie.

- Jacy oni byli?

- Przpracowani.

- Czy były tam jakieś inne dzieci?

- Nie.

- Gdzie mieszkałaś?

- Na ranczu.

- Hodowali owce?

- Owce i konie.

- Jak długo tam byłaś?

- Siedem miesięcy.

- Ile miałaś lat?

- Dziesięć.

- Dokąd się stamtąd przeniosłaś?

- Do luterńskiego domu dziecka w Bozeman.

- Powiedz mi prawdę.

- Przecież mówię.

- Skaczesz wokół prawdy. Jeśli jesteś zmęczona, możemy przenieść naszą rozmowę na koniec tygodnia. Osobiście jestem już trochę znudzony. Czy może wolisz porozmawiać teraz?

- Teraz, doktorze.

- W porządku. Mamy więc dziecko wysłane na ranczo, daleko od matki, gdzieś w Montanie. Na farmie hoduje się owce i konie. Dziecko tęskni za matką, podnieca je obecność zwierząt... - Doktor Lecter zachęcał ją otwartymi dłońmi.

- To było wspaniałe. Miałam swój własny pokój i indyjską matę na podłodze. Pozwalali mi jeździć na kłaczach... prowadzili ją za uzdę, nie widziałam zbyt dobrze. Coś było nie w porządku ze wszystkimi koniami. Były kulawe albo chore. Niektóre z nich wychowywały się z dziećmi, wie pan, i często rwały na mnie, kiedy wychodziłam rano do szkolnego autobusu.

- Ale potem?

- Znalazłam coś dziwnego w stodole. Mieli tam w środku mały składzik. Z początku myślałam, że to jakiś stary hełm. Kiedy sięgnęłam go z polki, zobaczyłam napis „Humanitarny Zabójca Koni W.W.Greenera”. Było to coś w rodzaju metalowej czapki w kształcie dzwonu. Na gorze było miejsce, w które wkładano się naboje. Wyglądało to na kaliber 32.

- Czy na tym ranczu trzymano konie przeznaczone na ubój, Clarice?

- Tak.

- Czy zabijali je wszystkie na miejscu?

- Te, które szły na klej i na nawozy sztuczne. Jeśli się je zabije, można załadować na ciężarówkę nawet sześć sztuk. Te przeznaczone na mięso dla psów transportowano dalej żywe.

- Co stało się z tą kłaczą, na której jeździłaś po podwórku?

- Uciekliśmy razem.

- Dokąd udało ci się na niej dojechać?

- Tam, dokąd dojechałam. Nie powiem nic więcej, zanim nie dowiem się czegoś bliższego na

temat testów osobowości.

- Czy wiesz, jakim testom poddaje się mężczyzn ubiegających się o chirurgiczną zmianę płci?

- Nie.

- Składniej by nam poszło, gdybyś przyniosła formularze któregoś z ośrodków medycznych, ale w skrócie rzecz biorąc: mamy tu na ogół test Wechslera na inteligencję, testy rysunkowe DDO (dom-drzewo- osoba) i autotematyczny, dalej test Roschacha, naturalnie Minnesota Multiphasic, następnie test apercypcji tematycznej i kilka innych, na przykład test Jenkinsa, zmodyfikowany na uniwersytecie w Nowym Jorku. Potrzebujesz czegoś, co dałoby się szybko przejrzeć, prawda? Prawda, Clarice?

- To by było najlepsze, coś szybkiego.

- Pomyslny... Załóżmy, że szukamy mężczyzny, którego wyniki testów różnią się zasadniczo od wyników autentycznych transseksualistów. W porządku. W teście DDO zwróć uwagę na tych, u których pierwsza narysowana postać nie jest postacią kobiety. Transseksualisci mężczyźni prawie zawsze rysują w pierwszej kolejności figurę kobiety, mnóstwo uwagi przykładają przy tym do wszystkich trzeciorzędnych ozdóbek. Postać mężczyzny jest w ich wykonaniu bardzo stereotypowa... z wyjątkiem sytuacji, kiedy rysują kogoś przypominającego Mister America.

Szukaj rysunków domów, w których brak atrybutów szczęśliwej przyszłości - nie ma na zewnątrz wózka z dzieckiem, nie ma firanek w oknach, kwiatów w ogrodku.

Prawdziwi transseksualisci rysują dwa rodzaje drzew. Obsypane gałązkami płaczące wierzby i drzewa, w których powtarza się temat kastracji. Ucięte skrajem kartki drzewa są na ogół pełne życia: obsypane kwieciami i owocami. Różnica jest uderzająca. W niczym nie przypominają przeraźliwych, martwych, poddanych torturom drzew, które widac na rysunkach osób z zaburzeniami psychicznymi. To dobry przykład: drzewo Billy'ego będzie przeraźliwe. Czy nie podasz nam naprzód zbyt szybko?

- Nie, doktorze.

- Na rysunku, na którym ma przedstawić samego siebie, transseksualista prawie nigdy nie rysuje się nago. Nie daj się zmylić paranoicznym idealizacjom na kartach apercypcji tematycznej... występują często u transseksualistów, którzy się wielokrotnie przebiegali... mają złe doświadczenia z władzami. Czy mam podsumować?

- Tak, chciałabym prosić o podsumowanie.

- Powinnaś postarać się we wszystkich trzech ośrodkach o listę odrzuconych kandydatów. Sprawdź najpierw tych, którzy zostali zdyskwalifikowani z powodu kryminalnej przeszłości. W tej grupie szukaj przede wszystkim włamywaczy. Wśród mężczyzn starających się zataić, że byli karani, szukaj tych, którzy w dzieciństwie mieli poważne kłopoty, połączone z użyciem przemocy. Możliwy pobyt w domu poprawczym. Potem przejdź do testów. Szukaj białego mężczyzny w wieku prawdopodobnie poniżej trzydziestu pięciu lat, raczej wysokiego. On nie jest transseksualista, Clarice. On tylko myśli, że nim jest. Jest zdumiony i wściekły, ponieważ nikt nie chce mu pomóc. To

wszystko, sadze, co chcialbym powiedziec, zanim sie zapoznam sie z aktami sprawy. Zostawisz je tutaj?

- Tak.

- Razem z fotografiami.

- Sa dolaczone.

- A teraz lepiej biegnij z tym, co masz, Clarice. Zobaczymy, jak sobie poradzisz.

- Chce wiedziec, jak...

- Nie. Nie badz zachlanna, albo spotkamy sie dopiero w przyszłym tygodniu. Przyjdz do mnie, kiedy uda ci sie posunac sprawe troche naprzod. Albo kiedy ci sie nie uda. I jeszcze cos, Clarice.

- Tak?

- Nastepnym razem odpowiesz mi na dwa pytania. Po pierwsze, co stalo sie z koniem. Po drugie... interesuje mnie, jak udaje ci sie opanowac gniew?

Przyszedl po nia Alonzo. Przycisnela notatki do piersi i szla ze spuszczona glowa, starajac sie nie uronic ani slowa z tego, czego sie dowiedziala. Spragniona swiezego powietrza, wychodzac ze szpitala nie rzucila nawet okiem w strone gabinetu Chiltona.

U doktora Chiltona palilo sie swiatlo. Widac je bylo przez szpare pod drzwiami.

## **ROZDZIAI 26**

Gleboko ponizej wschodzacego rdzawo nad Baltimore slonca, na oddziale pod intensywnym nadzorem rosnie niepokoj. Na dole, tam gdzie nigdy nie zapada ciemnosc, budzi sie nieznosna swiadomosc nowego dnia, swiadomosc ostryg uwiezionych w beczce, ostryg, ktore na prozno czekaja na przyplyw, na fale, ktora je uwolni. Krzyczace przez sen, na podobienstwo Boga stworzone istoty, wzdrygaja sie, zanim krzykna raz jeszcze. Cwicza glos nocni lowcy przygod.

Doktor Hannibal Lecter stoi sztywno wyprostowany na koncu korytarza, twarza do sciany oddalonej od niego o trzydziesci centymetrow. Niczym wysoki scienny zegar przymocowany jest scisle gruba plocienna tasma do recznego wozka do przeprowadzek. Pod tasma ma kaftan bezpieczenstwa, na nogach pasy. Kask bramkarza hokejowego chroni przed jego zebami; spelnia swa role rownie dobrze, jak knebel, a nie powoduje slinienia.

Z tylu, za doktorem Lecterem, myje scierka jego klatke niski, przygarbiony pielegniarz. Dozor nad dokonywanym trzy razy w tygodniu sprzatananiem sprawuje Barney, sprawdzajac jednoczesnie, czy w celi nie ma zadnej kontrabandy. Sprzatacze spiesza sie, w celi doktora Lectera chodza im po

grzbiecie ciarki. Po ich wyjściu sprawdza cele Barney. Sprawdza wszystko i nie zaniedbuje niczego.

Wszelkie czynności wokół doktora Lectera wykonywane są wyłącznie pod nadzorem Barneya, ponieważ on nigdy nie zapomina, z kim ma do czynienia. Jego dwaj pomocnicy oglądają w telewizji powtórki z ligi hokejowej.

Doktor Lecter świetnie się bawi, ma rozległe wewnętrzne rezerwy, mogą dostarczać mu rozrywki przez całe lata. Niczym wyobraźnia Milтона, dla której nie istniały prawa fizyki, myśl doktora Lectera nie jest już krepowana strachem ani poczuciem przyzwoitości. W jego głowie panuje pełna wolność.

Jego wewnętrzny świat ma intensywne kolory i zapachy, dźwięki są za to nieco przytłumione. Właściwie musi się trochę skoncentrować, żeby usłyszeć głos nieboszczyka Benjamina Raspaila. Doktor Lecter duma nad tym, w jaki sposób wydać Clarice Starling Jame'a Gumba. Pomocne może się w tym okazać przywołanie Raspaila. Oto gruby flecista w ostatnim dniu swojego życia. Leży na kozetce doktora Lectera i opowiada mu o Jame Gumbie:

- W tym domu noclegowym w San Francisco Jame miał najbardziej paskudny pokój, jaki można sobie wyobrazić. Zielonkawe ściany po-pstrzone psychodelicznymi, jaskrawymi plamami jeszcze z epoki hippies, wszystko straszliwie zdemolowane.

Jame - wiesz, tak właśnie ma napisane w świadectwie urodzenia, takie imię tam dostał i trzeba wymawiać je „Jame” jak „name”, inaczej jest wściekły, mimo że to była przecież zwykła szpitalna pomyłka. W tamtych czasach też zatrudniali tam analfabetów, nie potrafili nawet porządnie wypełnić formularza. Dzisiaj jest jeszcze gorzej, dzisiaj pobyt w szpitalu może człowieka kosztować życie. Nieważne. W każdym razie Jame siedział tam, w tym okropnym pokoju, na łóżku, głowę schował w dłoniach, właśnie wylali go z antykwariatu i znowu zrobił tę brzydka rzecz.

Powiedziałem mu, że po prostu nie mogę pogodzić się z jego zachowaniem i że w moim życiu pojawił się Klaus. Jame nie jest autentycznym pedziem, wiesz, on to podłapał tylko na jakiś czas w więzieniu. Właściwie to jest nikim, serio, jest czymś w rodzaju absolutnej dziury, która koniecznie chce czymś wypełnić i dlatego właśnie jest taki wściekły. Kiedy wchodzi gdzieś, ma się wrażenie, że w pokoju zrobiło się nagle jeszcze bardziej pusto. Zabił swoich dziadków, kiedy miał dwanaście lat. Nie sędzisz chyba, że można pozytywnie odczuć obecność osoby tak nieobliczalnej?

No i siedział tam. Był bez pracy i znowu zrobił tę brzydka rzecz jakiemus nieszczęśnikowi. Wyszedłem. On poszedł na pocztę i odebrał przesyłkę adresowaną do swojego byłego chlebodawcy, miał nadzieję, że znajdzie tam coś, co da się sprzedać. To była paczka z Malezji czy skądś tam. Nie mógł się doczekać, żeby ją otworzyć. W środku była walizka, a w niej motyle. Cała walizka motyli, luzem.

Jego szef posyłał pieniądze naczelnikom poczty na tych wyspach i dostawał od nich całe pudła martwych motyli. Topił je potem w żywicy syntetycznej i robił z nich najbardziej obrzydliwe ozdoby, jakie można sobie wyobrazić - miał jeszcze czelność nazywać je przedmiotami artystycznymi. Motyle nie przedstawiały dla Jame'a żadnej wartości, rozgarniał je, szukając pod spodem bizuterii - jego szef dostawał czasami bransolety z wyspy Bali - aż pobrudził sobie motylim

pylkiem palce. Nic nie znalazł. Usiadł na łozku, z twarzą w dłoniach, policzki i palce miał kolorowe jak motyl. Był na samym dnie, tak zreszta jak my wszyscy. Plakał. Usłyszał cichy szmer, to był motyl w walizce. Wyzwalał się z kokonu, wrzuconego tam razem z motylami. W końcu wydostał się na wierzch. W promieniach słońca unosił się motyli pył i zwyczajny kurz... Wiesz, jak to się wszystko cholernie wyraźnie widzi, kiedy człowiek jest nacięty i słucha czyjejs opowieści. Patrzył, jak motyl rozprostowuje skrzydła. To była duża sztuka, powiedział. Cała zielona. Otworzył okno i motyl odfrunął. I wtedy poczuł się taki lekki - jak wyznał - i wiedział już, co ma robić.

Jame odnalazł te małe plaże, na które lażaliśmy ja i Klaus, i kiedy wróciłem z próby, on już tam był. Nie widziałem nigdzie Klause. Nie było go. Zapytałem, gdzie jest Klaus, a Jame odparł, że pływa. Wiedziałem, że to kłamstwo, Klaus nigdy nie pływał, na Pacyfiku były za duże fale. I kiedy otworzyłem lodówkę, no to wiesz, co tam znalazłem. Z za pomarańczowego soku wyglądała na mnie głowa Klause. Jame zrobił sobie fartuszek, no wiesz, z Klause, założył go i zapytał: jak ci się teraz podobam. Wiem, że musi cię przerażać fakt, że mogłem utrzymywać jeszcze potem jakieś stosunki z Jame'em. Kiedy spotkałeś się z nim, wydawał się jeszcze bardziej niezrównowagony. Myślałem, że zdumiewało go po prostu to, że się go nie bałeś.

I potem ostatnie w życiu słowa, jakie wypowiedział Raspail:

- Zastanawiam się, dlaczego rodzice nie zabił mnie, zanim nauczyłem się ich oszukiwać.

Przebite na wylot serce Raspaila próbowało bić dalej. Wystająca na zewnątrz cienka rekojesc sztyletu wykonała pełny obrót.

- Wygląda jak słomka w lejku mrowkojada, prawda? - stwierdził doktor Lecter, ale Raspail nie zdążył już na to odpowiedzieć.

Doktor Lecter pamiętał każde słowo i wiele innych rzeczy. Przyjemne myśli, w sam raz, żeby się czymś zająć podczas sprzątania celi.

Clarice jest całkiem bystra, myślał doktor. Może dotrzeć do Jame'a Gumba na podstawie tego, co jej powiedział, ale zbyt długo to będzie trwało. Żeby złapać go wystarczająco szybko, musi dowiedzieć się kilku dodatkowych szczegółów. Doktor Lecter miał pewność, że kiedy zapozna się z aktami sprawy, odpowiednie wskazówki same przyjdą mu do głowy: być może będą się wiązały z kursem zawodowym, który Gumb ukończył w poprawczaku po zamordowaniu swoich dziadków. Wyda jej Jame'a Gumba jutro, zrobi to tak wyraźnie, że nawet Jackowi Crawfordowi nie uda się schrzanić sprawy. Jutro będzie po wszystkim.

Doktor Lecter usłyszał za sobą kroki i ktoś wyłączył telewizor. Poczul, jak wózek przechylił się do tyłu. Teraz rozpocznie się długi, zmudny proces uwalniania go wewnątrz celi z krepujących wiezów. Zawsze odbywało się to w ten sam sposób. Najpierw Barney razem z pomocnikami delikatnie kładli go na prycy twarzą w dół. Potem Barney przywiązywał mu ręcznikami kostki do pretów prycy, usuwał pasy z nóg i ubezpieczany przez dwóch uzbrojonych w pistolet gazowy i długie palki asystentów rozpinął sprzeczki kaftana bezpieczeństwa. Następnie wycofywał się z celi. Zapinał z powrotem siatkę i zamykał drzwi. Dopiero wtedy doktor Lecter samodzielnie wyzwalał się z wiezów. Cały ten ekwipunek oddawał personelowi w zamian za śniadanie. Wprowadzono taką



procedure, odkad doktor okaleczył siostrę, i do tej pory przebiegała gładko i bezbolesnie. Dzisiaj została zakłoczona.

## ROZDZIAŁ 27

Lekki wstrząs w chwili, gdy wózek, do którego przytroczony był doktor Lecter, przetoczył się przez prog. W celi był doktor Chilton. Siedział na pryczy i przeglądał prywatną korespondencję doktora Lectera. Nie miał już na szyi krawata, zdjął także płaszcz. Doktor Lecter spostrzegł, że na piersi wisi mu jakiś medal.

- Postaw go koło toalety, Barney - powiedział doktor Chilton nie podnosząc wzroku. - Poczekaj razem z kolegami przy swoim stanowisku.

Skonczył czytać najświeższą korespondencję doktora Lectera z głównym archiwum psychiatrycznym. Potem rzucił listy na prycze i wyszedł z celi. Zza hokejowej maski śledziły go oczy, głowa Lectera pozostała nieruchoma.

Chilton podszedł do szkolnej ławki stojącej na korytarzu, nachylił się sztywno i wyjął spod blatu mały magnetofon.

Potrząsnął nim tuż przed wyzierającymi z otworów w masce oczami doktora Lectera i ponownie usiadł na pryczy.

- Sądziłem, że może chciała się czegoś dowiedzieć w sprawie Miggsa, dlatego to zamontowałem - mówił Chilton. - Od lat nie słyszałem twojego głosu, ostatni raz to było zdaje się wtedy, kiedy dales mi te wszystkie mylące odpowiedzi podczas testu, a potem osmieszyles w artykułach w Journalu. Trudno uwierzyć, że opinia pacjenta może mieć jakieś znaczenie dla profesjonalistów, prawda? Ale wciąż tutaj jestem. I ty także.

Doktor Lecter nic nie odpowiedział.

- Lata milczenia, potem nagle Jack Crawford przysyła swoją dziewczynę, a ty robisz się miękki jak galareta. Co takiego cię w niej ujęło, Hannibal? Czy może te jej mocne, jędrne łydki? Błysk włosów? Jest znakomita, nieprawdaz? Znakomita i odległa. Zimowy zachód słońca, tak właśnie o niej myślę. Wiem, że minęło już nieco czasu, odkąd po raz ostatni oglądałeś zimowy zachód słońca, ale możesz mi wierzyć na słowo.

Został ci z nią tylko jeden dzień. Potem śledztwo obejmie wydział zabójstw w Baltimore. Przysrubowują właśnie do podłogi specjalne krzesło w pomieszczeniu, w którym będą poddawac cię terapii elektrowstrząsowej. Krzesło zaopatrzone będzie w sedes, dla twojej i ich wygody oczywiście, kiedy już puszcza prąd przez druty. Ja o tym nic nie będę wiedział.

Czy to już do ciebie dotarło? Oni wiedzą, Hannibal. Zdają sobie doskonale sprawę z tego, że ty

wiesz, kim jest Buffalo Bill. Uważają, że prawdopodobnie był jednym z twoich pacjentów. Coś mnie tknęło, kiedy usłyszałem, jak panna Starling spytała cie o Buffalobilla. Zadzwoń do znajomego w wydziale zabójstw w Baltimore. W gardle Klausa znaleziono owada, Hannibal. Wiedzą, że zabił go Buffalo Bill. Crawford pozwala ci udawać madrale. Nie sądzę, żebyś zdawał sobie sprawę, jak bardzo Crawford cie nienawidzi za pokieraszowanie jego protegowanego. Teraz ma cie w reku. Uważasz się może dalej za wielkiego spryciarza?

Doktor Lecter patrzył, jak Chilton przygląda się paskom mocującym jego maskę. Najwyraźniej chciał mu ją zdjąć, żeby móc zobaczyć jego twarz. Lecter zastanawiał się, czy Chilton rozepnie pasek w bezpieczny dla siebie sposób, od tyłu. Jeśli zrobi to od przodu, będzie musiał sięgnąć wokół jego głowy. Błękitne żyły na wewnętrznej stronie rąk znajdują się wtedy tuż obok twarzy doktora Lectera. No, dalej, doktorze. Zbliż się. Nie, rozmyślił się.

- Wciąż uważasz, że pojedziesz do jakiegoś miejsca, w którym będziesz miał okno? Że będziesz spacerował po plaży i przyglądał się ptaszkom? Wątpię. Zadzwoń do senatora Rutha Martina. Nie wie nic o żadnej umowie z tobą. Musiałem jej przypomnieć, kim w ogóle jesteś. Nigdy również nie słyszała o Clarice Starling. Ta mała wystrychnęła cie na dudka. Po kobietach zawsze można się spodziewać drobnych swinstw, ale to, co zrobiła z tobą, naprawdę nie mieści się w głowie, nie uważasz?

Kiedy już wyciągną z ciebie wszystko, Crawford wnieśli przeciwko tobie oskarżenie o umyślne zatajenie przestępstwa. Będziesz oczywiście strugał wariata, ale sędziemu wcale się to nie spodoba. Siedzisz za sześć morderstw. Sąd nie będzie się dłużej nad tobą roztkliwiał.

Nie będzie żadnego okna, Hannibal. Resztę swojego życia spędzisz w jakiejś stanowej dziurze siedząc na podłodze i wypatrując, czy nie przejeżdża przypadkiem obok wózek z pieluchami. Wypadną ci zęby, stracisz siły i nikt już nie będzie się więcej bał takiego zdechlaka.

Przeniosą cie na oddział ogólny. Młodszym od ciebie wystarczy pchnąć cie palcem. Bada cie wykorzystując seksualnie, kiedy tylko przyjdzie im na to ochota. Do czytania będziesz miał tylko to, co sam sobie napiszesz palcem na ścianie. Myślisz, że sąd będzie się nad tobą roztkliwiał? Widziałeś tych, co się zestarzelili w mamrze. Placzą, kiedy im nie smakuje morelowy kompot.

Jack Crawford i ta jego cizia. Po śmierci jego żony nie będą się już kryć po kątach. On zacznie się ubierać jak młodziewiec i weźmie się za jakiś sport, który będą mogli wspólnie uprawiać. Są ze sobą od czasu, kiedy zachorowała Bella Crawford, wszyscy o tym wiedzą. Pojda w górę i nie będą myśleć o tobie częściej niż raz do roku. Crawford prawdopodobnie zechce do ciebie przyjść już po zakończeniu sprawy, żeby osobiście oznajmić, jaką przyszykował dla ciebie nagrodę. Będzie to coś w rodzaju lupy. Jestem pewien, że mowa na tę okazję ma już gotową.

On nie zna cie tak dobrze jak ja, Hannibal. Uważał, że jeśli poprosi cie o informacje, będziesz przeciągał sprawę po to tylko, żeby zadreczczyć matkę.

I całkiem słusznie, pomyślał doktor Lecter. Nieglupio to sobie Jack wymyślił - ta prostoduszna szkocko-irlandzka gęba może człowieka łatwo wprowadzić w błąd. Ale jeśli się wie, jak na nią spojrzeć, cała jest poznaczona bliznami. No, na upartego znalazłoby się tam jeszcze miejsce na kilka

nowych.

- Wiem, czego się boisz, Hannibal. Nie bólu ani samotności. Jedyną rzeczą, której nie możesz znieść, jest upokorzenie. Przysięgam, że będę się o ciebie troszczył, Hannibal, i dotrzymam słowa. Z mojej strony nie może być wobec ciebie mowy o żadnych osobistych uprzedzeniach. Właśnie teraz zamierzam się o ciebie zatroszczyć.

Nie było nigdy żadnej umowy z panią senator, ale teraz będzie. Albo może być. Od paru godzin nie odchodzi od telefonu, występując w twojej sprawie i w imię ocalenia tej dziewczyny. Powiem ci, jaki jest pierwszy warunek: będziesz prowadził rozmowy wyłącznie za moim pośrednictwem. Profesjonalny raport na ten temat i mój wywiad z tobą, wywiad, który doprowadził do sukcesu w sprawie, opublikuje tylko ja. Ty nie dasz do prasy niczego. Będę miał wyłączny dostęp do informacji przekazanych przez Catherine Martin, jeśli uda się ją ocalić. Ten warunek nie podlega negocjacji. Musisz odpowiedzieć mi teraz. Tak czy nie?

Doktor Lecter uśmiechnął się.

- Lepiej mi teraz odpowiedz albo będziesz zeznawał przed wydziałem zabójstw w Baltimore. Oto nasza propozycja: jeśli podasz tożsamość Buffalo Billa i uda się na czas dotrzeć do dziewczyny, senator Martin załatwi ci przeniesienie do więzienia stanowego Brushy

Mountains w Tennessee, poza zasięgiem jurysdykcji stanu Maryland. Pani senator potwierdzi to telefonicznie. Będziesz pod jej opieką, daleko od Jacka Crawforda. Umieszcza cię w specjalnie strzeżonej celi z widokiem na las. Dostaniesz książki. Co do ewentualnego opuszczania murów więzienia, szczegóły są do omówienia. Pani senator jest generalnie skłonna do ustępstw. Wymień jego nazwisko i będziesz mógł jechać już zaraz. Na lotnisku przejmie nad tobą nadzór policja z Tennessee, zgodził się na to gubernator.

Nareszcie doktor Chilton powiedział coś sensownego, choć sam nawet o tym nie wie. Doktor Lecter zacisnął pod maską czerwone wargi. Nadzór policji. Policja nie jest taka sprytna jak Barney. Policja jest przyzwyczajona do postępowania z normalnymi przestępcami. Używa na ogół kajdanek i żelaznych kajdan na nogi. I jedne, i drugie dadzą się otworzyć kluczem. Takim jak mój.

- Na imię ma Billy - powiedział doktor Lecter. - Reszta powiem osobiście pani senator. W Tennessee.

## ROZDZIAŁ 28

Jack Crawford podziękował doktorowi Danielsonowi za kawę, ale skorzystał z kubka, żeby nalać sobie wody z kranu. Rozpuszczył w niej tabletkę alka-seltzer. Wszystko było tu z nierdzewnej stali: pojemnik na filizanki, obudowa zlewu, kosz na śmieci i oprawka okularów doktora Danielsona. Jasny metal przywodził na myśl narzędzia chirurgiczne, a jego blask powodował, że coraz mocniej strzykało Crawforda w krzyżu.

W malej dyzurce znajdowali sie tylko on i doktor.

- Nie otrzyma pan nic bez nakazu sadu - powtorzyl doktor Danielson. Tym razem byl szorstki, chcial zatrzec korzystne wrazenie, jakie wywolal proponujac kawe.

Danielson byl szefem kliniki chirurgii plci w szpitalu Johnsa Hopkinsa. Zgodzil sie przyjac Crawforda wczesnym rankiem, na dlugo przed porannym obchodem.

- Bedzie pan musial pokazac mi oddzielny nakaz sadu w sprawie kazdego poszczegolnego przypadku, a i tak bedziemy walczyc o kazdy z nich z osobna. Spodziewam sie, ze identyczna odpowiedz dano panu w Columbus i Minnesota?

- Departament Sprawiedliwosci pyta ich o to wlasnie w tej chwili. Musimy to zrobic szybko, doktorze. Jesli dziewczyna nie jest jeszcze martwa, Bill zabije ja lada dzien, dzisiaj albo jutro. A potem uprowadzi nastepna - powiedzial Crawford.

- Samo wymienianie Buffalo Billa, panie Crawford, podczas rozmowy o problemach, z jakimi mamy do czynienia w naszej klinice, jest przejawem ignorancji, jest niesprawiedliwe i niebezpieczne. Kiedy to slysze, wlosy staja mi deba na glowie. Lata cale trwalo - i wcale nie jestesmy blisko zakonczenia tego procesu - przekonywanie opinii publicznej, ze transseksualisci nie sa wcale wariatami, ze nie sa zboczcencami, nie sa nienormalni, cokolwiek to slowo oznacza...

- Zgadzam sie z panem...

- Chwileczke. Liczba zachowan agresywnych jest wsrod transseksualistow o wiele nizsza niz w calej populacji. To sa uczciwi ludzie, oni stoja przed prawdziwym problemem, problemem, ktorego nie da sie w inny sposob rozwiac. Nalezy im sie pomoc i my im tej pomocy udzielamy. Nigdy nie naruszylismy tajemnicy pacjenta i nigdy tego nie zrobimy. Od tego w ogole zacznijmy nasza rozmowe, panie Crawford.

W zyciu prywatnym Crawford od kilku miesiecy prawie codziennie podlizywal sie doktorom i pielegniarkom zony, starajac sie uzyskac dla niej ta droga jakies drobne korzysci. Na widok lekarzy robilo mu sie niedobrze. Ale teraz to nie bylo zycie prywatne. To bylo Baltimore i sprawa sluzbowa. Powinien byc mily.

- W takim razie nie wyrazilem sie jasno, doktorze. To moja wina. Jest wczesnie, a ja nie naleze do rannych ptaszkow. Cala idea polega na tym, ze ten czlowiek nie jest panskim pacjentem. To jest ktos, komu odmowiliscie, poniewaz wykryliscie, ze nie jest transseksualista. Nie postepujemy w tej sprawie po omacku. Pokaze panu pewne szczegolne punkty, w ktorych rozni sie on od typowego transseksualisty w waszych testach na osobowosc. Tu jest krotka lista rzeczy, ktore panski personel moze odszukac w dokumentacji odrzuconych kandydatow.

Czytajac doktor Danielson pocieral palcem bok nosa. Zwrocil kartke Crawfordowi.

- To oryginalne, panie Crawford. Wlasciwie okreslilbym to jako skrajnie dziwaczne, a nie jest to slowo, ktorego czesto uzywam. Kto zaopatrzyl pana w ten katalog... domyslow?

Watpie, czy chciałby pan to naprawdę wiedzieć, doktorze Danielson, pomysł.

- Personel Sekcji Behawioralnej - odparł Crawford. - Konsultowany był doktor Alan Bloom z uniwersytetu chicagowskiego.

- Zaaprobował to Alan Bloom?

- Tak, i nie opieramy się tylko na testach. Jest jeszcze inny fakt, który pomoże wykryć Buffalo Billa w pańskich aktach. Staral się on prawdopodobnie zataić swą kryminalną przeszłość albo zafalszować inne dane na temat swego życiorysu. Proszę pokazać mi tych, których pan odrzucił, doktorze.

Danielson cały czas potrząsał głową.

- Materiały z rozmów i testów są ściśle poufne.

- W jaki sposób fałszerstwo i próba wprowadzenia w błąd mogą być poufne, doktorze? Jakim cudem prawdziwe nazwisko i prawdziwa przeszłość kryminalisty mogą być objęte tajemnicą lekarską, skoro pacjent nigdy ich panu nie zdradził, a musiał pan je odkryć sam. Wiem, jak ostrożnie traktujecie te sprawy. Stykacie się z takimi przypadkami, jestem tego pewien. Ludzie z uzależnieniem chirurgicznym zgłaszają się do każdej kliniki, w której przeprowadza się zabiegi z użyciem skalpela. Nie ma to żadnego związku z pańską instytucją ani przyjętymi przez pana pacjentami. Sądzi pan, że wariaci nie składają podania o przyjęcie do FBI? Ciągle nas nachodzą. W zeszłym tygodniu zgłosił się do naszego biura w St Louis ostrzyżony na punka facet. W torbie do gry w golfa miał pancernicę bazookę, dwa pociski i futrzane czako z niedzwiedziej skóry.

- I co? Przyjeliście go do służby?

- Proszę mi pomóc, doktorze. Nie mamy czasu. Być może właśnie teraz, kiedy tu stoimy, Catherine Martin upodabnia się pod nożem Buffalo Billa do czegoś takiego. - Crawford położył na stole fotografie.

- Niech pan tego nigdy nie robi - powiedział doktor Danielson. - To jest dziecinny szantaz. Byłem chirurgiem wojskowym, panie Crawford. Może pan schować to zdjęcie z powrotem.

- Nie ulega wątpliwości, że chirurg może bez zmruczenia oka znieść widok torturowanego ciała - stwierdził Crawford, zgniatając w dłoni kubek i naciskając pedal pojemnika na smieci. - Ale nie sadzę, by lekarz mógł znieść myśl o tym, że oto niweczy się czyjeś życie. - Wrzucił kubek do środka, pokrywa pojemnika opadła z hukiem. - Oto moja propozycja: nie proszę pana o informacje na temat pańskich pacjentów, interesują mnie wyłącznie niektóre podania odrzuconych kandydatów, te wybrane na podstawie przekazanych przed chwilą wskazówek. Pan i pańscy koledzy psychiatrzy możecie przejrzeć akta o wiele szybciej ode mnie. Jeśli dzięki uzyskanym tutaj informacjom uda nam się ująć Buffalo Billa, nikt nie dowie się o naszej współpracy. Wymyślę inny sposób, który doprowadził policję do niego, i taka będzie oficjalna wersja.

- Czy osrodek Johnsa Hopkinsa będzie występować w roli chronionego przez FBI świadka?

Czy zapewnicie nam nowa tozsamosc? Powiedzmy, ze odtad bedziemy sie nazywac Bob Jones College? Mam powazne watpliwosci, czy FBI i w ogole jakakolwiek rzadowa agencja potrafi na dluzsza mete zachowac cos w tajemnicy.

- Zdziwi sie pan.

- Watpie. Proba wyslizgnięcia sie za pomoca nieudolnego, biurokratycznego kłamstwa moze przyniesc jeszcze wiecej szkod niz proste przyznanie, jak sie rzecz miala, bez owijania w bawelne. Prosze, niech pan nawet nie myśli, zeby roztaczac nad nami tego rodzaju protekcje, dziekuje panu bardzo.

- Dziekuje panu, doktorze, za panskie dowcipne uwagi. Bardzo mi pomogly i zaraz to panu udowodnie. Nie lubi pan owijania w bawelne. Prosze bardzo, niech pan slucha. Ten czlowiek uprowadza mlode kobiety i obdziera je ze skory. Potem naklada te skore na siebie i paraduje w niej przed lustrem. Nie chcemy, zeby to dalej robil. Jesli nie pomoze mi pan tak szybko, jak pan potrafi, to wie pan, co zamierzam zrobic? Dzisiaj rano Departament Sprawiedliwosci zwroci sie o oficjalny nakaz sadowy, ogłaszając publicznie, ze odmowil pan wspolpracy. Bedziemy zwracac sie o nakaz dwa razy dziennie, tak zeby wiadomosc o tym pojawiala sie zarowno w porannych, jak i wieczornych wiadomosciach. W kazdym dotyczacym tej sprawy, przekazanym mass mediom komunikacie bedzie mowa o tym, jak chodzimy wokol doktora Danielsona z osrodka Johnsa Hopkinsa usilujac sklonic go, zeby jednak zgodzil sie z nami wspolpracowac. Za kazdym razem, kiedy Buffalo Bill znajdzie sie w centrum zainteresowania - kiedy odnajdziemy cialo Catherine Martin, a potem nastepne i jeszcze nastepne - bedziemy ogłaszac szczegolowy komunikat o tym, jak ukkladaja nam sie stosunki z doktorem Danielsonem z osrodka Johnsa Hopkinsa, razem z wszystkimi jego dowcipnymi uwagami na temat Bob Jones College. Jeszcze jedno, doktorze. Wie pan, ze wlasnie tutaj, w Baltimore, znajduje sie siedziba senackiej komisji do spraw zdrowia i opieki społecznej. Kiedy o tym mysle, szczegolnie ciekawi mnie wchodzace w jej sklad biuro polityki kadrowej i kwalifikacyjnej. Sadze, ze biegną tam rowniez panskie mysli, nieprawdaz? Co bedzie, jesli pani senator Martin w jakis czas po pogrzebie swojej corki zada swoim znakomitym, zasiadajacym w tym biurze kolegom nastepujace pytanie: „czy operacje zmiany plci, ktorych pan tutaj dokonuje, nie powinny byc traktowane jak normalna chirurgia kosmetyczna?" A oni pokiwaja glowami i powiedza: „Wlasciwie, dlaczego nie, pani senator wydaje sie miec racje. Tak. Uwazamy, ze to jest normalna chirurgia kosmetyczna". I wtedy nie dostanie pan na swoja dzialalnosc ani grosza wiecej z funduszu federalnych, ani grosza wiecej niz pierwsza lepsza klinika, w ktorej poprawia sie ludziom nosy.

- Pan mnie obraza.

- Nie, po prostu mowie prawde.

- Nie uda sie panu mnie przerazic ani zastraszyć...

- Dobrze. Nie pragne ani jednego, ani drugiego, doktorze. Chce tylko, zeby pan wiedzial, ze mowie powaznie. Niech mi pan pomoze. Prosze.

- Powiedzial pan, ze wspolpracuje z Alanem Bloomem.

- Tak. Z uniwersytetu chicagowskiego...

- Znam doktora Blooma i wolalbym raczej z nim przedyskutowac te sprawe, na gruncie profesjonalnym. Niech mu pan przekaze, ze skontaktuje sie z nim jeszcze dzis rano. Przed poludniem powiem panu, jaka jest moja decyzja. Nie jest mi obojetny los mlodych kobiet, panie Crawford. I los innych ludzi. Ale stawka jest olbrzymia i nie wydaje mi sie, zeby pan to w wystarczajacym stopniu rozumial... Czy mial pan ostatnio badane cisnienie krwi, panie Crawford?

- Mierze je sobie sam.

- Czy sam pan przepisuje sobie rowniez recepty?

- To sprzeczne z prawem, doktorze Danielson.

- Ale ma pan swego lekarza?

- Tak.

- Niech pan mu poda wyniki swoich pomiarow, panie Crawford. Bylaby to dla nas wszystkich niepowetowana strata, gdyby pozegnal sie pan z tym swiatem. Skontaktuje sie z panem jeszcze dzisiaj rano.

- Kiedy dokladnie, doktorze? Czy mozemy sie umowic na telefon za godzine?

- Dobrze, za godzine.

Kiedy wysiadal z windy na parterze, w kieszeni zaterkotal brzezzyk. Z mikrobusu machal do niego Jeff. Ruszyl biegiem. Znalezli jej cialo pomyslal lapiac za sluchawke. Dzwonil dyrektor. Wiadomosci nie byly takie zle, jak sie spodziewal, ale nie byly tez dobre: do sprawy wmieszal sie Chilton i teraz mieli na karku senator Ruth Martin. Prokurator generalny stanu Maryland podpisal na polecenie gubernatora zgode na ekstradycje do Tennessee doktora Hannibala Lectera. Zeby wstrzymac przeniesienie albo je na jakis czas opoznic, filia sadu federalnego w Maryland musialaby sie niezle nagimnastykowac. Dyrektor chcial, zeby Crawford wyrazil swoja opinie, chcial uslyszec ja zaraz.

- Musze pomyslec - powiedzial Crawford. Polozyl sluchawke na kolanie i wyjrzal przez okno mikrobusu. W pierwszych promieniach lutowego slonca zobaczyl niewiele kolorow. Wszystko bylo szare. Wyblakle.

Jeff chcial cos powiedziec, ale Crawford uciszyl go ruchem dloni. Monstrualna osobowosc Lectera. Ambicja Chiltona. Pani senator i jej lek o wlasne dziecko. Zycie Catherine Martin. Sprobuj to rozstrzygnac.

- Niech jedzie - powiedzial do telefonu.

## ROZDZIAŁ 29

Doktor Chilton i trzech policjantów w świeżo uprasowanych mundurach sił pomocniczych stanu Tennessee stali obok siebie na pasie startowym, starając się przekrzyczeć szum radia dobiegający z otwartej kabiny samolotu i warkot silnika stojącego obok ambulansu. Wiał silny wiatr, na horyzoncie wstawalo słońce.

Dowodzący grupa kapitan podał doktorowi Chiltonowi pióro. Wiatr unosił papiery, policjant musiał przyciskać je do okładki notesu.

- Czy nie możemy zrobić tego podczas lotu? - pytał Chilton.

- Musimy podpisać dokumenty w momencie fizycznego przekazania więźnia, sir. Takie mam instrukcje.

Drugi pilot zakończył montowanie pochylni na schodkach do samolotu.

- W porządku! - zawołał.

Policjanci podeszli razem z Chiltonem do tylnych drzwi ambulansu. Kiedy doktor je otwierał, zastygli w napięciu, jakby spodziewali się, że coś może zza nich wyskoczyć.

Doktor Hannibal Lecter stał przytroczony płocienną taśmą do wózka, na twarzy miał kask hokejowego bramkarza. Oddawał właśnie mocz do nocnika, który trzymał w reku Barney.

Jeden z policjantów parsknął śmiechem. Dwaj pozostali odwrócili wzrok.

- Przepraszam - powiedział Barney do doktora Lectera i zamknął drzwi z powrotem.

- Nic nie szkodzi, Barney - odparł doktor Lecter. - Już skończyłem, dziękuję.

Barney uporządkował ubranie Lectera i popchnął jego wózek do tyłu.

- Barney?

- Tak, doktorze?

- Byłeś wobec mnie przyzwoity przez tak długi czas. Dziękuję.

- Nie ma za co.

- Kiedy Sammie dojdzie do siebie, pożegnaj go ode mnie.

- Oczywiście.



- Do widzenia, Barney.

Wysoki pielęgniarz pchnął drzwi od środka.

- Możecie chwycić wózek na dole, panowie?! - zawołał do policjantów. - Złapcie go z obu stron. Postawimy go na ziemi. Delikatnie.

Barney wtoczył doktora Lectera po pochylni do środka samolotu.

Z prawej strony usunięte były trzy fotele. Drugi pilot przymocował wózek do zaczepów w podłodze.

- Czy on będzie leciał cały czas na leżaku? - spytał jeden z policjantów. - Czy ma na sobie gumowe majtki?

- Będziesz musiał po prostu zacisnąć pecherz aż do Memphis, brachu - powiedział drugi.

- Doktorze Chilton, czy mogę z panem porozmawiać? - odezwał się Barney.

Stali tuż przy samolocie, obok nich unosiły się gnane wiatrem tumany kurzu i smieci.

- Ci faceci nie zdają sobie z niczego sprawy - oświadczył Barney.

- Po przylocie będę miał dodatkową pomoc... doświadczonych pielęgniarzy ze szpitala psychiatrycznego. Odpowiedzialność za niego spocznie teraz na nich.

- Sądzi pan, że będa go odpowiednio traktować? Wie pan, jaki on jest. Jedyne, czego się boi, to nuda. Tylko tym można go przestraszyć. Biciem nic się u niego nie wskóra.

- Nigdy na to nie pozwolę, Barney.

- Będzie pan obecny podczas przesłuchania?

- Tak. - A ciebie tam nie będzie, dodał w myśli Chilton.

- Mogłbym polecieć tam i dopilnować jego zakwaterowania. Zdąży wrócić na dyżur, będę miał jeszcze kilka godzin w zapasie - zaproponował Barney.

- Ty się już nim nie zajmujesz, Barney. Ja tam będę. Pokażę im, jak się z nim obchodzić, krok po kroku.

- Powinni na niego lepiej uważać - stwierdził Barney. - Bo on będzie miał ich na oku, to pewne.

Clarice Starling siedziała w motelu na skraju łozka i wpatrywała się w czarny telefon. Przed minutą skończyła rozmawiać z Crawfordem. Miała potargane włosy, wiercać się podczas krótkiego snu przekrzywiła na sobie służbową, należącą do FBI nocną koszulę. Czula się tak, jakby ktoś kopnął ją prosto w żołądek.

Minęły dopiero trzy godziny od chwili, kiedy rozstała się z doktorem Lecterem. Dwie od momentu, kiedy razem z Crawfordem skończyli prace nad arkuszami cech charakterystycznych, które miały posłużyć za podstawę selekcji w ośrodkach medycznych. W ciągu tego krótkiego czasu, gdy spała, Chiltonowi udało się wszystko popsuć.

Jechał po nią Crawford. Musiała być gotowa, musiała pomyśleć o tym, żeby się trochę ogarnąć.

Niech to szlag. Niech to szlag. Niech to szlag. Zamordowałeś ja, doktorze Chilton. Zabijesz ja, ty oblesny zaszranek. Lecter wiedział coś więcej i wyciągnęłabym to z niego. Teraz wszystko przepadło. Wszystko na nic. Kiedy wypłynie trup Catherine Martin, dopilnuję, żebyś musiał się mu przyrzec, przysięgam, że tego dopilnuję. Odebrales mi te szanse. Naprawdę muszę teraz zrobić coś sensownego. W tej chwili, już. Co mogę zrobić w tej chwili, w tej minucie? Doprowadzić się do porządku...

W łazience znalazła mały koszyczek z opakowanymi w papier mydelkami, tubkami szamponu i płynu do kąpieli. Był także niewielki zestaw do szycia. Drobiazgi, na które można liczyć w każdym dobrym motelu.

Wchodząc pod prysznic, ujrzała w krótkim mgnieniu sama siebie w wieku osmiu lat. Niosła matce opakowane w papier mydelka i tubki, na reke narzucone miała ręczniki. Matka sprzątała w motelu. Kiedy Clarice miała osiem lat, w okolicy grasowała wrona. Cała chmara wron upodobala sobie to ponure miasteczko, unosiła się nad nim w tumanach kurzu, ale ta jedna była szczególna, ta interesowała się wozkami motelowych sprzątaczek. Porywała wszystko, co się świeci. Czekala na odpowiedni moment, spadała na wózek i buszowała wśród wiader, szczotek i pojemników z detergentami. Czasami, podczas alarmowego startu, zanieczyszczała wyprana bieliznę. Ktoras z pokojówek rzuciła w nią kiedyś bielidłem, ale nic to nie pomogło, sprawiło tylko, że teraz jej pióra upstrzone były białymi jak śnieg plamami. Czarno-biała wrona stale obserwowała Clarice. Wyczekiwała na moment, kiedy dziewczynka będzie musiała odejść od wózka, żeby zanieść coś szorującej sedesy matce. To właśnie wtedy, stojąc w drzwiach łazienki, matka powiedziała, że Clarice będzie musiała wyjechać, że zamieszka w Montanie. Odłożyła na bok przyniesione przez córkę ręczniki, siadła na skraju łozka i przytulila ją do siebie. Starling wciąż sniła o wronie, ujrzała ją i teraz, nie mając nawet czasu pomyśleć dlaczego. Podniosła reke, żeby ją przepłuszczyć, a potem, jakby zawstydzona, przesunęła dłoń po czole i odgarnęła do tyłu mokre włosy.

Ubrała się szybko. Spodnie, bluzka, lekki sweter, wcisnięty ciasno pod zebro, płaski jak naleśnik futerał, w środku rewolwer z uniesioną lufą, po drugiej stronie nasadzony na pas magazynek. Musiała poświęcić kilka chwil swojej kurtce. Na wysokości magazynka rozpruł się szew w podszewce. Zdecydowana była zająć się czymś, zająć czymkolwiek, dopóki nie ochłonie. Wyjęła przybory do szycia i zszyła peknienie. Niektórzy agenci przyszywali sobie w tym miejscu luźno zwisającą podkładkę, będzie musiała zrobić to samo... Do drzwi pukał Crawford.



# ROZDZIAŁ 31

Crawford wiedział z własnego doświadczenia, że gniew nie dodaje kobietom urody. Maja potargane włosy, wypieki na twarzy, zapominają się tu i ówdzie pozapinać. Potęgują się wszystkie ich ujemne cechy. Kiedy otworzył drzwi motelowego pokoju, inspektor Starling wyglądała znakomicie. Mimo to była wściekła jak wszyscy diabli.

Uprzytomnił sobie, że może się teraz dowiedzieć o niej czegoś zupełnie nowego.

Kiedy stanął w przejściu, w nozdrza uderzył go zapach mydła i wilgotne, nasycone parą powietrze. Łózko było posłane, poduszka przykryta kocem.

- Co powiesz, Starling?

- Powiem: niech to szlag. A co pan powie? Kiwnął głową.

- Na rogu jest otwarty drugstore. Napijemy się kawy.

Jak na luty, poranek był dość ciepły. Zawieszona nisko na wschodzie słońce oświetlało czerwono frontową ścianę szpitala. Szli wzdłuż niej, za nimi wolno toczył się prowadzony przez Jeffa mikrobus, w środku trzeszczało radio. Na chwilę Jeff podał Crawfordowi słuchawkę telefonu.

- Czy mogę wysunąć wobec Chiltona zarzut utrudniania śledztwa?

Clarice lekko go wyprzedzała. Crawford dostrzegł, jak po zadaniu tego pytania zacisnęła jej się szczęki.

- Nie, to nic nie da.

- A co będzie, jeżeli Catherine przez niego zginie? Naprawdę chce mu to rzucić w twarz... Niech pan mi pozwoli pozostać przy tej sprawie, proszę pana. Niech pan nie wysyła mnie z powrotem na uczelnie.

- Dwie rzeczy. Jeśli zatrzymam cię przy sobie, to nie dlatego, żebyś rzuciła coś w twarz Chiltonowi, z tym można poczekać. Po drugie, jeśli zatrzymam cię na dłużej, będziesz musiała powtarzać semestr. Będzie cię to kosztować kilka miesięcy. W Akademii nie stosuje się wobec nikogo taryfy ulgowej. Mogę ci zagwarantować, że dostaniesz się z powrotem, ale to wszystko. Będzie dla ciebie miejsce, to mogę ci obiecać.

Idąc odchyliła głowę do tyłu, potem opuściła ją na piersi.

- Może nie jest to zbyt grzeczne pytanie wobec własnego szefa, ale czy ma pan związane ręce? Czy pani senator Martin jest w stanie panu zaszkodzić?

- Za dwa lata musze odejsc na emeryture, Starling. Musze to zrobic, nawet jesli uda mi sie odnalezc Jimmy'ego Hoffe i zabojce od Tylenolu. To sprawa przesadzona.

Crawford, zawsze ostroznym w przejawianiu wlasnych uczuc, zdawal sobie sprawe, jak bardzo zalezy mu na tym, zeby sprawiac wrazenie doswiadczonego czlowieka. Wiedzial, ze takie pragnienie u faceta w srednim wieku moze czesto prowadzic do tego, iz udaje madszego, niz jest. Wiedzial, ze dla kogos mlodego, kto go slucha i darzy zaufaniem, efekty uzyskanej w ten sposob nauki moga sie okazac oplakane. Wiec mowil ostroznie i tylko o rzeczach, ktore dobrze znal.

Spostrzezenia, jakie przekazywal dziewczynie idac boczna uliczka Baltimore, poczynil podczas dlugich mroznym porankow w Korei, biorac udzial w wojnie, ktora toczyła sie na dlugo przed jej urodzeniem. Opuscil tylko nazwe kraju, nie potrzebował budować sobie w ten sposób autorytetu.

- To jest dla ciebie najtrudniejszy moment, Starling. Wykorzystaj go, naucz sie czegoś. To najtrudniejszy test... nie mozesz pozwolic, zeby wscieklosc i frustracja zablokowaly w tobie zdolnosc jasnego myslenia. Od tego zalezy, czy kiedykolwiek bedziesz mogla kierowac akcja. Najbardziej wyprowadzaja z rownowagi glupota i zmarnowane starania. Chilton jest cholernym glupcem i to, co zrobil, moze kosztowac Catherine Martin zycie. Ale moze do tego nie dojdzie. My jestesmy jej szansa. Jaka temperature ma ciekly azot, Starling?

- Co? Ciekly azot? Minus dwiescie stopni, cos kolo tego. W nieco wyzszej temperaturze zaczyna sie proces wrzenia.

- Czy cos juz w nim kiedys zamrazalas?

- Jasne.

- Chce, zebyś zamrozila cos w tej chwili. Cala te historie z Chiltonem. Pamietaj wszystko, co powiedzial ci Lecter, i wloz swoje uczucia do cieklego azotu. Chce, zebyś ani na chwile nie odwracala oczu od nagrody, ktora nas czeka. Tylko to sie liczy. Ciezko zapracowalas na to, zeby uzyskac pewna informacje, zaplacilas za nia, dostalas do reki, teraz czas, zebyśmy ja wykorzystali. Jest tak samo dobra albo tak samo bezwartosciowa jak pare godzin temu, zanim wmieszal sie w to Chilton. Najprawdopodobniej nie dowiemy sie juz niczego wiecej od Lectera. Pamietaj, co powiedzial ci na temat Buffalo Billa, i nie uron z tego ani slowka. Reszte zamroz. Twoje zmarnowane starania, twój gniew, sprawa z Chiltonem. Zamroz to. Kiedy bedziemy mieli chwile czasu, Chilton dostanie takiego kopa, ze sie nakryje nogami. Na razie zamroz to i odsun na bok. Zebyś mogła widziec nagrode: zycie Catherine Martin. I rozpieta na drzwiach stodoly skore Buffalo Billa. Nie odwracaj oczu od nagrody. Jesli potrafisz to zrobic, bede cie potrzebował.

- Do pracy w archiwach medycznych? Stali przed wejsciem do drugstore'u.

- Nie, o ile kliniki nie beda marudzic i nie trzeba bedzie sadownie zajac ich dokumentacji. Potrzebuje cie w Memphis. Musimy miec nadzieje, ze Lecter powie senator Martin cos uzytecznego. Ale na wszelki wypadek chce, zebyś byla blisko. Jesli zabawa z nia go zmeczy, byc moze bedzie chcial porozmawiac z toba. Tymczasem chce, zebyś sprobowala dowiedziec sie czegoś o Catherine, o tym, w jaki sposob Bill mogl ja namierzyc. Nie jestes wiele starsza od Catherine, jej przyjaciele

moga ci powiedziec rzeczy, ktorzych nie zdradziliby komus o wygladzie gliny.

Nadal probujemy wszelkich innych sposobow. Interpol stara sie ustalic tozsamosc Klausa. Wiedzac, kim byl, mozemy przyrzec sie jego znajomym w Europie, a takze w Kalifornii, gdzie romansowal z Benjaminem Raspaiem. Ja jade do Uniwersytetu Minnesota... nastapilismy im tam, zdaje sie, na odcisk. Dzis w nocy bede z powrotem w Waszyngtonie. Przyniose teraz kawy. Gwizdnij na Jeffa. Za czterdziesti minut masz byc w samolocie.

Czerwone slonce objelo trzy czwarte wysokosci slupow telefonicznych. Chodniki tonely wciaz w fioletowej poswiacie. Machajac do Jeffa, Clarice siegala reka swiatla.

Czula sie lepiej, lzej. Crawford byl naprawde swietny. Wiedziala, ze podchwytliwe pytanko na temat azotu bylo uklonem w strone jej wiedzy kryminalistycznej, mialo ja mile polechtac i uruchomic wrodzony nawyk zdyscyplinowanego myslenia. Zastanawiala sie, czy mezczyzni rzeczywiscie uwazaja ten rodzaj manipulacji za subtelny. Dziwne, jak takie rzeczy dzialaja na czlowieka, nawet kiedy zdaje sobie sprawe, co jest grane. I jakze czesto zdolnosc przywodcze ida w parze z pewna bezwzglednoscia.

Po drugiej stronie ulicy, na schodach Stanowego Szpitala dla Psychiczenie Chorych Przestepcow, pojawila sie schodzaca w dol postac. Byl to Barney, w swojej puchowej kurtce wygladal jeszcze potezniej niz zwykle. W reku niosl pojemnik na lunch.

- Piec minut - wymowila bezglosnie do siedzacego za kierownica

Jeffa. Zlapala pielegniarza za reke, kiedy przekrecal klucz w drzwiach swego starego studebakera.

- Barney.

Obrocil ku niej twarz, byla bez wyrazu. Moze tylko oczy otwarte mial troche szerzej niz zazwyczaj. Stal mocno na ziemi.

- Czy doktor Chilton powiedzial ci, ze nie bedziesz w to zamieszany?

- Co innego mogl powiedziec?

- Wierzysz mu?

Skrzywil sie kacikiem ust. Nie powiedzial ani tak, ani nie.

- Chce, zebys cos dla mnie zrobil. Teraz, w tej chwili, bez zadawania zbednych pytan. Bardzo cie o to prosze - od tego w ogole zaczynjmy. Co zostalo w celi Lectera?

- Kilka ksiazek... Joy of Cooking, pisma medyczne. Zabrali papiery z sadu.

- A to, co wisialo na scianach, rysunki?

- Wciaz tam sa.

- Chce to wszystko miec i bardzo sie spiesze. Zastanawial sie przez sekunde.

- Prosze poczekac - powiedzial i pobiegl klusem w gore schodow, dziwnie lekko jak na tak roslego mezczyzne.

Wrocil ze zrolowanymi rysunkami i plastikowa torba na zakupy, w ktorej byly ksiazki i inne papiery. Crawford czekal juz na nia w mikrobusie.

- Pewnie mysli pani, ze wiedzialem o podslychu w tej lawce, ktora pani przynioslem? - zapytal Barney wreczajac jej rzeczy.

- Bede to musiala sobie przemyslec. Masz tu dlugopis, napisz swoj telefon na torbie. Czy sadzisz, Barney, ze oni potrafia postepowac z doktorem Lecterem?

- Mam pewne watpliwosci i nie krylem ich przed doktorem Chiltonem. Niech pani pamietaj, ze o tym mowilem, gdyby jemu przypadkiem wylecialo to z glowy. Pani jest w porzadku, pani inspektor. Kiedy juz pani zlapie Buffalo Billa...

- To co?

- Niech pani nie przywozi go do mnie tylko dlatego, ze mam akurat wolna cele, dobrze? - usmiechnal sie. Mial drobne, dziecinne zebry.

Clarice odwzajemnila usmiech, choc wcale nie bylo jej do smiechu. Biegnac do mikrobusu obejrzala sie i machnela reka na pozegnanie.

Crawford patrzyl na to z zadowoleniem.

## **ROZDZIAI 32**

Transportujacy doktora Hannibala Lectera samolot dotknal oponami pasa startowego w Memphis, zostawiajac za soba dwa blekitne obloczki dymu. Wypelniajac instrukcje z wiezy pokolowal szybko w strone hangarow wojsk ochrony powietrznej, daleko od dworca pasazerskiego. Wewnatrz pierwszego hangaru oczekiwaly juz limuzyna i karetka pogotowia ratunkowego.

Senator Ruth Martin patrzyla przez przydymione szyby limuzyny na policjantow z pomocniczej sluzby stanowej, ktorzy wytaczali doktora Lectera z samolotu. Miala ochote podbiec do zamaskowanej, skrepowanej postaci i wydrzec z niej te wiadomosc. Byla na to jednak za rozsadna.

Zabrzeczal telefon. Sluchawke podniosl siedzacy obok, na rozkladanym siedzeniu, asystent pani senator, Brian Gossage.

- To FBI, Jack Crawford - powiedział.

Ruth wyciągnęła rękę po słuchawkę nie odwracając oczu od doktora Lectera.

- Dlaczego nie powiedział mi pan nic o doktorze Lecterze, panie Crawford?

- Bałem się, że zrobi pani to, co właśnie pani robi, pani senator.

- Nie walczę z panem, panie Crawford. Jeśli stanie mi pan na drodze, pozaluje pan tego.

- Gdzie jest teraz doktor Lecter?

- Właśnie na niego patrzę.

- Czy pani słyszy?

- Nie.

- Proszę mnie posłuchać, pani senator. Chcę pani osobiście zagwarantować pewne rzeczy Lecterowi, w porządku, świetnie. Proszę tylko o jedno. Zanim rozmówi się pani z Lecterem, proszę pozwolić, by zapoznał panią ze sprawą doktora Alan Bloom. On może pani pomóc, naprawdę, niech mi pani wierzy.

- Mam profesjonalnych doradców.

- Lepszych od Chiltona, mam nadzieję.

Doktor Chilton zastukał przez okno do limuzyny. Senator wysłała Briana Gossage'a, żeby się nim zajął.

- Szkoda czasu na te uszczypliwości, panie Crawford. Wysłał pan do Lectera kompletną nowicjuszkę z fałszywą ofertą. Potrafię wymyślić coś lepszego. Doktor Chilton uważa, że Lecter jest w stanie odpowiedzieć na szczerą propozycję i taka właśnie mam zamiar mu przedstawić. Bez zmuszanej oficjalnej procedury, bez uwag ad personam, bez pytań o wiarygodność. Jeśli uda nam się uratować Catherine, wszystko będzie miało zapach roz, pana nie wyłączając. Jeśli ona... umrze, nie będę się przed nikim tłumaczył.

- W takim razie niech pani posłuży się nami. Nie wyczuła gniewu w jego głosie, było tam tylko dobrze jej znane profesjonalne wyrachowanie.

- Słucham - zachęciła go, by mówił dalej.

- Jeśli coś pani uzyska, proszę pozwolić nam działać. Niech pani dopilnuje, żeby dotarły do nas wszystkie informacje. Upewni się, że miejscowa policja nam je przekazała. Niech pani nie pozwoli im myśleć, nie sprawia pani przyjemność odwracając się od nas plecami.

- Jedź tu do nas Paul Krendler z Departamentu Sprawiedliwości. On tego dopilnuje.



- Jak sie nazywa najwyzszy ranga oficer prowadzacy teraz te sprawe?

- Major Bachman z biura sledczego stanu Tennessee.

- Dobrze. Jesli nie jest juz za pozno, niech pani sprobujze zablokowac mass media. Lepiej postraszyz troche Chiltona w tej sprawie: on lubi reklame. Nie chcemy, zeby Buffalo Bill wiedzial cokolwiek. Kiedy go zlokalizujemy, chce uzyc specjalnego oddzialu do ratowania zakladnikow. Chcemy uderzyz szybko i uniknac oblezenia. Ma pani zamiar osobiscie zadawac pytania Lecterowi?

- Tak.

- Czy porozmawia pani najpierw z Clarice Starling? Jest w drodze do Memphis.

- Po co? Doktor Chilton zapoznal mnie z calym materialem. Dosyc juz stracilismy czasu na glupstwa.

Chilton znowu zastukal w okno, wymawiajac bezglosnie przez szybe jakies slowa. Brian Gossage polozyl dlon na jego przegubie i potrzasnal glowa.

- Chce miec dostep do Lectera, kiedy skonczy z nim pani rozmawiac - powiedzial Crawford.

- Panie Crawford, on obiecal mi wymienic prawdziwe nazwisko Buffalo Billa w zamian za pewne przywileje, to znaczy zlagodzenie rygorow. Jesli tego nie robi, moze go pan sobie zabrac raz na zawsze.

- Wiem, ze to jest delikatna kwestia, pani senator, ale musze to powiedziec: pod zadnym pozorem prosze go o nic nie blagac.

- Dobrze, panie Crawford. Naprawde nie moze teraz rozmawiac. - Odwiesila sluchawke. - Mysle, ze nie zaszkodze jej bardziej niz tym szesciu, ktorzych sprawy pan prowadzil - powiedziala cicho i skinela na Gossage'a i Chiltona, zeby weszli do samochodu.

Doktor Chilton prosil, by rozmowa pani senator z doktorem Lecterem odbyla sie w Memphis w pomieszczeniach o charakterze biurowym. Zeby zaoszczedzic czasu, przystosowano pospiesznie do tego celu mieszczaca sie w hangarze sale odpraw wojsk ochrony powietrznej.

W czasie gdy Chilton instalowal tam Lectera, senator Martin czekala na zewnatrz. Nie mogla wysiedziec w samochodzie. Chodzila w kolko pod wielkim dachem hangaru, spogladala do gory na wysokie dzwigary, a potem znowu w dol na wymalowane na betonie pasy. Podeszla na chwile do starego phantoma F-4 i oparla glowe o jego zimny kadlub, w miejscu gdzie biegł zrobiony z szablonu napis NIE OPIERAC DRABINKI. Ten samolot musi byc starszy od Catherine. Slodki Jezu, szybciej.

- Pani senator Martin! - wolal ja major Bachman. Od drzwi machal reka Chilton.

W pokoju stalo biurko dla Chiltona oraz krzesla dla pani Martin, jej asystenta i majora Bachmana. Kamerzysta gotow byl do rejestrowania calego spotkania na tasmie wideo. Chilton oswiadczył, ze tak brzmi jeden z warunkow Lectera.

Senator weszła do środka. Wyglądała całkiem niezłe. Od jej granatowego kostiumu powiało władza. Gossage też poczuł się nieco ważniejszy.

W środku sali, na masywnym, debowym, przysrubowanym do podłogi fotelu siedział samotnie doktor Hannibal Lecter. Owinięty był kocem, który zasłaniał kaftan bezpieczeństwa, pasy na nogach i kajdany przykuwające go do fotela. Wciąż jednak miał na twarzy hokejową maskę, uniemożliwiająca mu kasanie.

Dlaczego? - zastanawiała się senator. Kiedy mówiono o pomieszczeniach biurowych, chodziło przecież o to, by zapewnić doktorowi Lecterowi trochę bardziej ludzkie warunki. Spojrzała przelotnie na Chiltona i obróciła się do Gossage'a po dokumenty.

Chilton podszedł do doktora Lectera. Patrząc w oko kamery z namaszczeniem odpiał tasiemki i zdjął mu maskę z twarzy.

- Pani senator Martin, doktor Hannibal Lecter.

Widząc, jak popisuje się doktor Chilton, poczuła strach, jakiego nie zaznała od momentu porwania swej córki. Całe zaufanie, jakie do tej pory pokładała w Chiltonie, ustąpiło miejsca chłodnej obawie, że jest on kompletnym durniem.

Bedzie musiała jakos sobie z tym poradzić.

Kosmyk włosów opadł pomiędzy piwne oczy doktora Lectera. Cere miał równie blada, jak maska. Senator Martin i Hannibal Lecter przyjrżeli się sobie wzajemnie, ona wyjątkowo bezpośrednia, on nieodgadniony za pomocą znanych nauce metod.

Doktor Chilton wrócił za swoje biurko, rozejrzał się po sali i zaczął:

- Pani senator, doktor Lecter oznajmił mi, że w zamian za złagodzenie warunków, w jakich odbywa kare pozbawienia wolności, pragnie złożyć w toczącej się sprawie pewne dotyczące znanych mu faktów oświadczenie.

Pani Martin podniosła do góry dokument.

- Doktorze Lecter, oto złożona pod przysięgą deklaracja, która mam zamiar zaraz podpisać. Obiecuje w niej pomoc panu. Chce pan, żebym ją odczytała?

Nie sądziła, że jej odpowie, i pochyliła się nad biurkiem, żeby złożyć podpis.

- Nie będę marnował czasu pani i Catherine - odezwał się niespodziewanie - targując się o drobne przywileje. Dość zmarnowali go już różni karierowicze. Pomogę pani teraz i wierzę, że pani pomoże mi, kiedy będzie już po wszystkim.

- Może pan na mnie polegać. Brian? Gossage wziął do ręki notatnik.

- Nazwisko Buffalo Billa brzmi William Rubin. Przedstawia się jako Billy Rubin. Został do

mnie skierowany w kwietniu lub maju siedemdziesiątego piątego roku przez mego pacjenta Benjamina Raspaila. Powiedział, że pochodzi z Filadelfii. Nie mogę przypomnieć sobie jego adresu, ale wiem, że mieszkał razem z Raspaiem w Baltimore.

- Gdzie jest pańskie archiwum? - wtracił major Bachman.

- Moje archiwum zostało zniszczone na mocy wyroku sądu krótko po...

- Jak on wygląda? - pytał major.

- Czy pan sądzi, majorze...? Dla pani senator, jedyna rzecz...

- Podaj mi wiek i rysopis, wszystko, co jesteś w stanie sobie przypomnieć - naciskał dalej major.

Doktor Lecter po prostu odpłynął. Myślał o czymś innym - o studiach anatomicznych, które prowadził Gericault do swojej „Tratwy Meduzy” - i nawet jeśli słyszał następne pytania, nie dał po sobie nic poznać.

Kiedy pani Martin z powrotem udało się skupić jego uwagę, byli w pokoju sami. W ręku trzymała notes Gossage'a.

Doktor Lecter utkwilił w niej wzrok.

- Ta flaga śmierdzi cygarami - powiedział. - Czy osobiście nianczyła pani Catherine?

- Słucham? Czy co?

- Czy karmiła ja pani piersią?

- Tak.

- Lapczywie ssala?

Kiedy pociemniały jej zrenice, doktor Lecter posmakował trochę jej bólu. Uznał go za wyborny. Na dzisiaj starczy.

- William Rubin - podjął przerwany wątek - ma jakieś sto osiemdziesiąt pięć centymetrów wzrostu i trzydzieści pięć lat. Silnie zbudowany - ważył jakieś osiemdziesiąt sześć kilogramów, kiedy go poznałem, i spodziewam się, że od tego czasu przybrał na wadze. Ma brązowe włosy i jasnoniebieskie oczy. Proszę im to na razie przekazać i będziemy kontynuować.

- Dobrze - odparła senator Martin. Podawała notatki przez drzwi.

- Widziałem go tylko raz. Umówił się na następną wizytę, ale nie przyszedł.

- Dlaczego uważa pan, że to Buffalo Bill?

- Juz wtedy mordowal ludzi i wyczynial z nimi podobne anatomiczne historie. Mowil, ze chce, zeby ktos pomogl mu to w sobie zwalczyc, ale w rzeczywistosci zalezalo mu tylko na tym, zeby troche o tym pogadac. Otworzyc przed kims dusze. Poniesc kare.

- A pan... czy on byl pewien, ze go pan nie wyda?

- Sadzil, ze chyba tego nie zrobie, poza tym lubil ryzykowac. Cieszylem sie zaufaniem jego przyjaciela Raspaila.

- Raspail wiedzial, ze on to robi?

- Raspail uwielbial wszelka perwersje, caly byl pokryty bliznami. Billy Rubin przyznal, ze byl notowany przez policje, ale nie podal szczegolow. Pytalem go, jakie przebyl choroby. Typowe, z jednym wyjatkiem: powiedzial, ze cierpial na zakazenie waglikiem afrykanskim. To wszystko, co pamietam, pani senator, przypuszczam, ze bardzo sie pani spieszy. Jesli cos mi sie jeszcze przypomni, dam pani znac.

- Czy to Billy Rubin zabil osobe, ktorej glowe odnaleziono w samochodzie?

- Tak uwazam.

- Czy wie pan, kto to byl?

- Nie. Raspail mowil o nim Klaus.

- Czy prawdziwe sa inne rzeczy, ktore powiedzial pan FBI?

- Co najmniej tak samo prawdziwe jak to, co mialo mi do powiedzenia FBI.

- Przygotowalam dla pana tutaj, w Memphis, tymczasowe pomieszczenia. Porozmawiamy o pana sytuacji i zostanie pan odeslany do Brushy Mountains, kiedy ta sprawa... zostanie zakonczona.

- Dziekuje. Przyszlo mi na mysl, ze przydalby mi sie telefon...

- Bedzie go pan mial.

- I muzyka. „Wariacje Goldbergowskie", w wykonaniu Glenna Goulda? Czy to nie nazbyt wiele?

- Nie, skadze.

- Prosze nie powierzac zadnej informacji wylacznie FBI, pani senator. Jack Crawford nigdy nie gra w otwarte karty z innymi sluzbami policyjnymi. Takie ma po prostu zboczenie zawodowe. Zdecydowany jest zawsze osobiscie dokonac aresztowania. „Zalozyc obroze", tak to tam nazywaja.

- Dziekuje panu, doktorze Lecter.

- Masz uroczy kostium - powiedział, kiedy zniknęła za drzwiami.

## ROZDZIAŁ 33

Piwnice Jame'a Gumba tworzą labirynt, w jakim zdarza nam się błądzić tylko we śnie. Dawno temu, przed wielu laty, kiedy był jeszcze niesmiały, Gumb zazywał przyjemności w miejscach najgłębiej ukrytych, z dala od schodów. W najodleglejszych zakątkach znajdują się schowki przeznaczone dla innych istot, tych Gumb nie otwiera od lat. Niektóre z nich są, by tak rzec, wciąż zajęte, chociaż odgłosy, jakie dochodziły zza ich drzwi, dawno osiągnęły najwyższy ton i umilkły.

Poziom podłog jest zmienny, może różnić się o mniej więcej trzydzieści centymetrów. Są tu progi, które trzeba przestąpić, belki, przed którymi należy uchylić głowę. Niemożliwe jest toczenie tu przed sobą ładunku, ciężko jest wlec coś z tyłu. Popychac zaś przed sobą coś, co potyka się, płacze, błaga i uderza oszłomioną głową o przeszkody - jest trudne, a nawet niebezpieczne.

Kiedy Gumb zmadrział i nabrał wiary w siebie, uznał, że nie powinien już dłużej zaspokajać swoich potrzeb w ukrytych zakątkach podziemi. Obecnie używa do tego celu ciągu pomieszczeń bezpośrednio przylegających do schodów, dużych izb z bieżącą wodą i elektrycznością.

W piwnicy jest teraz kompletnie ciemno.

Ponizej wysypanej piaskiem podłogi, w lochu, gdzie znajduje się Catherine Martin, panuje cisza.

Pan Gumb jest tutaj, w piwnicy, ale w innym pomieszczeniu.

Choć pokój pod schodami pogrążony jest w całkowitym mroku, pełno w nim cichych szmerów. Słychać kapanie wody, szum w rurach. Słyszac po niewyraźnym echu, pomieszczenie jest rozległe. Powietrze jest tu chłodne i wilgotne. Pachnie roślinnością. O policzek ocierają się skrzydła, w powietrzu słychać trzepot. Słychać także głęboki, nosowy, znamionujący przyjemność odgłos, odgłos człowieka.

W pokoju nie ma fal świetlnych, w zakresie których widziałoby ludzkie oko, ale Gumb jest tutaj i widzi bardzo dobrze, chociaż tylko w różnych odcieniach zieleni. Ma na oczach znakomite noktowizyjne okulary (z nadwyżek wyposażenia armii izraelskiej, cena około czterystu dolarów); snop światła operującej w podczerwieni latarki kieruje na stojącą przed nim druciana klatkę. Siedzi na samym skraju krzesła, napięty, i obserwuje wspinającego się po lodydze owada. Młody imago wydostał się właśnie z pękniętego kokonu tkwiącego w wilgotnej ziemi na dnie klatki. Wspina się ostrożnie po lodydze wilczej jagody i szuka miejsca, w którym będzie mógł rozpostrzec swoje wilgotne jeszcze skrzydła. Wybiera biegnącą poziomo galazkę.

Gumb musi przekrzywić głowę, żeby lepiej widzieć. Powoli, stopniowo skrzydła wypełniają się krwią i powietrzem. Wciąż złączone są ze sobą nad grzbietem.

Mijają dwie godziny. Pan Gumb prawie się nie porusza. Włącza i wyłącza latarkę, dziwiąc się zmianom, jakim podlega owad. Dla zabicia czasu oświetla inne części pokoju: światło pada na duże akwaria wypełnione roztworami garbnikowymi. Niczym wynurzające się z morza, pozbawione głów klasyczne rzeźby, stoją w nich rozpięte na specjalnych formach jego ostatnie nabytki. Światło obejmuje duży pokryty ocynowaną blachą stol roboczy z regulowanym kątem nachylenia, zaopatrzony w boczne osłony i otwory odpływowe. Wyżej uchwyt dźwigu. Pod ścianą długie wanny. Wszystko w zielonych odcieniach przefiltrowanej podczerwieni. Słychać trzepotanie, obraz przecinany jest fluoryzującymi smugami. Pozostawiają je latające swobodnie w powietrzu cmy.

Gumb kieruje promień latarki z powrotem na klatkę, akurat na czas. Duże skrzydła owada unoszą się nad grzbietem, na przemian ukazując i zasłaniając rysunek. Teraz opuszcza je, żeby zakryć odwrócić i słynny desen jest w całości widoczny. Z grzbietu cmy spogląda ludzka czaszka, wspaniale odtworzona na pokrytych włoskami łuskach. Pod ocienionym sklepieniem czaszki widac czarne oczodoły i wyraźne kości policzkowe. Pod nimi ciemna plama, niczym wetknięty pomiędzy szczęki knebel. Czaszka opiera się na zarysie czegoś, co przypomina kość biodrowa.

Czaszka wsparta o biodro, wszystko wyrysowane na grzbiecie cmy przez zadziwiający wybryk natury.

Gumb czuje się dobrze i lekko. Pochyliła się do przodu i delikatnie dmucha na cme. Owad podnosi ostrą ssawkę, skrzeczy ze złości.

Gumb przechodzi cicho niosąc latarkę do pomieszczenia, w którym wykopana jest studnia. Otwiera usta, żeby nie słychać było jego oddechu. Nie chce, by popsule mu humor dochodzące z otworu odgłosy. Osadzone w barylkowatych oprawkach soczewki jego gogli wyglądają jak szypulkowate oczy kraba. Wie, że gogle w żadnym razie nie dodają mu uroku, ale spędził w nich wspaniałe chwile w ciemnościach, kiedy oddawał się swym piwnicznym zabawom.

Pochyliła się i rzuca promień niewidocznego światła w głąb szybu.

„Material” leży na boku, zwinięty jak krewetka. Wygląda na to, że spi. Obok stoi wiadro na odchody. Nie urwała po raz drugi sznurka, starając się głupio podciągnąć na nim pionową ścianę. We śnie trzyma kurczowo przy twarzy rozek materaca i ssie kciuk.

Przyglądając się Catherine, omiatając jej postać światłem latarki, Gumb zastanawia się nad stojącymi przed nim bardzo poważnymi problemami.

Ludzka skóra jest skrajnie trudnym materiałem do obróbki, zwłaszcza jeśli ktoś stawia jej tak wysokie wymagania jak on. Trzeba z góry podjąć podstawowe, dotyczące materiału decyzje, a najważniejsza z nich dotyczy miejsca umieszczenia suwaka.

Gumb przesuwając promień w dół, wzdłuż pleców Catherine. Normalnie umieszciliby zamek z tyłu, ale w jaki sposób zdołałby się wtedy zapiąć? Nie jest to rodzaj przysługi, o którą mógłby kogoś poprosić, niezależnie od tego, jak podniecająca byłaby to perspektywa. Znal miejsca i kregi, w których jego wysiłki spotkałyby się z entuzjastycznym przyjęciem: są jachty, na których mógłby z pewnością zrobić furorę. Ale z tym trzeba będzie na razie poczekać. Musi mieć rzeczy, które będzie

mogł sam na siebie włożyć. Z drugiej strony umieszczenie zapiecia z przodu byłoby swietokradztwem - to w ogóle nie wchodzi w grę.

W świetle podczerwieni Gumb nie może nic powiedzieć o kolorze skóry Catherine, widzi jednak wyraźnie, że materiał traci na wadze. Wygląda na to, że kiedy ją wziął, właśnie się odchudzała.

Doswiadczenie nauczyło go, że dobrze jest odczekać od czterech do siedmiu dni, zanim zdejmie skóre. Nagła utrata wagi czyni ją luzniejszą i łatwiejszą w zdejmowaniu. Głodówka sprawia także, że materiał jest osłabiony i łatwiej sobie z nim poradzić. Jest bardziej uległy. Niektóre z egzemplarzy popadają w odretwienie i rezygnacje. Z drugiej strony dostarczenie kilku niewielkich posiłków konieczne jest, aby nie doprowadzić do hysterii i prób samobójczych, w wyniku których mogłaby ucierpieć skóra.

Tak, zdecydowanie traci na wadze. Ten materiał miał szczególne znaczenie, podstawowe znaczenie dla całej jego działalności i nie był w stanie długo czekać, zresztą wcale nie musiał. Może to zrobić jutro po południu albo jutro wieczorem. W ostateczności pojutrze. Niedługo.

## ROZDZIAŁ 34

Clarice Starling rozpoznała znak Stonehinge Villas, znany z telewizyjnych migawek. Osiedle bloków i domków jednorodzinnych w East Memphis otaczał z trzech stron rozległy parking.

Clarice zaparkowała wynajętego chevroleta-celebrity na środku parkingu. Mieszkali tu dobrze płatni robotnicy wykwalifikowani i niższe szczeble warstwy kierowniczej - świadczyły o tym marki stojących wokół samochodów. Samochody campingowe i motorowki na wozkach zaparkowane były w wydzielonej części parkingu.

Stonehinge Villas - ta nazwa działała Clarice na nerwy za każdym razem, kiedy na nią spojrzała. W mieszkaniach pewnie pełno tu było białej wikliny i brzoskwiniowych dywaników. Wsuniecie pod szkło stolika fotografie. Na polce Dinner for Two Cookbook i Fondue on the Menu. Clarice, mieszkanka akademika, miała do tych rzeczy stosunek wybitnie krytyczny.

Chciała poznać bliżej Catherine Baker Martin. Jak na senatorską córkę, było to dość dziwne miejsce zamieszkania. Przejrzała już krótki materiał biograficzny, zgromadzony przez FBI. Ukazywał on Catherine Martin jako inteligentną dziewczynę, która nie spełniła do tej pory pokładanych w niej nadziei. Wylano ją z Farmington, dwa nieudane lata spędziła na uniwersytecie w Middlebury. Teraz studiowała na Southwestern, była właśnie w trakcie praktyki nauczycielskiej.

Clarice mogła z łatwością wyobrazić ją sobie jako zapatrzoną w siebie, trochę tępa uczennice szkoły z internatem, jedna z tych, które nigdy nie słuchają, co się do nich mówi. Wiedziała również, że musi być ostrożna, miała przecież swoje uprzedzenia i resentymy. Prawie całe życie spędziła w internatach, utrzymując się ze stypendiów, stopnie miała zawsze o wiele lepsze od strojów. Widziała

wielu uczniów z bogatych, nekanych kłopotami rodzin, którzy nie wiedzieli, czym zapelnic czas w internacie. W gruncie rzeczy dbala o nich tyle, co o zeszloroczny snieg, w tym czasie jednak dotarla do niej prawda, ze obojetnosc moze byc sposobem na unikniecie bolu i ze czesto traktuje sie ja blednie jako przejaw powierzchownosci uczuc.

Lepiej bylo wyobrazac sobie Catherine jako male, siedzace obok ojca w zaglowce dziecko, tak jak zobaczyla ja podczas nadawanego w telewizji apelu pani Martin. Zastanawiala sie, czy mala Catherine starala sie kiedys sprawic przyjemnosc swemu ojcu. Zastanawiala sie, co dzialo sie z Catherine, kiedy przyszli i powiedzieli, ze umarl jej tata, umarl na atak serca w wieku czterdziestu dwu lat. Clarice pewna byla, ze Catherine go brakowalo. Wspolny bol po stracie ojca sprawil, ze poczula wreszcie wiez laczaca ja z ta mloda kobieta.

Stwierdzila, ze musi polubic Catherine Martin, wtedy latwiej jej bedzie sie skoncentrowac.

Domyslila sie, ktory domek nalezy do Catherine: staly przed nim dwa wozy patrolowe drogowki z Tennessee. Na parkingu w poblizu pelno bylo rozsypanego bialego proszku. Biuro sledcze Tennessee musialo sciagac plamy po oleju pumeksem albo innym obojetnym chemicznie preparatem. Crawford twierdzil, ze tutejsze biuro jest na calkiem niezlym poziomie.

Skrecila w kierunku samochodow campingowych i lodzi w wydzielonej czesci parkingu, naprzeciwko domku. Tu wlasnie Buffalo Bill dostal Catherine w swoje rece. Na tyle blisko drzwi wejsciowych, aby wychodzac zostawila je otwarte. Cos sklonilo ja do wyjscia. Musiala to byc jakas niewinnie wygladajaca pulapka.

Clarice wiedziala, ze policja z Memphis dokladnie wypytywala wszystkich sasiadow i ze nikt nic nie widzial. Byc moze wiec uprowadzenie mialo miejsce gdzies miedzy wysokimi samochodami campingowymi. Musial ja stamtad obserwowac, siedzac w jakims pojezdzie. Wiedzial, ze Catherine tu mieszka. Musiala wpasc mu w oko gdzie indziej, a potem zaczal sie tutaj i czekal na odpowiedni moment. Dziewczyn tych rozmiarow co Catherine nie spotyka sie czesto. Bill nie zaczyna sie w przypadkowo wybranych miejscach czekajac, az bedzie obok przechodzic odpowiednio duza kobieta. Moglby tak siedziec calymi dniami i nie doczekac sie nikogo.

Wszystkie ofiary byly duze. Wszystkie. Niektore na dodatek grube. „Zeby miec cos, co by na niego pasowalo". Przeszedl ja dreszcz, kiedy przypomniala sobie slowa doktora Lectera. Doktor Lecter, nowy obywatel Memphis.

Clarice wziala gleboki oddech, wydela policzki i powoli wypuscila z pluc powietrze. Zobaczmy, czego uda nam sie dowiedziec o Catherine.

Drzwi mieszkania otworzyl jej policjant z rezerwy stanowej Tennessee. Mial na glowie kowbojski kapelusz. Kiedy Starling pokazala mu legitymacje, ruchem reki zaprosil ja do srodka.

- Sierzancie, chcialabym rzucic okiem na ten lokal. - Lokal to bylo odpowiednie slowo wobec czlowieka, ktory nie zdejmowal w mieszkaniu nakrycia glowy.

Skinal przyzwalajaco.



- Jesli zadzwoni telefon, prosze nie odbierac. Ja podniosse sluchawke.

Przez otwarte drzwi Clarice dostrzegla stojacy na kuchennym blacie, podlaczony do telefonu magnetofon. Obok staly dwa nowe aparaty. Jeden z nich, pozbawiony tarczy, polaczony byl bezposrednio ze specjalna, lokalizujaca rozmowce centrala w oddziale poludniowym towarzystwa telefonicznego Bella.

- Czy moze w czymś pomóc? - spytal mlody sierzant.

- Policja juz tu skonczyla?

- Mieszkanie oddano w uzytkowanie rodzinie. Ja jestem tutaj wylacznie po to, by odbierac telefon. Moze pani dotykac rzeczy, jesli to chciala pani wiedziec.

- Dobrze, w takim razie troche sie tutaj rozejrze.

- W porzadku. - Mlody policjant rozlozyl gazete, ktora wepchnal przed chwila pod kanape, i rozsiadl sie wygodniej.

Dziewczyna chciala sie skoncentrowac. Wolalaby zostac w mieszkaniu sama, ale wiedziala, ze i tak ma szczescie. Moglo sie tu krecic mnostwo gliniarzy.

Zaczela od kuchni. Gotowanie nie bylo najwyrazniej mocna strona gospodyni. Catherine przyszla tu po prazona kukurydze, tak powiedzial policji jej chlopak. Clarice otworzyla zamrazarke. Staly w niej dwa pudelka z kukurydza do podgrzania w kuchence mikrofalowej. Przez okno w kuchni nie bylo widac parkingu.

- Skad pani jest?

Clarice nie uslyszala pytania.

- Skad pani jest?

Siedzacy na kanapie sierzant spogladal zza gazety.

- Z Waszyngtonu - odpowiedziala.

Otworzyła drzwiczki pod zlewem: no tak, zadrapania na rurze odpływowej, wykrecali syfon i badali jego zawartosc. Plus dla biura sledczego Tennessee. Noze nie byly zbyt ostre. Wewnatrz zmywarki staly nie wyjete czyste talerze. Zawartosc lodowki ograniczala sie do wiejskich serkow i delikatesowych salatek owocowych. Catherine Martin robila zakupy w sklepach z gotowa zywnoscia, najprawdopodobniej w jednym miejscu, w supermarkecie obok. Moze ktos krecil sie w poblizu. To trzeba sprawdzic.

- Jest pani z biura prokuratora generalnego?

- Nie, z FBI.

- Wybiera się tu sam prokurator generalny. Słyszałem, jak mówili. Długo jest pani w FBI?

Spojrzała na młodego policjanta.

- Sierzancie, coś panu powiem. Kiedy już tu skończy, będę prawdopodobnie chciała spytać pana o kilka rzeczy. Być może będzie mi pan wtedy mógł w czymś pomóc.

- Na pewno. Jeśli tylko będę mógł...

- Świetnie. Potem porozmawiamy. Teraz muszę skupić się na tym, co robie.

- Oczywiście, nie ma sprawy.

Sypialnia była jasna, dominowały łagodne, słoneczne kolory, w guscie Clarice Starling. Wyposażenie miało wysoki standard. Z pewnością nie mogła na sobie pozwolić przeciętna młoda dziewczyna. Był tu parawan z laki, dwie ozdobne ceramiki na polkach i solidny sekretarzyk z włoskiego orzecha. Dwa łóżka. Clarice uniosła nieco narzuty. Rolki lewego łóżka były zablokowane, prawego nie. Catherine musi zsuwać je razem, kiedy potrzebuje. Może ma kochankę, o którym nie wie jej chłopak. Albo bywa tu z chłopakiem. Automatyczna sekretarka nie jest podłączona do przenośnego sygnalizatora. Może Catherine musi tu być, kiedy dzwoni mama.

Automatyczna sekretarka była identyczna jak jej, podstawowy model Phone-Mate. Otworzyła pojemnik na kasety. Obie były wyjęte. Na włożonej na ich miejsce kartce widniał napis: TASMYS  
WŁASNOSC BIURA SLEDCZEGO TENN. POZ. 6.

W zasadzie w pokoju panował porządek, ale po jego wyglądzie można było poznać, że został przeszukany, że złożyli w nim wizytę mężczyźni o dużych dłoniach, faceci, którzy zawsze starają się odłożyć rzeczy dokładnie na swoje miejsce i zawsze myśla o ten jeden milimetr. Domysliłaby się, że tu myśleli, nawet gdyby nie pozostawili na każdej gładkiej powierzchni proszku do zdejmowania odcisków palców.

Nie wierzyła, żeby do uprowadzenia doszło w sypialni. Prawdopodobnie Crawford miał rację, wszystko dokonało się na parkingu. Ale Clarice chciała ofiarę lepiej poznać, a to było miejsce, w którym Catherine mieszkała. Mieszkała, poprawiła się natychmiast. Ona tutaj mieszka.

W szafce przy łóżku była książka telefoniczna, pudełko z przyborami kosmetycznymi, z tyłu za pudełkiem aparat fotograficzny Polaroid typ SX-70 z kablem do robienia zdjęć na odległość. Obok krotki składany statyw. Hmm. Clarice przyglądała się z zainteresowaniem aparatowi. Zmrużyła chytrze oczy i na razie go nie dotykała.

Najbardziej interesowała ją szafa. Catherine Baker Martin miała dużo ubrań, niektóre z nich bardzo dobrych firm, wszystkie nosiły znak pralni C-B-M. Clarice rozpoznała po metkach wiele z nich, także „Garfinkel & Britches” z Waszyngtonu. Prezenty od mamusi. Catherine miała porządne ubrania o klasycznym kroju, szyte na dwa rozmiary, jeden 66, drugi 76 kilogramów, jak oceniła w przybliżeniu Clarice. Było kilka obszernych par spodni i pulowerów, kupionych w sklepie dla nietypowych. Na stojakach stały dwadzieścia trzy pary butów, z tego siedem firmy „Fergamos”,

rozmiar 10C. Poza tym było trochę tenisówek. Na górnej polce leżała rakietka tenisowa i mały plecak.

Były to rzeczy należące do uprzywilejowanego dziecka, do studentki i praktykantki, która może sobie pozwolić, by żyć lepiej niż inni.

W sekretarzyku masa listów. Pełen zakretasów, ukosny charakter pisma starych szkolnych kumpi ze Wschodniego Wybrzeża. Znaczkę, nalepki pocztowe. W najniższej szufladzie ozdobny papier do pakowania prezentów, cały stos w różnych kolorach i deseniach. Clarice przebiegła palcami po jego brzegu. Myślała właśnie o tym, żeby przeprowadzić wywiad wśród sprzedawców w supermarkecie, kiedy jej palce natrafiły na arkusz grubszy i sztywniejszy od innych. Wrocila do niego. Była wycwiczona w wykrywaniu wszelkich anomalii. Wyciągnęła do połowy arkusz i przyjrzała mu się dokładniej. Był niebieski, z materiału przypominającego cienką tekturę, wydrukowany na nim desen był niezbyt udanym wizerunkiem psa Pluto z filmów animowanych. Małe figurki przedstawiały Pluta, wszystkie miały przepisowy żółty kolor, ale źle uchwycone były proporcje.

- Catherine, Catherine - pokiwała głową inspektor Starling. Wyciągnęła z torebki szczypczyki i posługując się nimi wsunęła kolorowy arkusz do plastikowej koperty. Na razie położyła ją na łóżku.

Stojąca na komodzie szkatulka na biżuterię z tłoczonej skóry nie różniła się wiele od tych, które można znaleźć w każdej dziewczęcej sypialni. Dwie przednie szufladki i przegrodki na górze nie zawierały nic wartościowego. Clarice zastanawiała się, czy najbardziej wartościowe rzeczy nie były przechowywane przypadkiem w pojemniku na warzywa w lodowce, a jeżeli tak, to kto je stamtąd zabrał.

Wsunęła palec pod górny pojemnik i odblokowała małą, ukrytą z tyłu szufladkę. Była pusta. Zastanawiała się, przed kim mają kryć swoje tajemnice te małe szufladki, bo na pewno nie przed złodziejami. Kiedy wpychała szufladkę z powrotem, dotknęła palcami przymocowanej pod spodem koperty.

Założyła bawełniane rękawiczki i przekreśliła szkatulkę o sto osiemdziesiąt stopni. Wyjęła pustą szufladkę i obróciła ją do góry nogami. Pod spodem przymocowana była taśma samoprzylepna brązowa koperta. Nie była zalepiona. Uniosła ją do nosa i powachała. Nie czuć było środka do zdejmowania odcisków. Wyjęła szczypczykami zawartość. Stanowiło ją pięć polaroidowych zdjęć schowanych do firmowej koperty. Wyjmowała je po kolei. Przedstawiały mężczyzn i kobiety podczas stosunku. Nie było widać twarzy. Dwa zdjęcia zrobione zostały przez kobiety, dwa przez mężczyzn, jedno najwyraźniej ze statywu postawionego na nocnej szafce.

Trudno było ocenić na fotografii rozmiary, ale te spektakularne 70 kilogramów żywej wagi musiało należeć do Catherine Martin. Mężczyzna miał na penisie coś, co wyglądało na wycięty z kości słoniowej krążek. Ostrość nie była dość dobra, żeby można było dostrzec szczegóły. Mężczyzna miał bliznę po wyciętym wyrostku robaczkowym. Starling włożyła fotografie do osobnych torebek i wsadziła wszystko do własnej brązowej koperty. Umieściła z powrotem szufladkę w szkatulce.

- W torebce mam brzo - odezwał się głos z tyłu. - Mam nadzieję, że nic stąd nie zginie.

Clarice spojrzala w lustro. W drzwiach sypialni stala senator Ruth Martin. Sprawiala wrazenie wyczerpanej.

Starling obrocila sie do niej.

- Dzień dobry, pani senator. Czy nie zechcialaby pani spoczac? Prawie skonczylam.

Nawet wyczerpana, senator Martin miala diablo duzo do powiedzenia. Pod pozorami zewnetrznej oglady dziewczyna dostrzegla osobe, ktorej zywolem jest walka.

- Kim pani jest, jesli laska? Sadzilam, ze policja juz sie stad wyniosla.

- Jestem Clarice Starling, z FBI. Czy rozmawiala pani z doktorem Lecterem, pani senator?

- Podal mi nazwisko - zapalila papierosa, mierzac policjantke od stop do glow. - Zobaczymy, ile jest warte. A co znalazla pani w szkatulce, panno Starling? Ile to jest warte?

- Znalazlam pewne dane, ktore mozemy sprawdzic w ciagu kilku minut. - Byla to najlepsza odpowiedz, na jaka zaskoczona dziewczyna mogla sie zdobyć.

- W szkatulce na bizuterie mojej corki? Chce to zobaczyc. Clarice uslyszala glosy w sasiednim pokoju i miala nadzieje, ze ktos im przeszkodzi.

- Czy jest z pania pan Copley, agent specjalny z biura w Memphis...

- Nie, nie ma go tutaj i to nie jest odpowiedz na moje pytanie. Bez obrazu, panno Starling, ale chce zobaczyc, co zabrala pani ze szkatulki mojej corki. - Obrocila glowe i zawolala przez ramie: - Paul! Paul, czy moglbys tu zajrzec? Panno Starling, moze zna pani pana Krendlera z Departamentu Sprawiedliwosci? Paul, to jest ta dziewczyna, ktora Jack Crawford wyslal do Lectera.

Krendler mial wygolona lysa czaszke i dobrze sie trzymal jak na swoje czterdziestci lat.

- Panie Krendler, znam pana ze slyszania. Dzień dobry - odezwala sie Clarice. Dyrektor generalny dzialu kryminalnego w biurze do spraw lacznosci z Kongresem, facet znany z tego, ze szuka dziury w calym, poza tym jest, zdaje sie, jednym z zastepcow prokuratora generalnego. Jezu, ratuj.

- Panna Starling znalazla cos w szkatulce na bizuterie mojej corki i wlozyla to do tej brazowej koperty. Uwazam, ze powinnismy zobaczyc, co w niej jest, nie sadzisz?

- Panno Starling - powiedzial Krendler.

- Czy moglabym z panem porozmawiac na osobnosci, panie Krendler?

- Oczywiscie, moze pani. Pozniej. - Wyciagnal reke.

Dziewczyna oblala sie rumiencem. Wiedziala, ze pani Martin nie odpowiada za siebie. Krendlerowi jednak nigdy nie wybaczy posadzenia, jakie malowalo sie na jego twarzy. Nigdy.

- Proszę - powiedziała podając mu kopertę.

Krendler rzucił okiem na pierwsze zdjęcie i zamknął kopertę. Ruth Martin wyjęła mu ją z rąk.

Przykro było na nią patrzeć, kiedy oglądała te fotografie. Podeszła potem do okna i stała z twarzą podniesioną ku zachmurzonemu niebu, z zamkniętymi powiekami. W świetle dnia wyglądała o wiele starszej, ręce jej się trzęsły, kiedy usiłowała zapalić papierosa.

- Pani senator, ja... - zaczął Krendler.

- Policja przeszukała ten pokój - odezwiała się. - Pewna jestem, że znaleźli te zdjęcia i mieli dość przyzwoitości, żeby włożyć je tam, skąd wzięli, nie mówiąc nic nikomu.

- Nie, nie znaleźli ich - odrzekła Clarice. Ta kobieta cierpiała, ale trudno. - Pani senator, musimy dowiedzieć się, kim jest ten mężczyzna, chyba pani to rozumie. Jeśli to jej chłopak, w porządku. Mogę to ustalić w ciągu pięciu minut. Nikt inny nie powinien oglądać tych zdjęć, a Catherine nie musi o niczym wiedzieć.

- O to właśnie mi chodzi. - Senator Martin włożyła kopertę do torebki. Krendler nie zamierzał jej w tym przeszkodzić.

- Pani senator, czy to pani zabrała biżuterię z pojemnika na warzywa w kuchni? - spytała Clarice.

Asystent pani Martin, Brian Gossage, wsadził głowę przez drzwi.

- Przepraszam, ale właśnie podłączyli terminal komputerowy. Możemy popatrzeć, jak szukają Williama Rubina w kartotece FBI.

- Niech pani idzie - odezwał się Krendler. - Przyjść do pani za chwilę.

Ruth Martin wyszła z pokoju nie odpowiadając na zadane przez Clarice pytanie.

Kiedy Krendler zamykał drzwi sypialni, dziewczyna miała sposobność bliżej mu się przyjrzeć. Miał skrojony do figury garnitur, pod spodem zadnej broni. Od chodzenia po puszystych dywanach straciła połysk dolną część jego grubych obcasów.

Stał przez chwilę z ręką na klamce i opuszczoną głową.

- To było dobre przeszukanie - powiedział obracając się ku niej. Zdecydowana była nie dać się zbyć byle czym. Spojrzała mu prosto w oczy.

- Robią z was dobrych szperaczy, tam, w Quantico - mówił dalej Krendler.

- Nie robią z nas złodziei.

- Wiem o tym - powiedział.

- Trudno sie bylo tego domyslic.

- Dajmy temu spokoj.

- Czy pojedziemy sladem zdjec i pojemnika na warzywa, panie Krendler?

- Tak.

- Co to za nazwisko „William Rubin”?

- Lecter powiedzial, ze tak sie nazywa Buffalo Bill. Mamy stad lacznosc z sekcja identyfikacyjna FBI i krajowym biurem informacji kryminalnej. Niech pani spojrz na to. - Dal jej zapis rozmowy Ruth Martin z Lecterem, niewyrazna kopie z drukarki.

- Co pani o tym sadzi? - spytal, kiedy skonczyla czytac.

- Nie ma tu nic, za co moglby potem odpowiadac - stwierdzila. - Powiedzial, ze to bialy mezczyzna o nazwisku Billy Rubin, ktory chorowal kiedys na waglik afrykanski. Nie sposob zarzucic mu klamstwa, niezaleznie od tego, co sie wydarzy. W najgorszym wypadku powie, ze sie pomylil. Mam nadzieje, ze powiedzial prawde. Ale calkiem mozliwe jest, ze on robi sobie z niej kpiny. Jest do tego absolutnie zdolny. Czy kiedykolwiek sie pan z nim... zetknal, panie Krendler?

Krendler potrzasnal glowa i wypuscil glosno nosem powietrze.

- Doktor Lecter zamordowal dziewiec osob, o ktorych nam wiadomo. Nie wyjdzie na wolnosc, chocby nawet udalo mu sie kogos wskresic z martwych. Jedyne, co mu pozostalo, to zabawa. Dlatego wlasnie gralismy z nim w...

- Wiem, w co z nim graliscie. Sluchalem tasmy Chiltona. Nie twierdze, ze to bylo cos zlego... twierdze, ze ta gra jest skonczona. Sekcja Behawioralna moze pojsc tropem tego, co udalo sie pani uzyskac, calej tej opowiesci o transseksualistach, jesli to w ogole cos warte. A pani od jutra zajmie sie z powrotem nauka.

O, do licha.

- Znalazlam cos jeszcze.

Nie zauwazony przez nikogo arkusz kolorowego papieru lezal dalej na lozku. Podala mu go.

- Co to jest?

- Wyglada jak zwykly, ozdobny papier. - Chciala, zeby pytal dalej.

Machnal reka ze zniecierpliwieniem.

- Jestem calkowicie pewna, ze to sprasowany kwas. LSD. Z polowy lat siedemdziesiatych albo jeszcze starszy. Dzisiaj to ciekawostka. Warto sprawdzic, skad to dostala. Powinnismy

przeprowadzić test, żeby mieć stuprocentową pewność.

- Może to pani zabrać do Waszyngtonu i oddać do laboratorium. Samochód odjeżdża stąd za parę minut.

- Jeśli to pilne, możemy zrobić to zaraz, za pomocą zestawu polowego. Jeśli policja ma standardowy zestaw do wykrywania narkotyków, trzeba użyć testu J. W ciągu dwóch sekund możemy...

- Proszę wracać do Waszyngtonu i na uczelnię - powiedział otwierając drzwi.

- Pan Crawford polecił mi...

- Obowiązują teraz moje polecenia. Nie podlega już pani Jackowi Crawfordowi. Od tej chwili podlega pani regulaminowi Akademii, jak każda inna studentka, i powinna jak najszybciej znaleźć się w szkole, jasne? Odłot dziesięć po drugiej. Proszę się postarać nie spóźnić na samolot.

- Pani Krendler, doktor Lecter rozmawiał ze mną, kiedy odmówił złożenia zeznań policji w Baltimore. Może będzie chciał zrobić to ponownie. Pan Crawford uważa...

Krendler zamknął z powrotem drzwi, głośniejszy, niż to było konieczne.

- Panno Starling, nie muszę pani wyjaśniać powodów moich decyzji, ale niech pani lepiej posłucha. Rola Sekcji Behawioralnej jest czysto doradcza, zawsze taka była. I znowu będzie taka. Jack Crawford powinien przebywać na urlopie okolicznościowym. Dziwicie się, że w ogóle radzi sobie z tym wszystkim, tak jak sobie radzi. Miał głupi pomysł, żeby utrzymać tę sprawę w tajemnicy przed senatorem Martinem i dostanie za to po głowie. Wziawszy pod uwagę jego zapis służby i to, że niedługo i tak odchodzi, nawet ona nie będzie mu w stanie bardzo zaszkodzić. Więc nie martwiłbym się tak bardzo o jego emeryturę na pani miejscu.

Clarice nie do końca się w tym polapała.

- Czy ma pan kogoś innego, kto ujalby trzech wielokrotnych morderców? Czy ma pan kogoś, kto ujalby chociaż jednego? Nie powinien pan prowadzić tej sprawy pod jej dyktando, pani Krendler.

- Musisz być inteligentnym dzieckiem, inaczej Crawford nie zawracalby sobie toba głowy, więc powiem ci jedno: zrób coś ze swoją niewyparzoną buzią albo do końca życia będziesz siedzieć na hali maszyn. Czy ty tego nie rozumiesz? Za pierwszym razem zostałaś wysłana do Lectera wyłącznie po to, żeby uzyskać dla swojego dyrektora informacje, które mogłyby wykorzystać w Kapitolu. Nieszkodliwy materiał na temat przestępczości, poufne dane na temat doktora Lectera. Ma pełno takich rzeczy w zanadrzu, wyjmując je z kieszeni jak cukierki, kiedy na porządku dnia staje sprawa zatwierdzenia budżetu. Kongresmani jedzą mu z ręki, to jest ich chleb powszedni. Nie jest pani na bieżąco, panno Starling, i nie zajmuje się pani dłużej tą sprawą. Wiem, że ma pani tymczasową legitymację FBI. Proszę mi ją oddać.

- Bez legitymacji nie wpuszczają mnie do samolotu z pistoletem. Bron jest własnością Akademii.

- Jezus Maria, pistolet. Niech pani zwroci legitymacje natychmiast po powrocie.

Ruth Martin, Gossage, technik i kilku policjantow otoczyli terminal komputerowy podlaczony do telefonicznego modemu. Komputer krajowego biura informacji kryminalnej podawal na biezaco, co dzieje sie z informacjami przekazanymi przez doktora Lectera. Nadeszly wlasnie wiadomosci z krajowego osrodka kontroli medycznej w Atlancie. Zarazic sie waglikiem afrykanskim mozna wskutek wdychania pylu, ktory powstaje przy obrobce kosci sloniowej, najczesciej przy wytwarzaniu ozdobnych rekojesci. W Stanach Zjednoczonych jest to choroba zawodowa szlifierzy nozy.

Przy slowach „szlifierze nozy” senator Martin przymknela oczy. Powieki miala gorace i suche. Zmiela w dloni papierowa serwetke.

Mlody sierzant, ktory wpuscil Clarice do mieszkania, niosl dla pani senator filizanke kawy. Wciaz mial na glowie kapelusz.

Clarice Starling nie bylaby soba, gdyby wyniosla sie po angielsku. Wychodzac zatrzymala sie przed Ruth Martin.

- Zycze powodzenia, pani senator. Mam nadzieje, ze Catherine nic sie nie stanie.

Senator nie patrzac na nia kiwnela glowa, Krendler ponaglal dziewczyne do wyjścia.

- Nie wiedzialem, ze nie wolno bylo jej tutaj wchodzic - odezwal sie mlody sierzant, kiedy za Clarice zamknely sie drzwi. Krendler wyszedl wraz z nia.

- Zywie do Jacka Crawforda jak najwiekszy szacunek - oznajmil. - Prosze powiedziec mu, jak przykro nam z powodu... klopotow, jakie ma z Bella, i calej reszty. A teraz niech pani wraca do Akademii i zajmie sie czymś innym, dobrze?

- Do widzenia, panie Krendler.

Zostala sama na parkingu z niejasnym poczuciem, ze nie rozumie nic ze spraw, ktore toczą sie na tym swiecie.

Patrzyla na przechadzajacego sie pod samochodami i motorowkami golebia. Dziobnal skorupe wloskiego orzecha i rzucil ja z powrotem na asfalt. Mokry wiatr nastroszyl mu piora.

Clarice chcialaby porozmawiac teraz z Crawfordem. Najbardziej wyprowadzaja z rownowagi glupota i zmarnowane starania, powiedzial. Wykorzystaj ten moment, naucz sie czegos. To najtrudniejszy test - nie mozesz pozwolic, zeby wscieklosc i frustracja zablokowaly w tobie zdolnosc jasnego myslenia. Od tego zalezy, czy kiedykolwiek bedziesz mogla kierowac akcja.

Bylo jej absolutnie obojetne, czy kiedykolwiek bedzie mogla kierowac akcja. Doszla do wniosku, ze ma gdzies to, czy bedzie kiedykolwiek nosic tytul Agenta Specjalnego. Agent Specjalny Starling. Nigdy, jesli ma sie to odbywac takim kosztem.

Pomyslala o biednej, grubej, zalosnej, martwej dziewczynie, ktora widziala na stole w domu



pogrzebowym w Potter, w Wirginii Zachodniej. Malowała paznokcie na czerwono, na ten sam kolor, na który ci zasrancy o byczych karkach pacykują swoje cholerne motorowki.

Jak miała na imię? Kimberly.

Niech mnie szlag, jeśli tym dupkom uda się doprowadzić mnie do placzu.

Jeżu, ile się namnożyło tych Kimberly, tylko w jej klasie było ich cztery. Trzech chłopaków miało na imię Sean. Kimberly, ze swym imieniem z telewizyjnych seriali, próbowała o siebie zadbać, nawet przeklula sobie uszy, chciała być ładna, chciała się podobać. A Buffalo Bill spojrzal na jej zalosny, płaski biust, przystawił do niego lufę pistoletu i na piersiach wykwitła jej rozgwiazda.

Kimberly, jej smutna, gruba siostra smarująca sobie kremem nogi. Nic dziwnego: sadzać po jej twarzy, ramionach i nogach, skóra była tym, co miała najlepszego. Kimberly, czy nie jesteś zła, gdziekolwiek jesteś? Nie szukała cie żadna senator. Żaden odrzutowiec nie woził z miejsca na miejsce szalenców, żeby cie ratować. Szalency, to nie było słowo, którego by się ktos po Clarice spodziewał. Mnóstwa rzeczy się po niej nikt nie spodziewał. Szalency.

Spojrzała na zegarek. Do odlotu samolotu miała jeszcze półtorej godziny i była pewna drobna rzecz, która mogła w tym czasie zrobić. Pragnęła spojrzeć w twarz doktorowi Lecterowi w chwili, gdy ten wymówi nazwisko „Billy Rubin”. Jeśli zdola wytrzymać wystarczająco długo spojrzenie piwnych oczu, jeśli spojrzy głęboko tam, gdzie gubią się w ciemności iskry, może dostrzec coś naprawdę ważnego. Sądziła, że może dostrzec tam ślad kpiny.

Dzięki Bogu, wciąż mam przy sobie legitymacje.

Wyjeżdżając z piskiem opon z parkingu, zostawiła za sobą czterometrowe smugi gumy.

## ROZDZIAŁ 35

Clarice Starling nie zdejmując nogi z gazu pedziła przez zatłoczone ulice Memphis. Na policzkach zaschły jej dwie lzy gniewu. Czuliła się teraz dziwnie wolna, pozostawiona samej sobie. Nienaturalna jasność, z jaką teraz wszystko widziała, mówiła jej, że czeka ją walka. Musiała być ostrożna.

Minęła stary budynek sądu już wcześniej, w drodze z lotniska, teraz odnalazła go bez trudu.

Władze Tennessee nie chciały kusić losu. Zdecydowane były trzymać Hannibala Lectera w absolutnie bezpiecznym miejscu, a za takie w żadnym wypadku nie można było uznać miejskiego więzienia.

Właściwym rozwiązaniem okazał się dawny budynek sądu i więzienia, okazały neogotycki gmach zbudowany z granitu w czasach, gdy łatwo było jeszcze o siłę roboczą. Obecnie, pieczołowicie odrestaurowany, mieścił władze tego zamoznego i zapatrzzonego w swoją historię

miasta.

Tego dnia przypominał średniowieczną, obleżoną przez policję twierdzę.

Parking zastawiony był prawdziwą policyjną mieszanką: były tu patrole z drogowki, samochody z okręgowego biura szeryfa z Shelby, z biura śledczego Tennessee i z departamentu zakładów karnych. Posterunkowi sprawdzili dziewczynę prowadzącą wynajęty samochód, zanim jeszcze udało jej się znaleźć miejsce na parkingu.

Dodatkowe problemy wiązały się z koniecznością zapewnienia doktorowi Lecterowi bezpieczeństwa przed tłumem. Od momentu kiedy w porannych wiadomościach podano miejsce jego pobytu, odbierane były telefony z pogrozkami; przyjaciele i krewni wielu jego ofiar marzyli o tym, by dostać go w swoje ręce.

Clarice miała nadzieję, że nie ma w pobliżu miejscowego agenta FBI, Copleya. Nie chciała narobić mu kłopotów.

Na trawniku, przed prowadzącymi do głównego wejścia schodami, dostrzegła otoczony wianuszkami reporterów tył głowy Chiltona. W tłumie były dwie telewizyjne minikamery. Clarice załowała, że nie ma jakiegoś nakrycia głowy. Zbliżając się do wejścia odwróciła twarz w drugą stronę.

Przed wejściem do głównego hallu skontrolował ją stojący przy drzwiach funkcjonariusz policji stanowej. Hali wyglądał teraz jak jedna wielka wartownia. Przy jedynej funkcjonującej w budynku windzie stał miejski policjant, drugi trzymał straż przy schodach. Ludzie z rezerwy stanowej, zmiennicy tych, którzy aktualnie pełnili wartę na zewnątrz budynku, zaszyli się w miejscu, gdzie nie mogli ich dostrzec gapie i siedząc na kanapach czytali gazety.

Za biurkiem naprzeciwko windy siedział sierżant. Na jego karcie identyfikacyjnej widniało nazwisko TATE, C.L.

- Żadnej prasy - odezwał się na widok Starling.

- Żadnej - zgodziła się.

- Przyjechała pani razem z prokuratorem generalnym? - spytał, kiedy pokazała mu legitymację.

- Zastępcą prokuratora generalnego, Krendlerem - odpowiedziała. - Właśnie od niego ide.

Kiwnął głową.

- Mielismy tu wszystkich gliniarzy z zachodniego Tennessee. Każdy chciał rzucić okiem na doktora Lectera. Nie widuje się kogoś takiego zbyt często, chwala Bogu. Zanim pojedzie pani na górę, będzie pani musiała porozmawiać z doktorem Chiltonem.

- Widziałam się z nim przed chwilą na zewnątrz - odpowiedziała. - Dzisiaj rano zajmowaliśmy się tą sprawą w Baltimore. Czy to tu mam się wpisać, sierżancie Tate?

Przez krotka chwile sierżant badał językiem swój trzonowy zab.

- Dokładnie tutaj - powiedział. - Taki jest regulamin służby wieziennej, proszę pani. Odwiedzający oddają broń, niezależnie, czy są gliniarzami, czy nie.

Clarice kiwnęła głową. Wyjęła naboje z rewolweru, sierżant z przyjemnością patrzył, jak sprawnie obchodzi się z bronią. Podalała mu rewolwer rekojescią do przodu. Zamknął go na klucz w szufladzie.

- Zabierz ją na górę, Vernon. - Wykrecił trzycyfrowy numer i podał jej nazwisko przez telefon.

Zainstalowana w latach dwudziestych winda zawiozła ich zgrzytając na najwyższe piętro. Drzwi otwierały się na podest schodów, dalej zaczynał się krotki korytarz.

- Prosto przed siebie, proszę pani - powiedział funkcjonariusz.

Na matowej szybie drzwi widniał napis: TOWARZYSTWO HISTORYCZNE OKREGU SHELBY.

Prawie całe najwyższe piętro wieży ratusza zajmowała jedna pomalowana na biało osmiokątna sala wyłożona debową klepką. Debowe były również boazerie. Czuło się woskiem i pastą do podłóg. Rozległy pokój z nielicznymi sprzętami sprawiał wrażenie wnętrza świątyni. Wyglądał teraz lepiej niżeli w czasach, gdy służył jako biuro miejscowemu szeryfowi.

Służbę pełnili tutaj dwaj funkcjonariusze w mundurach zarządu zakładów karnych stanu Tennessee. Kiedy Clarice weszła, mniejszy z nich powstał zza biurka. Większy siedział na składanym krześle przy drzwiach celi, w odległym rogu pokoju. Do jego obowiązków należało pilnowanie, żeby więzien nie popełnił samobójstwa.

- Ma pani pozwolenie na rozmowę z więźniem? - zapytał facet przy biurku. Na jego karcie identyfikacyjnej widniało nazwisko PEMBRY, T.W., wyposażenie biurka stanowił telefon, dwie długie palki i pistolet gazowy. W kacie stał długi przyrząd do przyszpilania więźnia do ściany.

- Tak, mam - odpowiedziała - przesłuchiwałam go już wcześniej.

- Zna pani zasady. Nie wolno przekraczać bariery. Pod żadnym pozorem.

Jedynym kolorowym przedmiotem w całym pomieszczeniu była policyjna bariera do blokowania ruchu, pomalowana w jaskrawe pomarańczowe i żółte pasy. Przymocowane były do niej okrągłe żółte światła pulsacyjne, teraz wylaczone. Bariera ustawiona była na wyfroterowanej podłodze półtora metra przed celą. Obok, na wieszaku, wisiały rzeczy doktora: maska bramkarza hokejowego i cos, czego Clarice nigdy dotąd nie widziała, specjalna kamizelka, która w stanie Kansas zakłada się skazanym na szubienice. Zrobiona z grubej skóry, zaopatrzona w podwójne pasy krepujące ręce przy talii oraz sprzeczki na plecach, mogła zostać śmiało uznana za najbardziej niezawodny kaftan bezpieczeństwa na świecie. Maskę i zawieszoną na sztywnej obroży czarna kamizelka tworzyły na tle białej ściany niesamowitą kompozycję.

Kiedy zbliżyła się do celi, spostrzegła doktora Lectera, który czytał coś przy małym stoliku przysrubowanym do podłogi. Plecami obrocony był do drzwi. Miał kilka książek i kopie bieżącej dokumentacji sprawy Buffalo Billa, która dała mu w Baltimore. Do nogi stolika przymocowany był lancuchem mały magnetofon. Dziwnie się czuła, widząc Lectera poza szpitalem.

Clarice oglądała już podobne do tej celi niegdys, w dzieciństwie. Składane były z prefabrykatów wytwarzanych przez pewną firmę w St Louis na przełomie stuleci i nikt od tego czasu nie zbudował nic lepszego: moduły z hartowanej stali, dzięki którym można było zamienić w celi każde pomieszczenie. Ułożony na pretach arkusz blachy stanowił podłogę, ściany i sufit sporządzone były z kątów na zimno pretów przylegających do ścian sali. Nie było żadnego okna. Cella była całkowicie biała i jasno oświetlona. Przy toalecie stał cienki papierowy parawan.

Białe prety niczym zebra podtrzymujące ściany. Lśniące, ciemne włosy doktora Lectera.

Otrzasnęła się.

- Dzień dobry, Clarice - powiedział nie odwracając się. Skończył stronę, zaznaczył miejsce i przekreślił się na krześle, żeby spojrzeć jej w twarz. Zatopił podbródek w spoczywającym na oparciu krzesła przedramieniu. - Dumas twierdzi, że smak i kolor bulionu znakomicie się poprawiają, kiedy dodać do niego na jesieni kawałek wroniego mięsa. Jesienią wrony odżywiają się jagodami jałowca i robią się tłuste. Jak smakowałby ci w zupie kawałek wrony, Clarice?

- Pomyślałam, że może pan chce odzyskać swoje rysunki z celi, zanim zapewnią panu odpowiedni widok.

- Jakże to uprzejme z twojej strony. Doktor Chilton wprost nie może się nacieszyć, że ty i Jack Crawford zostaliście odsunięci od sprawy. Czy przysłali cię, abys po raz ostatni spróbowała coś ode mnie wyludzić?

Funkcjonariusz obserwujący więźnia oddalił się, żeby porozmawiać ze swym siedzącym za biurkiem kolegą.

- Nikt mnie nie wysłał, przyszedłam sama.

- Ludzie powiedzą, że jesteśmy w sobie zakochani. Czy chcesz zapytać o Billy'ego Rubina, Clarice?

- Doktorze Lecter, nie podważając absolutnie tego, co pan powiedział senator Martin, czy nadal radzi mi pan iść śladem, który...

- Nie podważając... a to dobre. Nic ci nie zamierzam radzić. Próbowalas wystrychnąć mnie na dudka, Clarice. Czy sadzisz, że robie sobie żarty z wszystkich tych ludzi?

- Sadzę, że powiedział mi pan prawdę.

- Co za szkoda, że starałaś się mnie oszukać, nieprawdaz? - Doktor Lecter zasłonił twarz ramieniem, widac było tylko jego oczy. - Co za szkoda, że Catherine Martin nie ujrzy już nigdy

promieni słońca. Słońce jest ognistym posłaniem, w którym umarł jej Bog, Clarice.

- Co za szkoda, że musi pan teraz grać komedie i ronić krokodyły - powiedziała Starling. - Co za szkoda, że nie udało nam się skończyć naszej rozmowy. Panska idea imago, jego struktury, miała w sobie pewien rodzaj... elegancji, która trudno zapomnieć. Teraz wszystko legło w gruzach, stoi tylko połowka luku.

- Połowka luku nie może stać, zaraz się zawali. Skoro o lukach mowa, czy wciąż jeszcze pozwalają ci strugać wazniaka, Clarice? Nie zabrali ci twojej policyjnej odznaki?

- Nie.

- A co tam masz pod kurtką, taki sam zegar jak tatusia?

- Nie, to magazynek.

- Więc chodzisz uzbrojona?

- Tak.

- W takim razie powinnas poszerzyć kurtkę. Potrafisz szyc?

- Tak.

- Sama sobie zrobiłaś ten kostium?

- Nie. Doktorze Lecter, pan zawsze musi wszystko wiedzieć. Nie mógł pan odbyć sesji z tym „Billym Rubinem”, mając o nim tak niewiele informacji.

- Sądziś, że nie mogłem?

- Jeśli rzeczywiście z nim się pan spotkał, wie pan o nim wszystko. Ale dzisiaj twierdzi pan, że zapamiętał pan tylko jeden szczegół. Chorował na węglik afrykański. Powinien pan zobaczyć, jak podskoczyli do góry, kiedy osrodek w Atlancie oznajmił, że to choroba szlifierzy noży. Gładko to przelknęli, dokładnie tak, jak pan przewidywał. Powinien pan za to dostać apartament w Hiltonie. Jeśli go pan spotkał, doktorze, zna go pan bardzo dobrze. Sądzę, że najprawdopodobniej nie widział go pan na oczy, opowiadał panu o nim tylko Raspail. Towaru z drugiej ręki nie udało się tak dobrze sprzedać senatorowi Martin, prawda?

Clarice szybko obejrzała się przez ramię. Jeden ze strażników pokazywał coś drugiemu w „Guns & Ammo”, ilustrowanym magazynie strzeleckim.

- Miał mi pan jeszcze coś do powiedzenia w Baltimore, doktorze. Wierzę, że to było coś ważnego. Niech pan powie całą resztę.

- Przeczytałem akta sprawy, Clarice, ty chyba także? Jest tam wszystko, czego potrzebujesz, żeby go namierzyć, jeśli tylko będziesz uważnie czytać. Nawet Inspektor Emeritus Crawford

powinien wyciągnąć właściwe wnioski. Swoją drogą, czytałaś może oglupiającą mowę, którą wygłosił w zeszłym roku w Krajowej Akademii Policyjnej? Cytował bez opamiętania Marka Aureliusza, bredził o honorze, poczuciu obowiązku i harcie ducha... zobaczymy, jaki z niego stoik, kiedy Bella uderzy w kalendarz. Myślę, że swoją filozofię zaczerpnął chyba z Bartlett's Familiar. Gdyby naprawdę rozumiał Marka Aureliusza, potrafiłby rozwiązać tę sprawę.

- Proszę mi powiedzieć jak?

- Kiedy zauważam u ciebie przypadkowe przebłyski inteligencji, zapominam, Clarice, że twoje pokolenie straciło zdolność czytania. Cesarz zaleca prostotę. Podstawowe zasady. O każdą poszczególną rzecz zapytaj: czym jest sama w sobie, jaka jest jej istota? Jaka jest jej pierwsza przyczyna?

- To mi nic nie mówi.

- Co on robi, ten człowiek, którego chcesz złapać?

- Zabija...

- Och - przerwał jej ostro i odwrócił na chwilę oczy, zrażony jej uporem. - To sprawa drugorzędna. Co jest w tym, co on robi, najważniejsze, jaka potrzeba zaspokaja przez zabijanie?

- Gniew, resentymenty społeczne, frustracja seksualna...

- Nie.

- Więc co, w takim razie?

- On pozada. Konkretnie rzecz biorąc, pozada dokładnie tego, czym ty jesteś. Pozadanie leży w jego naturze. W jaki sposób zaczynamy pozadać, Clarice? Czy tego, co budzi nasze pozadanie, szukamy gdzieś daleko od siebie? Postaraj się dobrze przemyśleć odpowiedź.

- Nie. Po prostu...

- Nie. Dokładnie tak. Pozadanie zaczyna się od tego, co widzimy wokół siebie na co dzień. Czy nie czujesz oczu, które obmacują cię każdego dnia podczas przypadkowych spotkań, Clarice? Nie wyobrażam sobie, żebyś nie była ich świadoma. A ty sama, nie wodziś oczyma po różnych przedmiotach?

- W porządku, niech pan powie zatem...

- Teraz twoja kolej, Clarice, żeby mi coś powiedzieć. Nie możesz już zaoferować żadnych cudownych wakacji na piaszczystej plaży w ośrodku leczenia pysków i racic. Od tego momentu obowiązuje nas ścisła wymiana: coś za coś. Muszę być z tobą ostrożny w interesach. Opowiadaj, Clarice.

- O czym mam opowiadać?

- O dwóch rzeczach, które jesteś mi winna od poprzedniego razu. Po pierwsze, co stało się z tobą i z koniem, po drugie, jak radzisz sobie ze swoim gniewem?

- Kiedy będzie trochę więcej czasu, doktorze, opowiem panu...

- Czas nie biegnie dla nas tym samym rytmem, Clarice. To jedyna chwila, jaka ci jeszcze została.

- Później, niech pan posłucha...

- To ty mnie posłuchaj. Dwa lata po śmierci twojego ojca matka wysłała cię do swojej kuzynki i jej męża, na farmę w Montanie. Miałaś wtedy dziesięć lat. Odkryłaś, że na farmie odkarmia się przeznaczone na ubój konie. Uciekłaś z klaczą, która nie odznaczała się zbyt dobrym wzrokiem. Co dalej?

- Było lato i mogliśmy spać na dworze. Dostaliśmy się boczną drogą aż do Bozeman.

- Czy klacz jakos się nazywała?

- Na pewno, ale oni... nie sposób dowiedzieć się imienia konia, którego odkarmia się na takiej farmie. Nazwałam ją Hannah, wydawało mi się to dla niej odpowiednie imię.

- Jechałaś na niej, czy prowadziłaś?

- Trochę tak, trochę tak. Musiałam podprowadzić ją do plotu, żeby go przeskoczyła.

- Częściowo na piechotę, częściowo na koniu dotarłaś do Bozeman.

- Na peryferiach miasta była tam wypożyczalnia koni razem ze szkołą jeździecką. Próbowałam ich przekonać, żeby ją u siebie zatrzymali. Oplata wynosiła dwadzieścia dolarów tygodniowo, jeśli koni przebywał na wybiegu. W boksie, wewnątrz stajni, więcej. Od razu zorientowali się, że nie widzi. Dobrze, powiedziałam, będę ją oprowadzała. Można posadzić na niej małe dzieci, a ja będę ją z nimi oprowadzała, w czasie gdy rodzice będą brali regularne lekcje jazdy. Mogę tu zostać i wyrzucać nawóz z boksów. Mężczyzna, z którym rozmawiałam, godził się na wszystko. W tym czasie jego żona zadzwoniła do szeryfa.

- Szeryf był policjantem, tak jak twój ojciec.

- Nie spowodowało to jednak, żebym się go nie bała, przynajmniej z początku. Miał wielką, czerwoną twarz. W końcu, kiedy „rozwikłał całą sprawę”, wyłożył dwadzieścia dolarów na tygodniowy pobyt Hannah na wybiegu. Powiedział, że nie ma sensu umieszczać jej w boksie, kiedy jest tak ciepło. Wszystko zostało załatwione oficjalnie. Było niezłe zamieszanie. Kuzynka mojej matki zgodziła się, żebym od niej odeszła. Wylądowałam w domu luteranskim w Bozeman.

- Czy to był sierociniec?

- Tak.

- A Hannah?

- Poszła tam razem ze mną. W sierocincu mieli stodołę. Jakiś farmer, luteranin, przywiozł trochę siana. Oralismy z nią ogrodnik. Szkoda, że pan nie widział, jak się poruszała. Wywracała fasolowe tyczki, deptała po wszystkich roślinach, które były zbyt małe, żeby mogła je wyczuć nogami. Poza tym zaprzęgalismy ją do wozka z dziećmi.

- W końcu jednak zdechła.

- No tak.

- Opowiedz mi o tym.

- To było w zeszłym roku, napisali mi o tym do uczelni. Ich zdaniem dożyła dwudziestu dwóch lat. Ostatniego dnia jak zwykle ciągnęła wózek pełen dzieciaków. Umarła we śnie.

Doktor Lecter wydawał się rozczarowany.

- Jakże wzruszające - oznajmił. - Czy twój opiekun w Montanie spolkował z tobą, Clarice?

- Nie.

- A próbował?

- Nie.

- Co skłoniło cię do ucieczki razem z klaczą?

- Mieli zamiar ją zabić.

- Czy wiedziałas, kiedy to ma się stać?

- Dokładnie nie. Balam się tego cały czas. Szybko przybierała na wadze.

- W takim razie, co konkretnie cię skłoniło do ucieczki? Dlaczego zrobiłaś to akurat tego dnia?

- Nie wiem.

- Sądzi, że wiesz.

- Cały czas się tego balam.

- Co było bezpośrednim powodem? O której godzinie wstałaś?

- Wczesnie rano. Było jeszcze ciemno.

- A więc coś cię obudziło. Co? Coś ci się sniło? Co to było?



- Obudziłam się i usłyszałam krzyk owiec. Obudziłam się w ciemności i gdzieś obok przeraźliwie beczwały owce.

- To był czas wiosennego zarzynania owiec?

- Tak.

- Co zrobiłaś?

- Nie mogłam nic dla nich zrobić. Byłam tylko...

- Co zrobiłaś z koniem?

- Ubrałam się nie zapalając światła i wyszłam na dwór. Wszystkie konie w zagrodzie były przestraszone i dreptały w miejscu. Dmuchałam jej w nos i poznała, że to ja. W końcu włożyła mi pysk w dłoń. W stodole i w szopie obok wybiegu dla owiec paliły się światła. Gole zarówki rzucały wielkie cienie. Podjechał samochód chłodnia i stał nie gasząc silnika. Wyprowadziłam ją z zagrody.

- Osiodlałaś ją?

- Nie. Nie zabrałam siodła. Miałam tylko uzdę ze sznurka.

- Kiedy odjeżdżałaś w ciemność, czy słyszałaś za sobą, tam gdzie paliło się światło, krzyk owiec?

- Nie trwało to długo. Było ich tylko dwanaście.

- Nadal budzisz się czasami w środku nocy, prawda? Budzisz się w kamiennej ciemności i w uszach masz krzyk owiec?

- Czasami.

- Sądziś, że jeśli uda ci się własnorecznie złapać Buffalo Billa i uratować Catherine, to owce umilkną. Sądziś, że je także uda się uratować i nie będzie budzić cię po nocy ich krzyk? Tak? Clarice?

- Tak. Nie wiem. Może.

- Dziękuję ci, Clarice - doktor Lecter wydawał się dziwnie odprezony.

- Niech mi pan poda jego nazwisko - poprosiła.

- Doktor Chilton - powiedział Lecter. - Sądzę, że państwo się znacie.

Przez chwilę Clarice nie zdawała sobie sprawy, że stoi za nią Chilton. Potem ujął ją za łokieć.

Odsunęła się. Obok Chiltona stali funkcjonariusz Pembry i jego rosły kolega.

- Do windy - powiedział Chilton. Na twarzy miał czerwone wypieki.

- Czy wiedziałas, że doktor Chilton nie posiada wykształcenia medycznego? - spytał doktor Lecter. - Postaraj się o tym pamiętać w przyszłości.

- Idziemy - powiedział Chilton.

- Nie pan tu rządzi, doktorze Chilton - odparła. Funkcjonariusz Pembry wysunął się do przodu.

- On nie, proszę pani, ale ja tak. Zadzwoił do mojego i do pani szefa. Przykro mi, ale mam rozkaz pana stąd wyprowadzić. Proszę iść za mną, natychmiast.

- Do widzenia, Clarice. Dasz mi znać, jeśli kiedykolwiek umilkna twoje owce?

- Tak.

Pembry brał ją pod ramię. Musiała iść albo się z nim szarpac.

- Tak - powiedziała. - Dam panu znać.

- Obiecujesz?

- Tak.

- Dlaczego, w takim razie, nie dokonasz łuku? Zabierz ze sobą akta sprawy, Clarice, nie będę ich więcej potrzebował. - Wystawił teczkę przez kraty, palcem wskazującym obejmował jej grzbiet. Siegnęła przez barierkę i odebrała ją. Przez krótki moment jej palec wskazujący dotknął palca doktora Lectera. Coś zalamalo się w jego oczach.

- Dziękuję, Clarice.

- Dziękuję, doktorze.

I taki właśnie pozostał jej w pamięci. Złapany w momencie, kiedy niczego nie udawał. Stał w swojej białej celi, wygięty niczym tancerz, ze splecionymi z przodu rękami i lekko przechyloną głową.

Tuż przed lotniskiem najechała zbyt szybko na asfaltowy, ograniczający prędkość garb na jezdni i nabiła sobie guza o dach samochodu. Musiała biec, żeby zdążyć na samolot, którym kazał jej odlecieć Krendler.

## **ROZDZIAŁ 36**

Funkcjonariusze Pembry i Boyle byli doświadczonymi strażnikami. Przyjechali z więzienia

stanowego w Brushy Mountains specjalnie po to, żeby pilnować doktora Lectera. Byli mało mówni i uważni. Nie sadzili, by doktor Chilton musiał im wyjaśniać, na czym polega ich praca.

Przybyli do Memphis przed doktorem Lecterem i dokładnie, centymetr po centymetrze, zbadali cele. Kiedy doktor został dostarczony do starego budynku sadu, zbadali również i jego. Już przedtem, kiedy był unieruchomiony w kamizelce, pielęgniarz przeszukał dokładnie wszystkie otwory w jego ciele. Przejrzano starannie ubranie, każdy szew sprawdzony został przy użyciu wykrywacza metalu.

Boyle i Pembry doszli z nim do porozumienia, przemawiając don cicho i łagodnie podczas całej operacji.

- Doktorze Lecter, może nam być ze sobą całkiem dobrze. Będziemy się do pana odnosić tak samo przyzwoicie, jak pan do nas. Jeśli będzie się pan zachowywał jak dżentelmen, dostanie pan w nagrodę loda na patyku. Ale nie myśl, kochany, że będziemy wokół ciebie chodzić na paluszkach. Spróbuj ugryźć, to będziesz miał gebę jak stuletnia babunia. Wygląda na to, że przyjeżdżając tutaj, coś zyskałeś. Nie chcesz chyba tego stracić?

Doktor mrużył do nich przyjaźnie oczy. Nawet gdyby skłonny był im odpowiedzieć, uniemożliwiał mu to wetknięty między trzonowe zęby drewniany kolek. Do ust zaglądał mu właśnie pielęgniarz, świecąc latarką i odciągając palcem skórę na policzku. Na dłoniach miał rękawiczki.

Przy policzku zabrzeczał wykrywacz metali.

- Co to? - zapytał pielęgniarz.

- Plomby - odparł Pembry. - Odciągnij mu trochę wargę. Psuły nam się trochę trzonowe zęby, prawda, doktoru?

- Wygląda na to, że całkiem zmiekła mu rura - wyznał Boyle Pembry'emu, kiedy już umieścili bezpiecznie doktora w jego celi. - Nie powinno z nim być wiele kłopotu, jeśli nie będzie podskakiwał.

Cela, mimo że bezpieczna i solidna, nie była wyposażona w ruchomy wózek na jedzenie. W porze lunchu, w nieprzyjemnej atmosferze, jaka zapanowała po wizycie Clarice, doktor Chilton sprawiał wszystkim masę kłopotów zmuszając Boyle'a i Pembry'ego do założenia doktorowi Lecterowi kaftana bezpieczeństwa i pasów na nogi. W czasie całej znużonej, prowadzonej z zewnątrz operacji, Lecter stał oparty grzecznie plecami o kraty, a Chilton celował w niego z pistoletu gazowego. Dopiero potem Boyle i Pembry mogli otworzyć drzwi celi i wnieść do środka tacę z jedzeniem.

Chilton nie zwracał się do Boyle'a i Pembry'ego po nazwisku, mimo że każdy z nich miał przypiętą na piersi wyraźną kartę identyfikacyjną. Mówiąc do nich używał prostackiego zwrotu „ty tam”.

Straznicy nie pozostali mu dłużni. Kiedy usłyszeli, że Chilton nie jest prawdziwym doktorem medycyny, Boyle stwierdził w rozmowie z Pembrym, że mają dziś do czynienia z „jakims cholernym

belfrem z podstawowki".

Pembry probowal wyjasnic Chiltonowi, ze wizyta inspektor Starling miala miejsce wskutek niedopatrzenia straznika na dole i oni nie ponosza tu zadnej winy, ale dyrektorowi szpitala wcale nie poprawilo to humoru.

Chiltona nie bylo przy kolacji i, przy wspolpracy oszolomionego Lectera, Boyle i Pembry zastosowali wlasna metode dostarczenia do srodka tacy z jedzeniem. Metoda okazala sie znakomita.

- Doktorze Lecter, nie bedzie pan dzis potrzebował do kolacji swojego garniturku - oznajmil Pembry. - Proszę, żeby pan usiadł na podłodze i posunął się do tyłu, aż będzie pan mógł wystawić ręce przez kraty. Ramiona wykrecone do tyłu. Tak właśnie. Niech pan się jeszcze trochę posunie i wyprostuje ręce. Łokcie do siebie. - Pembry założył doktorowi kajdanki po zewnętrznej stronie kraty, tuż pod poprzecznym pretem. Pret podłużny znajdował się między jego ramionami. - To trochę boli, prawda? Wiem o tym, ale nie potrwa to dłużej jak minute i oszczędzi nam obu masę kłopotów.

Doktor nie mógł wstać ani nawet kucnąć. Z nogami wyciągniętymi płasko przed sobą nie mógł kopać.

Dopiero po dokładnym unieruchomieniu więźnia, Pembry wrócił do biurka, żeby zabrać klucze do drzwi celi. Przymocował do pasa palke, wsadził do kieszeni pistolet gazowy i podszedł do celi. Otworzył drzwi, Boyle wniósł do środka tacę. Po zamknięciu drzwi Pembry odniósł klucze na biurko i dopiero wtedy uwolnił z kajdanek doktora. Ani razu nie znajdował się z kluczami blisko krat w czasie, kiedy doktor mógł się swobodnie poruszać w celi.

- Całkiem gładko nam to poszło, prawda? - zapytał Pembry.

- Bardzo mi to odpowiadało, dziękuję panu - odparł Lecter. - Wie pan, chodzi mi tylko o to, żeby jakos przez to przebrnąć.

- Wszystkim nam o to chodzi, kochaneczku.

Lecter pojadł powoli z tacy, pisać coś, rysując i bazgrząc flamastrem w swoim notatniku. Przekreślił kasetę w przymocowanym lancuchem do stołu magnetofonie i nacisnął przycisk. Glenn Gould grał na fortepianie „Wariacje Goldbergowskie” Bacha. Wspaniała muzyka, całkowicie poza czasem i przestrzenią, wypełniła zalana światłem klatkę i pomieszczenie, w którym siedzieli strażnicy.

Dla siedzącego nieruchomo przy stole Lectera czas zwolnił swój bieg, jak zawsze, gdy coś zaczynało się dziać. W jego uszach spokojnie, nie zmieniając tempa, płynęły takty muzyki. Srebrzyste akordy Bacha przyciemniały błysk otaczającej go stali. Doktor wstał, na jego twarzy malowało się roztargnienie, z nog zeslizgnęła mu się papierowa serwetka. Unosiła się długo w powietrzu, otarła o nogę stołu, zjasniała odbitym światłem, zakolysała, zmieniła kierunek i opadła odwrotną stroną na stalową podłogę. Nie podniósł jej, lecz szybko przeszedł cele i schował się za papierowym parawanem. Usiadł na klozetowej desce, jedynym miejscu, gdzie mógł mieć choć odrobinę prywatności. Słuchając muzyki pochylił się do przodu, oparł policzek o dłoń i na wpol przymknął

swoje dziwne piwne oczy. „Wariacje Goldbergowskie” interesowały go ze względu na swoją strukturę. Oto znow ten sam motyw sarabandy powtórzony ton niżej, powtórzony raz jeszcze. Kiwał do taktu głową obmacując językiem skraj zębów. Przejechał tak wokół całej górnej i całej dolnej szczęki. Była to dla jego języka interesująca i długa podróż, niczym wycieczka do podnóży Alp.

Zabrał się teraz do dziąseł, wsuwając język wysoko w szczelinę pod policzkiem i krecąc nim powoli, jakby chciał wydłubać resztki jedzenia. Dziąsła nie były tak ciepłe jak język. Wysoko, w szczelinie panował chłód. Natrafiwszy na małą metalową rurkę, język znieruchomiał.

Przez dźwięki muzyki dotarło do niego szczeknięcie ruszającej do góry windy. Wiele taktów później drzwi windy otworzyły się na gorze.

- Mam zabrać tace - odezwał się nieznany głos. Lecter słyszał, jak nadchodzi mniejszy z jego strażników, Pembry. Mogł go dostrzec przez szparę między listewkami parawanu. Pembry stanął przy kratkach.

- Doktorze. Niech pan usiadzie na podłodze plecami do krat, tak jak pan to zrobił przedtem.

- Czy nie zrobiliby panu różnicy, sierżancie Pembry, gdyby pozwolił mi pan skończyć? Obawiam się, że podróż wytraciła trochę moje kiszki z równowagi. - Wypowiedzenie tego wszystkiego zajęło bardzo dużo czasu.

- W porządku. - Pembry odwrócił się w drugą stronę. - Zadzwońmy na dół, kiedy będziemy gotowi.

- Czy mogę na niego spojrzeć?

- Zadzwońmy po ciebie.

Szczeknięcie windy, a potem tylko takty muzyki.

Doktor Lecter wyjął rurkę z ust i wytarł ją do sucha kawałkiem papieru toaletowego. Rece miał pewne, dłonie całkowicie suche.

W ciągu długich lat spędzonych w odosobnieniu, obdarzony nieskonieczną ciekawością doktor poznał niejedną wiezienną tajemnicę. Od dnia, kiedy okaleczył pielęgniarkę w szpitalu w Baltimore, tylko dwukrotnie naruszone zostały zastosowane wobec niego ściśle rygory bezpieczeństwa. Oba przypadki miały miejsce, kiedy dyżuru nie pełnił Barney. Za pierwszym razem odwiedzający go psychiatrą pozyczył mu długopis i zapomniał go odebrać. Zanim jeszcze facet wyszedł z bloku pod specjalnym nadzorem, doktor Lecter złamał plastikową obudowę długopisu, wrzucił ją do klozetu i spuścił wodę. Metalowy wkład wsadził w zawinięty szew na skraju materaca.

Jedyną ostrą krawędzią w jego szpitalnej celi było naciecie na głowce sruby mocującej koje do ściany. To wystarczyło. Po dwóch miesiącach pracy doktor Lecter wyłobził w otwartej końcówce wkładu dwa równoległe, długie na siedem milimetrów naciecia. Następnie przepiłował wkład na dwie części: zostawił sobie trzycentymetrową końcówkę, resztę wyrzucił do toalety. Barney nie zauważył na jego palcach powstałych od nocnego szlifowania zgrubień.

Szesc miesiecy pozniej jeden z pielegniarzy pozostawil gruby spinacz na dokumentach przyslanych Lecterowi przez jego adwokata. Trzycentymetrowy kawalek drutu ze spinacza znalazl sie wewnatrz rurki, reszta wykladowala w toalecie. Mala tubka, krotka i gladka, dawala sie latwo ukryc w szwach ubrania, pomiedzy policzkiem a dziaslem i w odbycie.

Teraz, ukryty za papierowym parawanem, doktor Lecter oparl o kciuk metalowa rurke i lekko w nia popukal. Powoli wysunal sie z niej drut. Mial posluzyc jako narzedzie w najtrudniejszej jak dotad czesci operacji. Doktor Lecter wetknal go do polowy dlugosci rurki i z olbrzymia precyzja uzyl w charakterze dźwigni, by wygiac kawalek metalu miedzy dwoma podluznymi nacieciami. Czasami naciecia lamia sie przy tej czynnosci. Ostroznie nacisnal silnymi palcami metal. Wyginal sie. Juz. Mikroskopijny zaczep znajdowal sie pod wlasciwym katem w stosunku do rurki. Mial teraz klucz do kajdanek.

Lecter zalozyl rece do tylu i pietnascie razy przelozyl klucz z jednej dloni do drugiej. Wsadzil go z powrotem do ust, umyl rece i skrupulatnie wytarl do sucha. Nastepnie umiescil klucz jezykiem miedzy palcami prawej dloni. Wiedzial, ze kiedy Pembry znajdzie sie za nim z tylu, bedzie sie przygladal raczej tej lewej, nietypowej.

- Jestem juz gotow, jesli pan pozwoli, sierzancie Pembry - powiedzial. Siadl na podlodze i zalozyl rece do tylu wystawiajac dlonie i nadgarstki przez kraty. - Dziekuje, ze zechcial pan poczekac. - Cala ta mowa wydawala sie bardzo dluga, jej tempo dostosowal do rytmu muzyki.

Za soba slyszal teraz Pembry'ego. Pembry dotknal jego nadgarstka, zeby sprawdzic, czy nie jest namydzony. Dotknal drugiego. Zalozyl ciasno kajdanki. Zawrocil do biurka, zeby wziac klucze do celi. Przez dzwieki fortepianu doszedl uszu doktora brzek kluczy wyjmowanych przez Pembry'ego z szuflady. Teraz szedl z powrotem, rytm jego krokow klocil sie z taktem muzyki, idac przecinal powietrze wypelnione krystalicznie czystymi nutami. Tym razem szedl z nim Boyle. Lecter slyszal, jak splaszca sie echo w miejscach, ktore mijali.

Pembry ponownie sprawdzil kajdanki. Doktor czul na plecach jego oddech. Teraz Pembry przekrecil klucz w zamku i otworzyl szeroko drzwi. Do srodka wszedl Boyle. Doktor Lecter przekrecil glowe, cela przesuwala sie przed jego oczyma w tempie, ktore wydawalo mu sie niezbyt szybkie, szczegoly odznaczaly sie cudowna ostroscia: Boyle zbieral na tace porozrzucane resztki kolacji, szczekaniem talerzy dawal do zrozumienia, ze wcale mu sie nie podoba caly ten balagan. Magnetofon z krecaca sie w srodku kaseta, papierowa serwetka lezaca na podlodze obok przysrubowanej nogi stolu. Kacikiem oka doktor mogl dostrzec przez kraty kolano stojacego na zewnatrz, trzymajacego drzwi Pembry'ego i dolny fragment wiszacej mu u pasa palki.

Doktor Lecter wymacal w kajdankach zamek przy lewej rece, wsadzil tam klucz i przekrecil. Poczul odskakujaca od nadgarstka obrecz. Przelozyl klucz do lewej reki, znalazl zamek, wsunal klucz i przekrecil.

Boyle schylil sie, zeby podniesc serwetke z podlogi. Szybko, niczym zatrzasnkujaca sie pulapka na myszy, obrecz kajdanek zamknela sie na jego nadgarstku. Kiedy obracal rozszerzajace sie oczy na Lectera, druga obrecz zatrzasnela sie na przysrubowanej do podlogi nodze stolu. Doktor rzucil sie ku

drzwiom, Pembry próbował stanąć w nich, Lecter popchnął drzwi w jego stronę ramieniem, Pembry sięgnął do pasa po pistolet gazowy, drzwi przygniotły mu rękę do tułowia. Lecter złapał za koniec palnika i podciągnął się do góry. Używając palnika jako dźwigni przekreślił pas na Pembrym, uderzył go łokciem w gardło i wbil zęby w jego twarz. Pembry próbował rozewrzeć palcami ucisk, żeby rozdzierały mu nos i górną wargę. Lecter potrząsnął głową jak zaciskający szczęki pies i wyjął z zapiecia palnik Pembry'ego. W celu wydzierania się na całe gardło siedzący na podłodze Boyle. Rozpaczliwie grzebał w kieszeni szukając klucza do kajdanek, znalazł go, wypuścił z palców, znalazł ponownie. Lecter uderzył Pembry'ego koncem palnika w żołądek i gardło, Pembry osunął się na kolana. Boyle wsadził klucz do zamka, darł się jak opętany, Lecter szedł już do niego. Uciszył Boyle'a strzałem z pistoletu gazowego. Charczącego zdzielił dwa razy palnikiem po wyciągniętych rękach. Boyle próbował wleźć pod stół, ale oslepiony gazem pomylił kierunki i łatwo było go zatłuc na śmierć pięcioma właściwie skierowanymi uderzeniami.

Pembry'emu udało się usiąść. Plakał. Doktor Lecter popatrzył na niego i rozchylił w uśmiechu czerwone wargi.

- Jestem już gotów, jeśli pan pozwoli, sierżancie Pembry - powiedział.

Zatoczywszy ze swistem krotki łuk, palnik uderzyła Pembry'ego prosto w kręgosłup z tyłu głowy. Zadygotał i znieruchomiał, zupełnie jak ogluszona młotkiem ryba.

Pod wpływem wysiłku fizycznego puls doktora Lectera podniósł się nieco powyżej setki, ale szybko wrócił do normy. Doktor wyłączył magnetofon i nasłuchiwał.

Podszedł do schodów i znowu nasłuchiwał. Wywrócił kieszenie Pembry'ego, wziął klucz od biurka i pootwieriał wszystkie szuflady. W najniższej była regulaminowa broń Boyle'a i Pembry'ego, dwa pistolety kalibru 38 Special. Co ucieszyło go jeszcze bardziej, w kieszeni Boyle'a znalazł scyzoryk.

## ROZDZIAŁ 37

W hallu było pełno policjantów. Zegar wskazywał wpół do szóstej wieczorem, wymieniała się właśnie, po dwugodzinnej warcie, obsada posterunków na zewnątrz budynku. Zbieżności mężczyźni grzali sobie ręce przy kilku elektrycznych piecykach. Niektórzy z nich porobili zakłady w rozgrywanych właśnie stanowych mistrzostwach w koszykówce i ciekawi byli, jaki jest aktualny wynik meczu.

Sierżant Tate nie zezwolił na to, by w hallu grało głośno radio, ale jeden z funkcjonariuszy miał walkmana i słuchał transmisji przez słuchawki. Co jakiś czas podawał aktualny wynik, nie tak często jednak, by zadowolic graczy.

Ogolem przebywało w hallu piętnastu uzbrojonych policjantów plus dwóch strażników ze służby więziennej, którzy za pół godziny mieli zmienić Pembry'ego i Boyle'a. Sam sierżant Tate

oczekiwal, że zjedzie ze służby o godzinie jedenastej. Nocna zmiana miała trwać do siódmej rano.

Wszystkie posterunki donosiły o całkowitym spokoju. Nie spełniła się żadna z groźb, które wysuwali wobec doktora Lectera anonimowi rozmowcy.

O 6.45 Tate usłyszał, jak ruszyła winda. Patrzył na obracającą się nad jej drzwiami brązowa wskazówka. Zatrzymała się na piątce.

Tate rozejrzał się po hallu.

- Czy Sweeney pojechał, żeby zabrać tace?

- Nie, jestem tutaj, sierzancie. Czy mogłby pan zadzwonić i zapytać, czy są gotowi? Chciałbym już zejść ze służby. Sierżant Tate wykrecił trzy cyfry i słuchał.

- Telefon jest zajęty - powiedział. - Pojedź na górę i zobacz. - Pochylił się z powrotem nad sprawozdaniem, które kończył pisać dla nocnej zmiany.

Funkcjonariusz Sweeney nacisnął przycisk windy. Nie zjeżdżała.

- Zazyczył sobie na kolację baranie sznycle - powiedział do siebie Sweeney. - Ciekawe, na co będzie miał ochotę rano, może na jakiegoś pieprzonego zwierzątko z zoo? A kto będzie musiał go dla niego upolować? Sweeney, oczywiście.

Brązowa wskazówka nadal tkwiła na piątce.

Sweeney odczekał kolejną minutę.

- Co za cholera? - powiedział.

Gdzieś nad nimi zagrzmiła trzydziestka osemka, huk odbił się echem w kamiennej klatce schodowej. Dwa szybkie wystrzały jeden po drugim, a potem trzeci.

Przy trzecim sierżant Tate wstał zza biurka, w ręku trzymał mikrofon.

- Tu posterunek główny w hallu, w wieży slychac było strzały. Posterunki zewnętrzne, prowadzić pilną obserwację budynku. Idziemy na górę.

W hallu tłoczyli się i kleli policjanci.

Tate ujrzał, jak rusza brązowa wskazówka windy. Mijała właśnie czworke.

- Stac! - ryknął przekrzykując hałas. - Podwoić posterunki na zewnątrz, pierwsza drużyna idzie ze mną. Berry i Howard, pilnujcie tej cholerniej windy, jeśli zjedzie na dół. - Wskazówka zatrzymała się na trojce.

- Pierwsza drużyna, ruszamy. Sprawdzamy każde drzwi. Bobby, weź strzelby i kamizelki



kuloodporne i przynies nam na gore.

Biegnac po schodach, Tate goraczkowo myslal. Ostroznosc walczyła w nim z przemoznym pragnieniem udzielenia pomocy straznikom tam, na gorze. Boze, nie pozwol mu sie wydostac. Zaden z nich nie ma na sobie kamizelki. Przeklęte sknery z zarzadu wiezien, to przez nich...

Biura na drugim, trzecim i czwartym pietrze mialy byc puste i zamknięte na klucz. Można bylo przez nie przedostac sie z wiezy do glownego budynku. Z piatego pietra jest to niemożliwe.

Tate ukonczyl cieszacy sie dobra slawa kurs antyterrorystyczny w szkole policyjnej Tennessee i dobrze wiedzial, co ma robic. Szedl pierwszy tuz za soba majac mlodszych. Szybko i pewnie, ubezpieczajac sie wzajemnie z podestow, opanowywali kolejne pietra.

- Jesli ktorys z was oprze sie o drzwi, zanim je sprawdzi, wyrwe mu nogi z dupy.

Drzwi na drugim pietrze byly zamknięte na klucz, za szyba panowala ciemnosc.

Na trzecim maly mroczny korytarzyk. Z otwartej kabiny windy padal na podloge prostokat swiatla. Tate przesuwal sie wzdluz sciany naprzeciwko otwartej windy, wewnatrz nie bylo zadnego lustra, by mu pomoglo. Opierajac mocniej palec na spuscie zajrzal do kabiny. Byla pusta.

- Boyle! Pembry! Kurwa! - krzyknal w gore schodow. Zostawil na trzecim pietrze jednego policjanta i szedl dalej.

Czwarte rozbrzmiewalo plynaca z gory fortepianowa muzyka. Drzwi do pomieszczen biurowych pchnięte lekko uchylyly sie. W srodku, w snopie swiatla mocnej latarki, widac bylo kolejne, otwarte szeroko drzwi. Prowadzily do pogrzonego w ciemnosciami rozleglego budynku.

- Boyle! Pembry! - Zostawil dwoch policjantow na podescie czwartego pietra. - Ubezpieczajcie drzwi. Zaraz dostaniecie kamizelki. Trzymajcie sie z dala od tego korytarza.

Tate wspinal sie po kamiennych schodach. Muzyka byla coraz glosniejsza. Z podestu piatego, ostatniego pietra biegł mroczny, krotki korytarz. Za matowa szyba drzwi palilo sie jasne swiatlo. Na szybie widnial napis: TOWARZYSTWO HISTORYCZNE OKREGU SHELBY.

Kucajac pod szyba Tate przeskoczyl na druga strone drzwi, przy klamce. Kiwnal glowa do stojacego naprzeciwko Jacobsa, przekrecil klamke i pchnal silnie, drzwi obrocily sie w zawiasach do samego konca i uderzily w sciane, az pekla w nich szyba, Tate wpadł blyskawicznie do srodka i usunal sie z przejscia, caly czas trzymajac gotowy do strzalu rewolwer.

Tate widzial w swoim zyciu niejedno. Widzial wypadki drogowe, ktorzych doslownie nie da sie opisac, widzial ofiary bojek i morderstw. Ogladal na wlasne oczy szesciu martwych policjantow. To, co widzial jednak teraz u swoich stop, wydawalo mu sie najgorsza rzecza, jaka w zyciu ogladal i jaka moze sie przytrafic policjantowi. Mieso nad kolnierzem munduru w niczym nie przypominalo twarzy. Przednia i gorna czesc glowy tonely we krwi, gdzieniegdzie wystawaly z niej kawalki rozdartych miesni, obok nozdrzy tkwilo pojedyncze oko, oczodoly byly zalane krwia.

Jacobs minal Tate'a. Slizgajac sie po zakrwawionej podlodze, wszedl do celi i pochylił nad Boyle'em, wciáz przykutym kajdankami do stolowej nogi. Boyle, czesciowo wypatroszony, z pokiereszowana twarza, sprawial wrazenie, jakby eksplodowal krwia w celi. Sciany i gola koja pokryte byly plamami i bryzgami czerwieni.

Jacobs przylozyl mu palce do szyi.

- Nie zyje! - zawolal przekrzykujac muzyke. - Sierzancie? Tate doszedl juz do siebie. Zawstydzony krotka chwila slabosci, mowil teraz przez radio.

- Tu dowodca, mam dwoch poszkodowanych funkcjonariuszy. Powtarzam, dwoch poszkodowanych funkcjonariuszy. Wiezien zniknal. Lecter zniknal. Posterunki na zewnatrz, prowadzic obserwacje okien, brakuje poscieli, wiezien mogl jej uzyc do zrobienia liny. Sprawdzcie, czy w drodze sa karetki.

- Pembry jest martwy, sierzancie? - Jacobs wylaczyl muzyke.

Tate uklakl i kiedy siegal palcami do szyi, ze strasznych, lezacych na podlodze zwlok do byl sie jek. W miejscu, gdzie powinny znajdowac sie usta, pojawil sie krwawy babel.

- Pembry zyje.

Tate nie mial ochoty dotykac ustami tej krwawej miazgi, ale wiedzial, ze bedzie to musial zrobic, zeby pomoc Pembry'emu oddychac, wiedzial, ze nie moze zlecic tego innemu czlonkowi patrolu. Lepiej dla Pembry'ego, zeby umarl, ale na razie trzeba mu pomoc oddychac. Bilu jednak serce, odnalazl puls, byl takze oddech. Pembry rzezil i charczal, ale oddychal. Ruina oddychala o wlasnych silach.

Cos zatrzeszczalo w krotkofalowce Tate'a. Dowodztwo przejal porucznik wyznaczony do pilnowania parkingu. Chcial wiedziec, co sie dzieje na gorze. Tate musial z nim porozmawiac.

- Podejdz tutaj, Murray! - zawolal mlodego policjanta. - Usiadz tu przy Pembrym i trzymaj go tak, zeby poczul, ze ktos przy nim jest. Mow do niego.

- Jak on sie nazywa, sierzancie? - Murray byl zielony.

- To Pembry, mow cos do niego, do diabla. - Wyjal mikrofon. - Dwoch poszkodowanych funkcjonariuszy, Boyle nie zyje, Pembry ciezko ranny. Lecter zniknal, jest uzbrojony. Zabral ich bron. Pasy i futery byly zostaly na biurku.

Glos porucznika docieral do niego zniekształcony przez grube sciany.

- Czy ekipa z ambulansu bedzie bezpieczna na klatce schodowej?

- Tak, sir. Dajcie znac, zanim rusza na gore. Wystawilem posterunki na kazdym pietrze.

- Przyjalem, sierzancie. Straznikowi na zewnatrz wydawalo sie, ze widzial, jak cos ruszalo sie

za oknami na czwartym pięttrze głównego gmachu. Zabezpieczyliśmy wszystkie wyjścia, nie wydostanie się na zewnątrz. Nie zdejmujcie posterunków na pięttrach. Wykurza go stamtąd jednostki specjalne. Potwierdźcie.

- Zrozumiałem, do akcji wchodzi jednostki specjalne.

- Jak jest uzbrojony?

- Dwa pistolety i noz, poruczniku... Jacobs, zobacz, czy została jakas amunicja w pasach.

- Ładownice Pembry'ego sa pełne - odparł policjant. - Boyle'a tak samo. Głupi dupek nie zabrał dodatkowych nabojuw.

- Co to za bron?

- Trzydziestki osemki, naboje typu plus Ps, z pustym czubkiem, o zwiększonej sile rzenia.

Tate znow mowil do krotkofalowki.

- Wyglada na to, poruczniku, ze ma dwie szesciostrzalowe trzydziestki osemki. Slyszelismy trzy wystrzaly, nie opoznil ladownic, a wiec zostalo mu tylko dziewiec nabojuw. Uprzedzcie jednostke specjalna, ze naboje sa typu plus Ps, z pustym czubkiem. Facet szczegolnie upodobal sobie twarz.

Naboje plus Ps naleza do typu rozpryskowego, ale nie sa w stanie przeniknac kamizelki kuloodpornej z wyposazenia jednostek specjalnych. Strzal w twarz na ogol konczy sie tragicznie, w konczyny powoduje trwale kalectwo.

- Tate, ida do ciebie z noszami.

Karetki przybyly prawie natychmiast, choc przysluchujacemu sie zalosnym jekom sierzantowi wydawalo sie, ze minely wieki. Młody Murray staral sie ukoic jeczace, dygoczace cialo, staral sie powiedziec cos krzepiacego, nie patrzac jednoczesnie w dol.

- Wszystko z toba w porzadku, Pembry, swietnie wygladasz - powtarzal bez przerwy glosem, od ktorego robilo sie niedobrze.

- Sanitariusz! - sierzant Tate wrzasnal, tak jak to czynil na wojnie, kiedy tylko ujrzal noszowych na podescie schodow.

Wzial Murraya za ramie i odsunal go, zeby zrobic przejście. Sanitariusze pracowali szybko i fachowo. Unieruchomili pasami zacisniete, zakrwawione piesci, zalozyli przewod respiracyjny i owineli glowe nieprzylepnyim chirurgicznym bandazem. Jeden z nich rozerwal opakowanie z dozynna plazma, ale drugi, po zbadaniu pulsu i cisnienia krwi, potrzasnal glowa.

- Zabieramy go na dol.

Przez radio nadchodzily rozkazy.

- Tate, chce, zebys sprawdzil pomieszczenia biurowe w wiezy i zablokowal drzwi do glownego budynku. Trzymaj posterunki na klatce schodowej, na kazdym pietrze. Wysylam strzelby i kamizelki. Wezwiemy go zywcem, jesli sie podda, ale nie bedziemy specjalnie ryzykowac, zeby zachowac go przy zyciu. Zrozumiales mnie?

- Tak jest, poruczniku.

- W glownym budynku maja przebywac wylacznie jednostki specjalne. Powtorz.

Tate powtorzyl rozkaz.

Tate byl dobrym sierzantem i mozna to bylo poznac teraz, kiedy po wbiciu sie razem z Jacobsem w ciezkie kuloodporne kamizelki, eskortowal na dol nosze niesione przez sanitariuszy. Za nimi szla druga ekipa z Boyle'em. Na widok tego, co lezalo na noszach, policjanci na pietrach nie mogli opanowac gniewu. Dla kazdego z nich Tate mial madre slowo:

- Nie dajcie sobie tylko odstrzelic dupy ze zlosci.

Kiedy na zewnatrz zawyly syreny, Tate, ubezpieczany przez starego weterana Jacobsa, dokladnie sprawdzil pomieszczenia biurowe i zablokowal wejścia do glownego budynku.

Korytarzem czwartego pietra ciagnal chlodny powiew. Za drzwiami, w pustej, ciemnej przestrzeni glownego gmachu, dzwonily telefony. Niczym robaczki swietojanske, zapalaly sie i gasly przyciski na aparatach, wszedzie rozbrzmiewaly dzwonki.

Wiadomosc o tym, ze doktor Lecter „zabarykadowal" sie w budynku, przedostala sie na zewnatrz i reporterzy radiowi i telewizyjni, korzystajac ze swoich automatycznych modemow, wydzwaniali teraz pod wszystkie numery w gmachu, starajac sie uzyskac z potworem wywiad na zywo. Zeby tego uniknac, jednostki specjalne wylaczaja na ogol wszystkie linie z wyjatkiem jednej, ktorej uzywa negocjator. Tutaj jednak budynek byl zbyt duzy, za wiele w nim bylo roznych instytucji.

Tate zamkнал na klucz drzwi, za ktorymi blyskaly swiatelka. Pod kuloodporną kamizelką byl caly mokry, swedzialy go plecy. Odpial od pasa mikrofon swojej krotkofalowki.

- Posterunek kontrolny, tu Tate, wieza jest w porzadku, odbior.

- Przyjalem, Tate. Kapitan chce, zebys zglosil sie na posterunek kontrolny.

- Dziesiec cztery. Jestescie w hallu glownym wiezy?

- Tak, sierzancie.

- Jade na dol winda. Sprowadzam ja na parter.

Jacobs i Tate stali w jadacej na dol windzie. Na ramie kapnela sierzantowi kropla krwi. Nastepna spadla na but.

Spojrzał na sufit kabiny i tracił Jacobsa, dając mu znak, żeby milczał.

Krew kapłała ze szczeliny wokół awaryjnego wjazdu w suficie kabiny. Podróż na dół wydawała się bardzo długa. Tate i Jacobs wyszli z windy tyłem, pistolety wycelowane mieli w sufit. Tate sięgnął za siebie i zamknął drzwi kabiny.

- Szszszsz... - uciszył wszystkich w hallu. - Berry, Howard - powiedział cicho. - On jest na dachu windy. Pilnujcie wjazdu.

Tate wyszedł na dwór. Na parkingu stała czarna furgonetka jednostki specjalnej. Oni zawsze mają najrozszybsze klucze do windy.

Pojawili się w ciągu kilku sekund. Dwóch ludzi z jednostki specjalnej w czarnych kamizelkach i hełmach wspinało się po schodach na trzecie piętro. Przy sierżancie, w hallu, zostało dwóch innych. Lufy karabinów skierowali w sufit windy.

Jak wielkie wojownicze mrówki, pomyślał Tate.

- W porządku, Johnny - powiedział dowódca jednostki specjalnej do wbudowanego w hełm mikrofonu.

Na trzecim piętrze, wysoko nad kabiną windy, funkcjonariusz Johnny Peterson przekreślił specjalny klucz w zamku i drzwi rozsunęły się na boki. W szybie było ciemno. Leżąc na plecach na podestce, wyjął z kieszeni kamizelki granat obездwładniający i położył go obok siebie, na podłodze.

- Okay, zaraz się rozejrzę. - Wyjął lusterko na długiej ręczce i wsunął je do szyby. Jego kolega zaświecił w dół silnym reflektorem.

- Widzę go. Jest na dachu kabiny. Widzę leżącą obok niego broń. Nie rusza się.

Pytanie w słuchawkach Petersona:

- Czy widzisz jego ręce?

- Widzę jedną rękę, druga ma pod sobą. Jest owinięty przescieradkami.

- Mów do niego.

- Połóż ręce na głowie i nie ruszaj się! - krzyknął Peterson w dół szyby. - On leży nieruchomo, poruczniku... W porządku.

- Jeśli nie położysz rąk na głowie, rzucę w dół granat obездwładniający. Daje ci trzy sekundy! - wolał Peterson. Wyjął z kieszeni kamizelki metalową blokadę drzwi, którą nosi przy sobie każdy funkcjonariusz jednostki specjalnej. - Okay, chłopcy, uważajcie tam na dole, rzucam granat. - Wrzucił blokadę do środka szyby, zobaczył, jak odbiła się od leżącej postaci. - On się nie rusza, poruczniku.

- Okay, Johnny, zamierzamy otworzyć wejście bosakiem od środka, nie wchodzić do kabiny.

Mozesz trzymać go na muszce?

Peterson przekrecił się na brzuch. Jego załadowany i odbezpieczony colt kaliber 10 mm mierzył prosto w dół w leżącą postać.

- Mam go na muszce - powiedział.

Wpatrując się w głębię szyby windy, Peterson zobaczył pojawiający się w dole rąbek światła. Stojący w hallu funkcjonariusze jednostki specjalnej otwierali specjalnym bosakiem kłapę wjazdu. Nieruchoma postać opierała się częściowo na unoszącej się klapie, widział, jak drgnęła jej ręka.

Peterson odciągnął trochę kciukiem kurek colta.

- Poruszyło mu się ramię, poruczniku, ale myślę, że to pod wpływem ruchu kłapy.

- Przyjąłem. Podnosić.

Kłapa odchyliła się do tyłu i z hukiem opadła na ścianę szyby. Peterson z trudem przyzwyczajał oczy do światła.

- Nie poruszył się. Nie trzyma ręki na broni. W uchu zabrzmiał mu spokojny głos.

- Okay, Johnny, cofnij się. Wchodzimy do kabiny, obserwuj w lusterku wszelkie poruszenia. Uwważaj, możemy strzelać w górę. Potwierdź.

- Zrozumiałem.

W głębi hallu Tate obserwował, jak wchodzi do środka windy. Jeden z nich mierzył prosto w sufit z załadowanej ciężkimi pociskami rozpryskowymi strzelby. Drugi wspinał się po drabinie. Uzbrojony był w duży automatyczny pistolet z przymocowaną pod spodem latarką. Najpierw wystawił do góry oświetloną latarką lusterko. Potem w klapie zniknęły jego głowa i ramiona. W chwili później podał na dół rewolwer kalibru 38.

- Nie żyje! - krzyknął.

Tate zastanawiał się, czy śmierć doktora Lectera oznacza, że umrze także Catherine Martin. Czy jest jeszcze jakiś sposób, by dotrzeć do informacji, które kryły się w jego zwyrodniałym, zgasłym teraz mózgu. Ludzie z jednostki specjalnej spuszczały go teraz głową w dół przez otwór wjazdu. Liczne ramiona podtrzymywały ciało, dziwnie wyglądało to złożenie do grobu w oświetlonym pudełku windy. Hali zapelniał się ludźmi, policjanci tłoczyli się, żeby lepiej widzieć.

Do przodu przepchał się funkcjonariusz służby wieziennej. Popatrzył na obnażone wytatuowane ramiona.

- To Pembry - powiedział.

## ROZDZIAŁ 38

Siedzacy z tyłu jadacego na sygnale ambulansu mlody sanitariusz przypial sie pasami do fotela i odwrocil do krotkofalowki, zeby przekazac komunikat na izbe przyjec. Mowil glosno starajac sie przekrzyczec wyjaca syrene.

- Jest w stanie spiaczki, ale daje prawidlowe oznaki zycia. Ma dobre cisnienie. Sto trzydziesci na dziewiecdziesiat. Tak, dziewiecdziesiat. Puls osiemdziesiat piec. Gleboko i w wielu miejscach pocieta twarz, wylupione jedno oko. Zalozyłem opatrunek na twarz, a takze przewod respiracyjny. Mozliwy postrzal w glowe, trudno cos w tej chwili powiedziec.

Z tyłu, na noszach, rozluznily sie pod krepujacym je pasem zacisniete i pokrwawione piesci. Prawa reka wysunela sie na zewnatrz i odnalazla klamre na piersiach.

- Boje sie bardziej uciskac glowe: zanim polozylismy go na noszach, mial konwulsje. Dobrze, umiescimy go w pozycji Fowlera.

Z tyłu, za mlodym czlowiekiem, reka zdarla z twarzy chirurgiczny bandaz i otarla z krwi oczy.

Sanitariusz uslyszal z tyłu zblizajacy sie swist przewodu respiracyjnego, obrocil sie i ujrzal krwawa twarz tuż przed swymi oczyma. Nie zobaczyl juz spadajacego pistoletu, ktory trafil go z calej sily tuż nad uchem.

Ambulans zwolnil i stanal na srodku szesciopasmowej autostrady. Z tyłu trabili zdeorientowani kierowcy, nie wiedzac, jak zachowac sie wobec blokujacego droge, uprzywilejowanego pojazdu. Dwa krotkie strzaly, niczym z zatkanej rury wydechowej, i ambulans ruszyl dalej. Lawirujac miedzy innymi pojazdami zjezdzal na prawy pas.

Zblizal sie zjazd na lotnisko. Jadacy prawym pasem ambulans zaczal wyprawiac dziwne harce. Wlaczal i wylaczal rozne swiatla, uruchomil na krotka chwile wycieraczki, potem sciszyl syrene, znowu ja wlaczyl, sciszyl zupełnie i wylaczyl obrotowe swiatlo na dachu. A potem spokojnie zjechal w strone miedzynarodowego dworca lotniczego w Memphis, pieknego budynku, rzesiscie oswietlonego na tle zimowego wieczoru. Lagodny zakret zaprowadzil go do automatycznej bramy podziemnego parkingu. Przez szybe wysunela sie zakrwawiona reka. Wyjela bilet z automatu i w chwile pozniej ambulans zniknal w tunelu.

## ROZDZIAŁ 39

W zwyklych okolicznosciach dom Crawforda budzilby zrozumiala ciekawosc Clarice, teraz jednak, po uslyszanej w radiu wiadomosci o ucieczce doktora Lectera, wszystko inne stalo sie

nieważne.

Jechala popatrując na mapę, wargi jej zdrewniały, w głowie mrowiło. Patrzyła na eleganckie rancho w stylu lat pięćdziesiątych wcale go nie widząc, i tylko przez moment przeszło jej przez głowę, czy to nie tam, z lewej strony, za oświetlonymi, zasłoniętymi szczelnie oknami leży Bella. Dzwonek wydal się jej zbyt głośny.

Crawford otworzył po drugim dzwonku. Miał na sobie obszerna wełniana kamizelka, rozmawiał przez bezprzewodowy telefon.

- Copley jest w Memphis - powiedział. Dał znak, żeby szła za nim. Przeprowadził ją przez cały dom, mamroczać cały czas do telefonu.

W kuchni pielęgniarka wyjęła z lodówki małą butelkę i oglądała ją pod światło. Crawford spojrzął na kobietę i unosił pytająco brwi, ale potrząsnęła głową, nie potrzebowała jego pomocy.

Zabrał Clarice do przerobionego kiedyś z podwójnego garażu studia, położonego trzy stopnie niżej. Było tutaj sporo miejsca, stała sofa i fotele. Na zarzuconym papierami biurku świecił się zielony ekran komputerowego terminalu, obok stało antyczne astrolabium.

Stapając po grubej wykładzinie, czuła, że położono ją na gołym betonie. Crawford zaprosił gestem, żeby usiadła. Położył rękę na monitorze.

- Starling, to jest głupie pytanie, ale czy przekazałaś coś doktorowi Lecterowi w Memphis?

- Nie.

- Żadnego przedmiotu?

- Nic.

- Zabrałaś z jego celi rysunki i inne rzeczy.

- Nigdy mu ich nie oddałam. Mam je nadal w swojej torbie. To on oddał mi akta sprawy. To jedyna rzecz, która przeszła tam z ręki do ręki.

Crawford przycisnął ramieniem słuchawkę.

- Copley, to skończone brednie. Chce, żebyś przycisnął tego gnojka, natychmiast. Wał prosto do szefa, prosto do biura śledczego Tennessee. Sprawdź, czy materiały z gorącej linii doszły razem z innymi. Dyżur pełni Burroughs. Tak. - Wylaczył telefon i schował go do kieszeni.

- Chcesz może kawy? Coca-coli?

- Co to za historia z przekazywaniem rzeczy doktorowi Lecterowi?

- Chilton twierdzi, że musiałas dać Lecterowi coś, czego potem użył, żeby otworzyć kajdanki.



Nie zrobilas tego celowo, mowi, lecz przez czysta ignorancje. - Czasami oczy zwezaly sie Crawfordowi w dwie male, zlosliwe szparki, jak u zolwia. Obserwowal, jak to przyjela.

- Czy Chilton probowal sie do ciebie dobierac, Starling? Czy o to mu chodzi?

- Byc moze. Poprosze z cukrem i bez mleka.

Kiedy byl w kuchni, wziala gleboki oddech i rozejrzala sie po pokoju. Jesli mieszka sie w akademiku albo koszarach, przyjemnie pobyc czasem w cudzym domu. Mimo ze ziemia palila sie jej pod stopami, mysl o tym, ze mozna mieszkac tak jak Crawfordowie, troche jej pomogla.

Wracal Crawford. Ostroznie schodzil po schodach, niosac filizanki, na nosie mial swoje dwuogniskowe okulary. W mielkich mokasynach byl poltora centymetra nizszy. Kiedy wstala, zeby wziac od niego kawe, oczy mieli prawie na rownym poziomie. Pachnial mydlem, wlosy mial puszyste i szpakowate.

- Copley powiedzial, ze dotychczas nie znalezli ambulansu. Na calym poludniu wielka mobilizacja. Potrzasnela glowa.

- Nie znam zadnych szczegolow. W radiu uslyszalam tylko krotki komunikat: doktor Lecter zabil dwoch policjantow i zbiegl.

- Dwoch straznikow wieziennych. - Crawford cofnal tekst na ekranie komputera. - Nazywali sie Boyle i Pembry. Mialas z nimi moze do czynienia?

Przytaknela.

- Wyprowadzili mnie stamtad... Zachowywali sie przyzwoicie. - Pembry wychylajacy sie zza plecow Chiltona, troche skrepowany, stanowczy, ale grzeczny. Prosze isc za mna, natychmiast, powiedzial. Na dloniach i czole mial ciemne watrobowe plamy. Teraz nie zyje, trupio bladym pod swoimi plamami.

Nagle poczula, ze musi odstawic kawe na bok. Odetchnela gleboko i przez chwile wpatrywala sie w sufit.

- Jak on to zrobil?

- Odjechal ambulansiem, tyle wiem od Copleya. Zbadamy to. Doszlas do czegos w sprawie tego narkotyku?

Cale popoludnie i wczesny wieczor Clarice spedzila chodzac na polecenie Krendlera od jednej sekcji badawczej do drugiej ze sprasowanym arkuszem, zadrukowanym rzadkami psow Pluto.

- Do niczego. Przeczesuja po raz ktorys z rzedu rejestr Agencji do Zwalczania Narkotykow, ale ta rzecz liczy sobie ponad dziesiec lat. Predzej znajda cos w sekcji dokumentow na podstawie nadruku.

- Ale to był jednak sprasowany narkotyk?

- Tak. Jak on to zrobił, proszę pana?

- Chcesz wiedzieć? Kiwnęła głową.

- No to ci powiem. Załadowali Lectera do ambulansu przez pomyłkę. Myśleli, że to ciężko ranny Pembry.

- Czy założył na siebie mundur Pembry'ego? Byli mniej więcej tego samego wzrostu.

- Założył na siebie mundur Pembry'ego i część jego twarzy. A także około pół kilograma twarzy Boyle'a. Zawinał ciało Pembry'ego w nieprzemakalny pokrowiec materaca oraz przescieradła ze swojej koi, żeby nie przeciekała krew, i położył je na dachu windy. Założył mundur, ucharakteryzował się i strzelił trzy razy w sufit, żeby wywołać alarm. Nie wiem, co zrobił z rewolwerem, może schował do kieszeni. Przyjeżdża ambulans, wszędzie kreca się gliny z odbezpieczoną bronią. Sanitariusze wkraczają i robią to, czego się ich uczy w takiej sytuacji: zakładają przewód respiracyjny, owijają bandażem najgorsze miejsca, żeby powstrzymać krwawienie, i czym prędzej go zabierają. Robią to, co do nich należy. Ambulans nigdy nie dojechał do szpitala. Gliniarze wciąż go szukają. Nie mam dobrych przeczuć, jeśli idzie o tych medyków. Copley mówi, że sprawdzają własnie tasmy u dyspozytora w pogotowiu. Karetki były wzywane kilkakrotnie. Przypuszczają, że zadzwonił po nie sam Lecter, żeby za długo tam nie leżeć. Doktor Lecter lubi się trochę zabawić.

Clarice nigdy dotąd nie słyszała takiej goryczy w głosie Crawforda. Przestraszyło ją to, bo gorycz, według niej, zawsze idzie w parze ze słabością.

- Ucieczka doktora Lectera wcale nie oznacza, że kłamał - powiedziała. - Oczywiście, kogos okłamał: albo nas, albo senator Martin. Ale może nie okłamał wszystkich. Pani Martin powiedział, że to Billy Rubin i że nic więcej nie wie. Mnie - że to ktoś, kto błędnie uważa się za transseksualistę. Ostatnia rzecz, jaka od niego usłyszałam, było: „Dlaczego nie dokonczysz luku?” Miał na myśli pojscie śladem teorii zmiany płci, według której...

- Wiem, widziałem twoje omówienie. Do niczego nie dojdziemy, zanim kliniki nie podadzą nam nazwisk. Alan Bloom jeździ osobiście do każdego ordynatora. Mówią mu, że szukają. Muszę im wierzyć.

- Czy ma pan kłopoty, panie Crawford?

- Wysyłają mnie na urlop zdrowotny - odparł. - Sprawa ma się zająć nowy zespół złożony z ludzi z FBI, Agencji do Zwalczenia Narkotyków i „dodatkowego personelu” z biura prokuratora generalnego, to znaczy konkretnie Krendlera.

- Kto jest szefem?

- Oficjalnie zastępcą dyrektora FBI, John Golby. Powiedzmy, że ściśle się z nim konsultuje. John to przyzwoity gość. A co z tobą, może to ty jesteś w opalach?

- Krendler polecił mi, żebym zwróciła legitymacje FBI i broń i zameldowała się z powrotem na uczelni.

- Powiedział tak, zanim złożyłaś wizytę Lecterowi, Starling. Dzisiaj po południu przesłał pilne pismo do naszego biura kontroli zawodowej. „Nie powodowany żadnymi osobistymi uprzedzeniami” żąda w nim, aby Akademia niezwłocznie zawiesiła cię w prawach studenta do czasu ponownej oceny twojej przydatności do służby. Typowy strzał zza węgła. Godzinę temu widział to pismo na odprawie w Quantico kierownik sekcji strzeleckiej, John Brigham. Powiedział im szczerze, co miał na koncu języka, i przekazał mi paleczkę.

- Czy to poważna sprawa?

- Masz prawo do przesłuchania. Porecze za ciebie i na tym się skończy. Ale jeśli nie będzie cię dłużej w uczelni, na pewno nie zaliczysz semestru, niezależnie od tego, jaki będzie wynik przesłuchania. Wiesz, co się dzieje z tymi, którzy nie zaliczyli semestru?

- Pewnie. Wysyła się ich z powrotem do biur terenowych, gdzie zostali zwerbowani. Wprowadzają cudze raporty do komputera i przyrządzają kawę, aż zwolni się miejsce na następnym kursie.

- Obiecuję ci, że będzie na ciebie czekało miejsce na następnym kursie, ale nie mogę spowodować, że zalicza ci semestr, jeśli będziesz dalej opuszczała zajęcia.

- Więc albo wracam do uczelni i przestaję pracować nad tą sprawą, albo...

- Tak.

- Co chce pan, żebym zrobiła?

- Twoim zadaniem był Lecter. Zrobiłaś, co do ciebie należało. Nie proszę cię, żebys zawałiła semestr. Będzie cię to kosztować może pół roku, a może więcej.

- Co będzie z Catherine Martin?

- Ma ją już prawie czterdzieści osiem godzin... o północy miną dwie doby. Jeśli go nie złapiemy, prawdopodobnie załatwi ją jutro albo pojutrze, o ile wszystko pójdzie tak jak ostatnio.

- Lecter to nie wszystko, czym dysponujemy.

- Zlokalizowano jak dotąd sześciu Williamów Rubinów, jeden lepszy od drugiego. Żaden nie wydaje się pasować. Nie ma żadnego Williama Rubina wśród prenumeratorów czasopism entomologicznych. Cech szlifierzy noży odnotował w ciągu ostatnich dziesięciu lat pięć przypadków zakażenia wagiłkiem afrykańskim. Sprawdzamy je. Co jeszcze? Nie zidentyfikowano dotąd Klause. Interpol donosi, że w Marsylii wystawiony został list goniczy na nazwisko norweskiego marynarza Klause Bjetlanda, jakkolwiek się to wymawia. W Norwegii poszukują jego karty stomatologicznej. Maja nam ją przesłać. Jeśli otrzymamy jakies materiały z klinik, a będziesz miała chwilę czasu,

mozesz nam pomoc. Starling?

- Tak, panie Crawford?

- Wracaj na uczelnie.

- Jesli nie chce pan, zebym nadal go scigala, to nie powinien byl pan zabierac mnie ze soba do tego domu pogrzebowego.

- Tak - powiedzial Crawford. - Sadze, ze nie powinienem. Ale wtedy nie odkrylibysmy owada. Nie oddawaj rewolweru. W Quantico jestes dosc bezpieczna, ale wybierajac sie poza baze, nie zapomnij wziac ze soba broni. Do czasu, oczywiscie, kiedy dostaniemy w nasze rece doktora Lectera, zywego lub martwego.

- A co bedzie z panem? On pana nienawidzi. Duzo myśli na pana temat.

- Mnostwo ludzi o mnie myśli, Starling, w wielu wiezieniach. Kiedys, w przyszlosci, moglyb wrocic do tej sprawy, ale teraz za bardzo jest zajety. Wolnosc jest rzeczka slodka i on wcale nie zamierza jej narazac dla zemsty. A to miejsce jest bezpieczniejsze, niz na to wyglada.

W kieszeni Crawforda zabrzeczal telefon. Na aparacie stojacym na biurku zapalilo sie swiatelko. Sluchal przez kilka chwil, powiedzial „dobrze” i odlozyl sluchawke.

- Odnaleziono ambulans na podziemnym parkingu lotniska w Memphis. - Potrzaszal glowa. - Niedobrze. Sanitariusze byli z tylu. Obydwaj martwi. - Crawford zdjal okulary i szukal po kieszeniach chusteczki, zeby je wytrzeć.

- Byl telefon z Muzeum Smithsona. Odebral Burroughs, pytali o ciebie. Ten facet, Pilcher. Koncza prace nad owadem. Chce, zebyś napisala na temat kokonu pelny raport i dolaczyla go do swego zapisu sluzby. Ty go odnalazlas, ty szlas jego sladem, i chce, zeby slad o tym pozostal w twoich aktach. Dasz rade teraz to zrobic?

Clarice nigdy w zyciu nie byla tak zmeczona.

- Jasne - odpowiedziala.

- Zostaw swój samochod w garazu. Kiedy skonczysz, Jeff odwiezie cie do Quantico.

Stojac na stopniach obrócila twarz ku oswietlonym, zaslonietym oknom, za ktorymi pelnila dyzur pielegniarka, a potem spojrzala na Crawforda.

- Mysle o was obojgu, panie Crawford.

- Dziekuje ci, Starling - powiedzial.

## ROZDZIAŁ 40

- Doktor Pilcher powiedział, że będzie na pana czekał w owadziim zoo. Zaprowadze tam pania  
- powiedział strażnik.

Zeby dostać się do owadziiego zoo, wchodząc do muzeum od strony Constitution Avenue, trzeba wysiąść z windy jedno piętro nad wielkim wypchanym słoniem i przejść przez całą rozległą kondygnację, poświęconą badaniom nad człowiekiem.

Najpierw minęła coraz wyższe i szersze rzędy czaszek, obrazujące gwałtowny wzrost populacji od czasów Chrystusa.

Postaci dziewczyny i strażnika przesuwały się poprzez mroczny krajobraz zaludniony eksponatami ilustrującymi pochodzenie i drzewo genealogiczne człowieka. Były tu okazy związane z czynnościami rytualnymi: tatuże, skrepowane nogi nieboszczyków, modyfikacje uzębienia, przykłady peruwiańskiej chirurgii i sztuka mumifikacji.

- Czy widziała pani kiedyś Wilhelma von Ellenboga? - spytał strażnik oświetlając latarką gablotę.

- Nie, chyba nie - odparła nie zwalniając kroku.

- Powinna pani tu przyjść, kiedy jest pełne oświetlenie, i dobrze mu się przyjrzeć. Pochowali go w Filadelfii w osiemnastym wieku. Kiedy dotarli do niego wody gruntowe, cały zamienił się w mydło.

Owadzie zoo mieści się w dużej sali pogrążonej teraz w ciemności i wypełnionej piskami i trzepotem skrzydeł. Stoją tu klatki i gabloty z żywymi owadami. Szczególnie lubią to zoo dzieci, defilują tedy przez całą bożę dzień. W nocy pozbawione publiczności owady zajmują się swoimi sprawami. Kilka klatek oświetlonych było czerwonymi żarówkami, wyżej palił się intensywna czerwienią napis wskazujący wyjście awaryjne.

- Doktorze Pilcher?! - zawołał z progu strażnik.

- Jestem tutaj - odezwał się Pilcher, podnosząc do góry minilatarke.

- Czy odprowadzi pan z powrotem tę panią?

- Tak, dziękuję.

Clarice sięgnęła do torebki po swoją własną latarkę i odkryła, że przełącznik jest włączony, a baterie wyczerpane. Złość przypominała jej o własnym zmęczeniu i o tym, że musi się wziąć w garść.

- Dzień dobry, pani inspektor Starling.

- Dzień dobry, doktorze Pilcher.

- Co by pani powiedziała na „profesorze Pilcher”?

- A jest pan profesorem?

- Nie, tak samo jak nie jestem doktorem. Jestem za to naprawdę zadowolony, że pania widze. Ma pani ochotę obejrzyć kilka owadów?

- Pewnie. A gdzie doktor Roden?

- Przez ostatnie dwie noce zajmował się intensywnie owłosieniem i w końcu padł na twarz. Czy widziała pani tego drugiego owada, zanim się do niego dobraliśmy?

- Nie.

- Był cały w kawalkach, naprawdę.

- Ale odkryliście, co to jest, zrekonstruowaliście go?

- Tak. Skonczyliśmy całkiem niedawno. - Zatrzymał się przed drucianą klatką. - Najpierw pokaże pani cme podobna do tej, która przyniosła pani w poniedziałek. Nie jest dokładnie tego samego gatunku co tamta, ale z tej samej rodziny, rodziny sówek. - Światło latarki padło na dużą, niebieską, błyszczącą cme. Siedziała na galaktyce, miała złożone skrzydła. Pilcher dmuchnął na nią i natychmiast szeroko je rozpostarła. Ukazała się na nich groźna twarz sowy, świecące w obwódkach oczy do złudzenia podobne do tych, które pojawiają się nad szczurem w ostatniej chwili jego życia. - Ten gatunek nazywa się

Caligo beltrao, występuje dość powszechnie. Okaz znaleziony u Klausa jest większy. Przejdźmy dalej.

W rogu pokoju była gabłota dopasowana do znajdującej się w ścianie wnęki. Z przodu była barierka. Do gabłoty nie miały dostępu dzieci, przykryta była zasłoną. W środku brzęczał mały nawilzacz.

- Trzymamy ją za szybę, żeby chronić palce odwiedzających. Może ugryźć. Lubi wilgoć, a takie środowisko łatwiej zapewnić w zamkniętym szklanym pomieszczeniu. - Pilcher ujął delikatnie klatkę za uchwyty i przesunął trochę do przodu. Unosił pokrywę i zapalił u góry małe światelko.

- Nazywa się trupia główka - powiedział. - Siedzi na lodydze wilczej jagody. Miejmy nadzieję, że rozłoży skrzydła.

Cma była wspaniała i straszna, duże brązowo-czarne skrzydła okrywały ją niczym peleryną. Na szerokim, pokrytym krótkimi włoskami grzbiecie widniał znak, który budził ludzki strach zawsze, odkąd człowiek natrafił na nią po raz pierwszy. Sklepiona czaszka, czaszka, a zarazem twarz, ciemne oczodole, kości policzkowe, wspaniale odtworzona pod oczodolami kość jarzmowa.

- Acherontia styx - powiedział Pilcher. - Nazwa wzięła od dwóch rzek, które płyną w Hadesie. Ten facet wyrzuca za każdym razem zwłoki do rzeki... Czyba o tym czytałem?

- Tak - odparła. - Czy to rzadki gatunek?

- Tak, w tej części świata nie występuje w ogóle w naturze.

- Skąd pochodzi? - Starling przytknęła twarz do drucianego dachu klatki. Jej oddech poruszył włoski na grzbiecie cmy. Owad skrzeknął i groźnie zatrzepotał skrzydłami. Cofając się poczuła lekki powiew.

- Z Malezji. Istnieje również odmiana europejska, nazywa się Acherontia atropos, ale ta odnaleziona w gardle Klausego pochodzi z Malezji.

- A więc ktoś ją tutaj wyhodował? Pilcher kiwnął głową.

- Tak - powtórzył głośno widząc, że na niego nie patrzy. - Musiała zostać dostarczona z Malezji w formie jaja albo, co bardziej prawdopodobne, poczwarki. Nikomu nigdy nie udało się tych ciem skłonić do złożenia jaj w niewoli. Kopulują ze sobą, ale nie składają jaj. Najtrudniej jest znaleźć w dzungli poczwarkę. Wyhodowanie dorosłego osobnika jest już potem całkiem łatwe.

- Powiedział pan, że potrafią ugryźć.

- Maja ostrą i silną ssawkę i jeśli ktoś jest nieostrożny, potrafią ciachnąć ją w palec. To nietypowy narząd i nie rozpuszcza się w alkoholu. Pomogło nam to zawęzić pole poszukiwań, dzięki temu tak szybko ją rozpoznaliśmy. - Pilcher wydawał się nagle zakłopotany, jakby złapała go na przechwałkach. - Są bardzo wojownicze - mówił dalej. - Napadają na ule i kradną miód. Prowadziliśmy kiedyś poszukiwania w Sabah, na Borneo, i natrafiliśmy na nie nagle za schroniskiem młodzieżowym. Niesamowity był odgłos, jaki wydawały...

- Skąd wziął się ten konkretny owad?

- Wymiana międzyrządowa z Malezją. Nie wiem, co im za niego daliśmy. To było zabawne, zaczęliśmy się w cieniu z wiadrzem pełnym cyjanku, a one...

- Jakiego rodzaju deklaracje celne wypełnia się w takim przypadku? Czy macie gdzieś tutaj jej kopie? Czy na wywóz z Malezji wydaje się specjalne zezwolenie? Kto je otrzymał?

- Bardzo się pani spieszy. Proszę spojrzeć, wypisałem tutaj wszystkie informacje, jakimi dysponujemy, i pisma, w których możecie zamieścić ogłoszenia, jeśli chcecie się bawić w takie rzeczy. Chodźmy, wyprowadzę panią stąd.

Przeszli w milczeniu długi korytarz. W świetle windy spostrzegła, że Pilcher jest tak sarnie zmęczony jak ona.

- Stracił pan przy tym sporo czasu - powiedziała. - To była dobra robota. Nie chciałam być przed chwilą niedelikatna, jestem po prostu...

- Mam nadzieje, ze go zlapiecie. Mam nadzieje, ze wktotce skonczy pani te sprawe. Wypisalem tam takze chemikalia, jakie moga mu byc potrzebne, jesli hoduje je w domu... Chcialbym poznać pania blizej, pani inspektor.

- Byc moze powinnam zadzwonic, kiedy bede miala chwile czasu.

- Zdecydowanie powinna pani, absolutnie. Bardzo mi na tym zalezy - zapewnil.

Drzwi windy zamknely sie, Pilcher i dziewczyna znikneli. Krolestwo czlowieka zastyglo w bezruchu. Nie poruszyla sie zadna wytatuowana postac, nie drgnela ani jedna mumia, nie zaszuraly skrepowane stopy.

W owadzim zoo, w tysiacach otwartych oczu starszych braci w ewolucji odbijalo sie wskazujace wyjscie awaryjne swiatlo. Nawilzacz brzeczal i syczal. W czarnej klatce, pod pokrywa, cma trupia glowka schodzila w dol po lodydze wilczej jagody. Skrzydla okrywaly ja niczym peleryna. Podeszla do stojacej na podlodze miseczki i odnalazla w niej plaster miodu. Chwycila go mocno przednimi odnozami, wysunela ssawke i wbila ja w woskowe scianki plastra. Usiadla na odwloku i ssala cicho, a wszedzie wokol niej rozbrzmiewaly w ciemnosci piski i trzepot skrzydel, rodzilo sie i konczylo zycie.

## ROZDZIAI 41

Catherine Baker Martin lezala w glebi, w nienawistnej ciemnosci. Ciemnosc weszla jej pod powieki, w niespokojnym, krotkim snie miala wrazenie, ze ciemnosc wdziera sie i do jej wnetrza. Podstepnie wslizguje sie przez nos i przez uszy. Lepkie palce ciemnosci penetruja wszystkie otwory w jej ciele. Jedna reka zatkala usta i nos, druga zaslonila pochwe, zacisnela z calej sily posladki i przylozyla ucho do materaca. Drugie ucho wydala na pastwe ciemnosci. Razem z ciemnoscia wdarl sie tamtedy do srodka dzwiek. Obudzila sie dygoczac. Znajomy, monotony terkot: to byla maszyna do szycia. Maszyna elektryczna o zmiennej szybkości. Najpierw szyl powoli, teraz szybko.

Wyzej, w piwnicy, palilo sie swiatlo. W miejscu gdzie w pokrywie studni znajdowal sie niewielki, otwarty wlaz, widziala nad soba slaby, zolty krazek swiatla. Kilka razy zaszczekal pudel, slyszala, jak przemawia do niego nienaturalny, przytlumiony glos.

Szycie. Tu, w dole, szycie bylo takim koszmarem. Szyc powinno sie w pelnym swietle. Przypomniala sobie sloneczny pokoj z dzieciinstwa... przy maszynie siedzi gosposia, kochana Bea Love... maly kotek kreci sie przy podniesionej przeciagiem zaslonie.

Glos przeploszyl wspomnienia, karcil za cos pudla.

- Zostaw to, Skarbuniu. Przyszpili cie igla i co wtedy bedzie? Juz prawie koncze. Tak, kochanie. Dostaniesz cos do zucia-aa, jak skonczymy, dostaniesz cos do zucia-aa, dudi dudi da.



Catherine nie zdawała sobie sprawy, jak długo jest uwieziona.

Pamiętała, że myła się dwa razy. Ostatnim razem stanęła w pełnym świetle chcąc, żeby przyjrzał się jej ciału, nie będąc pewna, czy rzeczywiście spogląda na nią zza oslepiającego reflektora. Naga Catherine Baker Martin to nie było byle co. Dobrze o tym wiedziała. Chciała, żeby to zobaczył. Chciała, żeby wyciągnął ją ze studni. Kiedy będzie go miała dość blisko, żeby się pieprzyć, będzie też dość blisko, żeby walczyć. Powtarzała to sobie cicho myjąc się. Dostawała bardzo mało do jedzenia i wiedziała, że lepiej zrobić to teraz, kiedy jest jeszcze silna. Wiedziała, że go pokona. Wiedziała, że potrafi to zrobić. Czy lepiej pozwolić mu się najpierw pieprzyć, pieprzyć tyle razy, ile tylko będzie mógł, żeby się zupełnie wypompował? Wiedziała, że jeśli zdoła mu założyć nogi na szyję, wyśle go na tamten świat w półtora sekundy. Czy odwagę się to zrobić? Do wszystkich diabłów, pewnie, że się odwagę. W oczy i w jaja, w oczy i w jaja, w oczy i w jaja. Ale kiedy skończyła się myć i założyła świeży kombinezon, nie usłyszała z góry ani słowa zachęty. Nie było odpowiedzi na jej ofertę: wiadro z wodą do kąpieli kołysząc się na cienkim sznurku zniknęło w gorze, zamiast niego pojawił się jej stary kubel.

Czekała teraz, po upływie wielu godzin później, i przysłuchiwała się maszynie do szycia. Nie wolała go. Po jakimś czasie, może po tysiącu oddechów, usłyszała, jak wchodzi do góry po schodach, mówi coś do psa:

- ...śniadanie, jak wroce.

Zostawił zapalone światło w piwnicy. Zdarzało mu się to od czasu do czasu.

Stapanie po kuchni, drapanie pazurkami. Skomlenie psa. Jej porwacz wyszedł chyba z domu. Czasami nie było go bardzo długo.

Mijały oddechy. Mały piesek chodził po kuchni, skomlał, grzechotał czymś, walil o podłogę, może swoją miskę. Znowu skrobanie pazurkami. I szczekanie, krótkie, ostre szczeknięcia, tym razem nie tak wyraźne, jak wówczas, kiedy pies znajdował się nad nią, w kuchni. Nie było go tam. Otworzył sobie pyskiem drzwi i zbiegł na dół, do piwnicy, polował na myszy. Robił to i przedtem, kiedy pana nie było w domu.

Głęboko w ciemności Catherine Martin obmacała podłogę pod materacem. Znalazła i obwąchała kostkę kurczaka. Z trudem powstrzymała się, żeby nie obgryźć kawałków mięsa i chrząstek. Włożyła kostkę do ust, żeby ją ogrzać. Wstała na nogi, chwiejąc się lekko w przyprawiającej o zawrót głowy ciemności. Oprócz niej w prostopadłej dziurze był tylko materac, okrywający ją kombinezon, plastikowe wiadro i przywiązany do niego, biegnący ku bładozłtemu krawkowi światła cienki bawełniany sznurek.

Rozważała tę możliwość, kiedy tylko była w stanie jasno myśleć. Wyciągnęła ręce tak wysoko, jak mogła, i złapała sznurek. Lepiej szarpnąć czy pociągnąć? Namysłowała się nad tym przez tysiące oddechów. Lepiej równomiernie pociągnąć.

Bawełniany sznurek napiał się bardziej, niż się spodziewała. Złapała go trochę wyżej i ciągnęła kołysząc ramieniem z boku na bok, w nadziei, że sznurek przetrze się o drewniany skraj

otworu. Kolysala, az rozbolalo ja ramie. Pociagnela mocniej, sznurek napial sie maksymalnie, wiecej sie juz nie rozciagal. Prosze, urwij sie jak najwyzej. Trzasnelo i sznurek opadl na twarz Catherine.

Przykucnela na podlodze, czula lezacy na glowie i ramionach sznurek, za ciemno bylo, zeby mu sie przyjrzec. Nie wiedziala, jaki jest dlugi. Zeby sie tylko nie poplatal. Ostroznie ulozyla go w zwojach mierzac kazdy ramieniem. Naliczyla czternascie zwojow. Sznurek pekl u szczytu studni.

Przywiazala kostke z kawalkami miesa przy uchwycie wiadra.

Teraz najtrudniejsze.

Nie popsuj teraz wszystkiego. Zmobilizowala sie wewnetrznie. Wyobrazila sobie, ze jest sama w malej lodce podczas burzy, musi sie uratowac.

Przywiazala drugi koniec sznurka do nadgarstka, zaciskajac wezel zebami.

Stanela tak daleko od sznurka, jak to bylo mozliwe. Trzymajac wiadro za uchwyt, zakrecila nim wielkie kolo i cisnela prosto ku niewyraznemu krazkowi swiatla w gorze. Plastikowe wiadro nie trafilo w otwarty wlaz, uderzylo w drewniana pokrywe i spadlo z powrotem, uderzajac ja w twarz i w ramie. Szczekanie psa rozleglo sie gdzies blizej.

Ulozyla sznurek z powrotem i rzucila ponownie, i jeszcze raz. Za trzecim razem spadajace wiadro uderzylo ja w zlamany palec i musiala pochylic sie ku pochyłej scianie i oddychac gleboko, az minely jej nudnosci. Wiadro spadlo na nia i za czwartym razem, ale za piatym nie. Bylo na zewnatrz. Lezalo gdzies na drewnianej obudowie studni obok otwartego wlazu. Jak daleko od dziury? Spokojnie. Delikatnie pociagnela. Raczka wiadra stuknela o drewno.

Szczekanie rozleglo sie gdzies blizej.

Nie wolno jej przeciagnac wiadra przez skraj wlazu, ale musi przysunac je blizej. Przysunela je blizej.

Piesek krecil sie miedzy lustrami i manekinami w przyleglym pomieszczeniu. Obwachal nitki i skrawki materialu lezace pod maszyna do szycia. Tracil nosem wielka czarna szafe. Spojrzal w strone, z ktorej dochodzily dzwieki. Podbiegl blizej, zaszczekal i cofnal sie z powrotem.

W piwnicy odbil sie niewyraznym echem glos.

- Skarbuuuunia.

Piesek podskoczyl w miejscu. Kiedy szczekal, trzeslo sie cale jego drobne, tluste cialo.

Teraz doszlo go glosne cmokanie.

Piesek spojrzal do gory, na drzwi do kuchni, ale odglosy nie dochodzily stamtad.

Odglos mlaskania, jak przy jedzeniu.

- Chodz, Skarbuniu. Chodz tutaj, kochanie. Na wyprezonych lapach, z postawionymi uszami pudel wsunal sie do ciemnego pomieszczenia. Znowu cmokanie.

- Chodz, cukiereczku, chodz, Skarbuniu.

Pudel poczul kosc kurczecia przywiazana do uchwytu wiadra. Podrapal lapa o sciane studni i zaskomlal. Mniam-mniam-mniam. Pudel wskoczyl na drewniana obudowe studni. Zapach dochodzil wlasnie stamtad, spomiedzy wiadra i dziury. Pies zaszczekal na wiadro i zaskomlal niezdecydowany. Kosc poruszyla sie leciutko.

Pudel wyprezyl sie z pyskiem wsunietym miedzy przednie lapy i podniosl grzbiet, gotow do ataku. Zaszczekal dwa razy i rzucil sie na kosc, chwytajac ja zebami. Wiadro staralo sie go od niej odsunac. Pudel zawarczal na wiadro i usiادل okrakiem na uchwycie, nie wypuszczajac z zebow kosci. Nagle wiadro przewrocilo go na grzbiet i pociagnelo za soba, pudel probowal stanac na nogi, przewrocil sie znowu, walczył z wiadrem, do dziury wpadla mu tylna lapa i zadek, goraczkowo drapal pazurami o drzewo, wiadro sunelo dalej, az oparlo sie o psi grzbiet, nagle pies uwolnil sie, a wiadro przechylilo i zniknelo, ucieklo do dziury, razem z koscia. Pudel pochytil sie i zaszczekal gniewnie do srodka, szczekanie odbilo sie glosnym echem o sciany studni. Potem umilkl i nadstawil uszu na dzwiek, ktory dotarl tylko do niego. Zlzl z cembrowiny i popiskujac pobiegl schodami do gory. Gdzies w budynku trzasnely zamykane drzwi.

Gorace lzy plynely z oczu Catherine, splywaly po policzkach i kapaly na kombinezon, az utworzily mokre plamy na piersiach. Uwierzyla teraz, ze musi umrzec.

## **ROZDZIAI 42**

Crawford stal na srodku swego gabinetu, trzymajac rece gleboko w kieszeniach. Stal tak od godziny 0.30 do 0.33 czekajac, az przyjdzie mu do glowy jakis pomysl. Potem wyslal teleks do kalifornijskiego Wydzialu Komunikacji z prosba o przyslanie papierow samochodu campingowego, ktory, wedlug relacji doktora Lectera, Raspail kupil w Kalifornii i w ktorym podrozowal razem z Klausem. Crawford prosil wydzial o sprawdzenie wystawionych na ten samochod mandatow, na nazwisko inne niz Benjamin Raspail.

Potem siادل na sofie z notesem w reku i pracowal nad tekstem ogloszenia, ktore zamierzal umiescic w czolowych gazetach w calym kraju:

Apetyczna, pelna temperamentu pieknosc o ksztaltach Junony, 21 lat, modelka, szuka mezczyzny, ktory ceni sobie jakosc ORAZ ilosc. Reklamowalam kosmetyki, widziales mnie w kolorowych magazynach, teraz ja chce zobaczyc ciebie. Przyslij zdjecia w pierwszym liscie.

Crawford zastanawial sie przez chwile, skreslil „o ksztaltach Junony" i zamiast tego napisal „dobrze zbudowana".

Naraz głowa opadła mu na piersi i zasnął. W szklach jego okularów odbijał się wieloma małymi kwadracikami zielony ekran monitora. Coś zaczęło się tam dziać, w górę uciekały rzadki pisma, litery skakały po szklach Crawforda. Potrząsnął przez sen głową, jakby obraz laskotał go pod powiekami. Wiadomość brzmiała:

Podczas przeszukania celi Lectera policja z Memphis odkryła dwa przedmioty.

(1) Własnej roboty klucz do kajdanek zrobiony z wkładu do długopisu. Naciecia powstałe w wyniku tarcia. Prosi się Baltimore o sprawdzenie celi szpitalnej, czy nie pozostały ewentualne ślady, podpisał Copley, biuro terenowe Memphis.

(2) Pozostawiona przez zbiega w toalecie kartka wyrwana z notesu. Oryginał w drodze do sekcji dokumentów. Załączamy odbitkę telefaksowa. Odbitkę wysłaliśmy również do Langley, do działu kryptografii, na rece Bensona.

Odbitka powoli wynurzała się z dołu ekranu, niczym głowa kogoś, kto chciałby niepostrzeżenie zajrzeć do środka pokoju. Kiedy pojawiła się w całości, wyglądała następująco:

C33H36ILT06N4

Buczenie komputera nie obudziło Crawforda, zrobił to dopiero telefon, trzy minuty później. Dzwonił Jerry Burroughs pełniący dyżur w krajowym centrum informacji kryminalnej.

- Spojrzałeś na ekran, Jack?

- Chwileczkę - powiedział Crawford. - Tak, widzę.

- W laboratorium już to mają, Jack. Napis, który Lecter zostawił w kiblu. Cyfry pomiędzy literami nazwiska Chiltona to wzór biochemiczny - C33H3606N4. Taki wzór ma jeden z pigmentów znajdujących się w ludzkiej żółci, nazywa się Bilirubina. W laboratorium twierdzą, że to właśnie ona zabarwia kał.

- Bzdury.

- Miałaś rację co do Lectera, Jack. Zrobił sobie z nich jaja. Na nieszczęście senator Martin. W laboratorium mówią, że Bilirubina ma dokładnie ten sam kolor co włosy doktora Chiltona. Humor prosto z domu wariatów. Widziałeś Chiltona w wiadomościach o szostej?

- Nie.

- Oglądała go Marilyn Sutter, piętro nad nami. Chilton puszył się jak paw i opowiadał o „poszukiwaniach Billy'ego Rubina”. Potem poszedł na obiad, zaprosił go reporter z telewizji. Pozerał go właśnie, kiedy Lecter wyszedł na spacer. Skonczony dupek.

- Lecter powiedział Starling, żeby pamiętała, że Chilton nie ma wykształcenia medycznego - powiedział Crawford.

- Tak, czytałem to w sprawozdaniu. Myśle, że Chilton chciał przelecieć Clarice Starling, a ona pokazała mu, jaki jest mały. Może być głupcem, ale nie jest ślepy. Jak się czuje ta mała?

- Myśle, że dobrze. Zmordowana.

- Sądzi, że Lecter ją także wystawił do wiatru?

- Być może. Ale będziemy się tego trzymać. Nie wiem, co się dzieje w klinikach. Wciąż myślę, że powinniśmy im sędziwie zająć dokumentację. Nie mogę znieść myśli, że zależy od ich dobrego humoru. Jutro rano, jeśli nie dostarczą nam żadnych danych, wystąpię o nakaz sądowy.

- Powiedz mi, Jack... Chyba masz u siebie kilku ludzi, którzy wiedzą, jak wygląda doktor Lecter?

- Oczywiście.

- Nie wiadomo, czy gdzieś się z nas teraz nie śmieje.

- Ten się śmieje, kto się śmieje ostatni - odparł Crawford.

## ROZDZIAŁ 43

Doktor Hannibal Lecter stał w recepcji eleganckiego hotelu Marcus w St Louis. Miał na głowie kapelusz i zapięty pod samą szyję płaszcz przeciwdeszczowy. Nos i policzki przewiązane eleganckim chirurgicznym bandażem.

W rejestrze gości podpisał się „Lloyd Wyman”, podpisem, który przećwiczył w samochodzie Wymana.

- Jak pan będzie płacił, panie Wyman? - zapytał recepcjonista.

- American Express. - Doktor Lecter podał mu kartę kredytową Lloyd Wymana.

Z hallu dobiegały łagodne dźwięki fortepianu. Przy barze doktor Lecter spostrzegł dwoje ludzi z opatrunkami na nosach. W stronę wind szła para w średnim wieku nucić melodie Cole'a Portera. Oko kobiety zasłonięte było opatrunkiem z gazy.

Recepcjonista wyjął kartę kredytową z komputera.

- Ma pan prawo do korzystania ze szpitalnego garażu, panie Wyman.

- Tak, dziękuję - odparł doktor Lecter. Zaparkował już samochód Wymana w garażu, z Wymanem w bagażniku.

Portier, który przyniósł rzeczy Wymana do małego apartamentu, otrzymał w ramach napiwku jeden z należących do Wymana pięciodolarowych banknotów.

Doktor Lecter zamówił drinka i sandwich i długo relaksował się pod prysznicem.

Po latach spędzonych w zamknięciu apartament wydał mu się olbrzymi. Bawiło go chodzenie po nim to tu, to tam, od drzwi do okna, od ściany do ściany.

Po drugiej stronie ulicy mógł dostrzec przez okno wchodzący w skład miejskiego szpitala w St Louis pawilon Myron i Sadie Fleischerów. Mieszcząca się w nim klinika należała do najbardziej znanych w świecie ośrodków chirurgii twarzy i czaszki.

Oblicze doktora Lectera było zbyt znane, żeby odważył się skorzystać z usług któregoś z miejscowych chirurgów plastycznych, ale było to jedyne miejsce na świecie, gdzie mógł śmiało paradować z bandażem na twarzy, nie budząc niczyich podejrzeń.

Był tu już raz kiedyś, przed wieloma laty, kiedy prowadził studia nad pewnym problemem psychiatrycznym we wspaniałej bibliotece Brockman Memorial.

To, że miał okno, a nawet kilka okien, uderzało mu do głowy. Stał przy nich w ciemności, patrząc na słońce przez most MacArthura światła samochodów i popijając swego drinka. W kościach odczuwał przyjemne zmęczenie po pięciogodzinnej jeździe z Memphis.

Tego wieczoru naprawdę spieszyć się musiał tylko raz, na podziemnym parkingu międzynarodowego lotniska w Memphis. Dokładne umycie się za pomocą małych tamponów waty, alkoholu i wody destylowanej nie należało do przyjemności. Kiedy miał już na sobie biały medyczny fartuch, jedynym problemem było odnalezienie jakiegoś samotnego podróżnego w opuszczonej, przeznaczonej na długie parkowanie części garażu. I taki się zjawił. Z wolna pochylił się nad bagażnikiem, żeby wyjąć stamtąd elegancką walizkę, i nie zauważył nawet zbliżającego się z tyłu doktora Lectera.

Doktor Lecter zastanawiał się, czy policja uwierzyła, że jest na tyle głupi, żeby podróżować samolotem.

Jedynym problemem podczas jazdy do St Louis było odnalezienie w zagranicznej marki samochodzie przełączników długich i krótkich świateł oraz wycieraczek. Doktor Lecter nie był przyzwyczajony do przełączników wbudowanych w kierownicę.

Jutro kupi rzeczy, których potrzebuje: szampon rozjasniający, przybory fryzjerskie i lampę kwarcową. Były i inne przedmioty, które dostać można tylko na receptę, a których potrzebował, by dokonać kilku natychmiastowych zmian w swoim wyglądzie.

Kiedy będzie gotów, ruszy dalej.

Nie było powodu, żeby się spieszyć.

# ROZDZIAŁ 44

Ardelia Mapp leżała w łozku, w swojej zwykłej pozycji, podparta łokciem nad książką. Słuchała programu nadającego non stop serwis informacyjny. Wylaczyła go, kiedy do pokoju powłócząc nogami weszła Clarice Starling,

- Chcesz herbaty? - Widząc wymizerowaną twarz koleżanki, nie pytała na szczęście o nic więcej.

Ucząc się Mapp popijała napój parzony na drobno pokrojonych listkach, przysyłanych jej przez babkę. Nazywała go „herbatka mądrych ludzi”.

Z dwójga najinteligentniejszych osób, z którymi zetknęła się Clarice, jedna była zarazem najbardziej zrównowazona, a druga najbardziej przerażająca. Miała nadzieję, że nadaje to pewną równowagę jej znajomościom.

- Miałas szczęście, że cie dziś nie było - mówiła Mapp. - Ten przeklęty Kim Won zagonił nas dosłownie na śmierć. Wcale nie bujam. Myślę, że oni muszą mieć silniejszą grawitację tam, w Korei. Przyjeżdża taki potem tutaj i aż go rozpięra, czuje się lekki jak piórko, bierze posadę nauczyciela wuefu, bo to dla niego żadna robota... Wpadł tu John Brigham.

- Kiedy?

- Dzisiaj wieczorem, jakiś czas temu. Chciał wiedzieć, czy już wróciłaś. Przyczesał sobie włosy. Przeskakiwał z nogi na nogę jak prawiczek. Trochę rozmawialiśmy. Powiedział, że jeśli masz zaległości i musimy teraz razem kuc, może przelożyć nam zaliczenie ze strzelania na weekend. Otworzy strzelnicę specjalnie dla nas. Powiedziałam, że dam mu znać. Miły gość.

- Tak, jest całkiem miły.

- Czy wiesz, że on chce, żebyś reprezentowała Akademię w międzywydziałowych zawodach strzeleckich przeciwko ekipom Agencji do Zwalczania Narkotyków i Urzędu Celnego?

- Pierwszy raz słyszę.

- W zawodach otwartych, nie kobiecych. Następne pytanie: co wiesz na temat czwartej poprawki do konstytucji na piątkowy egzamin?

- Wiem to i owo.

- No więc świetnie, czego dotyczyła sprawa Chimela przeciwko stanowi Kalifornia?

- Przeszukan w szkołach średnich.

- Czego konkretnie podczas tych przeszukan?

- Nie wiem.

- Chodzi o koncepcje „bezpośredniego dostępu”. Kto to był Schneckloth?

- Nie wiem, do diabła.

- Sprawa Schneckloth przeciwko Bustamonte.

- Czy to chodzi o zasadę nietykalności osobistej?

- Pudło. Nietykalności osobistej dotyczy zasada Katza. U Schneckloth chodzi o zgodę na przeszukanie. Widzę, że będziemy musiały niezłe powkuwać, moja mała. Porobiłam notatki.

- Nie dzisiaj.

- Nie. Ale jutro obudzisz się świeża i spragniona wiedzą, i wtedy zabieramy się do roboty, tak żebyś była gotowa na piątek. Brigham powiedział... właściwie to miał to zachować w tajemnicy i obiecałam mu... więc powiedział, że z przesłuchania wyjdiesz obronna reka. Uważa, że ten zatwardziały sukinyś Krendler za dwa dni nie będzie nawet pamiętał, kim jesteś. Masz dobre oceny, damy sobie z łatwością radę. - Mapp przyjrzała się lepiej jej zmęczonej twarzy, - Zrobiłaś więcej niż ktokolwiek dla tej biedaczki, Clarice. Nadstawiłaś za nią karku, dostałaś po lapach i w ogóle niezłe zamieszałaś. Teraz sama musisz dać sobie szansę. Właz do betow i spij. Pozamykam drzwi i pogaszę światła.

- Dzięki, Ardelia.

I potem, kiedy zgasły światła.

- Clarice?

- Tak?

- Kto jest według ciebie przystojniejszy, Brigham czy Ognisty Bobby Lowrance?

- Trudno powiedzieć.

- Brigham ma na ramieniu tatuż, widziałam to przez koszulę. Co ma tam napisane?

- Nie mam pojęcia.

- Powiesz mi, jak będziesz wiedziała?

- Prawdopodobnie nie.

- Ja ci powiedziałam, że Ognisty Bobby ma ślipy ze skóry pytona.

- Zobaczyłaś to przez okno, kiedy ćwiczył podnoszenie ciężarów.



- To Gracie ci wyplala? Tej dziewczynie powinno sie uciac jezyk... Clarice spala.

## ROZDZIAI 45

Krotko przed godzina 3.00 drzemiacy obok zony Crawford obudzil sie. Bella przestala na chwile oddychac i poruszyla sie na lozku. Usiadl i wzial ja za reke.

- Bella?

Odetchnela gleboko i wypuscila powietrze z pluc. Po raz pierwszy od wielu dni miala otwarte oczy. Crawford zblizyl do niej twarz, choc nie wierzyl, by mogla go widziec.

- Bella, dziecino, kocham cie - powiedzial na wypadek, gdyby slyszala.

Strach drapal mu piersi, miotal sie w srodku niczym oszalaly nietoperz. W koncu zdolal sie go pozbyc.

Pragnal cos dla niej zrobic, cokolwiek, ale nie chcial zarazem, zeby przestala czuc uscisk jego reki.

Przylozyl ucho do jej piersi. Uslyszal miekkie uderzenie, trzepot, a potem serce przestalo bic. Nie bylo nic, slyszal tylko dziwny, chlodny szum. Nie wiedzial, czy to szumi w jej piersiach, czy w jego wlasnych uszach.

- Niech cie Bog blogoslawi i zatrzyma przy sobie... razem z twoimi bliskimi - powiedzial. Chcial, zeby to byla prawda.

Siedzial oparty o polke u szczytu lozka. W chwili gdy umieral jej umysl, przygarnal ja do siebie i przycisnal do piersi. Podbrodkiem stracil szal z tego, co pozostalo z jej wlosow. Nie plakal. Wszystko to mial juz dawno za soba.

Ubral Belle w jej ulubiona, najlepsza nocna koszule i usiadl na chwile przy lozku, przykladajac jej reke do swego policzka. To byla szeroka, madra reka, poznaczona praca w ogrodzie, a teraz czterema sladami po igle od kroplowki.

Kiedy wracala do domu z ogrodu, jej rece pachnialy tymiankiem.

(„Wyobraz sobie, ze masz na palcach kurze bialko" - w ten sposob szkolne kolezanki wyjasnialy Belli, na czym polega seks. Ona i Crawford zartowali sobie z tego lezac w lozku, przed wieloma laty, po wielu latach, w zeszlym roku. Nie mysl o tym, mysl o czymys dobrym, o czymys czystym. To bylo cos czystego. Miala na sobie okragly kapelusz i biale rekawiczki i kiedy wybierali sie pierwszy raz do niego, gwizdala w windzie dramatyczny poczatek „Begin the Beguine". W pokoju smiala sie, ze nosi w kieszeniach wszystkie swoje skarby jak maly chlopiec).

Crawford spróbował przejść do pokoju obok. Wciąż przecież, kiedy tylko chciał, mógł się obrócić i patrzeć na nią przez otwarte drzwi, patrzeć, jak spoczywa ułożona w ciepłym świetle stojącej obok lampy. Czekal, aż jej ciało stanie się czymś, co będzie można poddać obrzadkowi, czymś oddzielnym od niego i od osoby, która przed chwilą do siebie przytulał, oddzielnym od towarzyski życia, która zatrzymał w pamięci. Czekal, aż będzie mógł wezwać ludzi, żeby ją zabrali.

Z opuszczonymi rękami stał w oknie patrzeć w puste niebo. Nie czekał na wschód słońca. Wschód to był tylko kierunek, na który wychodziło okno.

## ROZDZIAŁ 46

- Gotowa jesteś, Skarbuniu?

Jame Gumb opierał się wygodnie o polkę nad łóżkiem, mała, ciepła suczka leżała zwinięta na jego brzuchu.

Gumb właśnie umył sobie włosy, głowę miał okreconą ręcznikiem. Pogrzebał w poscieli, odnalazł „pilota” i wcisnął na nim przycisk.

Program swego wideo skomponował z dwóch fragmentów skopiowanych na jedną kasete. Oglądał go codziennie, kiedy zajęty był ważnymi przygotowaniami i zawsze na krótko przed dokonaniem dzieła.

Pierwsza taśma zawierała fragment czarno-białej kroniki Movietone News z roku 1948. Przedstawione były na niej ćwierćfinały wyborów Miss Sacramento, początek długiej drogi, której ukoronowaniem są organizowane w Atlantic City wybory Miss America.

Dziewczeta prezentowały się właśnie w strojach kąpielowych. Zbliżały się po kolei do schodów i wchodziły na scenę trzymając w ręku kwiaty.

Pudliczka Gumba znalazła ten pokaz na pamięć i kiedy zabrzmiała muzyka, przymrużyła oczy, wiedząc, że czeka ją zaraz mocny uścisk. Konkurentki wyglądały, jakby trwała jeszcze druga wojna światowa. Nosily jednoczesnościowe kostiumy, kilka z nich miało naprawdę urocze buzie. I ładne nogi, tyle że zupełnie pozbawione mięśni. Pod kolanami robiły im się niewielkie faldy.

Gumb przycisnął do siebie suczkę.

- Teraz idzie ona, Skarbuniu, teraz idzie ona, idzie, idzie!

I oto szła, zbliżała się do schodów w białym kostiumie kąpielowym, rzuciła promienny uśmiech młodzieńcowi, który pomógł jej wejść na górę, a potem oddalała się kolysząc na wysokich obcasach, coraz dalej od kamery filmującej z tyłu jej uda: to była ona. To była Mama.

Gumb nie musiał dotykać przycisków pilota, zaprogramował wszystko wcześniej przy

kopiowaniu tasmy. Wracała teraz, idąc tyłem schodziła ze schodów, odbierała swój uśmiech młodemu człowiekowi i tyłem znikala z kadru. I znowu wychodziła, i znowu się cofała. Do przodu, do tyłu, do przodu, do tyłu.

Kiedy uśmiechała się do młodego mężczyzny, Gumb uśmiechał się także.

Było jeszcze jedno jej ujęcie w grupie, ale zatrzymane w kadrze zawsze się zamazywało. Lepiej było puścić je normalnie i spojrzeć na nią w przelocie. Mama stała razem z innymi dziewczętami, gratulując zwycięzcy.

Następny fragment nagrał z telewizji kablowej w motelu w Chicago. Musiał wtedy wyjść na miasto, kupić magnetowid i specjalnie zostać na następną noc. Film puszczały po nocach na podejrzanym kanale jako tło dla biegnących cały czas drukowanymi literami przez ekran reklam seksualnych. Sklejony był z odpadów całkiem niewinnych klisz z lat czterdziestych i pięćdziesiątych, był tam oboz naturystek grających w siatkówkę, były jeszcze starsze kawalki z lat trzydziestych, na których mężczyźni nosili sztuczne nosy i nie zdejmowali z nog skarpetek. Tło dźwiękowe tworzyła muzyka, jaka była akurat pod ręką. Teraz właśnie grali „The Look of Love”, całkowicie bez związku z toczącą się żywą akcją.

Gumb nie mógł nic poradzić na biegnące przez ekran ogłoszenia. Musiał się z tym po prostu pogodzić.

Oto basen na świeżym powietrzu, sadzany po otoczeniu, gdzieś w Kalifornii. Stylowe meble ogrodowe, wszystko osadzone mocno w latach pięćdziesiątych. Plywające nago dziewczęta, niektóre bardzo ładne. Kilka mogłoby śmiało wystąpić w drugorzędnych hollywoodzkich filmach. Zwawo wyskakują z basenu i biegną, znacznie szybciej niż towarzysząca im muzyka, w stronę zjeżdżalni, wspinają się po szczeblach - i w dół. Szuuuuuu! Z gorki na pazurki! Zjeżdżają rozesmiane, z wyprostowanymi nogami, ze sterczącymi piersiami. Plusk!

Teraz pojawia się Mama. Wychodzi z basenu, zaraz za dziewczyną o kreconych włosach, jej twarz częściowo zasłania reklama sex-shopu Sinderella, ale już widac jej plecy, Mama oddala się od kamery, wspina po drabince, cała mokra, cała błyszcząca od wody, wspaniale zbudowana, cudownie przegięta, z małą blizną po cięciu cesarskim i teraz w dół, po zjeżdżalni, szuuuu! Jest taka piękna. Nawet nie widząc jej twarzy, Gumb wie w głębi duszy, że to Mama i że została tu sfilmowana już po tym, kiedy spoglądał na nią ostatni raz w życiu. Nie licząc, oczywiście, chwil, kiedy pojawiała się w jego wyobraźni.

Ekran wypełnił teraz film reklamujący środki wspomagające dla par młodszych, który po kilku sekundach nagle się urwał.

Suczka przymrużyła oczy dwie sekundy wcześniej, nim przytulil ją do siebie Gumb.

- Och, Skarbuniu. Chodź do mamusi. Mamusia będzie taka piękna.

Dużo roboty, bardzo dużo roboty, żeby zdążyć ze wszystkim na jutro.

W kuchni nigdy, dzięki Bogu, nie słyszał żadnych hałasów, nigdy, nawet kiedy głos stamtąd maksymalnie się nateżał. Nie sposób było jednak nie słyszeć ich na schodach, kiedy schodził do piwnicy. A tak pragnął, żeby materiał spał, miał nadzieję, że będzie zachowywał się cicho. Trzymana pod pachą suczka zawarczała słysząc dochodzący z dziury hałas.

- Ty jesteś lepiej wychowana - powiedział wtulając usta w futerko na jej głowie.

Pomieszczenie, w którym znajdował się loch, było za drzwiami z lewej strony, ale nawet tam nie spojrzął, nie przysłuchiwał się też dochodzącym z dołu słowom - jego zdaniem w najmniejszym stopniu nie przypominały one języka angielskiego.

Gumb skreślił na prawo, do warsztatu. Postawił suczkę na podłodze i zapalił światło. Kilka ciem zatrzepotało skrzydłami i usiadło na okrywających żarówki drucianych siatkach.

Przy pracy, w warsztacie, Gumb był człowiekiem bardzo skrupulatnym. Świeże roztwory przygotowywał zawsze w pojemnikach z nierdzewnej stali, nigdy w aluminium.

Nauczył się robić wszystko z dużym wyprzedzeniem. Przy pracy stale powtarzał: „Musisz być staranny, musisz być precyzyjny, musisz być sprawny, problemy bowiem, z którymi masz do czynienia, są straszliwe”.

Ludzka skóra jest ciężka - liczy szesnastą do osiemnastą procent całej wagi ciała - i śliska. Gdy jest w całości, bardzo niewygodnie się z nią obchodzić. Łatwo ją upuścić, kiedy jest jeszcze wilgotna. Ważny jest również czynnik czasu; skóra kurczy się natychmiast po ściągnięciu, najbardziej u młodych dorosłych osobników, na których jest też najsilniej napięta.

Dodać do tego trzeba fakt, że skóra nie jest wcale tak bardzo elastyczna, nawet u młodych. Jeśli się ją rozciągnie, nigdy nie wraca do pierwotnych rozmiarów. Można zeszyc coś idealnie gładko, a potem za mocno pociągnąć i wokół szwu robią się wszędzie fałdy i wybrzuszenia. Nic nie pomoże wtedy wyplakiwanie sobie oczu przy maszynie. Dochodzą do tego naturalne linie podziału: lepiej wcześniej wiedzieć, gdzie się one znajdują. Dopóki nie rozpuszcza się włókna kolagenu, skóra nie rozciąga się w podobnym stopniu we wszystkich kierunkach; wystarczy pociągnąć nie tam, gdzie trzeba, i po robocie.

Surowy materiał po prostu nie nadaje się do obróbki. Wiele było prób i błędów, wiele gorzkich rozczarowań, zanim Gumb doszedł do właściwych rezultatów.

Ostatecznie przekonał się, że najlepsze są stare, tradycyjne metody. I postępował zgodnie z nimi: najpierw moczył materiał w zbiornikach wypełnionych ekstraktami roślinnymi, które stosowali pierwotni mieszkańcy Ameryki: same naturalne substancje, żadnych soli mineralnych. Potem stosował metodę, dzięki której otrzymuje się idealnie miękkie skóry w Nowym Świecie - klasyczne garbowanie mózgiem. Amerykańscy autochtoni twierdzą, że każde zwierze ma dość własnego mózgu, aby można było wygarbować nim jego skórę. Gumb wiedział, że to nieprawda, i dawno temu zarzucił próby sprostania tej regule, nawet w przypadku mających, jak wiadomo, największy mózg naczelnych. Obecnie miał całą zamrażarkę mózdzku wołowego, nigdy mu go nie brakowało.

Z problemami obróbki materiału mogli sobie poradzić; praktyka uczyniła go w tej dziedzinie prawie niedosięzionym mistrzem.

Pozostawały trudne problemy strukturalne, ale wiedział, że im sprosta, miał w tym kierunku odpowiednie kwalifikacje.

Z warsztatu biegły korytarz prowadzący do nie używanej łazienki, gdzie Gumb przechowywał wyposażenie dźwigu i czasomierz, oraz do pracowni, za którą rozciągała się duża, ciemna komora.

Otworzył drzwi pracowni. Palilo się tutaj jaskrawe światło, do belek sufitu przymocowane były reflektorki i imitujące światło dzienne jarzeniówki. Na podwyższonej podłodze z debowych lakierowanych desek stały manekiny. Wszystkie były ubrane, niektóre w skórze, niektóre w muslinowe krawieckie formy. Osiem manekinów odbijało się w dwóch lustrzanych ścianach - w porządnym, kryształowym taflach, nie żadnych tam szklanych płytkach. Na toalecie stały kosmetyki i kilka stojaków na peruki. To była najjasniejsza jego pracownia, cała w białozłotym debie.

Ubrania na manekinach należały do klientów, w większości były to zapierające swym wyglądem dech w piersiach kamizelki z czarnej owczej skóry, całe w zakładkach i plisach, z podniesionymi ramionami i uwypuklonymi piersiami.

Przy trzeciej ścianie znajdował się duży stół roboczy, dwie przemysłowe maszyny do szycia, dwa damskie manekiny krawieckie i trzeci, którego wymiary zdjęto dokładnie co do centymetra z torsu Jame Gumba.

Przy czwartej ścianie, dominując w jasnym pokoju, stała wielka czarna szafa z chińskiej laki. Siegała prawie sufitu, dwa i pół metra od podłogi. Była stara i zdobiaczy ją desen mocno wyblakł; w miejscu w którym niegdyś znajdował się smok, pozostało kilka złotych lusek i wciąż wyraźne, szeroko otwarte białe oczy, obok widniał czerwony język innego, całkiem wyblakłego smoka. Ponizej laka wcale nie zmieniła koloru, była tylko popekana.

Zawartość przepastnej szafy nie miała nic wspólnego z wyrobami sporządzanymi na zamówienie. W środku, zawieszane na specjalnych formach i wieszakach, znajdowały się Rzeczy Specjalne. Drzwi do szafy były zamknięte na klucz.

Suczka wychleptała trochę wody ze stojącej w kacie miski i ułożyła się między stopami manekina. Oczy utkwione miała w swoim panu.

Gumb pracował właśnie nad skórzaną kurtką. Powinien ją wykonać, żeby nic nie zaprzętało mu potem głowy, poczuł jednak, jak ogarnia go tworcza gorączka, bo nie zadowalała go jeszcze w pełni jego własna, muslinowa forma.

Gumb poczynił w krawiectwie wielkie postępy, znacznie przekraczające wszystko, czego nauczył się w młodości na kursach organizowanych przez zarząd zakładów karnych stanu Kalifornia, ale teraz stało przed nim naprawdę wielkie wyzwanie. Nawet praca przy delikatnej owczej skórze nie przygotowuje do tego rodzaju prawdziwie artystycznej roboty.

Miał przed sobą dwie muslinowe formy, podobne do białych kamizelek, jedna była dokładnie jego rozmiaru, druga sporządził na podstawie miary, którą zabrał z Catherine Baker Martin, kiedy ta była jeszcze nieprzytomna. Po założeniu na krawiecki manekin mniejszej formy problemy widac było jak na dłoni. Catherine była duża i wspaniale zbudowana dziewczyna, ale nie tak duża jak Gumb, nie miała też tak szerokich pleców.

Jego ideałem było ubranie bez szwów. W tym wypadku nie było to możliwe. Zdecydował jednak, że przynajmniej z przodu nie będzie żadnego szwu i żadnej skazy. To oznaczało, że wszelkich poprawek do figury trzeba będzie dokonać z tyłu. Bardzo trudne. Odrzucił już przedtem jedną formę z muslinu i zaczął od nowa. Cel można było osiągnąć skrajnie naciągając skórkę i wszywając pod pachami dwa kliny, nie francuskie, ale pionowe, skierowane wierzchołkami w dół. Dodatkowe kliny trzeba będzie wstawić z tyłu, na wysokości nerek. Wprowadzał na ogół tylko drobne poprawki.

Gumb brał pod uwagę nie tylko efekt wizualny, ale wrażenia dotykowe; niewykluczone przecież, że ktoś zechce do siebie przytulić atrakcyjną osobę.

Posypał lekko talkiem ręce i objął w naturalny, niewymuszony sposób swój krawiecki manekin.

- No, daj całuska - zwrócił się figlarnie do pustej przestrzeni, gdzie powinna być głowa. - Nie ty, gluptasie - powiedział do suczki, która nadstawiała uszu.

Gumb popieszczył plecy manekina obejmując go ramionami. Potem obszedł naokoło, żeby obejrzeć ślady talku. Nikt nie będzie chciał czuć pod palcami szwu. W uścisku dłonie przeskakują jednak na ogół środek pleców. Poza tym, mówił sobie, przyzwyczajeni jesteśmy do centralnej linii kregosłupa. Lepsze to niż jakakolwiek asymetria. Szwy na ramionach są zatem absolutnie wykluczone. Rozwiązaniem był klin umieszczony w środku, na samej gorze, z wierzchołkiem na wysokości łopatek. Tym samym szwem mógł objąć przymocowany pod podszewką sztywny karczek, którego zadaniem będzie podtrzymywanie przodu. Pod rozcięciami z obu stron umieszcza się wkładki Lycra - musi pamiętać, żeby je kupić. Po prawej stronie zamek typu Velcro. Pomyslał o wspaniałych szatach Charlesa Jamesa, szytych zygzakowatym ścięciem, żeby lepiej leżały.

Klin na gorze przykryje jego włosy, albo raczej włosy, które będzie miał już niedługo.

Gumb zabrał muslin z manekina i zabrał się do pracy.

Maszyna do szycia była stara i pięknie wykonana. Przed czterdziestu laty przerobiono ją na elektryczną. Na jej korpusie widniał otoczony wieniec złotych list napis: „Służę zawsze, nigdy się nie męczę”. Nadal można było szyc posługując się pedałem i Gumb użył go, żeby dokonać kilku drobnych poprawek. Przy tego rodzaju wymagających artyzmu czynnościach wolał pracować bosy. Delikatnie poruszał pedał grubą stopą, zaciskając palce o polakierowanych paznokciach na jego krawędzi. Pilnował, żeby nie pojechać ścięciem za daleko. Przez moment słychać było tylko terkot maszyny, chrapanie psa i szum wody w rurach centralnego ogrzewania.

Kiedy umieszczył już odpowiednie kliny w muslinowej formie, przymierzył ją przed swymi lustrami. Z kąta pokoju obserwowała go z uniesionym pyskiem suczka.

Musiał poluznić trochę pod pachami. Pozostało jeszcze kilka problemów dotyczących lamówki. Poza tym całość wyglądała bardzo przyjemnie. Była gietka, pięknie zbudowana, pełna życia. Widział już siebie, jak wspina się po szczeblach zjeżdżalni, szybko, jeszcze szybciej, tak szybko, jak tylko ma ochotę.

Przymierzając peruki Gumb zmieniał kilka razy oświetlenie dla uzyskania bardziej dramatycznego efektu. Na szyi zawiesił sobie przepiękny naszyjnik z muszli. Kiedy założy na swój nowy tors wycięta głęboko suknie albo tiulowa przezroczysta pizama, efekt będzie piorunujący.

Kusiło go bardzo, żeby zabrać się do wszystkiego już teraz, żeby zająć się czymś naprawdę ważnym. Miał jednak zmęczone oczy. Chciał mieć absolutnie pewne ręce, a poza tym mierzyla go myśl o nieuniknionym halasie. Cierpliwie spruł wszystkie szwy i poukladał kawałki muszli jeden na drugim. Doskonały wzór do wykrojów.

- Jutro, Skarbuniu - powiedział do suczki i wyjął wołowy mózdek z zamrażarki. - To będzie pierwsza rzecz, do której się jutro zabierzemy. Mamusia będzie przepiękna, zobaczysz.

## ROZDZIAŁ 47

Clarice spała twardo przez pięć godzin. W środku nocy obudziły ją koszmary. Przygryzła skraj przescieradła i przycisnęła dłonie do skroni, żeby przekonać się, że naprawdę się obudziła, że naprawdę stamtąd uciekła. Było cicho, nie krzyczały żadne owce. Kiedy upewniła się, że nie sni, serce zaczęło bić wolniej, ale stopy wciąż drżały jej pod kołdra. Wiedziała, że już nie zasnie.

Kiedy zamiast strachu pojawił się palący gniew, sprawiło jej to raczej ulgę.

- Bzdury - powiedziała i wystawiła stopę spod kołdry.

W ciągu całego tego długiego dnia, kiedy to została wystrychnięta na dudka przez Chiltona, obrażona przez senatora Martina, wystawiona do wiatru, a potem ochrzaniona przez Krendlera, doprowadzona do ostateczności przez ucieczkę doktora Lectera, a na koniec odsunięta od sprawy przez Crawforda, jedna rzecz dotknęła ją najbardziej: to, że posadzono ją o kradzież.

Senator Martin jako matka przeżywała olbrzymi stres i miała serdecznie dosyć policjantów grzebiących w rzeczach jej córki. Nie myślała tego serio.

A jednak to posadzenie paliło Clarice niczym rozżarzona igła.

Kiedy była małym dzieckiem, nauczono ją, że kradzież jest najgorsza, najpodlejsza rzecz, jakiej można się dopuścić, nie licząc gwałtu i morderstwa dla pieniędzy. W pewnych okolicznościach nawet zabójstwo nie jest tak nikczemne jak kradzież.

To właśnie w sierocincu, gdzie o wiele łatwiej było o pusty brzuch niż o jakąkolwiek nagrodę, nauczyła się nienawidzić złodziei.

Leżąc w ciemności, ujrzała jeszcze jedną przyczynę, dla której posadzenie senatora Rutha Martina tak bardzo ją zabolowało.

Wiedziała, jak złośliwie i trafiając w samo sedno ująłby to doktor Lecter: bała się, że pani Martin dostrzegła w niej coś wulgarnego, zarazem taniego, co czyniło z niej złodziejke już z racji samego wyglądu i na co tamta instynktownie zareagowała. Przeklęta, spasiona na cudzej krwi dziwka.

U źródeł tego kompleksu, dodałby z uśmiechem doktor Lecter, stoją klasowe przesady i stłumione urazy, które wysysała z mlekiem matki. Clarice nie ustępowała żadnym Martinom w wykształceniu, inteligencji, umiejętności znalezienia się i z pewnością w wyglądzie zewnętrznym, mimo to wciąż tkwił w niej kompleks niższości i dobrze o tym wiedziała.

Clarice należała do dumnego rodu, który choć pozbawiony miejsca w herbarzu, miał swoją listę zasłużonych i swoje czarne owce. Wielu jego synów, wydziedziczonych w Szkocji i wygnanych głodem z Irlandii, imalo się w przeszłości różnych niebezpiecznych zajęć. Niejeden bezimienny



Starling przyplacil to zyciem, niejeden padl w okopach albo z zawiazanymi oczyma stanal przed plutonem egzekucyjnym. Niejednemu oddano posmiertna czesc karabinowym salutem o chlodnym poranku, kiedy wszyscy marza o tym tylko, by jak najszybciej znalezc sie w domu. Kilku pozostalo we wdziecznej pamieci swoich oficerow: opowiadali o nich ze lzami w oczach, tak jak po paru kielichach mowi sie o wiernych myśliwskich psach. Nazwiska, ktore nie przeszly do potomnosti.

Z tego, co wiedziala, zaden ze Starlingow nie odznaczal sie szczegolnie wielka inteligencja, z wyjatkiem ciotecznej babki, ktora pisala przepiekny pamietnik, a potem zapadla na „goraczke mozgowa”.

Ale cokolwiek by o nich mowic, nie kradli.

W Ameryce dostac sie do dobrej szkoly to bylo cos i Starlingowie uczepili sie tej mysli. Jeden z wujow Clarice kazal wyryc na swoim grobie tytul magistra.

Przez wszystkie te lata, kiedy nie miala dokad pojsc, szkola byla dla Clarice Starling zrodlem utrzymania, a glowna jej bronia egzaminy konkursowe.

Wiedziala, jak sobie radzic. I potrafilo to robic, kiedy tylko zorientowala sie, jak dziala system: potrafilo zawsze znalezc sie w czolowce klasy, wsrod wyroznianych, chwalonych, stawianych za wzor. Nigdy nie oblala zadnego egzaminu.

Wszystko polegalo na tym, zeby ciezko pracowac i nie dac sie zaskoczyc. Bedzie miala dalej dobre oceny. Koreanczyk nie zagoni jej na smierc podczas zajec z wuefu. Jej nazwisko wyryja na wielkiej tablicy zasluzonych w hallu glownym w dowod uznania za wyniki w strzelaniu.

Za cztery tygodnie bedzie agentem specjalnym Federalnego Biura Sledczego.

Czy do konca zycia ma uwazac na tego sukinsyna Krendlera?

W obecności senator Martin chcial umyc rece od wszelkiej za nia odpowiedzialności. Za kazdym razem, kiedy o tym myslala, czula klujace ja zadlo. Nie byl wcale pewien, ze w kopercie znajduje sie dowod rzeczowy. To bylo szokujace. Wyobrazajac sobie teraz Krendlera, widziala go w grubych marynarskich butach, takich samych, jakie mial burmistrz, zwierzchnik jej ojca, kiedy przyszedl odebrac zegar nocnego straznika.

Co gorsza, zaczal tracic w jej oczach Jack Crawford. Faceta przytlaczal teraz zdecydowanie zbyt wielki ciezar. Wyslal ja, zeby sprawdzila samochod Raspaila bez zadnego wsparcia, bez zadnych widocznych oznak władzy. W porzadku, zgodzila sie tam pojsc na tych warunkach - miala pecha i umoczyła sprawe. Ale Crawford powinien wiedziec, ze nie uda sie jej uniknac klopotow, jesli senator Martin zobaczy ja w Memphis; nie udaloby sie ich uniknac, nawet gdyby nie znalazla tych cholernych zdjec.

Catherine Baker Martin lezy teraz w takiej samej ciemności co ja. Myslac o wlasnych sprawach Clarice na chwile o tym zapomniala.

Za kare wylonily sie teraz z mroku jaskrawe w kolorze, ostre obrazy minionych kilku dni. Za

duzo bylo tam kolorow, kolory razily oczy, wyskakiwaly z czerni w blasku blyskawicy.

To Kimberly przesladowala ja teraz. Gruba, martwa Kimberly, ktora przekluwala sobie uszy, zeby ladnie wygladac, i kupowala z zaoszczedzonych pieniedzy zagraniczny krem do nog. Kimberly, ktorej wlosy gdzies przepadly. Kimberly, jej siostra. Starling nie wyobrazala sobie, zeby Catherine Baker Martin mogla miec duzo czasu dla kogos takiego jak Kimberly. A teraz byly duchowymi siostrami z ta Kimberly, lezaca w domu pogrzebowym pelnym mlodych byczkow z rezerwy stanowej.

Starling nie mogla na to dluziej patrzec. Probowala odwrocic twarz, jak plywak, ktory chce zaczerpnac powietrza.

Wszystkie ofiary Buffalo Billa byly kobietami, mial obsesje na punkcie kobiet, sensem jego zycia bylo polowanie na kobiety. Zadna kobieta nie wchodzila na stale w sklad tropiacej go ekipy. Zadna policjantka nie ogladala wszystkich jego ofiar.

Zastanawiala sie, czy Crawford bedzie mial dosc zimnej krwi, zeby zabrac ja w charakterze asysty technicznej, kiedy pojedzie obejrzec Catherine Martin. Bill „zalatwi ja jutro”, przepowiedzial Crawford. Zalatwi ja. Zalatwi ja. Zalatwi.

- Pieprz to - powiedziala na glos Clarice i postawila stope na podlodze.

- Deprawujesz wlasnie jakiegos niedorozwiniętego umyslowo chlopaka, prawda? - odezwala sie Ardelia Mapp. - Przemycilas go tu, kiedy spalam, a teraz wydajesz mu instrukcje. Nie mysl, ze tego nie slysze.

- Przepraszam, Ardelia, nie myslalam, ze...

- Musisz byc z nim bardziej konkretna, dziewczyno. To, co powiedzialas, to za malo. Deprawacja kretynow jest niczym dziennikarstwo, musisz powiedziec im co, kiedy, gdzie i jak. Mysle, ze odpowiedz na pytanie „dlaczego?” wyjasni sie sama, w trakcie dalszych dzialan.

- Czy masz jakies pranie?

- Zdawalo mi sie, ze zapytalas, czy mam cos do uprania.

- Tak. Zrobie chyba mala przepierke. Co masz?

- Tylko te swetry, co wisza na drzwiach.

- Okay. Zamknij oczy, zapale na chwile swiatlo.

Taszczac do pralni kosz z ubraniami, nie polozyla na samym wierzchu notatek z czwartej poprawki do konstytucji - tematu czekajacego ja w piatek egzaminu.

Polozyla tam teczke Buffalo Billa, grube na dwanasie centymetrow akta zbrodni i bolu, w plowozoltej, podpisanej tuszem koloru krwi okladce. W srodku wlozony byl luzem wydruk jej raportu na temat cmy trupiej glowki.

Nazajutrz miała oddać akta i jeśli chciała, żeby były kompletne, wcześniej czy później musiała wpiąć swój raport do środka. W ciepłej pralni, ukojona monotonnym sapaniem pralki, zdjęła z teczki spinające ją gumowe tasmy i starła się dołączyć raport nie patrząc na żadne zdjęcia, nie myślała o tym, jakie nowe zdjęcia mogą się tu wkrótce pojawić. Na samym wierzchu była mapa, to dobrze. Nagle zobaczyła, że coś jest na niej napisane.

Przez niebieską ton Wielkich Jezior biegły równe rzadki liter skreślonych eleganckim pismem doktora Lectera.

Clarice, czy przypadkowość tego wzoru nie wydaje ci się zbyt przesadna? Czy nie wydaje ci się on desperacko przypadkowy? Do tego stopnia przypadkowy, że aż niewygodny? Czy nie przypomina ci wymysł niedołężnego kłamcy? Pa,

Hannibal Lecter

PS. Możesz sobie darować przerzucanie reszty, nie ma tam nic więcej.

Przez dwadzieścia minut przewracała akta, kartka po kartce, żeby upewnić się, że nie ma tam nic więcej.

Potem zadzwoniła z automatu w hallu pod numer dyżurny i przeczytała treść notatki Burroughsowi. Zastanawiała się, czy nie wyrwała go ze snu.

- Muszę ci powiedzieć, Starling, że wartość rynkowa informacji Lectera spada dziś na lew na szyję - powiedział Burroughs. - Czy Jack zadzwonił do ciebie i powiedział o Billym Rubinie?

- Nie.

Oparła się o ścianę i z zamkniętymi oczyma wysłuchiwała opowieści o zarcie doktora Lectera.

- Powtarzam, nie wiem nic na temat Rubina - oznajmił w końcu Burroughs. - Jack mówi, że będą nadal prowadzić poszukiwania w ośrodkach chirurgii płci, ale jak intensywne? Jeśli przyjrzy się w komputerze, w jaki sposób sformułowane są wyrażenia hasłowe zapisów, widać, że wszystkie uzyskane od Lectera informacje, twoje i te z Memphis, charakteryzują się specyficznymi wyznacznikami. Wszystkie jego opowieści - i z Memphis, i z Baltimore - mogą zostać usunięte z pamięci komputera jednym naciśnięciem guzika. Sądzę, że Departament Sprawiedliwości ma to właśnie zamiar zrobić. Dostałem niedawno notatkę sugerującą, że robak w gardle Klausa pochodził, niech no spojrzeć, że „szczątki rozbitego okrętu”.

- Niech pan to jednak przekaze Crawfordowi - poprosiła.

- Oczywiście, puszczałem to na jego terminal, ale nie będę teraz dzwonił. Ty też nie powinnaś. Przed chwilą zmarła Bella.

- Och - szepnęła.

- Słuchaj, teraz coś weselszego. Nasi chłopcy w Baltimore przyjrzyli się bliżej celi Lectera w

szpitalu psychiatrycznym. Pomógł im ten pielęgniarz, Barney. Znaleźli miedziane opilki na lebkę sruby mocującej prycze. To tam zrobił sobie klucz do kajdanek. Trzymaj się, mała. Wyjdiesz z tego pachnaca jak roza.

- Dziękuję panu, panie Burroughs. Dobranoc.

Pachnaca jak roza. Z wkładkami zapachowymi Vicksa w nozdrzach.

Wstawał brząsk ostatniego - jak przypuszczała - dnia w życiu Catherine Martin.

Co mógł mieć na myśli doktor Lecter?

Nie wiadomo było, co naprawdę wiedział. Kiedy dała mu akta, sądziła, że nacieszy się zdjęciami i użyje ich jako rekwizytu, opowiadając jej to, co i tak wiedział już wcześniej o Buffalo Billu.

Może okłamywał ją od samego początku, tak samo jak okłamał senator Ruth Martin. Może nie wie i niczego się nie domyśla na temat Buffalo Billa.

Ma cholernie przenikliwe spojrzenie - przejrzał mnie na wylot. Nie jest przyjemnie uprzytomnić sobie, że ktoś przejrzał człowieka na wylot i zarazem nie życzy mu dobrze. Clarice nie zdarzało się to do tej pory zbyt często.

Desperacko przypadkowy, napisał doktor Lecter.

Ona, Crawford i mnóstwo innych osób wielokrotnie oglądali mapę, na której kropkami zaznaczone były miejsca porwan i miejsca, gdzie wyłowione zostały zwłoki. Leżała teraz przed nią niczym mroczna konstelacja, obok każdej gwiazdy umieszczona była data. Słyszała, że w Sekcji Behavioralnej próbowano bez powodzenia nałożyć na nią znaki zodiaku.

Jezeli doktor Lecter czytał akta tylko po to, żeby się rozerwać dlaczego robi sobie żarty z mapy? Mogła go sobie wyobrazić, jak kartkuje raporty wysmiewając się z nieudolnych sformułowań niektórych autorów.

Miejsca porwan i miejsca, gdzie porzucone zostały ciała, nie układały się w żaden wzór, nie było żadnego związku w czasie z odbywającymi się w pobliżu konferencjami, włamaniami, kradzieżami strojów ani innymi przestępstwami o fetyszystycznym podłożu.

Stojąc w pralni obok wirującej suszarki, dziewczyna wodziła palcem po mapie. Tutaj porwanie, tam ciało. Tutaj drugie porwanie, tam ciało. Tutaj trzecie... ale zaraz, czy te daty są pomyłone. Nie, drugie ciało zostało odnalezione pierwsze.

Fakt ten został odnotowany bez żadnych dodatkowych uwag zamazany tuszem obok kropki na mapie. Najpierw odkryto ciało drugiej porwanej. Unosiło się w Wabash River na przedmieściach Lafayette, w stanie Indiana, poniżej drogi międzystanowej numer 65.

Kobieta, której zaginięcie zgłoszono najpierw, porwana została w miejscowości Belvedere,

niedaleko Columbus, w stanie Ohio. Odnaleziono ja o wiele później w Blackwater River, w stanie Missouri, obok Long Jack. Ciało było obciążone. Żadne inne nie było.

Ciało pierwszej ofiary zostało zatopione na odludziu. Ciało drugiej wrzucone do wody w górnym biegu rzeki powyżej miasta, gdzie można było oczekiwać szybkiego odnalezienia.

Dlaczego?

Te, od której zaczął, dobrze ukrył, następnej już nie.

Dlaczego?

Co oznacza „desperacko przypadkowy”?

Pierwsza, pierwsza. Co mówił doktor Lecter o „pierwszej”? Jakie znaczenie ma cokolwiek, co powiedział?

Spojrzała na notatki, które nagryzmoliła w samolocie z Memphis.

Doktor Lecter twierdził, że w aktach jest wystarczająca ilość materiału, żeby zlokalizować mordercę. „Cesarz zaleca prostotę”, mówił. Gdzie jest „pierwsza”, kiedy powiedział „pierwsza”? Tutaj: „pierwsze zasady”, ważne są pierwsze zasady. Kiedy to mówił, brzmiało to jak pretensjonalne bzdury.

Co on robi, Clarice? Co jest w tym, co on robi, najważniejsze, pierwsze, jaka potrzeba zaspokaja przez zabijanie? On pozada. W jaki sposób zaczynamy pozadać? Pozadanie zaczyna się od tego, co widzimy wokół siebie na co dzień.

Łatwiej było myśleć o tym, co mówił doktor Lecter, kiedy nie czuło się jego oczu na sobie. Łatwiej było, kiedy siedziało się tu, w samym sercu Quantico.

Jeżeli pozadanie zaczyna się od tego, co widzimy wokół, czy Buffalo Bill zaskoczył sam siebie zabijając pierwszą ofiarę? Czy usmiercił kogoś, kogo znał, kto był mu bliski? Czy dlatego pierwsze zwłoki ukrył bardzo dobrze, a drugie tylko jak? Czy porwał drugą daleko od domu i porzucił ją specjalnie w miejscu, w którym została szybko odnaleziona, ponieważ chciał czym prędzej wywołać wrażenie, że miejsca porwan są przypadkowe?

Kiedy myślała o jego ofiarach, zawsze stawiała jej przed oczyma Kimberly. Myślała o Kimberly Emberg, ponieważ oglądała ją martwą i w jakiś sposób się z nią utozsamiała.

Oto pierwsza ofiara. Fredrica Bimmel, dwadzieścia dwa lata, Belvedere, Ohio. W aktach były jej dwa zdjęcia. Na zdjęciu w indeksie wydawała się duża i niezbyt ładna. Miała gestę, zadbane włosy i zdrową cerę. Na drugiej fotografii, zrobionej w kostnicy Kansas City, nie przypominała ludzkiej istoty.

Clarice znowu zadzwoniła do Burroughsa. Nie był już taki miły, ale słuchał cierpliwie.

- Co masz do powiedzenia, Starling?

- Moze on mieszka w Belvedere, w stanie Ohio, tam gdzie porwana zostala pierwsza ofiara. Moze ogladal ja codziennie i zabil jakos spontanicznie. Moze zaprosil ja do siebie, zeby poczestowac coca-cola i porozmawiac o chorze koscielnym. Dlatego dobrze sie napracowal, zeby ukryc jej cialo, a potem porwal nastepna daleko od swego miejsca zamieszkania. Tej specjalnie nie ukryl, zeby zostala znaleziona pierwsza i odwrocila od niego uwage. Wie pan, jak malo gliny sie przejmuja raportem o zaginieniu, dopoki nie odnajdzie sie ciala.

- Starling, do takich miejsc trzeba wracac, kiedy slad jest jeszcze swiezy, kiedy ludzie lepiej pamietaja, a swiadkowie...

- Wlasnie to mowie. On sobie z tego swietnie zdaje sprawe.

- Nie zakradniesz sie na przyklad teraz do domu, w ktorym mieszkal jego ostatnia ofiara, Kimberly Emberg z Detroit, zeby nie zderzyc sie w progu z policjantem. Odkad zniknela ta mala Martin, nagle wszyscy szalenie sie zainteresowali Kimberly Emberg. Nagle robia z tego piekielna afere. Nie slyszalas tego, co powiedzialem, pamietaj, Starling.

- Czy przekaze pan to panu Crawfordowi, to o pierwszym miescie?

- Oczywiscie. Do diabla, puszcze to na goraca linie, zeby wszyscy sie dowiedzieli. Nie mowie, ze zle to sobie wykombinowalas, Starling, ale miejscowosc zostala sprawdzona bardzo dobrze, zaraz po zidentyfikowaniu tej kobiety... jak ona sie nazywala, Bimmel, prawda?... wiec zaraz po zidentyfikowaniu tej Bimmel. Byli tam ludzie z naszego biura w Columbus i mnostwo policji lokalnej. Wszystko masz w aktach. Ale dzis rano nie zainteresujesz raczej nikogo miastem Belyedere ani zadna inna teoria doktora Lectera.

- Wszystko, co on...

- Posluchaj. Robimy skladke na rzecz UNICEF, zeby uczcic pamiec Belli. Jesli chcesz, umieszcze twoje nazwisko na liscie.

- Oczywiscie, dziekuje, ze pan o tym pomyslal, panie Burroughs.

Clarice wyjela ubrania z suszarki. Ciepłe pranie bylo przyjemne w dotyku i przyjemnie pachnialo. Przycisnela je mocno do piersi.

Jej matka z nareczem przescieradel.

Dzisiaj jest ostatni dzien zycia Catherine.

Czarno-biala wrona kradnie rzeczy. Starling nie moze jednoczesnie byc w pokoju i na dworze, zeby ja przeploszyc.

Dzisiaj jest ostatni dzien zycia Catherine.

Wlaczajac sie do ruchu jej ojciec wystawial reke przez okno pickupa. Nie uzywal kierunkowskazow. Bawiac sie na podworku, wyobrazala sobie, ze ma jego wielkie ramie i pokazywala pickupowi, gdzie ma skrecic, zamaszyscie wskazywala mu kierunek.

Kiedy postanowila, co ma robic, z oczu pocieklo jej kilka lez. Wtulila twarz w cieple pranie.

## ROZDZIAI 48

Crawford wyszedl z domu pogrzebowego i rozgladal sie za Jeffem, ktory mial na niego czekac w samochodzie. Zamiast Jeffa zobaczyl pod markiza ciemno ubrana Clarice Starling, wygladajaca calkiem prawdziwie w swietle dnia.

- Niech pan mnie wysle - powiedziala.

Crawford wybral wlasnie odpowiednia trumne dla swojej zony i w reku trzymal papierowa torbe z jej butami, ktore zabral ze soba przez pomylke. Wzial sie w garasc.

- Prosze mi wybaczyć - mowila Starling. - Nie przyszlaby m teraz, gdyby mozna bylo przyjsc kiedy indziej. Niech pan mnie wysle.

Crawford zacisnal dlonie w kieszeniach i poruszyl glowa w kolnierzyku, az cos chrupnelo mu w karku. Spojrzzenie mial bystre, jakby niebezpieczne.

- Gdzie mam cie wyslac?

- Wyslal mnie pan, zeby m poznala blizej Catherine Martin... niech mi pan pozwoli jechac tam, gdzie mieszkaly inne. Wszystko, co nam zostalo, to odkryw, w jaki sposob on na nie poluje. Jak ich szuka, jak je znajduje. Jestem tak samo dobra, jak kazdy z panskiego personelu, a w pewnych sprawach lepsza. Ofiarami sa wylaczenie kobiety, a do tej sprawy nie jest przydzielona zadna policjantka. Kiedy wejde do pokoju, w ktorym mieszka kobieta, potrafi o niej powiedziec trzy razy tyle, co kazdy mezczyzna, i pan wie, ze to prawda. Niech pan mnie wysle.

- Godzisz sie na powtorzenie semestru?

- Tak.

- Szesc miesiecy zycia, tyle cie to bedzie prawdopodobnie kosztowac.

Nie odpowiedziala.

Crawford trafil butem trawe. Popatrzył na nia, na prerie, ktora widac bylo w jej oczach. Miala kregoslup, jak Bella.

- Od kogo zaczniesz?

- Od tej, która była pierwsza, od Fredriki Bimmel, z Belvedere, w stanie Ohio.

- Nie od Kimberly Emberg, tej, która widziałas?

- On od niej nie zaczął. - Wspomnieć o Lecterze? Nie. Widział to i tak na monitorze.

- Gdybys wybrała Emberg, byłby to wybór powodowany emocjami, prawda, Starling? Dostaniesz zwrot kosztów. Masz jakieś pieniądze? - Banki otwierają dopiero za godzinę.

- Mam trochę na karcie kredytowej.

Crawford pogrzebał w kieszeniach. Dał jej trzysta dolarów gotówką i własną kartę kredytową.

- Jedź, Starling. Tylko do tej, która była pierwsza. Nadawaj teleksem. I zadzwon do mnie.

Podniosła rękę na pożegnanie. Nie dotknęła ani jego twarzy, ani dłoni, nie było na nim miejsca, którego byłaby w stanie dotknąć. Obróciła się i pobiegła do swego pinto.

Kiedy odjeżdżała, Crawford pomacał się po kieszeniach. Oddał jej wszystko, do ostatniego centa.

- Mała potrzebuje nowej pary butów - powiedział. - Moja mała nie potrzebuje już żadnych butów. - Stał i płakał na środku chodnika, po twarzy ciekły mu strugi łez, wielki szef sekcji FBI, teraz bezradny jak małe dziecko.

Jeff zobaczył z daleka jadąc samochodem błyszczące policzki szefa i skreślił w przecznice, by Crawford go nie dostrzegł. Wysiadł z samochodu. Zapalił papierosa i z furii wciągał dym do płuc. To był jego prezent dla szefa. Poczeka tutaj, aż Crawford wyplacze się, wysmarka i uspokoi, aż będzie w stanie zmyć mu głowę za spóźnienie.

## **ROZDZIAŁ 49**

Rankiem czwartego dnia Gumb gotów był do działania.

Wrócił z zakupów ostatnich rzeczy, jakie były mu potrzebne, i z trudem powstrzymywał się, żeby od razu nie zbiec do piwnicy. Wypakował torby w pracowni. Była tam nowa podkładka do ściegu ukosnego, elastyczne wkładki firmy Lycra do umieszczenia pod rozcięciami i pudełko soli z mikroelementami. Nie zapomniał o niczym.

W warsztacie, obok zlewu, poukładał na czystym ręczniku noże. Miał ich cztery: specjalny garbarski noż z zakrzywionym ostrzem, delikatny cienki nożyk, którego ostrze znakomicie przylegało do palca wskazującego w trudno dostępnych miejscach, chirurgiczny skalpel do precyzyjnej roboty i bagnet z pierwszej wojny światowej. Zaokrąglonym ostrzem tego ostatniego najlepiej oddzielało się skóre od mięśni.



Miał jeszcze specjalna pile Stryckera do sekcji, ale prawie jej nie używał i żałował poniesionego wydatku.

Natłuszczył i natarł grubą solą głowę stojaka do peruk, a potem postawił go w płytkim garnku, żeby ociekł. Uszczypnął głowę w nos i przesłał jej z dłoni figlarny pocałunek.

Trudno mu było zachowywać się rozważnie - miał ochotę fruwać w powietrzu. Zasmiał się i dmuchnął delikatnie na cme, która chciała usiąść mu na twarzy.

Czas uruchomić pompy, które napełnią akwaria świeżym rozpuszczalnikiem. Czy w ziemi, która wyłożone było dno klatki, nie kryje się przypadkiem piękna poczwarka? Pogrzebał palcem. Tak, była.

Teraz pistolet.

Problem usmiercenia „materiału” od kilku dni nie dawał Gumbowi spokoju. Powieszenie nie wchodziło w grę, nie chciał, aby wystąpiło zasinienie piersi, poza tym węzeł mógł zdrzecz skóre za uszami.

Gumb wyciągał wnioski z każdego ze swych poprzednich eksperymentów, czasami odbywało się to dość bolesnym kosztem. Tym razem zdecydowany był uniknąć koszmarnych przeżyć, których doświadczył w przeszłości. Zasada podstawowa brzmiała: niezależnie od tego, jak bardzo ofiary osłabione są głodem i sparalizowane strachem, zawsze podejmują walkę, kiedy zobaczą sprzęt.

Dawniej wyposażony w gogle oraz latarkę do podczerwieni polował na młode kobiety w swoich zaciemnionych piwnicach i było to coś wspaniałego. Patrzył, jak macaja przed sobą drogę, jak próbują chować się po katach. Lubiał polować na nie z pistoletem. Zawsze traciły w końcu orientację, przewracały się, wpadały na różne przedmioty. Stał w kompletnych ciemnościach, na oczach miał swoje gogle i czekał, aż odejmuje dłoń od twarzy i będzie mógł strzelić im prosto w głowę. Albo najpierw w nogi, pod kolanami, żeby jeszcze mogły się czolgać.

To była dziecinada i marnotrawstwo. Nie nadawały się potem do niczego i w końcu całkowicie zaprzestął tych praktyk.

W swojej obecnej działalności pierwszym trzem zaproponował, żeby wzięły prysznic na gorze, a potem stracił je ze schodów z węzłem zaciągniętym na szyi. Wszystko szło gładko. Ale z czwartą była prawdziwa katastrofa. Musiał użyć pistoletu w łazience. Potem posprzątanie zajęło mu całą godzinę. Pomyślał o tej dziewczynie, całej mokrej, pokrytej gęsią skórką, o tym, jak się trzęsła, kiedy odbezpieczył pistolet. Lubiał go odbezpieczać, klik klik, jedno głośne bang, i po kłopotcie.

Lubił swój pistolet i miał słuszną rację. Była to rzeczywiście bardzo ładna sztuka, niklowany Colt Python z sześciopalcowym magazynkiem. Cały mechanizm pistoletu został przerobiony w warsztatach Colta i trzymało się go w ręce z prawdziwą przyjemnością. Odbezpieczył go teraz i zabezpieczył z powrotem, przyciskając kurek kciukiem. Załadował pythona i położył na blacie warsztatu.

Gumb miał wielką ochotę zaproponować jej umycie włosów szamponem, żeby popatrzeć, jak je potem rozczesuje. Wiele mogłoby się wtedy dowiedzieć o tym, jak układają się na głowie i jak czesać je samemu. Ale ta była wysoka i prawdopodobnie silna, przy tym zbyt wyjątkowa, żeby ryzykować całość materiału ranami postrzałowymi.

Nie, urządzi to wszystko inaczej. Przyniesie z łazienki składaną windę i proponuje jej kąpiel. Poczekają, aż bezpiecznie usadowi się w petli, podciągnie ją do połowy wysokości szybu i strzeli kilka razy w dolną część kregosłupa. Po utracie przez nią świadomości zakończy sprawę chloroformem.

Tak właśnie robi. A teraz pójdzie na górę i zdejmie ubranie. Obudzi Skarbunię i obejrzą razem program wideo. A potem nagi, w ciepłej piwnicy, nagi jak w chwili, gdy się urodził, zabierze się do dzieła.

Kiedy wspinał się po schodach, kreciło mu się w głowie. Szybko zrzucił z siebie ubranie, założył szlafrok i wsunął kasetę do magnetowidu.

- Skarbuniu, chodź tutaj, Skarbus. Duzo, duzo roboty mamy dzisiaj. Chodź, kochanie. - Podczas hałasliwej części operacji zamknie pudelkę w sypialni na piętrze. Nie znosiła hałasu, była potem strasznie przygnębiona. Żeby ją czymś zająć, kupił jej całe pudelko psich czekoladek.

- Skarbunia! - Nie przychodziła, więc zadzwonił na nią w przedpokoju, potem w kuchni i w piwnicy. Kiedy zadzwonił przy drzwiach pomieszczenia, w którym znajdowała się studnia, usłyszał odpowiedź.

- Ona jest tutaj, na dole, ty sukinsynu - odezwała się Catherine Martin.

Gumbem targnęła straszliwa obawa o Skarbunię. Zrobiło mu się niedobrze. Potem ogarnął go gniew. Z piściami przycisniętymi do skroni oparł czoło o framugę i starał się odzyskać wewnętrzna równowagę. W przerwie między nudnościami wyrwał mu się z gardła jęk. Suczka odpowiedziała skomleniem.

Przeszedł do warsztatu i wziął pistolet.

Sznur od wiadra był urwany. Nadal nie pojmował, jak udało jej się to zrobić. Ostatnim razem, kiedy go urwała, doszedł do wniosku, że zrobiła to podczas absurdalnej próby wspięcia się po nim do góry. Probowały się wspinać wcześniej i inne - robiły najgłupsze rzeczy, jakie można sobie wyobrazić.

Odsunął pokrywę.

- Skarbunia, czy wszystko z tobą w porządku? Odpowiedz! - starał się panować nad swoim głosem.

Catherine uszczypnęła psa w tłusty zadek. Zaskomlał i odwzajemnił się gryząc ją w ramię.

- No i co? - zapytała Catherine.

Rozmawiac w ten sposob z Catherine wydawalo sie Gumbowi rzeczka prawie nie do pomyslenia, opanowal jednak ogarniajacy go wstret.

- Spuszczesz na dol wiadro. Wlozysz ja do srodka.

- Spuscisz pan na dol telefon albo skrece jej kark. Nie chce panu zrobic nic zlego i nie chce skrzywdzic psa. Niech pan mi tylko da telefon.

Gumb podniosl pistolet. Catherine ujrzala wydłużający się w świetle cieni lufy. Kucnela trzymając psa nad głową, przesuwając go tak, aby znajdował się cały czas między nią a pistoletem. Usłyszała zgrzyt odbezpieczanego zamka.

- Strzelaj, sukinsynu, zabij mnie szybko albo skrece jej kark. Na Boga, zrobię to, przysięgam.

Wsadziła sobie psa pod pachę, objęła go za szyję i zadarła łeb do tyłu.

- Cofnij się, draniu. - Suczka zaskomlała. Reka z pistoletem zniknęła z pola widzenia.

Wolna dłoń Catherine zgarnęła włosy z mokrego od potu czoła.

- Nie miałam zamiaru pana obrazić - powiedziała. - Niech pan tylko opuści tutaj telefon. Chcę mieć podłączony do gniazdka telefon. Pan może sobie stąd iść. Nie dbam o pana, nigdy pana nie widziałam. Zaopiekuję się Skarbunią.

- Nie.

- Dopilnuje, żeby jej niczego nie zabrakło. Niech pan pomyśli o niej, nie tylko o sobie. Jeśli pan tutaj strzeli, ona ogluchnie, niezależnie od tego, co jeszcze się zdarzy. Chcę tylko podłączonego do gniazdka telefonu. Niech pan weźmie przedłużacz, niech pan weźmie pięć albo sześć przedłużaczy i połączy je razem, one mają odpowiednie wtyczki na końcu, i niech pan spuści tu telefon. Prześle panu psa pocztą lotniczą. W mojej rodzinie są psy. Moja matka kocha psy. Może pan uciekać, nie dbam o to, co pan robi.

- Nie dostaniesz więcej ani kropli wody.

- Więc ona też nie dostanie, a ja nie dam jej nic z mojej butelki. Przykro mi to mówić, ale wydaje mi się, że złamała sobie nogę. - Było to kłamstwo, mały piesek razem z zawierającym przynętę wiadrem spadł na Catherine i to ona ucierpiała najbardziej, bo zadrapał jej policzek pazurami. Nie mogła postawić suczki na ziemi, żeby nie zobaczył, że wcale nie kuleje. - Bardzo ją boli. Jej łapa jest cała wykrzywiona i ciągle ją lizę. Niedobrze mi się od tego robi - kłamała Catherine. - Muszę ją zanieść do weterynarza.

Jęk bólesci i gniewu wydarł się z gardła Gumba. Mała suczka zaskomlała w odpowiedzi.

- Uważasz, że bardzo ją boli - powiedział Gumb. - Ty jeszcze nie wiesz, co to jest ból. Jeśli ją skrzywdzisz, żywcem cię ugotuje.

Slyszac, jak idzie po schodach na gore, Catherine siadla na ziemi. Ramiona i nogi drgaly jej w gwałtownych skurczach. Nie mogla utrzymac psa, nie mogla utrzymac butelki z woda, nie mogla utrzymac w rekach niczego.

Kiedy mala suczka wdrapala sie jej na brzuch, przytulila ja, wdzieczna za cieplo.

## ROZDZIAŁ 50

Na powierzchni tlustej, brunatnej wody unosily sie drobne, krecone piora, przywiane z golebnikow. Podmuchy wiatru marszczyly skore rzeki.

Podwórka domow przy Fell Street, ulicy, przy ktorej mieszkala w Belvedere Fredrica Bimmel, konczyly sie na rozlewiskach i bagnach Licking River i dlatego pewnie nieruchomosci oznaczone byly w katalogach jako polozone nad woda. Stodwunastotysieczne Belvedere lezy w wyludniajacym sie tak zwanym Rdzawym Pasie, na wschod od Columbus, w stanie Ohio.

Okolice byla zaniedbana, domy stare i duze. Niektore z nich kupily za tanie pieniadze mlode malzenstwa i pomalowaly swieza farba. Pozostale wygladaja przez to jeszcze gorzej. Dom Bimmelow nie byl pomalowany.

Clarice Starling przystanela na chwile na podworku Fredriki i patrzyla na unoszace sie na wodzie piora. Rece wcisnela gleboko w kieszenie plaszcz. Dzień byl niezbyt mroźny, wśród trzciny lezalo troche rozmoklego, odbijajacego blekit nieba sniegu.

Za soba slyszala ojca Fredriki przybijajacego cos mlotkiem w jednym z golebnikow. Ptaki mialy tu dla siebie cale miasto, prawdziwe golebie Orvieto. Klatki rozciagaly sie od skraju wody prawie po sam dom. Nie widziala sie jeszcze z panem Bimmelem. Wiedziala od sasiadow, ze tam jest. Kiedy o tym mowili, trudno bylo wyczytac cos z ich twarzy.

Clarice miala troche klopotow z sama soba. Wtedy, w nocy, gdy postanowila, ze musi opuscic Akademię, aby scigac Buffalo Billa, umilkly prawie wszystkie osaczajace ja niespokojne glosy. Poczula, jak ogarnia ja nie znana dotad cisza, cisza i spokoj. Teraz, gdy znalazla sie w innym miejscu, wydawalo jej sie chwilami, ze wybrala sie na beznadziejnie glupie wagary.

Nie reagowala na drobne przykrosci tego poranka: zaczepki gimnazjalistow w samolocie do Columbus ani glupstwa, ktore wygadywal urzednik w biurze wynajmu samochodow. Potraktowala go ostro, ale w gruncie rzeczy wcale sie nie przeejala.

Zaplacila wysoka cene za to, ze tu byla, i zamierzala wykorzystac swoj czas, jak mogla najlepiej. Ten czas mogl sie skonczyc w kazdej chwili, wystarczylo, aby ktos uniewaznil decyzje Crawforda i wycofal jej pelnomocnictwa.

Powinna sie spieszyc. Uswiadomienie sobie jednak przyczyny pospiechu, zastanawianie sie

nad położeniem, w jakim znajduje się teraz Catherine, oznaczać mogło tylko kompletne zmarnowanie całego dnia. Myśl, że w tej właśnie chwili poddawana jest ona zabiegom podobnym do tych, które spotkały Kimberly Emberg i Fredrike Bimmel, odsuwała na bok wszelkie inne rozważania.

Bryza ustala, woda była nieruchoma jak śmierć. Na gładka tafle, niedaleko jej stop, opadło piorko. Wylacz się, Catherine.

Przygryzła wargę. Jeśli ją zastrzelił, miała nadzieję, że zrobił to w fachowy sposób.

Nauucz nas dbać i nie dbać. Nauucz nas milczeć.

Odwrocila się ku pochylonym golebnikom i weszła między nie, idąc po rzuconych w błoto deskach w kierunku, skąd dochodził odgłos młotka. Golebi były setki, najrozniejszych rozmiarów i kolorów: były tam wysokie kuraki na zgietych lapach i garlacje z wysuniętymi do przodu piersiami. Miały jasne oczy, chodząc po klatkach bez przerwy kiwały lebkami. Kiedy je mijala, rozkładały w bladym słońcu skrzydła i wydawały przyjemne głosy.

Ojciec Fredriki, Gustav Bimmel, był wysokim, niemrawym mężczyzną o szerokich biodrach i wodnistych, niebieskich oczach otoczonych czerwonymi obwódkami. Stał przed szopą i montował kolejny, oparty na kozłach golebnik. Kiedy pochylił się, żeby popatrzeć na jej legitymację, poczuła od niego alkohol.

- Nie wiem nic nowego, co mogłbym pani powiedzieć - oświadczył. - Przedwczoraj była tu znowu policja. Odczytali mi jeszcze raz całe moje zeznanie. „Czy to się zgadza? Czy to się zgadza?” Tak, do diabła, powiedziałem, gdyby się nie zgadzało, tobym tego nie mówił za pierwszym razem.

- Staram się ustalić, gdzie porywacz mógł zobaczyć Fredrike, panie Bimmel. Gdzie wpadła mu w oko, gdzie postanowił, że ją porwie.

- Pojechała do Columbus autobusem, żeby dowiedzieć się, czy nie ma tam dla niej pracy w sklepie. Policja mówi, że była tam i rozmawiała z kierowniczką. Ale do domu już nie wróciła. Nie wiemy, gdzie jeszcze mogła pojsć tamtego dnia. Ludzie z FBI sprawdzili, czy nie używała tego dnia swojej karty kredytowej, ale nie, niczego nie kupowała. Pani to wszystko wie, prawda?

- O karcie kredytowej tak, wiem. Czy zatrzymał pan rzeczy Fredriki, panie Bimmel, czy są tutaj jeszcze?

- Jej pokój jest na samej gorze.

- Czy mogłabym tam zajrzeć?

Chwile trwało, zanim zdecydował, gdzie ma położyć swój młotek.

- Dobrze - powiedział. - Proszę za mną.

# ROZDZIAŁ 51

Gabinet Jacka Crawforda w waszyngtonskiej siedzibie FBI pomalowany był na deprymujący, szary kolor; miał za to duże okna.

Crawford stał przy jednym z nich i obracał do światła maszynopis, wydrukowany niewyraźnie na przekletej zdezelowanej drukarce, która dawno temu kazał już wyrzucić.

Przyszedł tutaj prosto z domu pogrzebowego i cały rano pracował molestując Norwegów, aby pospieszili się z wysłaniem karty stomatologicznej zaginionego marynarza o imieniu Klaus, ponaglając gliniarzy z San Diego, żeby sprawdzili znajomych Benjamina Raspaila z konserwatorium z czasów, kiedy tam uczył, i wiercać dziury w brzuchu urzędnikom celnym, którzy mieli sprawdzić przypadki naruszenia przepisów importowych dotyczących żywych owadów. Pięć minut po jego przyjściu do gabinetu wsunął głowę zastępcy dyrektora FBI, szefa nowo utworzonej międzywydziałowej grupy dochodzeniowej, John Golby.

- Jack - powiedział. - Wszyscy myślimi jesteśmy z toba. Doceniamy, że przyszedłeś do biura. Czy ustalono już termin nabożeństwa?

- Czuwanie jest jutro wieczorem. Nabożeństwo w sobotę o jedenastej.

Golby kiwnął głową.

- Tworzymy specjalny fundusz UNICEF, Jack, żeby uczcić pamięć Belli. Chcesz, żeby nosił imię Phyllis czy Belli? Zrobimy tak, jak sobie życzysz.

- Belli. Dajcie mu imię Belli, John.

- Czy jest coś, co mogłbym dla ciebie zrobić, Jack? Crawford potrząsnął głową.

- Chcę normalnie pracować. Powinienem zabrać się do roboty.

- Wspaniale - rzekł Golby. Oczekał odpowiednią chwilę. - Frederick Chilton poprosił o ochronę federalną.

- Załatwione. John, czy ktoś z Baltimore rozmawiał z Everettem Yow, adwokatem Raspaila? Wspominałem ci o nim. Może coś wiedzieć o przyjaciółch Raspaila.

- Tak, zajmują się tym właśnie teraz. Przed chwilą wysłałem Burroughsowi notatkę na ten temat. Dyrektor umieścił Lectera na liście najbardziej poszukiwanych. Gdybys czegoś potrzebował, Jack... - Golby unosił brwi, potem dłoń i wycofał się z pola widzenia.

Gdybys czegoś potrzebował...

Crawford odwrócił się do okien. Z jego gabinetu rozciągał się wspaniały widok. Na wprost stał piękny, stary budynek, w którym niegdyś mieścił się urząd pocztowy i w którym odbył część swego szkolenia. Po lewej stronie widac było stara kwatera główna FBI. Kiedy wręczano im dyplomy, przedfilował razem z innymi przez gabinet J. Edgara Hoovera. Hoover stał na małym podwyższeniu i ścisnął im po kolei ręce. Crawford spotkał się z nim wtedy po raz pierwszy i ostatni. Następnego dnia poślubił Belle.

Spotkali się w Livorno, we Włoszech. On służył w armii, ona wchodziła w skład personelu NATO i miała jeszcze wtedy na imię Phyllis. Przechadzali się po nabrzeżu i jakiś żeglarz krzyknął przez polyskującą tafle wody „Bella”. Od tego czasu była dla niego zawsze Bella. Nazywał ją Phyllis tylko wtedy, kiedy się kłócili.

Bella nie żyje. Razem z jej śmiercią powinien zmienić się widok z tych okien. To nie w porządku, że ciągle jest ten sam. Ten widok powinien dla mnie przestać istnieć. Jezu, dziecino moja. Wiedziałem, że to przyjdzie, ale to tak boli.

Co mówi się o przymusowym przejściu na emeryturę w wieku pięćdziesięciu pięciu lat? Zakochałeś się w Biurze, niestety bez wzajemności. Takie sytuacje widział nieraz.

Dzięki Bogu, uchroniła go przed tym Bella. Miał nadzieję, że istnieje gdzieś teraz i że jest jej nareszcie dobrze. Miał nadzieję, że patrzy w jego serce.

Zabrzeczał telefon z sekretariatu.

- Panie Crawford, doktor Danielson z...

- Łącząc. - Wcisnął guzik w aparacie. - Tu Jack Crawford, doktorze.

- Czy na tej linii nie ma podsłuchu, panie Crawford?

- Z mojej strony na pewno nie.

- Nie nagrywa pan naszej rozmowy?

- Nie, doktorze. Proszę powiedzieć, co panu leży na sercu.

- Chcę zdecydowanie podkreślić, że to nie ma nic wspólnego z żadnym pacjentem, który kiedykolwiek leczony był w klinice Johnsa Hopkinsa.

- Rozumiem.

- Jeśli coś z tego wyniknie, chcę, żeby pan oznajmił publicznie, że ten człowiek nie jest transseksualista i nie ma nic wspólnego z naszą instytucją.

- Oczywiście. Obiecuje to panu. Absolutnie. - Szybciej, wykrztus to z siebie wreszcie, ty nadęty gnojku. W tym momencie Crawford obiecałby mu wszystko.

- Pobil doktora Purvisa.

- Kto, doktorze Danielson?

- Zlozyl podanie trzy lata temu jako John Grant z Harrisburga, w stanie Pensylwania.

- Rysopis?

- Typ kaukaski, mial wtedy trzydziesci jeden lat. Sto osiemdziesiat piec centymetrow, osiemdziesiat szesc kilogramow. Przyszedl na testy i uzyskal bardzo dobre wyniki w skali inteligencji Wechslera. Ale testy psychologiczne i rozmowa wykazaly zupełnie co innego. Jego rysunki domu, drzewa i osoby byly identyczne z tymi, jakie pan dostarczyl. Pozwolil mi pan wierzyc, ze autorem tej calej teoryjki jest Alan Bloom, ale w rzeczywistosci byl nim Hannibal Lecter, prawda?

- Prosze, niech pan mowi dalej o Grancie, doktorze.

- Komisja i tak by go odrzucila, ale zanim odbylo sie posiedzenie, sprawa stala sie nieaktualna, poniewaz wyszly na jaw pewne jego sprawy z przeszlosci.

- W jaki sposob?

- Zasięgamy rutynowo jezyka na temat kandydata w jego miejscu zamieszkania. Policja w Harrisburgu poszukiwala go za dwa napady na homoseksualistow. Ten ostatni o malo nie zakonczyl sie tragicznie. Natrafilismy na adres pewnego hoteliku, w ktorym bywal od czasu do czasu. Policja zdjela tam jego odciski palcow i znalazla kredytowy kwit na benzyne z numerami jego prawa jazdy. Nie nazywal sie wcale John Grant, nazwisko bylo zmyślone. Jakis tydzien pozniej zaczal sie kolo budynku i pobil doktora Purvisa, tak po prostu, z czystej zlosliwosci.

- Jak brzmi jego nazwisko, doktorze Danielson?

- Lepiej je panu przeliteruje. Nazywa sie J-A-M-E G-U-M-B.

## ROZDZIAI 52

Trzypietrowy dom Fredriki Bimmel byl wysoki i waski. Na krytym papa dachu, w miejscach gdzie przeciekaly rynny, widnialy rdzawe plamy. Rosnace w rynnach samosiejki klonu calkiem dobrze znosily zime. Okna od polnocnej strony zasloniete byly plachtami folii.

W malym, nagrzanym od piecyka saloniku siedziala na dywanie kobieta w srednim wieku i bawila sie z niemowleciem.

- Moja zona - oznajmil Bimmel, kiedy przechodzili przez salonik. - Pobralismy sie na Boze Narodzenie.



- Dzień dobry - powiedziała Clarice. Kobieta poszła w jej kierunku nieokreślony uśmiech.

W hallu było znowu zimno. Wszędzie stały poukładane jedne na drugich kartonowe pudła, wypełniały całe pokoje, porobione były między nimi tylko wąskie przejścia. Kartony z abazurami i blaszanymi pokrywkami, kosze na wiktualy, stare numery Reader's Digest i National Geographic, stare rakiety tenisowe z grubą raczką, posciel, pudełko do gry w strzałki i zalatujące intensywnym zapachem mysiego moczu samochodowe pokrowce w szkocką kratę.

- Niedługo się wyprowadzamy - powiedział pan Bimmel.

Rzeczy stojące blisko okna wyblakły od słońca, pudła stały tam od lat i wybrzuszyły się z biegiem czasu. W przejściach, to tu, to tam, leżały wytarte do cna dywaniki.

Promienie słońca rzuciły cienie na balustradę. Clarice wspinała się po schodach idąc za ojcem Fredriki. W zimnym powietrzu jego ubranie zalatywało stęchlizną. Widziała słońce przeswitujące przez pochyły dach nad klatką schodową. Poustawiane na podestach kartony przykryte były folią.

Niewielki pokój Fredriki znajdował się na trzecim piętrze, na poddaszu.

- Potrzebuje mnie pani jeszcze?

- Później chciałabym z panem porozmawiać. Co stało się z matką Fredriki? - W aktach sprawy było napisane „zmarła”, nie sprecyzowali kiedy.

- Co to znaczy, „co stało się z matką”? Umarła, kiedy Fredrica miała dwanaście lat.

- Rozumiem.

- Pani myślała, że tam, na dole, to była jej matka? Po tym, jak powiedziałem, że pobralismy się na Boże Narodzenie? Tak sobie pani pomyślała? Przypuszczam, że policja ma na ogół do czynienia z ludźmi zupełnie innego pokroju, panienko. Ona w ogóle nie знаła Fredriki.

- Czy w pokoju nic się nie zmieniło od czasu, kiedy opuściła go Fredrica, panie Bimmel?

Gniew wyparował gdzieś z niego.

- Tak - odparł miękko. - Zostawiliśmy wszystko, jak było. Na nikogo nie pasują jej rzeczy. Może pani włączyć grzałkę, jeśli pani chce. Niech pani tylko nie zapomni jej wyłączyć przed wyjściem.

Nie chciał oglądać tego pokoju. Zostawił ją na podestach.

Clarice Starling przystanęła przez chwilę z ręką opartą na porcelanowej klamce. Musiała się trochę skoncentrować, zanim jej głowę wypełniła sprawa Fredriki.

W porządku, założenie jest takie, że Buffalo Bill zalatwił Fredrikę pierwszą, obciążył jej zwłoki i ukrył, jak mógł najlepiej, w rzece, daleko od domu. Ukrył ją lepiej od innych - była jedyna,

ktorej ciało obciążał - ponieważ chciał, żeby najpierw odnalezione zostały jego późniejsze ofiary. Chciał ugruntować opinie, że wybór ofiar i miejsca ich porwan są zupełnie przypadkowe, ugruntować ją, zanim ktoś natrafi na ciało Fredriki Bimmel z Belvedere. Ważne było, żeby odwrócić uwagę od Belvedere. Ponieważ tutaj właśnie mieszka Bill, tutaj albo w Columbus.

Zaczął od Fredriki, ponieważ pozadał jej skóry. Pozadanie nie zaczyna się od rzeczy wyimaginowanych. Pozadanie jest grzechem bardzo konkretnym - zaczynamy pozadać tego, co możemy dotknąć, zaczynamy pozadać tego, co widzimy na co dzień. Oglądał Fredrikę w swoim codziennym życiu. Oglądał ją w jej codziennym życiu.

Jak wyglądało codzienne życie Fredriki? W porządku...

Starling pchnęła do środka drzwi. To było tutaj, w tym cichym pokoju pachnącym pleśnią. Zawieszony na ścianie zeszłoroczny kalendarz na zawsze zatrzymał się w kwietniu. Fredrica nie była od dziesięciu miesięcy.

Na spodeczku w kacie leżało zeschnięte i szerniałe jedzenie dla kota.

Clarice, weteranka podworkowych wyprzedazy, stała na środku pokoju i obróciła się powoli na piec. Biorąc pod uwagę to, czym dysponowała, Fredrica całkiem przyjemnie się tu urządziła. Zasłony były z kretonu w kwiatki. Sadzać po oblamowanych brzegach, uszyła je ze starych pokrowców na meble.

Na ścianie wisiała tablica z przypięta do niej na gorze szarfa. Na szarfie widniał wydrukowany błyszczącymi literami napis: BHS BAND. Obok był plakat Madonny, a także Deborah Harry i Blondie. Na półce nad biurkiem zauważyła rolkę samoprzylepnej tapety o takim samym deseniu, jak ta, którą Fredrica wyłożyła ściany pokoju. Nie był wytapetowany idealnie, ale i tak lepiej, niż zrobiła to Clarice za pierwszym razem.

W przeciętnym domu pokój Fredriki mógłby zostać uznany za pogodny. W tym opuszczonym otoczeniu wrażenie było przejmujące, jego wygląd miał w sobie coś z desperacji.

Nigdzie na widocznym miejscu nie było fotografii Fredriki.

Odnalazła dopiero jej zdjęcie w roczniku szkolnym, leżącym na niewielkiej szafce z książkami. Zajęcia pozaszkolne: chor, klub gospodarstwa domowego, szycie, zespół, klub 4-H - może pod nazwą 4-H zakodowane było doglądanie gołębi.

Wiele podpisów. „Mojej wielkiej przyjaciółce”, „wspaniałej dziewczynie”, „koleżance z chemii”, „pamiętasz, jak sprzedawaliśmy razem bulki?!!”

Czy Fredrica przyprawiała tutaj swoich przyjaciół? Czy miała kogoś, z kim się przyjaźniła na tyle blisko, żeby poprowadzić go w górę tymi schodami pod przeciekającym dachem? Przy drzwiach stała parasolka.

Popatrz na to zdjęcie Fredriki, stoi tutaj w pierwszym rzędzie swojej klasy. Jest szeroka i gruba, ale mundurek ma dopasowany lepiej niż inne. Jest duża i ma przepiękną skórę. Przyjemna

twarz o nieregularnych rysach. Nawet wedle przeciętnych upodobań trudno uznać ją za atrakcyjną.

Kimberly Emberg też trudno było uznać za ponętą, w każdym razie nie w oczach beznamiętnej bandy z college'u. Żadna z nich nie miała chłopaka.

Jednakże Catherine Martin mogła śmiało uchodzić za atrakcyjną dziewczynę. Duża, przystojna, młoda kobieta. Kiedy dobiegnie trzydziestki, będzie musiała zrzucić trochę kilogramów.

Pamiętaj, on nie patrzy na kobiety w normalny sposób, tak jak patrzą na nie inni mężczyźni. Atrakcyjne według powszechnych kanonów dla niego się nie liczą. Mają być po prostu gładkie i duże.

Clarice zastanawiała się, czy myśleć o kobietach nazywa je „skóry”, podobnie jak niektórzy kretyńcy mówią o nich „dupy”.

Każdym nerwem swej dłoni rejestrowała szczegóły zdjęcia ze szkolnego rocznika. Czuliła pod palcami całe jej ciało, kształty jej figury i owal jej twarzy. Zdawała sobie sprawę z wrażenia, jakie wywołuje, a nawet z mocy, jaką tkwi w takim ciele. Podziwiała krągłość jej biustu, jej płaski brzuch i w końcu jej nogi. Czy jej własne doświadczenia mogą być jednak przydatne przy tego rodzaju ocenie?

Clarice przejrzała się w dużym, stojącym przy szczytowej ścianie lustrze. Z zadowoleniem stwierdziła, że różni się od Fredriki. Ale wiedziała zarazem, że ta różnica wynika z pewnego stereotypu myślowego. Jak go wyeliminować?

Jak chciała wyglądać Fredrica? Czego pragnęła, gdzie tego szukała? Co próbowała ze sobą zrobić?

Leżały tu foldery dotyczące różnych diet: diety opartej na sokach owocowych, diety ryżowej i rewelacyjnej metody, polegającej na tym, że nie wolno jednocześnie jeść i pić podczas jednego posiłku.

Zorganizowane grupy dietetyczne - czy Buffalo Bill obserwuje je, żeby znaleźć dla siebie duże dziewczyny? Trudno to sprawdzić. Z akt sprawy wiedziała, że dwie spośród ofiar należały do grup dietetycznych i że sprawdzone zostały listy członkowskie tych grup. Agent z oddziału w Kansas City, tradycyjnego w FBI biura tłuszciochów, i kilku innych policjantów z nadwagą wysłanych zostało do pracy w ośrodkach dietetycznych w miastach, z których pochodziły ofiary. Nie wiedziała, czy do którejś z takich grup należy Catherine Martin. Fredrica z kolei mogła się tam nie zapisać z powodów finansowych.

Fredrica miała w swoim pokoju kilka egzemplarzy Big Beautiful Girl, magazynu dla dużych kobiet. Radzono jej tam, „żeby przyjechała do Nowego Jorku, gdzie może spotkać przybyszów z całego świata, którzy uznają jej rozmiary za główny atut”. W porządku. Ewentualnie „mogła pojechać do Włoch albo do Niemiec, gdzie już od pierwszego dnia przestanie być samotna”. Pewnie. W innym miejscu radzono, co należy zrobić, kiedy palce u nóg wystają poza krawędź sandałów. Jezus. A ona musiała akurat spotkać Buffalobilla, człowieka, który jej rozmiary uważał za „główny atut”.

Jak radziła sobie Fredrica? Miała trochę kosmetyków, dużo środków do pielęgnacji skóry. To dobrze. Użyj tego atutu. Clarice zorientowała się, że stara się utożsamiać z Fredriką, jakby miało to jeszcze jakiegokolwiek znaczenie.

Trzymała trochę błyskotek w pudełku po cygarach marki „White Owl”. Była tutaj pozłacana zaokrąglona szpilka do włosów, najprawdopodobniej należała do jej zmarłej matki. Próbowala przyciąć jakieś stare koronkowe rekawiczki, żeby mieć takie same jak Madonna, ale postrzępiły się na palcach.

Miała trochę płyt i zdezelowany gramofon „Decca” z lat pięćdziesiątych z przymocowanym gumkami do ramienia igły obciążającym je scyzorykiem. Podworkowe wyprzedaje. Ulubione melodie w wykonaniu Zamfira, mistrza gry na fletni Pana.

Kiedy pociągnęła za sznurek, żeby oświetlić wewnątrz szafy, zaskoczyła ją garderoba Fredriki. Miała ładne stroje, niezbyt dużo, ale wystarczająco, żeby ubrać się odpowiednio do szkoły, do pracy w biurze albo w sklepie. Przyjrzała im się bliżej i już po chwili znalazła przyczynę. Fredrica szyla sama i robiła to bardzo dobrze, szwy obszyte były tasiemką, całość starannie dopasowana. Z tyłu na półce leżały wykroje. Większość pochodziła z Simplicity, ale było także kilka z Vogue.

Na spotkanie z przyszłym pracodawcą założyła prawdopodobnie swoje najlepsze ubranie. W co się ubrała? Starling przerzuciła akta. Tutaj: ostatnio widziana w zielonej konfekcji. No dalej, pani inspektor, co to jest, u diabła, „zielona konfekcja”?

Pięta achillesowa Fredriki był niski budżet. Nie miała zbyt wielu par butów, a przy jej wadze trudno było długo chodzić w tym, co miała. Polbuty rozchodziły się w szwach. W sandałach nosiła wkładki przeciwpachowe. W tenisówkach postrzępiły się dziurki od sznurowadel.

Może Fredrica trochę się gimnastykowała - miała kilka dresów o potężnych rozmiarach.

Nosiły metki „Juno”.

Catherine Martin również miała parę spodni firmy „Juno”.

Odsunęła się trochę od szafy. Usiadła w nogach łozka ze skrzyżowanymi ramionami i wpatrywała się w oświetlone wewnątrz szafy.

„Juno” to była znana firma, sprzedawali swoje rzeczy w wielu sklepach prowadzących dział dla nietypowych. Problem odzieży nie dawał Starling spokoju. W każdej dziurze istnieje co najmniej jeden sklep specjalizujący się w odzieży dla ludzi otyłych.

Czy Buffalo Bill obserwuje takie sklepy, wybiera sobie jakąś klientkę i potem ją śledzi?

Czy wchodzi do środka przebrany za kobietę i rozgląda się za kims odpowiednim? Każdy tego typu sklep przyciąga transwestytów i przebieranców.

Koncepcja, że Buffalo Bill stara się pokonać ograniczenia własnej płci, pojawiła się w śledztwie całkiem niedawno, dopiero kiedy doktor Lecter zapoznał policję ze swoją teorią. W co

ubiera sie Buffalo Bill?

Wszystkie ofiary musialy robic zakupy w sklepach dla nietypowych - Catherine Martin mogla jeszcze nosic normalny rozmiar dwunasty, ale inne dziewczyny nie. Jednak Catherine musiala tez odwiedzac te sklepy, skoro miala w swej szafie swetry firmy „Juno”.

Catherine Martin mogla od biedy nosic dwunastke. Byla najmniejsza ze wszystkich ofiar. Fredrica byla pierwsza i największa. Dlaczego Buffalo Bill wybral tym razem kogos o wymiarach Catherine? Byla duza, ale niezbyt szeroka w pasie. Czy on sam stracil troche na wadze? Moze zapisal sie ostatnio do ktorejs z grup dietetycznych? Rozmiary Kimberly Emberg sytuowaly ja gdzieś posrodku, byla masywna, ale miala wcieta talie.

Clarice specjalnie starala sie nie myslec o Kimberly Emberg, ale teraz nie mogla powstrzymac cisnacych sie pod powieki obrazow. Widziala Kimberly na stole w Potter. Buffalo Bill nie dbal o jej nakremowane nogi i starannie umalowane paznokcie. Spojrzal na jej plaski biust i ten biust go nie zadowolil. Wzial pistolet i na jej piersiach wy kwitla rozgwiadza.

Drzwi do pokoju uchylily sie nieznacznie. Clarice poczula, jak bije jej serce. Do pokoju wsunal sie duzy zolty kot, jedno oko mial zlote, drugie niebieskie. Wskoczyl na lozko i otarl sie o nia. Szukal Fredriki.

Samotnosc. Duze, samotne dziewczyny szukajace kogos, komu bylyby potrzebne.

Policja wyeliminowala kluby samotnych serc juz we wczesnym etapie sledztwa. Czy Buffalo Bill wykorzystywal samotnosc w jakis inny sposob? Nic nie czyni czlowieka bardziej bezbronnym niz samotnosc, moze tylko chciwosc.

Samotnosc mogla ulatwic Buffalo Billowi zawarcie znajomosci z Fredrika, ale nie z Catherine. Catherine nie byla samotna.

Samotna byla Kimberly. Nie zaczynaj znowu. Kimberly, ulegla i posluszna w objeciach smierci, przewracana na zmiane na plecy i brzuch po to tylko, by inspektor Starling mogla zdjac odciski palcow. Przestana. Nie moze przestac. Samotna, pragnaca kogos zadowolic Kimberly, czy obracala sie kiedys poslusznie, chocby po to, by poczuc na swoich plecach bicie cudzego serca? Zastanawiala sie, czy Kimberly czula kiedys na swych lopatkach muskajace je wasy mezczyzny.

Wpatrujac sie w oswietlone wnetrze szafy, Clarice przypomniala sobie pulchne plecy Kimberly, trojkatne fragmenty skory, ktorzych brakowalo na jej lopatkach.

Wpatrujac sie w oswietlone wnetrze szafy, zobaczyla teraz wyciete z lopatek Kimberly trojkaty obwiedzione niebieska linia krawieckiego wykroju. Obraz odplynal gdzieś na chwile, a potem wrocil, pojawil sie na tyle wyraznie, zeby mogla uchwycic idee i zrobila to, czujac, jak ogarnia ja gwałtowna radosc. to sa kliny - wycina te trojkaty,

ZEBY ZROBIC KLINY. DZIEKI NIM UDAJE MU SIE ZMIESCIC W JEJ TALII SUKINSYN POTRAFI SZYC. BUFFALO BILL SKONCZYL JAKIES KURSY KRAWIECKIE. NIE

## ZADOWALA SIE WYROBAMI GOTOWYMI.

Co powiedzial doktor Lecter? „On robi sobie dziewczecy stroj, robi go z prawdziwych dziewczat". O co mnie pytal? „Czy potrafisz szyc, Clarice?" Niech to diabli, pewnie, ze potrafie.

Odchylila na sekunde glowe do tylu i przyknela oczy. Rozwiazanie problemu jest niczym udane polowanie; daje dzika radosc, radosc, do ktorej jestesmy zrodzeni.

W saloniku widziala telefon. Zaczela schodzic w dol, zeby z niego skorzystac, ale i tak wzywaj ja juz tam piskliwy glos pani Bimmel. Wzywaj ja do telefonu.

## ROZDZIAI 53

Pani Bimmel podala Clarice sluchawke i wziela na rece placzace dziecko. Nie wyszla z saloniku.

- Clarice Starling.

- Jerry Burroughs, sluchaj, Starling...

- Swietnie, Jerry. Wiesz, sadze, ze Buffalo Bill potrafi szyc. Wycial trojkaty z... - poczekaj chwileczke - ...pani Bimmel, czy moglabym pania prosic, zeby zabrala pani dziecko do kuchni? Musze tutaj porozmawiac. Dziekuje... Jerry, on potrafi szyc. Wycial...

- Starling...

- Wycial te trojkaty z Kimberly Emberg, zeby zrobic kliny, krawieckie kliny. Jest wykwalifikowanym krawcem, nie jakims tam jaskiniowcem, ktory okrywa sie surowymi skorami. Sekcja identyfikacyjna moze sprawdzic w rejestrze skazanych wszystkich krawcow, zaglomistrzow, tapicerow, kusnierzy, wszystkich, u ktorych w rubryce znaki szczegolne wspomina sie o krawieckiej szczerbie w zebach...

- W porzadku, w porzadku, zaraz lacze sie z sekcja identyfikacyjna. Teraz posluchaj, bo moze bede musial za chwile odejsc od telefonu. Jack chcial, zebym cie zapoznal z sytuacja. Mamy nazwisko i miejsce zamieszkania faceta, ktory wyglada calkiem zachecajaco. Z bazy w Andrews wystartowal juz specjalny oddzial do ratowania zakladnikow. Jack daje im instrukcje przez zakodowana linie.

- Gdzie leca?

- Calumet City, na przedmiesciach Chicago. Podejrzany Jame, jak „name", pierwsza litera jot, nazwisko Gumb, alias John Grant, bialy mezczyzna, trzydziesci cztery lata, osiemdziesiat szesc kilogramow, wlosy brazowe, oczy niebieskie. Jack dostal telefon z osrodka Johnsa Hopkinsa. Pozwolily go tam wyluskac twoje informacje o tym, w jaki sposob jego testy moga sie roznic od tych,

które wypełniali normalni transseksualisci. Trzy lata temu facet złożył podanie o zmianę płci. Kiedy go odrzucili, pobił lekarza. W osrodku mieli jego fałszywe nazwisko i tymczasowy adres w Harrisburgu, w Pensylwanii. Gliniarze znaleźli tam kwit na benzynę, był na nim numer jego prawa jazdy. Jako młodociany niezłe narozrabiał w Kalifornii: w wieku dwunastu lat zabił swoich dziadków. Szesć lat odsiedział w szpitalu psychiatrycznym w Tulare. Władze stanowe wypuściły go szesnastu lat temu, kiedy likwidowano szpital. Na jakiś czas zapadł się pod ziemię. Pogromca pedałow. Miał kilka spraw o pobicie w Harrisburgu i znowu zniknął.

- Mówi pan Chicago? Skąd wiecie, że właśnie tam mieszka?

- Z urzędu celnego. Mieli coś na temat Johna Granta. Kilka lat temu celnicy zatrzymali na lotnisku Los Angeles walizkę nadaną z Surinamu, w środku były żywe poczwarki... tak to się chyba nazywa... no, w każdym razie owady, cmy. Odbiorca był John Grant, miał pełnomocnictwa mieszczące się w Calumet firmy o nazwie... uważaj... „Mr Hide”. Specjalność: wyroby skorzane. Więc trop krawiecki chyba tutaj pasuje. Przekazuje to do Chicago i Calumet. Nie mamy wciąż adresu domowego Granta albo Gumba. Firma jest zamknięta, ale siedzimy mu na karku.

- Macie jakies jego zdjęcia?

- Na razie tylko jako nieletniego, od policji w Sacramento. Nie na wiele się zdadza, ma na nich dwanaście lat. Ale i tak wysyłamy je faksem na cały kraj.

- Czy mogę tam jechać?

- Nie. Jack przypuszczał, że o to poprosisz. Maja ze sobą dwie policjantki z Chicago i pielęgniarkę, żeby zaopiekowała się Martin, jeśli zajdzie taka potrzeba. I tak byś nie zdążyła na czas.

- A co będzie, jeśli się zabarykaduje?

- Nie będzie żadnego obleżenia. Zlokalizują go i od razu uderzą. Crawford upoważnił ich do użycia materiałów wybuchowych. Z tym facetem mogą być szczególne problemy, Starling. Miał już kiedyś zakładników. To było wtedy, kiedy popełnił te zbrojstwa jako młodociany. Zabarykadował się w Sacramento i trzymał swoją babkę jako zakładniczkę. Dziadka zabił już wcześniej. Wyszła z tego niezła afera, zaraz ci opowiem. Wyszedł na zewnątrz przed kordon policjantów, przemawiał do niego jakiś pastor. To było przecież jeszcze dziecko, nikt do niego nie strzelał. Stojąc za swoją babką załatwił ją strzałem w nerki. Natychmiastowa pomoc nic nie dała. Zrobił to mając dwanaście lat. Więc tym razem żadnych negocjacji, żadnych ostrzeżeń. Martin prawdopodobnie jest już martwa, ale powiedzmy, że będziemy mieli szczęście. Powiedzmy, że miał dużo spraw na głowie i nie zdążył się do niej zabrać. Jeśli zobaczy, że się zbliżamy, załatwi ją na naszych oczach, z czystej złośliwości. Nic go to nie kosztuje, no nie? Więc teraz, kiedy tylko go odnajdą, bum, wysadzają drzwi w powietrze.

W pokoju było piekielnie gorąco, w powietrzu unosił się zapach mokrych pieluszek.

Burroughs wciąż mówił:

- Sprawdzamy te dwa nazwiska na listach subskrybentów czasopism entomologicznych, w cechu szlifierzy noży, w rejestrze skazanych... nikt nie stoi beczynn timer czekając, aż będzie po wszystkim. Rozglądasz się w środowisku Bimmel, prawda?

- Tak.

- Departament Sprawiedliwości twierdzi, że sprawa wcale nie będzie taka prosta, jeśli nie uda się go ująć na gorącym uczynku. Musimy go złapać razem z Martin albo czymś, co uda się zidentyfikować, na czym są odciski jego palców albo zębów, serio. Nie musisz mi mówić, że jeśli zdarzył się zabójstwo Martin, potrzebujemy świadka, który widział go przedtem razem z ofiarą. Twoje materiały na temat Bimmel przydadzą się niezależnie od tego, czy... Starling, tak bardzo żałuję, że to wszystko nie zdarzyło się wczoraj i to nie tylko ze względu na tę małą Martin. W Quantico kłamała już zapadła?

- Tak myślę. Wzieli na moje miejsce kogoś, kto czekał na ponowne przyjęcie. Tak mi powiedzieli.

- Jeżeli złapiemy go w Chicago, twoja zasługa będzie bezsporna. W Quantico z nikim się nie pieszczą i tak właśnie powinno być, ale nie mogą przecież zamykać oczu na to, co zrobiłaś. Poczekaj chwilę.

Słyszała, jak mówi do kogoś podniesionym tonem. Po chwili był już z powrotem.

- Nic takiego. Będzie ładować w Calumet City za czterdzieści do czterdziestu pięciu minut, zależy od siły wiatru. Może ich zastąpić oddział specjalny z Chicago, jeśli go pierwszy namierzy. Elektrownia w Calumet dała im cztery możliwe adresy. Starling, bądź uczulona na wszystko, co może zaważać pole poszukiwań. Jeśli tylko dowiesz się czegoś na temat Chicago lub Calumet, daj mi znać.

- Natychmiast.

- Teraz słuchaj. Ostatnia sprawa, bo muszę kończyć. Jeśli to się uda, jeśli złapiemy go w Calumet City, stawiasz się w Quantico jutro, godzina osiem zero zero, mundur jak spod igły, buty na glanc. Jack idzie z tobą na posiedzenie rady. Będzie wam towarzyszył szef sekcji strzeleckiej, Brigham. Nigdy nie zaszkodzi poprosić.

- Jerry, jeszcze jedno. Fredrica Bimmel miała kilka dresów „Juno”, to firma, która specjalizuje się w ubraniach dla ludzi z nadwagą. Miała je też Catherine Martin, nie wiem, czy to takie ważne. On może obserwować sklepy dla otyłych i wybierać tam sobie duże ofiary. Możemy zapytać o to w Memphis, Akron i innych miejscach.

- Zrozumiałem. Trzymaj się.

Clarice wyszła na zasmiecone podworko w Belvedere, w stanie Ohio, 600 kilometrów od miejsca akcji w Chicago. Zimny wiatr przyjemnie chłodził jej twarz. Zaciśnęła kciuki, życząc powodzenia lecacemu do Calumet oddziałowi. Jednocześnie czuła, jak drży jej podbródek i policzki. O co chodzi, do diabła? Co ma robić, do wszystkich diabłów, jeśli na coś natrafi? Może wezwac



kawalerie powietrzna, biuro terenowe w Cleveland, oddzial specjalny z Columbus i miejscowa policje na dodatek.

Ocalenie tej mlodej kobiety, ocalenie corki senator Ruth Martin i wszystkich, ktore moglyby umrzec po niej - naprawde, tylko to sie liczylo. Jesli to sie uda, wszyscy beda mieli racje.

Jesli nie zdaza na czas, jesli zastana tam cos okropnego... Boze, spraw, zeby zlapali chociaz Buffa... Jame'a Gumba, Mr Hide'a, czy jak jeszcze zechca nazwac te przekleta bestie.

A jednak byc tak blisko, miec go niemal w garosci, wpasc na wlasciwy trop o jeden dzien za pozno, a teraz znalezc sie daleko od miejsca aresztowania i dac sie wylac ze szkoly, wszystko to mialo posmak kleski.

Przepelniona poczuciem winy, Clarice od dawna podejrzewala, ze od kilkuset lat rodzine Starlingow przesladuje wyjatkowy pech: ze wszyscy Starlingowie dawali sie na ogol wystawic do wiatru, wycisnac jak cytrynki i odstawic na boczny tor. I ze jesli udaloby sie natrafic na slad pierwszego Starlinga, wieczny lancuch niepowodzen zamknalby sie. Taki rodzaj myslenia najlepiej charakteryzuje nieudacznika i to, ze znajdowala w nim upodobanie, nie wrozylo nic dobrego.

Jesli zlapia go dzieki danym, ktore uzyskala od doktora Lectera, pomoze jej to w czasie przesluchania w ministerstwie sprawiedliwosci. Clarice musiala zastanowic sie nad tym choc przez chwile; mysl o zlamanej karierze swedziala ja niczym amputowana konczynna.

Cokolwiek sie zdarzy, olsnienie, jakie splynelo na nia w kwestii klinow, to byla chyba jedna z najwspanialszych rzeczy w jej zyciu. Cos zostalo jej przeciez z calej tej sprawy. Odkryla, ze wspomnienie matki stanowi dla niej tak samo silne oparcie jak wspomnienie ojca. Zdobyla i utrzymala zaufanie Crawforda. Bylo cos, co mogla przechowac w swoim wlasnym pudelku marki White Owl.

Jej zadaniem, jej obowiazkiem bylo teraz myslec o Fredrice, o tym, w jaki sposob mogl ja dostac w swoje rece Gumb. Dla prokuratury przydatne moga sie okazac wszystkie fakty.

Mysl teraz o Fredrice, zwiazanej z tym miejscem przez cala swoja mlodosc. W jaki sposob chciala sie stad wyrwac? Czyjej pragnienia byly podobne do pragnien Buffalo Billa? Czy to zblizylo ich do siebie? Straszna mysl, ze on mogl ja rozumiec, bo sam przeszedl przez cos podobnego, mogl jej nawet wspolczuc, a mimo to patrzec chciwym okiem na jej skore.

Przystanela tuz nad woda.

Prawie kazde miejsce ma okreslona pore dnia, kiedy wyglada najlepiej, kiedy kat padania i intensywnosc swiatla wydobywaja zen najbardziej korzystne cechy. Ktos, kto przykuty jest do jednego miejsca, wie, kiedy przypada ta pora i czeka na nia. Dla plynacej na tyloch Fell Street Licking River ta pora nadeszla chyba wlasnie teraz, wczesnym popoludniem. Czy byl to dla mlodej Bimmel czas marzen? Znad wody uniosla sie warstwa mgly. Zniknely w niej lezace w trzcinach stare lodowki i kuchenki gazowe. Polnocno-zachodni wiatr unosil bazie ku swiecacemu blado sloncu.

Z szopy Bimmela biegła ku rzece biała rura odpływowa. Zabulgotalo w niej coś i na zlewały śnieg poleciało trochę zmieszanej z krwią wody. Bimmel wyszedł na słońce. Przed spodni zachlapany miał krwią, w plastikowej torbie trzymał jakieś różowe i szare ochłapy.

- Młode gołębie - wyjaśnił, kiedy spostrzegł, że dziewczyna mu się przypatruje. - Jadła pani kiedyś młode gołębie?

- Nie - odparła odwracając się ku rzece. - Jadłam turkawki.

- Nie trzeba się bać, że złamie się za b o kawałek srutu.

- Panie Bimmel, czy Fredrica znalazła kogoś z Calumet City albo z rejonu Chicago?

Wzruszył ramionami i potrząsnął głową.

- Czy z tego, co pan wie, była kiedykolwiek w Chicago?

- Co to znaczy „z tego, co pan wie”? Sądzi pani, że moja dziewczyna pojechałaby do Chicago, a ja bym o tym nie wiedział? Nie pojechałaby do Columbus nie informując mnie o tym.

- Czy znalazła jakichś mężczyzn, którzy zajmowali się szyciem; krawców albo zagłomistrzów?

- Szła dla wszystkich. Potrafiła szyc jak jej matka. Nie wiem nic o żadnych mężczyznach. Szła dla firm, damskie rzeczy, nie wiem dokładnie dla kogo.

- Miała może jakąś bliską przyjaciółkę, panie Bimmel? Z kim była najsilniej związana? - Nie powinnam mówić „najsilniej związana”. Ale nie, wcale go to nie obeszło, miał po prostu wszystkiego potad.

- Nie przesiadywała z nikim godzinami jak inne latawice. Zawsze miała jakąś robotę. Bog poskapil jej urody, ale zrobił z niej pracowitą dziewczynę.

- Kto, według pana, był jej najlepszą przyjaciółką?

- Myślę, że Stacy Hubka, przyjaźniły się od małego. Matka Fredriki mawiała, że Stacy chodzi wszędzie z Fredriką tylko dlatego, żeby mieć kogoś, kto zawsze na nią poczeka, sam nie wiem.

- Orientuje się pan, w jaki sposób mogłabym się z nią skontaktować?

- Stacy dostała posadę w ubezpieczeniach, sądzi, że nadal tam pracuje. Towarzystwo ubezpieczeniowe Franklina.

Z opuszczoną głową i rękoma wetkniętymi głęboko w kieszenie płaszcza przeszła przez wyłobione koleinami podworko do samochodu. Wysoko, z okna, przyglądał jej się kot Fredriki.

## ROZDZIAŁ 54

Im dalej na zachód, tym żywsza reakcja wywołuje legitymacja FBI. Karta identyfikacyjna Clarice Starling, na widok której waszyngtonski funkcjonariusz unosiłby co najwyżej brew, całkowicie zafascynowała szefa Stacy Hubki z agencji ubezpieczeniowej Franklina w Belvedere. Osobście zastąpił Stacy za ladą i przy telefonach i zaoferował Starling własny gabinet za szklaną ścianą, żeby mogła spokojnie porozmawiać.

Stacy Hubka miała metr pięćdziesiąt w szpilkach i okrągłą, pokrytą puszką twarz. Opadały na nią z dwóch stron platynowe loki, które odgarniała co chwila ruchem wzorowanym na Cher Bono. Kiedy tylko Clarice nie patrzyła na nią, natychmiast polykała ją wzrokiem.

- Stacy... czy mogę mówić do ciebie Stacy?

- Jasne.

- Chciałabym, żebyś mi powiedziała, Stacy, w jaki sposób, według ciebie, to mogło się przytrafić Fredrice? Gdzie ten mężczyzna mógł ją przyuważać?

- Normalnie w pale się nie mieści. Ściągać z kogoś skórę! Czy ten gość robi to naćpany? Czy ja widziałas? Mówią, że wyglądała, jakby była rozgotowana, jakby ktoś spuścił z niej powietrze...

- Stacy, czy ona kiedykolwiek wspominała o kimś z Chicago albo Calumet City?

Calumet City. Zegar nad głową Stacy Hubki nie dawał Clarice spokoju. Za dziesięć minut powinien ładować oddział specjalny. Czy dostali właściwy adres? Zajmij się tym, co masz tutaj do zrobienia.

- Chicago? - powtórzyła Stacy. - Nie, defilowaliśmy tylko raz w Chicago podczas Święta Dziękczynienia.

- Kiedy?

- To było w osmej klasie, czyli ile... dziewięć lat temu. Pojechalismy tam autobusem, w te i z powrotem, cały zespół.

- Co sobie pomyślałaś zeszłej wiosny, kiedy zaginęła?

- Po prostu nie mieściło mi się to w głowie.

- Pamiętasz, gdzie byłaś, kiedy się o tym dowiedziałaś? Kiedy to dokładnie było? Co sobie wtedy pomyślałaś?

- Tej pierwszej nocy, kiedy nie wróciła, Skip i ja byliśmy na koncercie, potem skoczyliśmy się

czegoś napisać do „Mr Toada”, razem z całą paczką, i przyszła Pam Malavesi, i mówi: Fredrica zniknęła, i wtedy Skip: nawet Houdini nie zdołałby jej uwolnić z więzów. No i potem musiał oczywiście wszystkim opowiedzieć, kto to jest Harry Houdini, ten słynny magik, Skip musi zawsze pokazać, że wie wszystko, i zaczęliśmy chyba mówić o czym innym. Pomyślałam, że miała po prostu dosyć swojego starego. Widziałas jej dom? Czy to nie prawdziwe dno? Gdziekolwiek ona jest teraz, wiem, że głupio jej, żeś go widziała. Ty nie dałabys stamtąd dyla?

- Nie pomyślałaś, że może z kims uciekła, nie pomyślałaś o nikim, nawet jeśli potem okazało się, że nie miałaś racji?

- Skip powiedział, że może przygruchala sobie jakiegoś amatora grubasek. Ale nie, ona nigdy nikogo takiego nie miała. Miała kiedyś chłopaka, ale to stara historia. Chodził do dziesiątej klasy, był z nami w zespole, mówię „chłopak”, ale oni tylko rozmawiali ze sobą, chichotali jak dwie panienki i odrabiali razem lekcje. On był zresztą zupełnie jak dziewczyna, nosił takie śmieszne rybackie czapki. Skip uważał, że jest, no wiesz, trochę swirowaty. Śmieli się z niej, że chodzi z czubkiem. Ale potem on i jego siostra zginęli w wypadku samochodowym i nigdy już nikogo sobie nie znalazła.

- Co pomyślałaś, jak nie wróciła?

- Pam sądziła, że może porwali ją jacyś kosmici, nie wiem, strach mnie oblatywał za każdym razem, jak o tym pomyślałam. Za nic nie wyjdę teraz w nocy na dwór sama. Chłopie, powiedziałam Skipowi, po zachodzie słońca nigdzie bez ciebie nie wychodzę.

- Czy słyszałaś, żeby kiedykolwiek wspominała o kims o nazwisku Jame Gumb? Albo John Grant?

- Hmmmm... nie.

- Czy myślisz, że mogła mieć przyjaciela, o którym byś nie wiedziała? Czy były takie okresy, kiedy się nie widywałyście?

- Nie, gdyby miała faceta, wiedziałabym o tym, wierz mi. Ona nigdy nikogo nie miała.

- Czy nie sądzisz, że miała kogoś i po prostu nic o nim nikomu nie powiedziała? Czy to możliwe?

- Dlaczego miałaby nic nie mówić?

- Może bała się, że będziecie się z niej wysmiewać?

- My byśmy się z niej wysmiewali? Co ty mówisz, dlatego, że wtedy, w szkole, z tym swirem? - Stacy oblała się rumieńcem. - Nie. Nigdy byśmy jej nie skrzywdzili. Po prostu tak o tym wspominałam. Ona nie... wszyscy tak jej żalowali, kiedy umarła.

- Czy pracowałaś razem z Fredriką, Stacy?

- W czasie wakacji pracowałyśmy razem w centrum wyprzedazy, ja, ona, Pani Malavesi i

Jaronda Askew. Potem ja i Pani poszliśmy do „Richarda”, żeby zobaczyć, czy nas nie weźmie, sprzedają tam całkiem ładne ciuchy, i przyjęli mnie na etat, a potem Pani, i Pani powiedziała Fredrice, żeby przyszła, bo potrzebują jeszcze jednej dziewczyny, i ona przyszła, ale pani Burdine, kierowniczka działu sprzedaży, mówi: „No coż, Fredrica, sama rozumiesz, potrzebujemy kogoś, do kogo klienci mogliby się przyrównać, tak żeby przyszli tu, popatrzyli i pomyśleli: chce wyglądać jak ta dziewczyna, a ty im wtedy powiesz, jak pasuje na nich to czy inne ubranie. Jeśli weźmiesz się w garść i stracisz trochę kilogramów, możesz przyjść tutaj z powrotem i zwrócić się prosto do mnie”, mówi. „A na razie, jeśli chcesz zabrać trochę rzeczy do przerobienia, szepnę słówko pani Lippman”. Pani Burdine zawsze przemawiała tym swoim słodkim głosem, ale okazało się, że z niej lepsza dziewczyna, tylko że wtedy jeszcze tego nie wiedziałam.

- Więc Fredrica robiła przerobki dla sklepu Richarda, tego samego, w którym ty byłaś ekspedientką?

- Na pewno nie było jej przyjemnie, ale co na to poradzić. Stara pani Lippman dokonywała przerobek odzieży wszystkim. Miała własną firmę i dużo zamówień, więcej niż mogła sama zrobić i Fredrica zaczęła u niej pracować. Pani Lippman szła także na miarę. Kiedy przeszła na emeryturę, jej syn, czy kim on tam jest, nie chciał tego dalej robić i przejęła to wszystko Fredrica. Teraz ona szła dla wszystkich. To było jej jedyne zajęcie. Spotykaliśmy się razem z nią i z Pam, szliśmy do domu do Pani na lunch, oglądaliśmy „The Young and the Restless”, a ona brała ze sobą robotę i przez cały ten czas szła.

- Czy Fredrica pracowała czasami w sklepie, brała na przykład miarę? Czy stykała się z klientami albo dostawcami?

- Czasami, niezbyt często. Nie wiem, nie pracowałam tam codziennie.

- Czy pani Burdine pracowała codziennie, może ona będzie lepiej wiedziała?

- Tak, myślę, że tak.

- Czy Fredrica wspominała kiedykolwiek, że szyje dla firmy o nazwie „Mr Hide” w Chicago albo Calumet City? Może robiła dla nich podszewki do skorzanych ubrań?

- Ja nie wiem, może brała coś od nich pani Lippman.

- Czy zetknęłaś się kiedyś z wyrobami firmy „Mr Hide”? Czy były sprzedawane u „Richarda”, w którymś z jego sklepów?

- Nie.

- Wiesz, gdzie mieszka pani Lippman? Chciałabym z nią porozmawiać.

- Ona nie żyje. Fredrica powiedziała, że pani Lippman po przejściu na emeryturę pojechała na Florydę i tam umarła. Nigdy jej nie znalazłam. Ja i Skip wpadaliśmy tam tylko czasem po Fredricę, kiedy miała dużo ciuchów do zabrania. Możesz porozmawiać z jej rodziną, czy kim tam oni są. Napisze ci adres.

Wszystko to było wyjątkowo nuzące zwąwszy, że jedyną rzeczą, która interesowała Clarice, była naprawdę wiadomość z Calumet City. Czterdzieści minut minęło. Grupa specjalna powinna już wyładować. Przesunęła się, żeby nie widzieć zegara, i naciskała Stacy dalej.

- Gdzie Fredrica kupowała dla siebie ubrania, gdzie kupiła dresy „Juno” i te obszerne swetry?

- Ona prawie wszystko robiła sama. Co do tych swetrow to myślę, że kupiła je u „Richarda”, wiesz, była wtedy taka moda na ogromne swetry. Siegały prawie do kolan. Sprzedawali je w wielu miejscach. Miała zniżkę u „Richarda”, bo szła dla firmy.

- Czy robiła kiedyś zakupy w sklepach dla nietypowych?

- Chodziliśmy wszędzie, żeby rzucić okiem, wiesz, jak to jest. Byliśmy w sklepie „Personality Plus” i ona podpatrywała pomysły, patrzyła, jakie mają wzory dużych rozmiarów.

- Czy nie zaczepiał was ktoś kiedyś w takim sklepie? Może Fredrica czuła, że ktoś jej się przypatruje?

Stacy popatrzyła przez chwilę w sufit i potrząsnęła głową.

- Stacy, czy kiedykolwiek krecili się u „Richarda” transwestyci albo mężczyźni kupujący duże sukienki? Czy zetknęłaś się z czymś takim?

- Nie. Kiedyś ja i Skip widzieliśmy ich w barze, w Columbus.

- Czy była wtedy z wami Fredrica?

- Nie, skąd? Wyjechalismy na weekend.

- Czy mogłabysz spisać mi wszystkie sklepy dla nietypowych, które odwiedzaliście z Fredriką? Czy pamiętasz je wszystkie?

- Tylko tutaj, czy tutaj i w Columbus?

- Tutaj i w Columbus. I adres sklepu „Richarda”. Chce porozmawiać z panią Burdine.

- Dobrze. Czy to jest fajne zajęcie być agentem FBI?

- Myślę, że tak.

- Dużo się jeździ i w ogóle? W przyjemniejsze miejsca niż to, oczywiście.

- Czasami.

- Trzeba codziennie ładnie wyglądać, no nie?

- Tak. Trzeba starać się wyglądać poważnie.

- Jak można zostać agentem FBI?

- Najpierw musisz iść na wyższe studia, Stacy.

- Trzeba na to niezłe wybulić.

- Tak, trzeba. Ale można zawsze dostać stypendium i jakos sobie dzięki temu radzić. Chcesz, żebym przysłała ci trochę więcej informacji?

- Dobrze... Tak tylko się zastanawiam. Fredrica taka była szczęśliwa, kiedy dostałam te prace. Dosłownie podskakiwała z radości... nigdy nie pracowała w prawdziwym biurze... Uważała, że to jest droga do wielkiej kariery. To: tekturowe teczki, w głośnikach Barry Manilow i tak przez cały boży dzień. Według niej to było coś ekstra. Co ona mogła wiedzieć, głupia. - W oczach Stacy Hubki pojawiły się łzy. Otworzyła szeroko powieki i odchyliła do tyłu głowę, żeby nie popsuc sobie makijazu.

- Czy będę mogła dostać te listy z adresami?

- Przygotuje ją przy swoim biurku; potrzebny mi będzie komputer i notatnik z telefonami. - Wyszła z odchyłona głowa, rozpoznając drogę po suficie.

Widok telefonu nie dawał Clarice spokoju. Zaraz po wyjściu Stacy zamówiła na koszt rozmowcy rozmowę z Waszyngtonem, żeby usłyszeć najświeższe wiadomości.

## ROZDZIAŁ 55

W tym samym momencie, nad południowym skrajem jeziora Michigan, dwudziestoczteroosobowy odrzutowiec na cywilnych znakach tracąc powoli wysokość schodził szerokim łukiem ku Calumet City.

Dwunastu członków specjalnej grupy antyterrorystycznej czuło, jak zoladki podchodzą im do gardel. Niektórzy teraz akurat zebrali się na ziewanie.

Siedzący z przodu kabiny pasazerskiej dowódca grupy, Joel Randall, zdjął z głowy słuchawkę, rzucił okiem na notatki, a potem wstał, żeby do nich przemówić. Uważał, że jego chłopcy tworzą najlepiej na świecie wyszkoloną grupę i być może wcale się nie mylił. Niektórzy z nich nigdy, co prawda, nie uczestniczyli jeszcze w prawdziwej akcji, ale sadząc po wynikach testów symulacyjnych, byli najlepszymi z najlepszych.

Randall spędził mnóstwo czasu w kabinach samolotów i z łatwością utrzymywał równowagę podczas turbulencji.

- Panowie, środki transportu na dole zapewnia nam Agencja do Zwalczania Narkotyków.

Bedziemy mieli furgonetke z kwiaciarni i druga, z przedsiobiorstwa wodociagow. Vernon i Eddie, wbijajcie sie w kamizelki i cywilne ciuchy, siadziecie za kierownica. Jesli uzyjemy granatow obezwladniajacych, pamietajcie, ze nie macie na twarzach zaslon przeciwodblaskowych.

- Nie zapomnij zaslonic sobie buzi - mruknal Vernon do Eddiego.

- Mamy nikogo nie podgladac? Myslamem, ze nie wolno nam tylko biegac na golasa - odparl cicho Eddie.

Vernon i Eddie, do ktorych nalezalo otwarcie drzwi, pod cywilnymi ubraniami mieli nosic lekkie kamizelki balistyczne. Pozostali mogli zalozyc normalne kamizelki kuloodporne, chroniace przed strzałem ze strzelby.

- Bobby, nie zapomnij dac podrecznych krotkofalowek kazdemu z kierowcow, zebysmy nie schrzanili wszystkiego wchodzac na kanal agencji.

W czasie akcji Agencja do Zwalczenia Narkotykow uzywa zakresu UHF; Federalne Biuro Sledcze woli VHF. W przeszlosci zdarzaly sie z tym problemy.

Wyposazeni byli na prawie kazda ewentualnosc, na akcje w nocy i w dzien. Mieli sprzet alpinistyczny do wspinania sie po scianach, urzadzenia typu Wolfs Ears i VanSleek Farfoon do podslychu i aparaty noktowizyjne do podgladania. Pochowana w brzuchatych futeralach bron z przymocowanymi noktowizorami przypominala wielkie instrumenty muzyczne.

To miala byc precyzyjnie przeprowadzona operacja chirurgiczna, co mozna bylo poznac po typie broni; nie moglo byc mowy o przypadkowym strzale.

Kiedy wysunely sie klapy podwozia, czlonkowie grupy wbili sie w swoje kamizelki.

Randall odbieral przez sluchawki wiadomosci z Calumet. Zakryl dlonia mikrofon i zwrocil sie ponownie do swego oddzialu.

- W gre wchodzi juz tylko dwa adresy. My bierzemy ten najbardziej prawdopodobny, grupa specjalna z Chicago drugi.

Ladowali na lotnisku Lansing Municipal, polozonym najblizej Calumet, po poludniowo-wschodniej stronie Chicago. Wieza natychmiast dala pozwolenie. Pilot zatrzymal sie ze zgrzytem hamulcow przy dwoch pojazdach z zapalonymi silnikami, daleko od dworca.

Przy furgonetce z kwiaciarni odbylo sie szybkie powitanie. Dowodca brygady antynarkotycznej wreczyl cos, co wygladalo jak wielki bukiet. Byl to szesciokilowy mlot do wywazania drzwi, z obuchem owinietym kolorowa folia.

- Moze bedziecie chcieli mu to dostarczyc - powiedzial. - Witamy w Chicago.



## ROZDZIAŁ 56

Poznym popołudniem pan Gumb zabrał się znowu do dzieła.

Z zastygłymi niebezpiecznie w oczach łzami, obejrzał kilkakrotnie swój program wideo. Na małym ekranie telewizora Mama wspinała się na zjeżdżalnię, a potem sunęła w dół do basenu i znowu w dół do basenu. Jame Gumb oglądał ją przez lzy, wszystko było zamazane, tak jakby sam siedział w basenie.

Na brzuchu położył sobie termofor z gorącą wodą. Jej bulgot przypominał burczenie w brzuszku małej suczki.

Nie mógł znieść tego ani chwili dłużej - tego, co siedziało w jego piwnicy, trzymając Skarbunię w niewoli i napawając ją lekiem. Suczka cierpiała, wiedział o tym. Nie był pewien, czy zdoła to zabić, nim zraniona zostanie śmiertelnie Skarbunia, ale musiał spróbować. Natychmiast.

Zdjął ubranie i nałożył na siebie szlafrok - zawsze dokonywał dzieła nagi i krwawy, jak nowo narodzony.

Z dużej apteczki wyjął masę, którą smarował suczkę, kiedy podrapał ją kot. Wziął także kilka bandażów, kilka plasterków opatrunkowych i plastikowy „kolnierz elzbietański”, który dał mu kiedyś weterynarz, by przeszkodzić Skarbuni w lizaniu jęczącej się ranki. W piwnicy miał łyżki do przytrzymywania języka, mógł ich użyć jako lubków do jej złamanej łapki. Miał także tubkę Sting-Eez, żeby ulżyć jej cierpieniom na wypadek, gdyby ta głupia zdążyła ją zranić przed śmiercią.

Jeśli strzeli precyzyjnie w głowę, będzie musiał poświęcić jedynie włosy. Skarbunia była warta więcej niż włosy. Włosy będą ofiarą, jaką złoży na rzecz jej uwolnienia.

Teraz cicho po schodach do kuchni. A potem bosy, bez pantofli, do piwnicy, trzymając się blisko ściany, żeby nie zaskrzypiały stopnie.

Nie zapalił światła. Na dole skręcił w prawo, do warsztatu. Macał przed sobą drogę w znajomych ciemnościach, stopami wyczuwał zmiany wysokości podłogi.

Zawadził rekawem o klatkę i usłyszał cichy skrzek rozgniewanej cmy. A oto szafa. Znalazł latarkę i założył gogle. Świat zajaśniał na zielono. Stał przez chwilę i przysłuchiwał się uspokajającemu bulgotaniu zbiorników i sykowi gorącej pary w rurach. Pan ciemności, królowa ciemności.

Latające cmy zostawiały fluoryzujące smugi w polu jego widzenia, na twarzy czuł powiew przecinających ciemność puszystych skrzydeł.

Sprawdził pistolet. Python załadowany był specjalnymi nabojami kaliber 38 z ołowianym czubkiem. Ekspłodują po wejściu w czaszkę, powodując natychmiastową śmierć. Jeżeli w chwili

strzalu będzie znajdowała się w pozycji stojącej, jeżeli trafi ją prosto w czubek głowy, prawdopodobieństwo wyjścia naboju przez dolną szczękę i zniszczenia piersi będzie mniejsze niż w wypadku pocisków z pistoletu Magnum.

Cicho podkradał się na zgiętych kolanach, zaciskając na starych deskach palce z pomalowanymi paznokciami. Cicho po wysypanej piaskiem podłodze pomieszczenia, gdzie znajdował się loch. Cicho, ale nie za wolno. Nie chciał, żeby jego zapach dotarł do nozdrzy leżącej na dole suczki.

Cembrowina zjasniała na zielono, inny odcień miały kamienie, inny zaprawa murarska. Widział wyraźnie wszystkie słoje drewnianej pokrywy. Świecąc latarką zajrzał do środka. Byli tam. Materiał leżał na boku, niczym olbrzymia krewetka. Chyba spał. Skarburnia zwinięta przy jego boku, pewnie spała. Och, proszę, aby tylko żyła.

Głowa była odsłonięta. Kusilo go, żeby strzelić w szyję - w ten sposób ocaliłby włosy. Nie, to zbyt wielkie ryzyko.

Gumb przechylił się przez krawędź otworu, jego szypułkowate gogle lustrowały dno studni. Mimo wielkiego kalibru python jest doskonale wyważony, co ułatwia dokładność celowania. Musiał oświetlić leżący w dole materiał snopem podczerwieni. Celował dokładnie w bok głowy, w spotniałe włosy na skroni.

Halas albo zapach - trudno zgadnąć - i suczka zerwała się nagle skomlać i podskakując w górę. Catherine Baker Martin złapała suczkę i nakryła ją i siebie materacem. Teraz widział tylko dwa garby pod materacem, nie potrafił rozpoznać, gdzie jest pies, a gdzie Catherine. Patrząc w dół w świetle podczerwieni, nie mógł dobrze ocenić wysokości. Nie wiedział, które z wybrzuszeń tworzy Catherine.

Ale widział Skarburnię, jak skakała. Wiedział teraz, że wcale nie ma złamanej nogi, wiedział zarazem coś jeszcze: Catherine Baker Martin nie potrafi skrzywdzić suczki, w każdym razie w nie większym stopniu niż on sam. Och, co za ulga, sympatia, jaka oboje darzyli psy, ułatwia mu sprawę. Może spokojnie strzelić jej w te przeklęte nogi, a kiedy chwyci się za nie, odstrzelić jej te zasrane głowy. Teraz nie musi już zachowywać ostrożności.

Zapalił światła, wszystkie cholerne światła w piwnicy i przyniósł reflektor z magazynku. Całkowicie się kontrolował, reagował prawidłowo, o niczym nie zapominał: wracając z warsztatu napełnił trochę wody do zlewozmywaków, żeby jakas mazista ciecz przypadkiem nie zatkala syfonu.

Kiedy z reflektorem w ręku, gotów do dzieła zbiegał po schodach, przy drzwiach odezwał się dzwonek.

Właściwie zazgrzytał i zachrobotał. Musiał zatrzymać się, żeby uprzytomnić sobie, co to za dźwięk. Nie słyszał go od lat, nie miał pojęcia, że nadal jest sprawny. Zamontowany na klatce schodowej tak, aby można go było słyszeć na gorze i na dole, rozdzwonił się teraz bez opamiętania, czarny metalowy dzwonek pokryty warstwą kurzu. Kiedy na niego spojrział, zadzwonił ponownie, dzwonił i dzwonił, aż sfruwał z niego kurz. Ktoś stał przed frontowymi drzwiami i naciskał stary

przycisk oznaczony napisem DOZORCA.

Chyba sobie pojdzie.

Gumb podlaczyl reflektor do gniazdka.

Tamten nie rezygnowal.

Z dna studni dochodzily jakies slowa, ale Gumb nie zwrocil na nie uwagi. Dzwonek dzwieczal, chrobotal, ktos oparl sie po prostu o przycisk.

Lepiej wejsc na gore i zerknac, co dzieje sie przy drzwiach wejsciowych. Długa lufa pythona nie miescila sie w kieszeni szlafroka. Polozył bron na blacie warsztatu.

Byl w polowie schodow, kiedy dzwonek umilkł. Odczekal kilka chwil. Cisza. Postanowil tak czy owak rzucic okiem. Kiedy przechodzil przez kuchnie, ktos zapukal glosno do tylnych drzwi, az podskoczyl z wrazenia. W spizarni obok tylnych drzwi schowana byla wiatrowka. Wiedzial, ze jest naladowana.

Przez zamkniete drzwi piwnicy nie dotra do kuchni nawet najglosniejsze wrzaski z dolu, tego byl pewien.

Walenie odezwalo sie ponownie. Uchylil drzwi nie spuszczajac ich z lancucha.

- Probowalam od frontu, ale nikt nie otwieral - powiedziala Clarice Starling. - Szukam rodziny pani Lippman, czy moglby mi pan pomoc?

- Nie mieszka tutaj nikt z jej rodziny - odparl Gumb i zamknal drzwi. Schodzil z powrotem po schodach, kiedy walenie rozleglo sie ponownie, tym razem donosniej.

Uchylil drzwi na lancuchu.

Młoda kobieta przysunela do szpary swoja legitymacje. Wystawiona byla przez Federalne Biuro Sledcze.

- Przykro mi, ale musze z panem porozmawiac. Chce odnalezc kogos z rodziny pani Lippman. Wiem, ze tu mieszкала. Chce, zeby mi pan pomogl.

- Pani Lippman nie zyje od bardzo dawna. Nie miala zadnych krewnych, o ktorych bym wiedzial.

- Nie zna pan jej adwokata albo ksiegowego? Kogos, kto przechowywalby ksiegi firmy? Czy znal pan osobiscie pania Lippman?

- Tylko przelotnie. O co chodzi?

- Prowadze sledztwo w sprawie smierci Fredriki Bimmel. Kim pan jest, jesli mozna wiedziec?

- Jack Gordon.

- Czy zetknął się pan z Fredrika Bimmel, kiedy pracowała u pani Lippman?

- Nie. Czy to nie była taka duża, gruba osoba? Chyba ja widywałem, ale nie jestem pewien. Nie chciałem być niegrzeczny, po prostu spałem... Pani Lippman miała adwokata, mam chyba gdzieś jego wizytówkę, zobacz, może uda mi się ją znaleźć. Proszę, niech pani wejdzie do środka. Trochę mi zimno, poza tym zaraz czmychnię przez te szpary moja kotka. Za nic jej potem nie złapie.

Przeszedł do biurka w odległym kącie kuchni, otworzył zaluzjowe drzwiczki na gorze i przeglądał zawartość przegrodek. Starling weszła do środka i wyjęła z torebki notatnik.

- To potworna historia - powiedział, przeszukując biurko. - Dreszcz mnie ogarnia za każdym razem, kiedy o tym pomyśle. Sądzi pani, że policja bliska jest ujęcia sprawcy?

- Niezupełnie, ale pracujemy nad sprawą, panie Gordon. Czy ten dom objął pan w posiadanie po śmierci pani Lippman?

- Tak. - Gumb pochylił się nad biurkiem, plecami odwrócony był do dziewczyny. Otworzył szufladę i przewracał w niej papiery.

- Czy zostały tutaj jakieś sprawozdania? Księgi handlowe?

- Nie, zupełnie nic. Czy FBI ma jakąś teorię? Tutejsza policja zachowywała się tak, jakby nie wiedziała, od czego ma zacząć. Maja jakiś rysopis albo odciski palców?

Z faldów szlafroka na plecach Gumba wysunęła się cma trupia głowka. Zatrzymała się na środku pleców, mniej więcej na wysokości serca, i rozprostowała skrzydła.

Starling wrzuciła notatnik do torebki.

To Gumb. Dzięki Bogu, mam rozpięty płaszcz. Skończ z nim te rozmowy i do telefonu. Nie. Wie, że jestem z FBI, jeśli spuszczę go z oka, zabije ją. Przestrzeli jej nerki. Odnajda go, uderza na niego bez uprzedzenia. Gdzie jest telefon? Tutaj nie widac. Nie ma telefonu w kuchni, zapytaj o telefon. Uzyskaj połączenie i wtedy się nim zajmij. Kazał mu położyć się twarzą do podłogi i czekać na gliniarzy. Tak, tak właśnie zrobił. Odwraca się.

- Oto numer - powiedział. Trzymał w ręku wizytówkę. Wziąć ją? Nie.

- Dobrze, dziękuję. Czy mogłabym skorzystać z telefonu, panie Gordon?

Kiedy położył wizytówkę na stole, cma uniosła się w powietrze. Wyfrunęła zza pleców, minęła głowę i usiadła między nimi na szafce nad zlewem.

Spojrzał na cme. Kiedy ona na niego nie spojrzała, kiedy jej oczy ani na moment nie oderwały się od jego twarzy, domyslił się.

Ich oczy spotkały się i wiedzieli teraz oboje.

Gumb przechylił lekko głowę w bok. Uśmiechnął się.

- Mam bezprzewodowy telefon w szpitalu. Przyniosę go.

Nie! Zrób to! Sięgnęła po pistolet, jeden gładki ruch, który powtarzała tysiące razy. Był tam, gdzie powinien być, trzymała go w prawidłowym dwurecznym uchwycie, cały jej świat to był teraz środek jego klatki piersiowej.

- Nie ruszaj się. Zaciśnij wargi.

- Teraz. Powoli. Podnies ręce.

Wyprowadź go na zewnątrz, trzymaj go na muszce idąc wokół stołu. Wyprowadź go przez drzwi. Kazał mu położyć się twarzą do ziemi na środku ulicy i wyjmij odznakę.

- Pani Gub... pani Gumb, jest pan aresztowany. Chce, żeby wyszedł pan przede mną powoli na zewnątrz.

Zamiast tego wyszedł z kuchni. Gdyby sięgnął do kieszeni, sięgnął za siebie, gdyby zobaczyła broń, potrafiłaby do niego strzelić. A on po prostu wyszedł z kuchni.

Słyszała, jak schodzi szybko do piwnicy, ona wokół stołu i biegiem do drzwi prowadzących na schody. Nie było go, klatka schodowa była jasno oświetlona i pusta. Pułapka. Siedź teraz tutaj i nie ruszaj się z miejsca.

Z podziemi doszedł ją cienki jak kartka papieru krzyk.

Nie podobały jej się te schody, nie podobały się, ostrzegał ją każdy nerw. Nie może dłużej się wahać.

Catherine Martin krzyknęła ponownie, on ją mordował, i Clarice mimo wszystko ruszyła w dół. Jedną ręką dotykała balustrady, w drugiej, wyciągniętej, trzymała pistolet, muszka była nieco poniżej linii jej oka. Omiotła łufą podest na dole, uzbrojona ręka wodziła za ruchami jej głowy, starała się kontrolować jednocześnie dwie pary otwartych naprzeciwko siebie drzwi.

Piwnica zalana światłem, nie sposób było przejść przez jedno drzwi nie obracając się zarazem plecami do drugich, więc zrobiła to szybko, skręcając w lewo, tam skąd dochodzą krzyki. Znalazła się w wysypanym piaskiem pomieszczeniu, wytrzeszczonymi oczami sprawdzała szybko wewnątrz. Jedyne miejsce, za którym mógł się schować, była cembrowina studni, przesuwała się więc wokół niej trzymając w obu wyciągniętych dłoniach pistolet, przyciskając lekko cyngiel. Obeszła ją wokół, nikogo nie było.

Cichy krzyk niczym smuga dymu unosił się w górę studni. Teraz skomlenie psa. Nie odwracając oczu od drzwi podeszła do studni, zbliżyła się do krawędzi i rzuciła szybko okiem w dół. Zobaczyła dziewczynę, rzut oka na drzwi i znowu w dół. Powiedziała to, co - jak uczone ją - należy mówić,

zeby uspokoic porwanego.

- FBI, jestes bezpieczna.

- Gowno bezpieczna, on ma pistolet. Zabierz mnie. Zabierz mnie stad.

- Catherine, nic ci sie nie stanie. Zamknij sie. Czy wiesz, gdzie on jest?

- Zabierz mnie. Sram na to, gdzie on jest. Zabierz mnie stad.

- Zabiore cie stad. Siedz cicho. Pomoz mi. Badz cicho, zebym mogla go slyszec. Sprobuj uciszyc psa.

Stala za studnia i celowala w drzwi. Serce walilo jej w piersiach, oddechem zdmuchiwała kurz z kamiennej cembrowiny. Nie wiedzac, gdzie jest Gumb, nie moze zostawic tutaj Catherine Martin, nie moze isc po pomoc. Podeszla do drzwi i wyjrzala zza futryny. Widziala podest schodow i czesc warsztatu.

Albo odnajdzie Gumba, albo upewni sie, ze uciekl, albo zabierze Catherine ze soba, innych mozliwosci nie bylo.

Obejrzala sie szybko przez ramie.

- Catherine, Catherine. Czy jest gdzies tutaj drabina?

- Nie wiem. Kiedy sie ocknelam, bylam juz na dole. Spuszczal mi wiadro na sznurku.

Do belki przy scianie przymocowany byl maly reczny kolowrot. Na bebnie nie bylo liny.

- Catherine, musze znalezc cos, zeby cie stad wyciagnac. Czy mozesz chodzic?

- Tak. Nie zostawiaj mnie.

- Musze stad wyjsc tylko na minute.

- Ty pieprzona dziwko, nie zostawiaj mnie tutaj, moja matka rozedrze na strzepy te twoja zasrana mozgownice...

- Zamknij sie, Catherine. Masz byc cicho, zebym mogla dobrze slyszec. Masz byc cicho, jesli chcesz sie uratowac, rozumiesz? - I glosniej: - Zaraz bedzie tu mnostwo policji, teraz zamknij sie. Nie zostawimy cie tutaj.

Musiala zdobyc line. Gdzie jest lina? Idz i poszukaj.

Jednym skokiem przebyla dzielaca ja od drzwi warsztatu przestrzen, drzwi to najgorsze miejsce, teraz szybko do srodka, przesunela sie wzdluz najblizszej sciany, zeby objac wzrokiem cale pomieszczenie, w szklanych zbiornikach plywaly znajome ksztalty, byla zbyt napieta, zeby sie

przerazic. Szybko przez pokój, minela zbiorniki, zlewy, klatke, przefrunelo kolo niej kilka ciem. Nie zwracala na nie uwagi.

Dalej oswietlonym rzesiscie korytarzem. Zawarczal za nia nagle agregat lodowki, odwrocila sie nisko pochylona, odcignela kurek magnum. Zwolnila przycisk. Na korytarz. Nie uczono jej jeszcze, jak zagladac do srodka pomieszczenia. Pistolet i glowa jednoczesnie, ale nisko. Korytarz pusty. U jego konca jasno oswietlona pracownia. Teraz szybko korytarzem, po drodze zamkniecie drzwi. Pracownia cala w bialozolnym debie. Stojac w progu diabelnie trudno sprawdzic, czy teren jest czysty. Upewnij sie, czy kazdy manekin to tylko manekin, czy kazde odbicie w lustrze to tylko manekin. A jedyny ruch w lustrze to twoj ruch.

Wielka szafa byla otwarta i pusta. Drzwi po drugiej stronie pracowni uchylone, za nimi mrok. Nigdzie zadnego sznura, zadnej drabiny. Zamknela drzwi do ciemnej czesci piwnicy, podstawila pod klamke krzeslo i podsunela maszynie do szycia. Gdyby miala pewnosc, ze tam sie ukryl, moglaby zaryzykowac i pojsc na gore, zeby odnalezc telefon.

Z powrotem na korytarz, teraz drzwi, ktore poprzednio minela. Skok na druga strone, obok klamki. Jednym ruchem otworzyla drzwi na osciez. Stara lazienka. W srodku sznur, haki, petla. Wyciagnac Catherine czy isc do telefonu? Na dnie studni Catherine nie ucierpi od przypadkowego strzalu. Ale jesli ona zginie, Catherine zginie takze. Wez Catherine i idzcie razem do telefonu.

Clarice nie chciala dlugo siedziec w lazience. Mogl podejsc do drzwi i utopic ja uzywajac hydrantu. Spojrzala w gore i w dol korytarza, a potem wsunela sie do srodka po sznur. W lazience stala duza wanna. Wypelniona byla prawie po same brzegi zastyglym purpurowoczerwonym gipsem. Wystawala z niego pociemniatala i wyschla reka z pomalowanymi na rozowo paznokciami, na nadgarstku byl filigranowy zegarek. Clarice zobaczyła wszystko naraz: sznur, wannę, reke i zegarek.

Mala jak robaczek, pelzajaca wskazowka sekundnika byla ostatnia rzecz, ktora zobaczyła, zanim zgaslo swiatlo.

Klatka piersiowa i ramiona zadygotaly jej od uderzen serca. W glowie wirowala jej ciemnosc, musiala czegos dotknac, wymacala skraj wanny. Lazienka. Musi wydostac sie z lazienki. Jesli on dotrze do drzwi lazienki, moze probowac zalac ja woda. Nie bylo gdzie sie wycofac. Slodki Jezu, pozwol wyjsc. Nisko pochylona wydostala sie na korytarz. Wszystkie swiatla zgaszone? Wszystkie. Musial wylaczyc prad centralnie, przy skrzynce z bezpiecznikami, musial przekrecic dzwignie, gdzie to moze byc? Gdzie umieszcza sie skrzynke z bezpiecznikami? Blisko schodow. Najczesciej blisko schodow. Jesli tak jest i tutaj, mozna sie spodziewac, ze nadejdzie z tej strony. Jest gdzies pomiedzy mna a Catherine.

Znowu doszlo ja zawodzenie Catherine Martin.

Czekac tutaj? Czekac w nieskonczonosc? Moze uciekl. Nie moze wiedziec, czy nie nadejda jakies posilki. Tak, moze. Ale wkrótce stwierdza, ze zaginelam. Dzis w nocy. Schody sa tam, skad dochodza krzyki. Skoncz z tym teraz.

Cicho ruszyla do przodu, otarla ramieniem sciane, otarla zbyt lekko, zeby to slyszec, jedna reke

wysunęła do przodu, w ograniczonej przestrzeni korytarza pistolet trzymała tuż przy sobie, na wysokości pasa. Teraz warsztat. Poczula otwierając się przed nią szeroka przestrzeń. W otwartym pomieszczeniu przykucnęła. Wyciągnęła do przodu ramiona, w obu dłoniach sciskała pistolet. Wie się wtedy dokładnie, gdzie znajduje się muszka, jest tuż poniżej linii oka. Zatrzymaj się, nasłuchuj. Głowa, ramiona, całe ciało obracają się niczym wieżyczka strzelnicza. Zatrzymaj się, nasłuchuj.

Syczenie pary w rurach, kapanie wody, wszystko w absolutnej czerni.

W nozdrzach ostra won kozła.

Zawodzenie Catherine.

Przy scianie stał Gumb z założonymi na oczy goglami. Nie było obawy, że ona na niego wpadnie, dzielił ich stół. Gumb omiatał ją od stóp do głów snopem podczerwieni. Była zbyt szczupła, by mogła mu się do czegoś przydać. Z kuchni pamiętał jednak jej włosy, były wspaniałe. Zajęłoby mu to nie więcej jak minutę. Mogł zdjąć je na oczekaniu. Założyć na siebie. Nachylić się nad studnią mając je na głowie i zawołać do tej rzeczy: „Niespodzianka!”

Zabawne było obserwować ją, jak próbuje się przekręcić dalej.

Opierając się biodrem o zlew posuwała się teraz z wystawionym do przodu rewolwerem w stronę, z której dochodziły krzyki. Dłuższe polowanie stanowiłoby świetną zabawę: nigdy nie polował jeszcze na kogoś uzbrojonego. Sprawiłoby mu to dogłębna radość. Nie było na to jednak czasu. Szkoda.

Strzał w twarz z odległości dwu i pół metra będzie łatwy i prosty. Teraz.

Odbezpieczył pythona, odciągając do siebie kurek, klik klik i w tym momencie obraz postaci zamazał się i zakwitł. Zakwitł w jego goglach na zielono, pistolet podskoczył mu w dłoń, podłoga uderzyła go w plecy i zobaczył w świetle latarki sufit. Oslepiona błyskiem Clarice padła na podłogę, dzwoniło jej w uszach, ogłuszył ją huk wystrzałów. Nic nie słysząc zajęła się w ciemności bronią, wyrzuciła puste łuski, sprawdziła koniuszkami palców, czy na pewno ich nie ma, wyjęła magazynek, obmacała go, wcisnęła w dół, przekreciła, cofnęła palce, zamknęła cylinder. Wystrzeliła cztery razy. Dwa razy po dwa. On strzelił raz. Znalazła dwa dobre naboje, które wyrzuciła przed chwilą. Gdzie je włożyć? Do ładownicy. Leżała nieruchomo. Może ruszyć się, zanim tamten odzyska słuch?

Odgłosu odbezpieczanej broni nie sposób pomylić z niczym innym. Strzeliła w kierunku tego odgłosu nie widząc nic poza błyskiem z luf obu pistoletów. Miała nadzieję, że następnym razem on spudłuje i że błysk z lufy wskaże jego położenie. Wrócił jej słuch, wciąż dzwoniło w uszach, ale coś już słyszała.

Co to za dźwięk? Gwizd? Coś jak gwizd czajnika, ale przerywany. Co to jest? Podobne do oddechu. Czy to ja? Nie. Z twarzy tuż przy podłodze czuła ciepło własnego oddechu. Ostrożnie, nie wciągnij do nosa kurzu, bo będzie ci się chciało kichać. To oddech. To zasysająca powietrze rana w płucach. Trafiała go w klatkę piersiową. Uczono ją, jak w takich wypadkach postępować, trzeba położyć coś na wierzch, płaszcz nieprzemakalny, plastikowa torba, coś, co nie przepuszcza



powietrza, obwiązać to szczelnie. Pozwolic wypelnić się płucy powietrzem. Wciąż trafiła go w piersi. Co zrobić? Czekać. Niech się wykrwawi, niech zeszywnieje. Czekać!

Zapiekl ją policzek. Nie dotknęła go, nie chciała mieć śliskich rak, jeśli to krew.

Znowu doszły ją jęki ze studni, Catherine mówiła coś, płakała. Clarice musiała poczekać. Nie mogła odpowiedzieć teraz Catherine. Nie mogła ani się odezwać, ani poruszyć.

Niewidzialne światło latarki Gumba tancyło po suficie. Chciał poruszyć nią i nie mógł, tak samo jak nie był w stanie poruszyć głową. Wielka malezyjska cma księżycowa przeleciała tuż pod sufitem, weszła w snop podczerwieni i zataczając kregi sfrunęła w dół. Usiadła na latarce. Olbrzymie pulsujące na suficie cienie skrzydeł widział tylko Gumb.

Przez odgłos zasysania Clarice usłyszała w ciemności dławiaczy się, upiorny głos Gumba.

- Co... czuje się... kiedy się jest... tak... piękna...?

A potem inny odgłos. Charkot, rzezenie. Gwizdanie ustalo.

Clarice znalazła i ten odgłos. Słyszała go już raz w życiu, w szpitalu, kiedy zmarł jej ojciec.

Wymacała skraj stołu i podniosła się. Macając przed sobą poszła w kierunku krzyków Catherine. Znalazła schody i wspierała się po nich po ciemku.

Wydawało się, że trwa to bardzo długo. W szufladzie w kuchni była świeczka. Świecąc nią znalazła obok schodów skrzynkę z bezpiecznikami. Kiedy zapaliło się światło, podskoczyła z wrażenia. Żeby dostać się do korków i wyłączyć prąd, Gumb musiał wyjść z piwnicy inną drogą, a wrócić z powrotem po schodach.

Musiała upewnić się, że nie żyje. Odczekała, aż jej oczy przywykły do światła, a potem ostrożnie zeszła do warsztatu. Zobaczyła wystające spod stołu białe stopy. Nie odrywając wzroku od leżącego przy jego dłoni pistoletu, kopnęła brzoń w bok. Miał otwarte oczy. Był martwy, miał przestrzelone prawe płuco, pod sobą gesta kaluże krwi. Nalozyl na siebie trochę swoich rzeczy z szafy i nie mogła na niego długo patrzeć.

Podeszła do zlewu, położyła magnum na suszarce, pusiła sobie w dłonie zimną wodę i zmoczyła twarz. Nie było krwi. Cmy trzepotały skrzydłami o siatkę wokół żarówek. Musiała obejść ciało, żeby zabrać z podłogi pythona.

Stanała przy studni.

- Catherine, on nie żyje. Nie może ci już zrobić nic złego. Idę na gorę zatelefonować...

- Nie! Weź mnie stąd. Weź mnie stąd. Weź mnie stąd.

- Spójrz tutaj. On nie żyje. To jest jego pistolet. Przypominasz go sobie? Idę wezwać policję i straż pożarną. Boję się wyciągać cię sama, możesz spaść. Jak tylko do nich zadzwonisz, wrócę tutaj i

poczekam razem z toba. Dobrze? Dobrze. Spróbuj uciszyć tego psa. Zgoda? Zgoda.

Lokalne ekipy telewizyjne przybyły zaraz po straży pożarnej, jeszcze przed przyjazdem policji. Dowódca straży, którego zirykowała iluminacja, przegonił ekipy z piwnicy i nie mając zaufania do haka białego przez Gumba w belkę sufitu, zamontował własny stelaż, żeby wyciągnąć Catherine Martin. Do studni opuścił się strażak, który umieścił dziewczynę na specjalnym krzeselku. Wynurzyła się, trzymając na kolanach psa. Nie rozstawała się z nim w drodze do szpitala.

W szpitalu obowiązywał zakaz wpuszczania psów i nie udało się go przemycić. Strażak, któremu kazano oddać go do schroniska, wolął zabrać pudelka do domu.

## ROZDZIAŁ 57

Okolo pięćdziesięciu osób czekało na lotnisku krajowym w Waszyngtonie na przyjazd porannego samolotu z Columbus. Ludzie witali przeważnie swoich krewnych, wyglądali na zasnanych i w niezbyt dobrym humorze, spod marynarek wystawały im rączki koszul.

Stojąca w tłumie Ardelia Mapp dostrzegła Clarice, kiedy ta wychodziła z samolotu. Dziewczyna miała ziemista cerę i podkrążone oczy. Kilka ziaren prochu strzelniczego utkwilo jej pod skórą policzka. Uściskały się.

- Cześć, kolezanko - powitała ją Mapp. - Masz jakiś bagaż? Clarice potrząsnęła głową.

- Przed dworcem czeka Jeff w mikrobusie. Jedziemy do domu.

Na zewnątrz dworca był także Jack Crawford. Swoją samochód zaparkował tuż za mikrobusem, na miejscu przeznaczonym dla samochodów osobowych. Całą noc spędził razem z krewnymi Belli.

- Sama... - zaczął - sama najlepiej wiesz, czegoś dokonała. Zostawiła ich wszystkich daleko w tyle, mała. - Dotknął jej policzka. - Co to jest?

- Proch strzelniczy. Lekarz powiedział, że to zniknie samo w ciągu kilku dni... nie trzeba tego usuwać.

Crawford objął ją i przez chwilę mocno przyciskał do piersi, tylko przez chwilę, a potem odsunął się i pocałował dziewczynę w czoło.

- Sama wiesz, czegoś dokonała - powtórzył. - Jedź do domu. Wypij się. Odespij wszystko. Porozmawiam z toba jutro.

Nowy mikrobus obserwacyjny był bardzo wygodny, przystosowany do długiej inwigilacji. Clarice i Mapp usadowiły się w obszernych fotelach z tyłu.

Bez Jacka Crawforda Jeff prowadził trochę ostrzej. Dojechali do Quantico w całkiem niezłym

czasie.

Clarice jechała z zamkniętymi oczami. Po kilku kilometrach Mapp traciła ją w kolano. Otworzyła dwie butelki coli i wreczyła jedną. Wyciągnęła też z torebki czterolitrową flaszkę Jacka Daniela.

Obie pociągnęły trochę coli z butelek i dolały do pełna whisky. Potem zatkały kciukami szyjki, potrzasnęły butelkami i strzeliły sobie po piance.

- Echhhhh - westchnęła Clarice.

- Tylko nie porozlewajcie mi tutaj tego - upomniął je.

- Nie martw się, Jeff- uspokoiła go Mapp. I ciszej do Clarice: - Powinnas widzieć naszego Jeffa, jak czekał na mnie przed monopolowym. Wyglądał, jakby polknął pestkę od brzoskwini. - A potem, kiedy zobaczyła, że whisky zaczęła działać i dziewczyna rozsiadła się wygodniej w fotelu, zapytała: - Jak twoje sprawy, Clarice?

- Ardelia, niech mnie diabli weźmą, jeśli wiem.

- Nie musisz tam wracać, prawda?

- Może na jeden dzień w przyszłym tygodniu, ale mam nadzieję, że nie. Prokurator federalny z Columbus pojechał do Belvedere, żeby porozmawiać z tamtejszymi glinami. Zeznania pamiętam jak przez mgłę.

- Kilka dobrych wiadomości - oznajmiła Mapp. - Przez cały wieczór dzwoniła do ciebie z Bethesda senator Martin. Wiesz, że zabrali tam Catherine? Wszystko z nią w porządku. W sensie fizycznym nic złego jej nie zrobił. Co do zaburzeń emocjonalnych, jeszcze nie wiedza, będa ja musieli trochę poobserwować. Nie musisz się martwić o szkole. Dzwonili Crawford i Brigham. Przesłuchanie odwołane. Krendler poprosił o wycofanie swojej noty. Ci faceci mają teraz serca z wosku: nie będziesz miała odnotowanej żadnej nieobecności, nie musisz zdawać egzaminu z przeszukania i aresztowania jutro o osmej zero zero. Przeniesli ci termin na poniedziałek, zaraz potem będziesz miała test z wuefu. Bedziemy kuc w czasie weekendu.

Skoczyły butelki na północnych przedmieściach Quantico; dowód rzeczowy wylądował gdzieś w przydrożnych krzakach.

- Ten Pilcher, doktor Pilcher ze Smithsonian, dzwonił trzy razy. Kazał mi obiecać, że ci przekaże.

- On nie jest doktorem.

- Sądziś, że mogłabys z nim krecić?

- Może. Jeszcze nie wiem.

- Z tego, co mowil, wydawal sie calkiem zabawny. Dochodze do przekonania, ze najwazniejsze w mezczyznie jest to, zeby byl zabawny, nie mowiac oczywiscie o pieniadzach i sprawnosci podstawowej.

- I dobrych manierach, nie wolno ci zapominac o dobrych manierach.

- Dokladnie. Skurczybyk musi zawsze odznaczac sie dobrymi manierami.

Clarice niczym duch wslizgnela sie spod prysznicza prosto do lozka.

Mapp palila przez jakis czas swoja lampke przy lozku az oddech Clarice stal sie regularny. Raz zadygotala przez sen, zadrzal jej miesien na policzku i na chwile otworzyla szeroko oczy.

Mapp obudzila sie przed switem, czujac w pokoju pustke Zapalila swiatlo. Clarice w lozku nie bylo. Brakowalo takze obu toreb do prania i Mapp wiedziala, gdzie jej szukac.

Znalazla ja w cieplej pralni, drzemiacca naprzeciw krecacej sie powoli pralki, w zapachu wybielaczy, mydla i srodkow do zmiekczenia Mapp studiowala prawo, a Clarice psychologie, a jednak to wlasnie Mapp spostrzegla, ze rytm automatycznej pralki jest jak bicie wielkiego serca, a szum przelewajacej sie w niej wody jak odglas, ktory slyszy nie narodzone jeszcze dziecko: przypomina miejsce, w ktorym po raz ostatni doznalismy spokoju.

## ROZDZIAI 58

Jack Crawford obudzil sie wczesnie na sofie w swoim gabinecie. Uslyszal rozlegajace sie w domu chrapanie swoich tesciow. W krotkiej chwili miedzy snem a jawa nie uswiadomil sobie, ze Bella nie zyje, pamietal tylko ostatnie wypowiedziane przez nia slowa. „Co sie dzieje na podworku?” - zapytala, czy miala jasne i spokojne.

Wzial szufelke z ziarnem i otulony w plaszcz kapielowy wyszedl nakarmic ptaki, tak jak to obiecal robic. Zostawil wiadomosc dla spiacych krewnych zony i wyslizgnal sie z domu przed switem. Crawford utrzymywal na ogol dobre stosunki z rodzina Belli i lepiej sie czul, kiedy ktos krecil sie po domu, ale teraz zadowolony byl, ze jedzie do Quantico.

Przegladal wlasnie nocne teleksy popatrujanc na poranne wiadomosci, kiedy do szklanych drzwi gabinetu przycisnela nos Clarice. Zrzucil z krzesla raporty, zeby zrobic jej miejsce, i bez slowa ogladali razem dziennik. Wlasnie zaczynali o tym mowic.

Pokazywali z zewnatrz stary dom Jame'a Gumba w Belvedere, pusty sklep od frontu i zamalowane okna za ciezкими okiennicami. Dziewczyna ledwo je rozpoznawala.

- Piwniczny horror - mowil komentator.

Niewyrazne, robione w pospiechu zdjecia studni i podziemi, fotoreporterzy rozpychaja sie

przed telewizyjną kamerą, zirytowani strażacy przeganiają ich na gore. Oszałamiali w telewizyjnych reflektorach, lecące do światła cmy, zbliżenie cmy leżącej na grzbiecie na podłodze, bijącej skrzydłami w agonii. . .

Catherine Martin rezygnuje z noszy i idzie do ambulansu owinięta policyjnym płaszczem, spod kłap płaszcza wystaje psi pysk.

Z boku widac idacą szybko do samochodu Clarice, ma opuszczoną głowę, ręce głęboko w kieszeniach płaszcza.

Z filmu wycięto najbardziej makabryczne fragmenty. W odległych zakątkach podziemi kamera pokazała tylko spryskane wapnem progi komorek, w których Gumb trzymał swoje „eksponaty”. Liczba odnalezionych w tej części piwnicy zwłok doszła jak na razie do szesciu.

Crawford słyszał, jak Clarice dwukrotnie wypuściła przez nos powietrze. Zaczęły się reklamy.

- Dzień dobry, Starling.

- Cześć - powiedziała zmienionym głosem, jakby minęła już co najmniej połowa dnia.

- Prokurator federalny z Columbus przesłał mi telefaksem twoje zeznania. Będziesz musiała podpisać dla niego kilka kopii... Więc z domu Fredriki Bimmel najpierw poszłaś do Stacy Hubki, potem do tej Burdine, do sklepu, dla którego szła Bimmel, i pani Burdine dała ci stary adres pani Lippman, tego właśnie budynku.

Clarice kiwnęła głową.

- Stacy Hubka wstąpiła tam parę razy po Fredrike, ale prowadził zawsze jej chłopak i nie potrafiła wytłumaczyć, jak się tam jedzie. Pani Burdine miała zapisany adres.

- Pani Burdine nic nie wspomniała o mężczyźnie mieszkającym w domu pani Lippman?

- Nie.

W telewizji puszczały teraz film ze szpitala marynarki wojennej w Bethesda. W oknie limuzyny pojawiła się twarz senatora Rutha Martina.

- Minionej nocy Catherine zachowywała się normalnie. Spała, teraz jest pod działaniem środków uspokajających. Składamy dzięki Bogu. Nie, tak jak już powiedziałam, doznała szoku, ale zachowuje się normalnie. Tylko skaleczenia, ma także złamany palec. I jest odwodniona. Dziękuję. - Traciła kierowcę w plecy. - Dziękuję. Nie, wspomniała mi o psie wczoraj wieczorem. Nie wiem, co w tej sprawie zrobimy, mamy już dwa psy.

Na koniec przytoczono nie zawierającą nic konkretnego wypowiedź specjalisty od stresów. W ciągu dnia miał on rozmawiać z Catherine Martin i ocenić, jakich doznała zaburzeń emocjonalnych.

Crawford wyłączył telewizor.

- Jak sie czujesz, Starling?

- Jestem jeszcze troche odretwiala... a pan? Crawford pochylil glowe i szybko zmienil temat.

- W nocy telefonowala senator Martin. Chce przyjechac tutaj, zeby zobaczyc sie z toba. Catherine takze, jak tylko bedzie mogla podrozowac.

- Mozna mnie zawsze zastac w domu.

- Chce takze tutaj przyjechac Krendler. Poprosil o wycofanie swojej noty.

- Bede musiala sie nad tym zastanowic. Nie zawsze mozna mnie zastac.

- Rob, jak chcesz, ale cos ci poradze. Posluz sie senator Martin. Pozwol jej powiedziec, jak bardzo jest ci wdzieczna, jak wielki ma wobec ciebie dlug. Zrob to jak najszybciej. Wdziecznosc ma krotka pamiec. Postepujac tak, jak postepujesz, bedziesz jej potrzebowac ktoregos dnia w przyszlosci.

- To samo mowi Ardelia.

- Twoja kolezanka z pokoju, Mapp? Dyrektor powiedzial mi, ze Mapp podjela sie przygotowac cie na poniedzialkowe egzaminy. Wlasnie wyprzedzila o poltora punktu swego glownego rywala, Stringfellowa.

- Wiec to ona bedzie wyglaszac mowe pozegnalna?

- Stringfellow jeszcze sie nie poddal. Mowi, ze nie da sie wyrolowac.

- Zludzenia sa rzecza piekna.

W stosie rzeczy na biurku Crawforda byl papierowy kurczak zrobiony przez doktora Lectera. Crawford pociagnal go za ogon, w gore i w dol. Kurczak zaczal dziobac.

- Lecterowi pali sie ziemia pod stopami. Jest na pierwszym miejscu na liscie najbardziej poszukiwanych - powiedzial. - Mimo to moze przez jakis czas bawic na wolnosci. Poza baza musisz przestrzegac kilku waznych zasad.

Kiwnela glowa.

- Teraz jest zajety - mowil Crawford - ale kiedy bedzie mial chwile czasu, moze chciec sie rozerwac. Chce, zebyśmy sie dobrze zrozumieli. Zdajesz sobie chyba sprawe, ze on zalatwi cie tak samo, jak zalatwilby kazdego innego.

- Nie sadze, zeby wypadl na mnie gdzies z krzakow - to ordynarny sposob, a poza tym nie moglby wtedy zadac mi zadnych pytan. Oczywiscie, zalatwi mnie, kiedy tylko go znudze.

- Przestrzegaj kilku waznych zasad, to tylko chce ci powiedziec. Uwazaj, kiedy opuszczasz

teren bazy, wyraźnie zawiadam o tym, kogo trzeba. Nie mów nikomu przez telefon, gdzie będziesz przebywać, jeśli nie masz pewności, z kim rozmawiasz. Jeśli się zgodzisz, podłączymy twój telefon do specjalnej centrali lokalizującej rozmowę. Dopóki nie naciśniesz guzika, telefon nie będzie na podsłuchu.

- Nie mam zamiaru czekać, aż on po mnie przyjdzie, panie Crawford.

- Ale słyszałaś, co powiedziałem?

- Tak. Słyszałam.

- Weź swoje zeznania i przejrzyj je. Jeśli będziesz chciała, uzupełnij. Kiedy skończysz, poświadczymy tutaj twój podpis. Jestem z ciebie dumny, Starling. Tak samo Brigham, tak samo dyrektor. - Typowa sztywna mowa, zabrzmiało to zupełnie nie tak, jakby chciał.

Podszedł do drzwi gabinetu. Odchodziła od niego w głąb pustego korytarza. Udało mu się ją pozdrowić z lodowej góry ogarniającego go smutku:

- Twój ojciec patrzy na ciebie, Starling.

## **ROZDZIAŁ 59**

Jame Gumb ekscytował srodki przekazu przez kilka tygodni, a potem ostatecznie złożono go do grobu.

Reporterzy odtworzyli całą jego historię, poczynając od zapisków w księgach stanu cywilnego okręgu Sacramento.

Matka była z nim od miesiąca w ciąży, kiedy nie udało jej się zakwalifikować do finału Miss Sacramento w roku 1948. Imię „Jame” na świadectwie urodzenia wynikało oczywiście z pomyłki kancelisty. Nikt nie zatroszczył się, żeby je poprawić.

Kiedy jej marzenia o karierze aktorskiej legły w gruzach, popadła w alkoholizm. Okręg Los Angeles umieścił dwuletniego Gumba w sierocincu.

Przynajmniej dwa czasopisma naukowe wyjaśniały, że przyczyna, dla której zabijał i zdierał z kobiet skóre, było nieszczęśliwe dzieciństwo. W żadnym artykule nie pojawiło się słowo „szalony” ani „zły”.

Film z konkursu piękności, który Gumb oglądał jako człowiek dorosły, przedstawiał rzeczywiście jego matkę, badania porównawcze wykazały jednak, że nie była nią kobieta w basenie.

Niezadowoleni z sierocinca dziadkowie Gumba odebrali go stamtąd, kiedy miał dziesięć lat. Zabił ich dwa lata później.

Podczas pobytu w szpitalu psychiatrycznym Gumb nauczył się krawiectwa w osrodku przystosowania zawodowego. Przejawiał w tym kierunku spore zdolności.

W zatrudnieniu Gumba były liczne przerwy i nie udało się odtworzyć jego przebiegu. Reporterzy odnaleźli co najmniej dwie restauracje, w których był nielegalnie zatrudniony, pracował poza tym sporadycznie w branży odzieżowej. Nie udowodniono, by w tym okresie kogos zabił, Benjamin Raspail twierdził jednak, że tak.

Pracował jakiś czas w sklepie z osobliwosciami, gdzie wyrabiano ozdoby z motyli. Tam właśnie spotkał go Raspail. Muzyk utrzymywał go przez jakiś czas. To wtedy ogarnęła Gumba obsesja na punkcie ciem i motyli oraz zmian, jakim one podlegają.

Kiedy Raspail go rzucił, Gumb zabił jego następnego kochanka, Klause, uciął mu głowę i częściowo obdarł ze skóry.

Później znowu spotkał Raspaila na Wybrzeżu Wschodnim. Raspail, którego zawsze ekscytowali niegrzeczni chłopcy, przedstawił go doktorowi Lecterowi.

Te sprawy wyszły na jaw w tydzień po śmierci Gumba, kiedy FBI odebrała krewnym Raspaila taśmy, na których nagrany był przebieg jego sesji terapeutycznych z doktorem Lecterem.

Przed laty, kiedy uznano doktora Lectera za chorego psychicznie, taśmy dokumentujące prowadzoną przez niego praktykę oddane zostały rodzinom ofiar. Rodziny miały je zniszczyć. Procesujący się krewni Raspaila nie zrobił jednak tego w nadziei, że taśmy pomogą im podważyć testament. Słuchając pierwszych nagrań szybko się zniechęcili, zawierały one bowiem wyłącznie nuzące wspomnienia Raspaila z jego lat szkolnych. Po rewelacjach na temat Jame'a Gumba rodzina Raspaila wysłuchiwała taśm do końca. Kiedy krewni skontaktowali się z notariuszem Everettem Yow i zagrozili, że posłużą się taśmami, żeby starać się o rewizję testamentu, Yow zadzwonił do Clarice Starling.

Na taśmach nagrana była również ostatnia sesja, w trakcie której Lecter usmiercił Raspaila. Co więcej, wyszło na jaw, jak wiele rzeczy na temat Gumba dowiedział się Lecter od Raspaila.

Raspail opowiedział Lecterowi o obsesji Gumba na punkcie ciem, o tym, że obdzierał już w przeszłości ludzi ze skóry, że zabił Klause i że pracuje w przedsiębiorstwie wyrobów skorzanych „Mr Hide” w Calumet City, ale jednocześnie bierze pieniądze od starej damy w Belvedere, która wykonuje podszewki dla „Mr Hide'a”. Któregos dnia Gumb obejmie wszystko, co posiada stara dama, przepowiadał Raspail.

- Kiedy Lecter przeczytał, że pierwsza ofiara była z Belvedere i że obdarła została ze skóry, wiedział już, kto to robi - powiedział Crawford, kiedy przesłuchiwali taśmę wspólnie z Clarice. - Dalby ci Gumba na polmisku, robiąc z siebie wielkiego geniusza, gdyby tylko nie wtracił się w to Chilton.

- Dal mi wskazówkę, pisać w aktach, że miejsca zatopienia zwłok są zbyt przypadkowe - powiedziała Clarice. - A w Memphis zapytał mnie, czy potrafię szyc. Po co to robił?



- Chcial sie rozerwac - odparl Crawford. - Od bardzo, bardzo dawna robil wszystko, zeby sie rozerwac.

Nie odnaleziono zadnej tasmy z sesjami Jame'a Gumba. Jego dzialalnosc z okresu po smierci Raspaila odtworzona zostala kawalek po kawalku z korespondencji firmy, rachunkow za benzyne i wywiadow z wlascicielami butikow.

Kiedy pani Lippman zmarla w czasie odbywanej razem z Gumbem wycieczki na Floryde, odziedziczyl po niej wszystko: stary dom z jego czescia mieszkalna, pustym sklepem i rozleglymi piwnicami oraz pieniadze w ilosci zapewniajacej wygodne zycie. Przestal pracowac dla firmy „Mr Hide”, ale zatrzymal na jakis czas apartament w Calumet City, uzywal rowniez adresu firmy, zeby przyjmowac paczki na nazwisko Johna Granta. Dalej szyl dla wybranych klientow i odwiedzal, tak jak to robil dla „Mr Hide'a”, butiki w calym kraju, biorac miary na ubrania, ktore sporzadzal u siebie, w Belvedere. Podroze wykorzystywal, aby porywac swoje ofiary, a potem pozbywac sie ich... brazowa furgonetka godzinami sunaca po miedzystanowych autostradach z kolyszacymi sie z tyłu na wieszakach skorzanymi ubraniami i plastikowym pokrowcem na zwloki na podlodze.

Cieszyl sie wspaniala wolnoscia w swoich podziemiach. Mial tam miejsce do pracy i do zabawy. Na poczatku tylko sie bawil, polujac na kryjace sie po komorkach mlode kobiety, tworzac zabawne tableaux w odleglych pomieszczeniach, zamykajac do nich szczelnie drzwi, zeby potem, po otwarciu, wrzucic do srodka tylko troche wapna.

Fredrica Bimmel zaczela pomagac pani Lippman w ostatnim roku zycia starej damy. Spotykala Jame'a Gumba odbierajac rzeczy do szycia. Fredrica Bimmel nie byla pierwsza mloda kobieta, ktora usmiercil, byla jednak pierwsza, ktora zabil dla jej skory.

Wśród rzeczy Gumba odnaleziono adresowane do niego listy Fredriki.

Clarice ciezko bylo je czytac z powodu zawartej w nich przerazliwej nadziei, przerazliwej potrzeby doznania od Gumba czulosci. Tego pragnienia mozna sie bylo domyslic z kazdego jej slowa: „Najdrozsza Tajemna Milosci mojego Serca, kocham cie. Nie myslalam, ze kiedykolwiek wypowiem te slowa. Najpiękniejsza rzecz w mym zyciu bedzie uslyszec je takze od Ciebie”.

Kiedy obnazyl sie przed nia? Czy odkryla, co kryje sie w podziemiach? Jak wygladala jej twarz, kiedy sie odmienil, jak dlugo trzymal ja zywa?

Najgorsze bylo to, ze Fredrica i Gumb pozostali przyjaciolmi do samego konca; napisala do niego liscik ze swego lochu.

Prasa brukowa zmienila przezwisko Gumba na Mr Hide i z zalu, ze nie wymyslila go sama, zaczela cala historie od poczatku.

Bezpieczna w sercu Quantico, Clarice nie musiala zajmowac sie kontaktami z prasa, zajely sie jednak nia szmatlawce.

National Tattler kupil od doktora Chiltona nagranie rozmowy, ktora przeprowadzila z doktorem

Hannibalem Lecterem. Tattler rozwinal te rozmowe w caly cykl pod wspolnym tytulem „Narieczona Draculi”. Dawal w nim do zrozumienia, ze w zamian za uzyskane informacje Clarice zwierzyla sie doktorowi Lecterowi ze swych smialych przezyc erotycznych, ktorymi wzgardzilo przedtem wydawnictwo Velvet Talks: The Journal of Telephone Sex.

Magazyn People poswiecil Clarice Starling krotki, mily artykul ozdobiony zdjeciami z Uniwersytetu Wirginia i domu luteranskigo w Bozeman. Najlepsze zdjecie przedstawialo klacz, Hannah, ciagnaca w podeszlym wieku wozek z dzieciami.

Clarice wyciela zdjecie Hannah i wlozyla do portfelu. Byla to jedyna rzecz, jaka zachowala z tej sprawy.

Powoli przychodzila do siebie.

## ROZDZIAI 60

Ardelia Mapp byla wspaniala korepetytorka: potrafila dostrzec ukryte w tresci wykladu pytanie testowe szybciej niz leoparc wyczuwa chora sztuke w stadzie. Jednak biegaczka z niej byla raczej zadna. Tlumaczyła Clarice, ze to dlatego, iz jest za bardzo obciazona wiedza.

Pozostala w tyle za Clarice na torze przelajowym i dogonila ja dopiero przy starym DC-6, uzywanym przez FBI do symulacji porwan samolotu. Byla niedziela rano. Od dwoch dni zywily sie tylko ksiazkami i przyjemnie bylo poczuc nareszcie troche bladego slonca.

- No wiec, co powiedzial ci Pilcher przez telefon? - pytala Mapp, opierajac sie o podwozie samolotu.

- On i jego siostra maja dom nad Chesapeake.

- I co z tego?

- Jest tam teraz jego siostra z dzieciakami, psami i byc moze z mezem.

- Tak?

- Mieszkaja w jednym skrzydle domu. To wielki stary pensjonat, tuz nad woda, odziedziczyli go po swojej babce.

- Idealny, zeby pobawic sie w nim w berka.

- Pilch ma do dyspozycji drugie skrzydlo domu. Chce, zebyśmy tam pojechali na przyszly weekend. Mnostwo pokojow, mowi. „Dosyc pokojow, zeby starczylo dla kazdego”, tak to chyba ujal. Powiedzial, ze zadzwoni do mnie jego siostra z oficjalnym zaproszeniem.

- Nie wyglupiaj sie. Nie spodziewalam sie, ze ludzie jeszcze sie bawia w takie rzeczy.

- Opracowal caly scenariusz: zadnych klotni, bedziemy spacerowac opatuleni po sama szyje po plazy, potem powrot, w kominku pali sie ogien, na kolana wlaza nam psy, maja wielkie zapiaszczone lapy.

- Czysta idylla, hmm, wielkie zapiaszczone lapy, mow dalej.

- To raczej ambitny plan, zwazywszy, ze nie bylismy ani razu na randce. Twierdzi, ze kiedy jest naprawde zimno, najlepiej spac razem z dwoma albo trzema psami. Mowi, ze ma tyle psow, iz starczy ich dla kazdego.

- Pilcher bierze cie na milosc do psow. To stary trik, a ty dalas sie zlapac.

- Mowi, ze dobrze gotuje. Potwierdza to jego siostra.

- To znaczy, ze juz dzwonila?

- No tak.

- Jakie odnioslas wrazenie?

- Prawidlowe. Jakby byla w drugim skrzydle domu.

- Co jej powiedzialas?

- Powiedzialam, „Oczywiscie, dziekuje pani bardzo”, tak wlasnie sie wyrazilam.

- To dobrze - odparla Mapp. - To bardzo dobrze. Najedz sie krabow. Chwyc go w objecia i wgrzyz sie w jego usta, badz szalona.

## **ROZDZIAI 61**

Kelner z obslugi hotelowej pchal wozek po glebokim dywanie wyscielajacym korytarz hotelu Marcus.

Zatrzymal sie przy drzwiach apartamentu numer 91 i zapukal miekko dlonia w rekawiczce. Nadstawil uszu. Z pokoju dobiegala muzyka, dwu- i trojglosowe inwencje Bacha w fortepianowym wykonaniu Glenna Goulda. Zapukal ponownie, troche glosniej.

- Prosze.

Dzentelmen z bandazem na nosie siedzial i pisal cos przy biurku, ubrany byl w szlafrok.

- Niech pan postawi to przy oknie. Czy może spojrzeć na wino? Kelner przyniósł mu butelkę. Dżentelmen przyjrzał się jej w świetle lampy przy biurku, a potem przytknął szyjkę do policzka.

- Proszę otworzyć i zostawić w wiaderku z lodem - powiedział dopisując hojny napiwek do rachunku. - Nie będę go teraz próbował.

Nie chciał, żeby kelner podawał mu wino do skosztowania. Nie spodobał mu się zapach jego paska od zegarka.

Doktor Lecter był w wysmienitym humorze. Tydzień minal mu doskonale. Wyglądał coraz lepiej. Kiedy tylko zejdzie z twarzy kilka małych plam, będzie mógł zdjąć bandaż i zrobić sobie zdjęcia do paszportu.

Był właśnie w trakcie wstrzykiwania sobie w nos małych porcji silikonu. Silikon można dostać bez recepty, niestety nie sposób kupić bez niej strzykawek i novokainy. Pokonał tę trudność kradnąc receptę z lady zatłoczonej apteki, niedaleko szpitala. Zamalował krótkie bazgroły dyplomowanego farmaceuty płynem do korekt maszynowych i odbił czysty formularz na ksero. Pierwsza przepisana recepta była dokładna kopia skradzionej. Podrzucił ją niezwłocznie do apteki, żeby niczego nie brakowało.

Szpecące twarz obrzęki nie były przyjemne i zdawał sobie sprawę, że jeśli nie będzie uważał, silikon może rozlać się po tkankach. Efekt zabiegu powinien się jednak utrzymać przez kilka dni, a tyle właśnie dzieliło go od wyjazdu do Rio.

Kiedy zaczął ulegać swym pasjom, na długo przed pierwszym aresztowaniem, doktor Lecter poczynił pewne przygotowania na wypadek, gdyby miał się kiedyś znaleźć na liście poszukiwanych. W ścianie domku letniskowego nad Susquehanna River ukrył pieniądze i dokumenty zapewniające mu nową tożsamość, łącznie z paszportem i dodatkami kosmetycznymi, które miały ozdobić jego konterfekt na zdjęciach paszportowych. Ważność paszportu tymczasem wygasła, ale można ją było bardzo szybko odnowić.

Wolał przejść przez odprawę celną w tłumie podróżnych, z wielką plaketką biura podróży na piersiach, i wykupić już w tym celu miejsce w zbiorowej wycieczce o niesamowicie brzmiącej nazwie „Uroki Ameryki Południowej”, by zabrać się z nią do Rio.

Pamiętał, żeby nie opłacać przypadkiem hotelu przelewem komputerowym, ale wypisać normalny czek w imieniu nieboszczyka Lloyda Wymana. Zyskiwał w ten sposób pięć dni, podczas których czek spokojnie wedrować będzie po banku.

Tego wieczoru zajął się korespondencją, którą miał zamiar przesłać do adresatów za pośrednictwem biura wysyłkowego w Londynie.

W pierwszej kolejności przekazał suty napiwek Barneyowi wraz z podziękowaniem za liczne uprzejmości, których doznał od niego w szpitalu.

Następnie napisał krótki list do pozostającego pod ochroną federalną doktora Fredericka

Chiltona sugerując, iż w bliskiej przyszłości zamierza mu złożyć nie zapowiedziana wizyta. W jej następstwie, pisał, personel szpitala, aby oszczędzić sobie papierkowej roboty, wytatuuje instrukcje karmienia Chiltona na jego własnym czole.

W koncu nalal sobie kieliszek wybornego Batard Montrachet i zaczął pisać do Clarice Starling:

Coz, Clarice, czy owce umilkły? Jesteś mi winna pewną informację, wiesz o tym, i w tej właśnie sprawie pisze.

Wystarczy, jeśli pierwszego dnia dowolnego miesiąca zamieścisz ogłoszenie w krajowym wydaniu „Timesa” oraz „International Herald Tribune”. Nie zaszkodzi wysłać je także do „China Mail”.

Nie zdziwie się, jeśli odpowiedź będzie brzmiała: i tak, i nie. Owce na razie umilkną. Przekonasz się jednak sama, Clarice, jak krótkotrwałe jest miłosierdzie, odmierzane na tajemnych szalach Dobra i Zła; na błogosławione milczenie będziesz musiała sobie znowu zasłużyć. A potem jeszcze raz i jeszcze, i tak bez końca. To właśnie bowiem poczucie zagrożenia, fakt, że je dostrzegasz, jest siłą, która cie prowadzi. Zagrożenie zaś nigdy nie ustanie.

Nie zamierzam składać ci wizyty, Clarice, uznając świat z tobą za bardziej interesujący niż bez ciebie. Pewien jestem, że wyświadczysz mi tę samą grzeczność.

Doktor Lecter przytknął pióro do ust. Spojrzał na nocne niebo i uśmiechnął się:

Mam widok z okna.

Nad horyzontem stoi Orion, obok niego Jowisz, jasniejszy niż kiedykolwiek przed rokiem dwutysiecznym. (Nie mam zamiaru pisać ci, jak wysoko stoi na niebie ani która jest dokładnie godzina). Ale sądzę, że ty też go widzisz.

Niektóre z naszych gwiazd są takie same.

Clarice.

Hannibal Lecter

Daleko na wschód, nad brzegiem Chesapeake, nad wielkim, starym domem i pokojem, w którym zarza się pozostawione na noc głownie, wysoko na bezchmurnym niebie stoi Orion. Światło w kominku pulsuje delikatnie w rytm wiejacego na dworze wiatru. Szerokie łozę przykryte jest kilkoma koldrami, pod nimi i na nich leży kilka dużych psów. Ten większy kształt pod przykryciem to może być, choć równie dobrze może nie być, Noble Pilcher, nie sposób tego ustalić przy tak słabym świetle. Ale twarz na poduszce, zaróżowiona od ognia, z całą pewnością należy do Clarice Starling. Spi głęboko i słodko, spowita w milczenie owiec.